P. 9786 Cht. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/225-8/226 1966

1966
3
P. 9786

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI :
TYSIĄC LAT I CO DALEJ ?

M. MIHAJLOV :
DŻILAS I WSPÓŁCZESNA JUGOSŁAWIA

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :
NIEPOSKROMIONY UMYSŁ

PRZEMÓWIENIE MIKOŁAJA CEAUSESCU

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	*Tysiąc lat i co dalej?*	3
Mihajlo Mihajlov:	*Dżilas i współczesna Jugosławia*	11
Gustaw Herling-Grudziński:	*Nieposkromiony umysł*	19
Józef Łobodowski:	*O Maksymie Rylskim*	30
Maksym Rylski:	*Wiersze*	38
Józef Czapski:	*Wyrwane strony II (1963)*	47
Adam Czerniawski:	*Rachela w Rzymie*	53
Hryhir Tiutiunnyk:	*Dziwna historia*	61
Danuta Mostwin:	*Joasia znajduje enzym*	64
	WIERSZE	
Bogdan Czaykowski:	*Noty do życiorysu*	86
O. Wacław T. Chabrowski:	*Upokorzenie*	88
" " :	*Zegary*	88
Andrzej Lech Sowulewski:	*Mówię o miastach*	89
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	90
S. W. Kozłowski:	*Przegląd niemiecki*	96
Paryżanin:	*Kronika francuska*	101
	SPRAWY I TROSKI	
Konstanty Symonolewicz (Symmons):	*Polonia amerykańska*	105
Stanisław Mroczkowski:	*Antysemityzm*	136
	KRAJ	
Zygmunt Jan:	*Cena myślenia*	149
Jan Krok-Paszkowski:	*Zależność czy współzależność*	154
	TRYBUNA W.A.Z.	
W. A. Zbyszewski:	*Przyszłość planowania na Zachodzie*	162
	DOKUMENTY	
Mikołaj Ceausescu:	*Przemówienie*	177
	KRONIKA KULTURALNA	
Jerzy R. Krzyżanowski:	*Amerykański Zagłoba o Mickiewiczu*	189
—	*Komunikaty*	197
	KSIĄŻKI	
Marian Kukiel:	*Socjalizm romantyczny*	199
Wacław Iwaniuk:	*Dwie antologie*	204
Piotr Guzy:	*Zgrzebna włosienica*	212
Magdalena Czajkowska:	*Pornografia a humanizm*	216
Maria Czapska:	*O Żeromskim we Francji*	221
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	225
Zofia Hertz:	*Humor krajowy*	228
A. Bieliński, E. J. Czerniawski, F. Goldszlag, W. Iwaniuk, J. Mackiewicz, J. Morelowski, A. Nasielski, K. Okulicz, J. Ostaszewski, T. Rokicki, F. L. Schoell, J. Pomian:	*Listy do Redakcji*	230

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P.9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-sierpień—Juillet-Août 1966

INSTYTUT LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Konstanty SYMONOLEWICZ (Symmons), urodzony w Petersburgu (Leningrad) w r. 1909, ukończył gimnazjum polskie w Charbinie (Mandżuria), następnie Uniwersytet Warszawski, gdzie uzyskał stopień magistra filozofii w zakresie historii. W czasie pobytu w Polsce współpracował w pismach naukowych i społecznych.

W r. 1939 wyjechał do Stanów Zjednoczonych jako urzędnik polskiej służby zagranicznej. Po uzyskaniu doktoratu z socjologii na Uniwersytecie Columbia w New Yorku rozpoczął pracę wykładowcy w amerykańskich uczelniach wyższych. Obecnie jest profesorem socjologii oraz etnologii w MacMurray College, w Jacksonville, Illinois jak również dziekanem wydziału, oraz dyrektorem międzywydziałowego programu studiów w dziedzinie Europy Wschodniej.

Ogłosił drukiem szereg artykułów z dziedziny socjologii porównawczej oraz etnologii. Interesuje się w szczególności zagadnieniami stosunków etnicznych oraz ruchów społecznych. Jest członkiem całego szeregu towarzystw naukowych amerykańskich oraz Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce.

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

J. Stankiewicz, Trenton, N. Jersey (USA)	F. 58,00
Edmund Sleszyński, Stockholm	F. 50,00
J. Talaśka, Hawthorn (po raz drugi), oraz Fr. Ogonowski, Fairfield (Victoria, Australia) w dowód uznania dla J. Mieroszewskiego za jego artykuł „ABC polityki 'Kultury'" w Nrze 4/222)	F. 54,00
Janusz Laskowski, Paryż, zamiast idiotycznych pozdrowień z wakacji, po raz ósmy	F. 20,00
Włodzimierz Sznarbachowski, Monachium (Niemcy) — honorarium za artykuł „Jan Olechowski — poeta uczuć prostych" w nrze 6/224 „Kultury"	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

◆

Jak co roku bieżący zeszyt KULTURY jest podwójny: lipiec-sierpień 1966. Zeszyt następny ukaże się w pierwszych dniach września.

◆

Z powodu choroby p. B. Miedzińskiego zakończenie jego artykułu pt. „Wojna i pokój" ukaże się w nrze wrześniowym.

Imprimé en France.

Tysiąc lat i co dalej?

Z mojego wstępu do książki pt. „Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych" wyjmuję następujący fragment:

„Tysiącletni bilans polityczny Polski jest ujemny i nie daje powodów do radości. Po dziesięciu wiekach znaleźliśmy się w punkcie wyjściowym. Utraciliśmy wszystko co można było utracić. Z Rzeczypospolitej „obojga narodów", z „idei Jagiellońskiej", z misji „przedmurza" — nie pozostało ani śladu ani popiołu. Ponieśliśmy nie tylko olbrzymie straty terytorialne. Zagubiliśmy również historyczny sens państwowości polskiej. Naszych potężnych sąsiadów nie umieliśmy ani pobić, ani ułożyć z nimi poprawnych stosunków. Jesteśmy dziś buforowym państwem w systemie sowieckim, chroniącym Rosję od ściany Zachodu. Ktoś powie, że to wszystko nie jest naszą winą. Polityka nie rejestruje win i zasług tylko straty i zyski, zwycięstwa lub klęski".

Aleksander Bregman omawiając mój artykuł pt. „ABC polityki „Kultury" zauważył, że jest to „fragment kampanii na rzecz rewizji naszego stosunku do Rosji". To jest słuszne stwierdzenie. Usiłujemy poddać rewizji tradycyjną polską politykę w stosunku do Rosji — ponieważ polityka ta przyniosła nam same klęski i zawody. Niemniej, jak postaram się wykazać — nie likwidatorzy typu Bregmana lecz my w „Kulturze" bliżsi jesteśmy tradycji w jej istotnym sensie.

Nigdy w naszych dziejach nie byliśmy partnerem Rosji. Zawsze byliśmy rywalem — zwycięskim lub pokonanym. Jako pobity rywal produkowaliśmy równocześnie pokonanych-niepogodzonych i pokonanych-serwilistów. Ów schemat historyczny powtórzył się jeszcze w okresie Powstania Warszawskiego. Na barykadach walczyli pokonani-niepogodzeni a w Komitecie Lubelskim urzędowali pokonani-serwiliści.

Na emigracji ci z nas, którzy w polityce widzą coś więcej niż manifestacje i „ślubowania" — od dawna zdają sobie sprawę,

że nasza tradycyjna polityka w stosunku do Rosji wymaga gruntownego przemyślenia. W wielowiekowej walce o przywództwo na Wschodzie w sensie terytorialnym zostaliśmy pokonani. W konsekwencji, jeżeli przez „ideę Jagiellońską" rozumieć ekspansję terytorialną — wypada obiektywnie stwierdzić, że „idea Jagiellońska" stała się anachronizmem.

Stwierdzenie powyższych faktów nie oznacza jednak bynajmniej, że polska „misja na wschodzie" dobiegła kresu. Oznacza to tylko, że cele i strategia owej misji muszą ulec zmianie.

Musimy uznać, że w dziedzinie stosunków polsko-rosyjskich nie ma łatwych rozwiązań. W tego typu historycznym gąszczu nienawiści, kompleksów i uprzedzeń nie można niczego załatwić przy stole konferencyjnym. Gdyby na skutek takich czy innych konferencji międzynarodowych wojska sowieckie opuściły Europę wschodnią — byłoby to osiągnięcie o ogromnym znaczeniu. Bylibyśmy niepodlegli lecz na jak długo? Gdyby Moskwa wycofała swoje wojska lecz zachowała w stosunku do nas wrogą i nieufną postawę — w dalszym ciągu wisiałby nad nami rosyjsko-niemiecki miecz następnego rozbioru Polski.

Logicznie biorąc mamy przed sobą tylko dwa rozwiązania. Albo Rosję pobić albo się z nią ułożyć. Ponieważ nie możemy jej pobić, musimy się z nią ułożyć. Na to by się z nią ułożyć musimy ją wpierw zmienić. I w tym miejscu rozpoczyna się nasz problem.

Polacy na emigracji na ogół nie zdają sobie sprawy z wpływów jakimi dysponuje Polska — w szczególności polska kultura na terenie Związku Sowieckiego. Mało kto wie — powiedzmy dla przykładu — że dziś w Mińsku mieszka więcej Polaków niż przed wojną. Kołakowski a nawet Schaff są w ZSSR potajemnie czytani i dyskutowani. Polska prasa i literatura mają w Rosji pozycję wręcz wyjątkową. Nie „Encounter'a" czy „Preuves" lecz zeszyty paryskiej „Kultury" czy jej wydawnictwa kolekcjonuje się w redakcjach pism literackich w ZSSR.

Terytorialnie jesteśmy pobici, lecz kulturalnie jesteśmy obecni. Kultura polska jest jedną z najbardziej atrakcyjnych na wschodzie Europy. Nieufność Ukraińców i Litwinów tu miała przed wojną swe źródło. Rosjanie, którzy są tylekroć liczniejsi od nas oczywiście nie boją się polonizacji. Lecz doceniając atrakcyjność polskiej kultury zdają sobie sprawę z możliwości jej ekspansji w sprzyjającym momencie.

W tym miejscu dotykamy jednego z historycznych punktów newralgicznych w stosunkach polsko-rosyjskich. Ów kompleks „miłości-nienawiści" który charakteryzuje obie strony — polega na tym, że Rosjanie doceniając siłę przyciągania polskiej kultury, obawiają się jej jagiellońskiego potencjału. Rosjanie nie ufają nam, bo jeszcze dziś patrzą na nas jako na potencjalnego rywala.

Uznając naszą klęskę w sensie terytorialnym nie mamy powodu przed Moskwą kapitulować. Byłoby oczywiście nonsensem w epoce atomowej marzyć o nowej wyprawie kijowskiej. „Program rosyjski" „Kultury" choć nie zmierza do ekspansji terytorialnej jest niewątpliwie bardziej ambitny niż wszystkie polskie nowoczesne programy wschodnie dotąd sformułowane.

Ideałem wielu Polaków na emigracji jest wyłączenie Rosji z Europy. Przez owo wyłączenie rozumiemy ewakuację wojsk sowieckich z krajów satelickich a w szczególności z NRD. Załóżmy, że kryzys w NATO doprowadzi z czasem do sojuszów bilateralnych. Dla pełni obrazu dodajmy, że polityka amerykańska oscyluje zazwyczaj pomiędzy globalizmem a izolacjonizmem. Już dziś nie brak w prasie światowej proroków głoszących adwent nowej ery izolacjonizmu.

Publicyści polscy na łamach oficjalnego londyńskiego „Dziennika Polskiego" z rozwojem sytuacji po liniach naszkicowanych powyżej — łączą wielkie nadzieje. Ci panowie twierdzą bowiem, że gdyby ewakuacja wojsk amerykańskich z Europy zachodniej została uzależniona odpowiednim układem od równoczesnej ewakuacji wojsk sowieckich z Europy wschodniej — wówczas „wycofanie wojsk US opłacałoby się".

W mojej opinii, gdyby Amerykanie, znużeni sytuacją w NATO, któregoś pięknego poranku postanowili wycofać się z Europy (w całości lub częściowo) — nie zażądaliby od Moskwy niczego w zamian. W rezultacie mielibyśmy po dawnemu dywizje sowieckie na wschodzie — natomiast nie mielibyśmy dywizji amerykańskich na zachodzie.

Chciałbym przekonać cierpliwego Czytelnika, że żadne „wyzwolenie", ewakuacje czy nawet gwarancje nie zmieniają na jotę faktu, że Rosja a nie Ameryka jest naszym potężnym sąsiadem, od którego postawy i polityki w znacznej mierze zależy nasze bezpieczeństwo. Nie możemy Rosji pobić i nie chcemy przed nią kapitulować. Jedynym rozwiązaniem jest tchnąć nową treść w naszą „misję wschodnią" i dążyć do takich przemian w Rosji, które umożliwiałyby nam zapoczątkowanie nowego rozdziału w dziejach polsko-rosyjskich.

Wielu mężów stanu w odróżnieniu od publicystów — nie docenia wagi upowszechniania koncepcji politycznych. Polityka wschodnia Piłsudskiego załamała się przede wszystkim dlatego, że współcześni Polacy, nawet jego zwolennicy, jej nie rozumieli. Jestem przekonany, że w przyszłości znajdą się polscy politycy, którzy podejmą koncepcję „misji wschodniej". Celem serii artykułów, które poświęciłem temu problemowi jest poszerzyć krąg ludzi rozumiejących te sprawy.

W mojej publicystyce zajmowałem się więcej problematyką rosyjską niż niemiecką ponieważ doszedłem do wniosku, że pojednanie polsko-rosyjskie jest czymś niepomiernie bardziej złożonym i trudnym niż ułożenie stosunków polsko-niemieckich. Na emigracji co roku ukazuje się nowa książka o Katyniu. O Oświęcimiu nie pisze nikt. Polacy łatwiej wybaczą Niemcom Oświęcim niż Rosjanom Katyń. To są imponderabilia, których nie ima się logiczna analiza. Życie ma nie wiele wspólnego z logiką i polityka ma nie wiele wspólnego z logiką. Niemniej stosowanie analizy

i argumentacji logicznej są jedyną metodą uracjonalnienia tak życia jak i polityki.

Problem polsko-rosyjski zaciemnia anty-komunizm. Różni panowie, którzy nie umieliby o idei Jagiellońskiej wypowiedzieć dwóch rozsądnych zdań — grzmią w sążnistych artykułach o konieczności rozbicia Związku Sowieckiego. Anty-komunizm w odróżnieniu od sowietologii będącej wiedzą polityczną — stał się wylęgarnią grafomanów, którzy nie tylko spłycili problematykę polsko-rosyjską lecz zagubili jej sens.

Likwidatorzy i zawodowi anty-komuniści nie rozumieją, że w europejskim bloku komunistycznym istnieje ferment narodowościowy a nie ideologiczny. Przykład Rumunii wykazuje jasno, że tylko komuniści mają możliwość wywalczenia pewnego stopnia niezależności państwowej. Żaden socjal-demokrata nie osiągnąłby dla Rumunii tego co osiągnął komunista — Nicolae Ceausescu. Kontr-rewolucja nie tylko nie dałaby Rumunom niezależności lecz przeciwnie sprowadziłaby na ich kraj katastrofę.

Partie komunistyczne posiadają niewątpliwie możliwość zdobycia w danym kraju satelickim pewnego stopnia niezależności. Walcząc o cele narodowe tak w sensie politycznym jak i gospodarczym — komuniści zdobywają poparcie całego społeczeństwa. Zdobywszy owo poparcie i umocniwszy swoją pozycję vis à vis Moskwy — rządząca partia komunistyczna może podjąć program reform wewnętrznych.

Nie intelektualni rewizjoniści lecz komuniści-nacjonaliści doprowadzą z czasem tak do przebudowy imperium satelickiego jak i Związku Sowieckiego. Rewizjoniści ideologiczni mają w przyszłości do odegrania kapitalną rolę przede wszystkim w samej Rosji. W krajach satelickich rewizjoniści nie mogą liczyć nigdy na masowy oddźwięk. Na masowy oddźwięk może liczyć natomiast przywódca komunistyczny dążący do zdobycia niezależności dla swojego kraju. Walczyć skutecznie o niezależność może przywódca, któremu trudno zarzucić rewizjonizm. Nie można palić świeczki z obu końców i przeprowadzać rewizji zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz.

Powyższe uwagi stanowią podsumowanie doświadczeń dwóch „rewolucji" węgierskiej i rumuńskiej. Model rumuński jako uwieńczony sukcesem z całą pewnością znajdzie naśladowców. Gdyby Ceausescu był rewizjonistą ideologicznym — Moskwa już dawno zorganizowałby zjazd taki czy inny na którym większość „bratnich partii" potępiłaby go jako heretyka i socjal-demokratę. Jego politycznych żądań nikt by w Moskwie nie brał pod uwagę. Ponieważ jednak postawa ideologiczna przywódcy rumuńskiego jest nie do zaczepienia — jego żądań i argumentów Moskwa nie może lekceważyć.

Rewolucja-powstanie jako metoda zdobycia niepodległości posiada szanse sukcesu tylko wówczas, jeżeli działa na zasadzie naczyń połączonych. Gdyby rewolucja typu budapeszteńskiego wybuchła równocześnie w Warszawie i w Pradze a nie tylko w stolicy Węgier — szanse powodzenia byłyby znaczne. Lecz synchronizacja ruchów masowych jest niezmiernie trudna i powstańcy w Warszawie czy w Budapeszcie nie mogą mieć nigdy pewności, że ich akcja wywoła „pożar" w innych krajach satelickich.

Doświadczenia rumuńskie wskazują, że tylko ci przywódcy komunistyczni mogą domagać się ustępstw ze strony Sowietów — którzy dysponują zarówno poparciem społeczeństwa jak i poparciem zdyscyplinowanej partii. Wydaje się oczywiste, że domagać się pewnego stopnia niezależności może tylko państwo wewnętrznie uładzone i ustabilizowane. W wypadku rumuńskim owo „uładzenie" jest równoznaczne z rządami żelaznej ręki. Lecz większość Rumunów gotowa jest do czasu płacić tę cenę by zdobyć dla swego kraju maksimum osiągalnej niezależności gospodarczej i politycznej.

Bez względu na to czy Amerykanie opuszczą Europę czy jej nie opuszczą — NATO i Pakt Warszawski nie będą trwały wiecznie. Osobiście jestem przekonany, że Amerykanie pozostaną w Europie choć ich siły zbrojne na kontynencie ulegną na pewno wielkiej redukcji. Likwidacja paktów Warszawskiego i NATO czy tylko stopniowe rozluźnienie więzi tych struktur, co już następuje po obu stronach barykady — przyniesie z sobą wzmożenie nacjonalizmów i dążenie do politycznej niezależności. W Polsce nie brak również „Rumunów" tak w wojsku jak i w aparacie partyjnym, choć Gomułka do nich nie należy.

Ów proces rozpadu struktur „zimno-wojennych" na terenie Europy zbiegnie się ze „zmianą warty" w państwach satelickich. Przewiduję, że w okresie najbliższych 8 czy 10 lat znikną ze sceny nie tylko Pakt Warszawski i NATO lecz i komuniści typu Gomułki. Pojawią się nowi ludzie, którzy w pełni wykorzystają doświadczenia rumuńskie i w zmienionych warunkach osiągną znacznie więcej niż Ceausescu.

Dla Rosji najbliższe 10 lat mogą okazać się najbardziej burzliwe i niebezpieczne w jej nowoczesnych dziejach. Triumf nacjonal-komunizmu w państwach satelickich oraz znaczne uniezależnienie się tych państw od dyrektyw Moskwy — wywrze dominujący wpływ na rozwój sytuacji wewnętrznej w Związku Sowieckim. Ponadto problemu narodowościowego w ZSSR nie będzie można dłużej ignorować. Lecz to jest tylko jeden aspekt sytuacji. Jeżeli Amerykanie przestaną być de facto kontrolerem Niemiec — względnie gdy owa kontrola znacznie osłabnie — Moskwa będzie musiała wypracować nowy system bezpieczeństwa, względnie porozumieć się z Niemcami.

Pisma brytyjskie wysuwały propozycję „przetargu" Niemiec za Wietnam. Rosja dopomogłaby do zorganizowania neutralnego i z czasem zjednoczonego Wietnamu — Stany Zjednoczone dopomogłyby do zorganizowania neutralnych z czasem zjednoczonych Niemiec. Fakt, że tego typu propozycje wysuwają poważne pisma, jak londyński „The Observer", dowodzi, że *status quo* powoli sypie się w gruzy.

Na powyższym tle należy rozpatrywać naszą „misję wschodnią" w jej nowoczesnym wydaniu.

Pokolenie stalinowskie w Rosji jest na odchodnym. Nasza polityka jest zaadresowana do młodszego pokolenia, które w najbliższej dekadzie obejmie ster agend państwowych. De-satelizacja i de-kolonizacja imperium sowieckiego jest sprawą przesądzoną. Jeżeli jednak przyszłe pokolenie przywódców rosyjskich wykaże zrozumienie nieuchronności tych przemian — przebudowa nie będzie oznaczać dla Rosji katastrofy ani degradacji w tabeli mocarstw. Polacy — jeżeli staną na wysokości zadania — będą mogli odegrać ogromną rolę w tym niezmiernie trudnym procesie europeizacji Rosji. Wydaje mi się bowiem, że tylko Polacy mają pewną szansę przekonania Rosjan, że dekolonizacja i przebudowa Związku Sowieckiego — choć jest czymś całkowicie sprzecznym z tradycją rosyjską — nie jest wymierzona przeciwko Rosji. Polacy wszystkimi dostępnymi środkami winni rozładowywać rosyjski zastarzały kompleks anty-zachodni, który dziś jest historycznym anachronizmem.

Przede wszystkim winniśmy sami wydobyć się z politycznego letargu i odzyskać naszą inicjatywę na Wschodzie. Winniśmy zerwać ze schematem, który w stosunku do Rosji dzieli Polaków na dwa przeciwstawne obozy: serwilistów i likwidatorów. Ani jedni ani drudzy nie mają żadnej szansy odzyskania inicjatywy na Wschodzie i nigdy nie zdobędą statutu partnera Rosji. Choć tak serwiliści jak i likwidatorzy powołują się na historię, ani jedni ani drudzy nie są dziedzicami tradycji polskiej „misji na Wschodzie". W gruncie rzeczy bowiem istotą owej misji nie był nigdy program likwidacji Rosji lecz *czynny udział Polski w przebudowie i w zorganizowaniu europejskiego Wschodu.*

Koncepcja, którą wysuwamy, nie ma nic wspólnego z imperializmem nawiązuje jednak do najistotniejszego historycznego motywu tradycyjnej polskiej polityki wschodniej. Ów motyw pogrzebali zarówno likwidatorzy jak i serwiliści pod tonami nienawistnej, zaślepionej bibuły propagandowej.

Ani serwiliści ani likwidatorzy nie mają Rosji niczego do zaofiarowania. Pierwsi gotowi są jej służyć na każdych warunkach — drudzy gotowi są sprzymierzyć się nawet z Niemcami przeciwko Rosji.

Polska de facto jest kluczem Europy do Rosji i kluczem Rosji do Europy. W przyszłości Rosjanie będą musieli albo porozumieć się z Polakami albo wyjść z Europy. Bez Polski nie zorganizują bowiem trwałego systemu bezpieczeństwa. Związek polsko-czechosłowacko-węgierski w sojuszu z przebudowaną przyszłą Rosją — tworzyłby ugrupowanie, które równoważyłoby z nawiązką najpotężniejsze nawet Niemcy. Co innego jest jednak sojusz czy układ ze związkiem czy federacją niepodległych państw, a co innego jest system „pasa satelickiego", który w razie kryzysu nie zwiększy lecz przeciwnie pomniejszy bezpieczeństwo Rosji.

Polacy winni poczuć się na nowo historycznym narodem. We wszystkich obchodach millenijnych trudno dopatrzyć się renesansu Polski jako państwa historycznego. Wieczne deklamowanie o „Polsce walczącej", o niepodległości i pięcio-przymiotnikowych wyborach — nie jest ani historią, ani polityką, ani programem. Historyczny naród musi mieć świadomość celu i dróg do owego celu wiodących, ponieważ państwo nie może być tylko osiedlem mieszkaniowym — choćby niepodległym i demokratycznie rządzonym. Państwo musi być czymś więcej. I tego „więcej" nie umieliśmy dotąd odnaleźć.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Nowość

TOM CXXX BIBLIOTEKI "KULTURY"

Seria · "Archiwum Rewolucji"

TEMATY ROSYJSKIE

Przekład z serbo-chorwackiego

Na książkę składają się następujące eseje:

CZEGO CHCEMY I DLACZEGO MILCZYMY

Cz. I.: LATO MOSKIEWSKIE 1964

Cz. II.: DOSTOJEWSKI DZIŚ

Cz. III. LITERATURA ROSYJSKA

— Na rozdrożu
— Kilka skojarzeń historycznych na czasie
— Wnioski z pewnej polemiki
— Martwy dom Sołżenicyna i Dostojewskiego
— Znaczenie powieści „Cisza"
— Jewgienij Zamiatin — Chagall literatury
— Synteza Zaratustry i Ostapa Bendera

Str. 224.

Cena egz. 15 F. (dol. 3,25; 22/6)

Milovan Dżilas i dzisiejsza Jugosławia

Milovan Dżilas... Co reprezentuje dla nas, dzisiaj, w Jugosławii, ten człowiek? Co oznacza on dla młodzieży jugosłowiańskiej, dla pokolenia ludzi trzydziesto- i czterdziestoletnich, tych właśnie, którzy jutro decydować będą o losie własnego kraju?

Co wiedzą o nim młodzi komuniści, co myślą o nim intelektualiści i szary człowiek z ulicy? Czy prawdą jest to, że czynniki oficjalne starają się przekonać nas, że sprawą Dżilasa nie interesuje się nikt, poza nieliczną grupą fanatyków, którzy i tak nie będą mieli najmniejszego wpływu na przyszły bieg wypadków w kraju?

Co wie i myśli młoda Jugosławia o człowieku, który w chwili gdy piszę te słowa i w chwili gdy je czytacie, znajduje się w jednym z najbardziej znanych więzień Jugosławii „Sremska Mitrovica"?

O ile w krajach zachodnich mówi się często o Dżilasie, a książki jego, tłumaczone na wiele języków, czytają ludzie zamieszkali w najbardziej odległych zakątkach świata, to w tej części globu gdzie panuje tak zwany system socjalistyczny, od prawie piętnastu lat, żadne pismo, miesięcznik czy książka, żaden odczyt czy też audycja radiowa nie wspomniały nigdy, naprawdę nigdy, o istnieniu tego człowieka, który tak niedawno jeszcze uchodził za jednego z najbardziej popularnych przywódców ruchu komunistycznego w Europie południowo-wschodniej.

W Jugosławii, w kraju o najbardziej rozwiniętym systemie demokratycznym spośród tak zwanych państw „socjalistycznych", w kraju gdzie można pisać i mówić o socjalizmie, Związku Sowieckim, Marksie i stalinizmie, w kraju, który ze względu na panującą w nim wolność nie może być porównywany do żadnego innego „państwa demokracji ludowej", istnieje pewien problem bolesny i delikatny, którego poruszenie czy omówienie narazić może na niebezpieczeństwo: problem ten nazywa się Dżilas i „dżilasizm".

Nigdzie i nigdy w Jugosławii nie mówi się o Dżilasie publicznie. Z filmów dokumentarnych, poświęconych historii walk z faszyzmem, usunięto te sceny, w których on występował. W książkach historycznych omawiających walkę ludu o wyzwolenie, w opisach życia kraju w okresie powojennym i w bohaterskich chwilach roku 1948, nie znajdziemy ani słowa o człowieku, który przez lata był jednym z legendarnych przywódców partii. I trwa to od przeszło piętnastu lat.

Lecz mimo tego totalnego milczenia władz oficjalnych, nie ma tutaj osoby, która ważyłaby w równym stopniu na życiu każdego obywatela jugosławiańskiego, jak ów więzień ze Sremskiej Mitrovicy.

Przemiany historyczne

Dzisiaj, gdy Jugosławia, podobnie jak wszystkie kraje „socjalistyczne", znajduje się na progu głębokich przemian historycznych, nie ma ani jednego domu w którym, podczas poważnych dyskusji wieczornych, nie padłoby nazwisko Dżilasa, czy to będzie w Belgradzie, Zagrzebiu, Lubljanie, Skoplje, Sarajewie czy Titogradzie, czy w środowisku profesorów uniwersyteckich, czy w popularnej kawiarni uczęszczanej przez robotników.

Dżilas... Stosunek do tego człowieka dzieli nas, mieszkańców Jugosławii, na dwa obozy: na tych, którzy są za nim i na tych, którzy są przeciwko niemu.

Szerokie masy ludzi prostych, studentów, młodych członków partii, świeżo ukończonych lekarzy, profesorów, ekonomistów, słowem tych wszystkich, którzy w okresie „sprawy Dżilasa" zasiadali na ławach szkolnych, wiedzą o tym człowieku nie wiele; to tylko, że pochodzi z Czarnogórza, liczy 55 lat, należy do przedwojennych rewolucjonistów i komunistów z przekonania, jest intelektualistą i nowoczesnym poetą, a w czasie wojny był jednym z najbardziej popularnych przywódców ruchu partyzanckiego i wpływowym teoretykiem partyjnym. Wiedzą, że ten były wice-prezydent państwa, ten wróg wszelkich kompromisów, stawał kilkakrotnie przed sądem; *de facto* skazany został na karę więzienia z powodów politycznych — gdyż, pierwszy, i jedyny, protestował otwarcie i odważnie przeciwko śmiertelnemu dla życia politycznego i społecznego kraju monopolowi Ligi Komunistów Jugosłowiańskich — a *de jure*, za naruszenie przepisów prawnych dotyczących ogłoszenia jego książki „Rozmowy ze Stalinem". Młodzież jugosłowiańska wie dobrze, że w czasie ostatniego procesu, który toczył się przy drzwiach zamkniętych a zakończył skazaniem Dżilasa, w prasie jugosłowiańskiej ukazywały się jedynie krótkie notatki rejestrujące fakt, iż byłemu wice-prezydentowi państwa, Milovanowi Dżilasowi wymierzono karę i stwierdzające, że sprawa ta w „rzeczywistości" nie interesuje nikogo. Oto wszystko.

Mimo to, a raczej na skutek faktu, że wszystkie środki informacyjne znajdowały się w rękach partii, ściślej mówiąc w rękach grupki ludzi z Komitetu Centralnego, społeczeństwo nasze i cały kraj śledziły w owych dniach proces Dżilasa z przejęciem. Nikt jednak nie może mówić publicznie lub pisać o tym wydarzeniu, które wstrząsnęło krajem.

Przyszli historycy nie dowiedzą się niczego o życiu i zainteresowaniach ludzi należących do tak zwanego „społeczeństwa socjalistycznego" o ile czerpać będą swe wiadomości wyłącznie z rzeczy ogłaszanych obecnie drukiem. By odtworzyć prawdziwy obraz życia ludności będą musieli uwzględnić fakt, że wewnętrzny organizm społeczny w systemach totalitarnych cierpi na schizofrenię, że istnieje poważna różnica między myślą i uczuciami a ową pseudo-rzeczywistością, którą przeżywamy oficjalnie i zewnętrznie.

Każdy totalitaryzm, każdy system polityczny oparty na monopartii ulega pewnej kolektywnej schizofrenii. Coraz liczniejsze odłamy społeczeństwa zaczynają rozumieć, że ten, kto przemilcza swe myśli i uczucia gdy są one sprzeczne z oficjalnym i uznanym stanowiskiem, nie tylko jest człowiekiem „chorym", lecz także człowiekiem, który się wstydzi, tak jak niewolnik czy przestępca.

Nazwisko Dżilasa wiąże się w umysłach ludzi z pojęciem „nowej klasy", to znaczy z oligarchią partyjną będącą u władzy, lub z tytułem jego najbardziej znanej książki, którą naprawdę mało kto przeczytał w Jugosławii, lecz o której tezach mówi się wszędzie i nieustannie i której tytuł znany jest w zasadzie każdemu.

W ludności zakorzeniło się przekonanie, że Dżilas nie popełnił żadnego czynu antysocjalistycznego i nielegalnego, tak jak na przykład mój artykuł na pewno nie jest sprzeczny z przepisami prawa, obowiązującymi w Jugosławii. Dżilas nie występował ani przeciwko socjalizmowi, ani przeciwko konstytucji i prawu, lecz przeszedł do opozycji by przypominać obowiązek poszanowania praw konstytucyjnych, gwarantujących swobodę działania wszystkim organizacjom politycznym, nawet tym, które mimo iż są w otwartej opozycji wobec „Ligi Komunistycznej", niekoniecznie są antysocjalistyczne. Konstytucja jugosłowiańska nie zawiera żadnego postanowienia stwierdzającego, że pojęcie socjalizmu jest wyłączną własnością partii. I wszyscy w Jugosławii zdają sobie doskonale sprawę, że właśnie Liga Komunistyczna postępuje niezgodnie z konstytucją i prawem gdy stara się za wszelką cenę utrzymać swoją chorobliwą i monopolistyczną kontrolę nad życiem społecznym i politycznym kraju. Ludność w Jugosławii wie dobrze jakie przyczyny skłoniły Dżilasa do podjęcia walki i podział — na tych, którzy są za nim, i tych, którzy są przeciwko niemu — przebiega wzdłuż linii odgraniczającej socjalizm demokratyczny od socjalizmu opartego na monopartii i totalitaryźmie.

Jugosławia znajduje się dzisiaj na rozstajnych drogach: jedna z nich prowadzi do demokracji o szerokim zasięgu, a druga — do stalinizmu, bardziej perfidnego i okrutnego niż ten, przeciwko któremu zbuntowała się Jugosławia w 1948 roku. Dżilas, mi-

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

mo iż przebywa w celi więziennej, jest zawsze, w każdym momencie, obecny w życiu naszego kraju, gdyż znalazłszy się na rozstajnych drogach już piętnaście lat temu powziął on decyzję. Wszystkie wydarzenia z życia politycznego, kulturalnego i gospodarczego naszego kraju zaopatruje się niezawodnie następującym komentarzem: „przecież o tym mówił już Dżilas..." Każda wiadomość o nim, ogłoszona przez prasę zagraniczną lub podana przez radio, omawiana jest przez miesiące. Co pewien czas rozchodzą się pogłoski, że został uwolniony, że go widziano tu lub ówdzie. Czasami szepcze się na ucho, że usiłowano otruć go w więzieniu.

Dżilas cieszy się w Jugosławii ogromnym autorytetem. Młodzi, a także wielu z tych, którzy należą do partii, szanują w nim przede wszystkim jego czystą jak łza przeszłość rewolucyjną, jego bohaterstwo i bezkompromisowość, jego obecne poświęcenie dla idei.

Większość nie-komunistów obdarza Dżilasa gorącą sympatią gdyż w ich przekonaniu, odkupuje on i pokutuje za grzechy fanatyzmu komunistycznego z pierwszych lat po wojnie, z okresu tak zwanej „dyktatury proletariatu", grzechy, za które on sam był w wielu wypadkach odpowiedzialny. Dżilas stał się dzisiaj w pewnym sensie legendarnym bohaterem, szczególnie dla młodych. Nie należy bowiem zapominać, że na scenę życia społecznego wchodzi obecnie pokolenie, które w odróżnieniu od starszej generacji, nie boi się niczego na świecie, mówi otwarcie co myśli, co ma zamiar robić i co uważa za słuszne.

Sprawa Dżilasa nie jest problemem człowieka skazanego na karę więzienia mniej lub bardziej słusznie, lecz problemem, od którego zależy zbawienie społeczne i duchowe Jugosławii, a więc także całego świata socjalistycznego.

W obecnym momencie historycznym Jugosławia milczy. Władze unikają wszelkich procesów politycznych gdyż wiedzą, że takie procesy zaszkodziłyby „status quo"; jednocześnie idą one na maksymalne ustępstwa, jeżeli dany wypadek, nie zahacza o sprawę najbardziej istotną i ważną: likwidację monopartii i stworzenie organu otwartej opozycji, na co czekają liczni intelektualiści. Dlatego właśnie nie porusza się sprawy Dżilasa.

Permanentne nadużycia

Powiem więcej, czynniki oficjalne usiłują przekonać świat, że prowadzą kraj w kierunku „dżilasizmu" bez Dżilasa. Jest to świadome oszustwo. Dżilas domagał się przede wszystkim poszanowania konstytucji i prawa, które zezwalają na swobodną i zorganizowaną działalność polityczno-społeczną ludzi nie podzielających stanowiska ideologicznego Ligi Komunistycznej, a będących mimo to prawdziwymi wyznawcami socjalizmu. Z tych względów właśnie, i mimo że Liga Komunistyczna skłania się obecnie w kierunku liberalizmu w zakresie gospodarczym, kulturalnym i religijnym, nie ma i nie może być mowy o „dżilasizmie" tak długo dopóki Dżilas przebywa w więzieniu, a my — otwarci przeciwnicy ideologiczni systemu monopartyjnego (zresztą z każdym dniem jest nas coraz więcej), my socjaliści demokratyczni — pozostajemy pozbawieni możliwości rozwinięcia legalnej (i słusznej), zorganizowanej działalności polityczno-społecznej.

Dopóki samorząd ludu pracującego Jugosławii stanowić będzie jedynie fasadę, za którą ukrywa się władza totalitarna jedynej istniejącej partii, „Ligi Komunistycznej Jugosławii", dopóki naruszać się będzie deklarację praw człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, którą podpisała Jugosławia, konstytucję jugosłowiańską i prawo, dopóki demokracja opozycyjna nie będzie mogła rozwinąć realnie zorganizowanej działalności społecznej i politycznej, niepodlegającej kontroli Ligi Komunistycznej, gadanie o demokracji socjalistycznej, o samorządzie jugosłowiańskim, o „dżilasizmie" bez Dżilasa pozostanie niczym innym jak tylko „bluffem". Tak długo dopóki istnieć będzie obecna sytuacja, w której decyzja o informowaniu i sposobie informowania społeczeństwa spoczywa w rękach grupy ludzi rozciągającej kontrolę nad wszystkimi środkami informacyjnymi kraju, nadużycia i wprowadzania w błąd opinii publicznej trwać będą nieustannie.

Wystarczy wspomnieć milczenie, które zachowała prasa jugosłowiańska na temat „sprawy Dżilasa" i wydarzeń z 1948 roku, ową totalną ciszę, która okryła krwawy strajk górników w Nowoczerkasku, w Donbasie w 1962, manifestacje studentów z 5-go grudnia 1956 w Moskwie w obronie Siniawskiego, niedawną historię 25-letniego Ukraińca Mikołaja Didika, który przed centralnym gmachem NKWD w Moskwie zamienił się w żywą pochodnię na znak protestu przeciwko średniowiecznemu terrorowi (gdy podobny wypadek wydarzy się w Waszyngtonie ta sama prasa rozpisuje się na ten temat bez końca). Społeczeństwo jugosłowiańskie dojrzało dzisiaj do demokracji i nie życzy sobie, by ktokolwiek w jakimkolwiek Komitecie Centralnym jakiejkolwiek jedynej partii, decydował o tym co ludność ma wiedzieć lub nie wiedzieć na temat świata, życia i wydarzeń politycznych naszej planety. Mamy już dość tego, co genialny George Orwell nazwał „podwójną myślą". Nie chcemy by zagadnienia będące przedmiotem najbardziej burzliwych dyskusji w domach prywatnych stanowiły „tabu" dla opinii publicznej.

Nadszedł czas, by zacząć mówić otwarcie o sprawie Dżilasa i o środkach zmierzających do zlikwidowania systemu monopartyjnego. Ostatni numer miesięcznika jugosłowiańskiego „Socijalizm", poświęconego zagadnieniom społecznym, otwarcie wzywa do używania terminu Dżilasa: „nowa klasa".

Nikogo w dzisiejszym świecie socjalistycznym nie da się oszukać zapewnieniem o tak zwanym zaniku państwa na skutek rozpłynięcia się partii w społeczeństwie, w którym zanikły już wszystkie grupy polityczne. Chcemy, by szanowano konstytucję jugosłowiańską, prawo i deklarację praw człowieka, która wyraźnie mówi o poszanowaniu godności ludzkiej, o prawie swobodnego i publicznego wypowiadania własnych poglądów i opinii

politycznych, o prawie odbywania zebrań publicznych i tworzenia organizacji politycznych zmierzających do rozwijania uprawnionej działalności w społeczeństwie. My, niezliczeni socjaliści, nie komuniści, nie chcemy czytać wyłącznie prasy komunistycznej, wydawanej przez Komitet Centralny i żyć w społeczeństwie „niesprawiedliwym", w którym jedynie wyznawca ideologii komunistycznej może rozwijać publicznie działalność polityczną.

W naszym bloku pierwszy Dżilas zaprotestował przeciwko dyskryminacjom politycznym i społecznym, upośledzającym tych, którzy nie zgadzali się z Ligą Komunistyczną, lecz którzy jednocześnie nie należeli w żadnym wypadku do tak zwanej „wrogiej klasy burżuazyjnej". Dlatego też sprawa losu Dżilasa, sprawa losu i wolności Jugosławii, znaczy w pierwszym rzędzie możliwość istnienia systemu demokratycznego i socjalistycznego, zerwania z niepopularnym monopolem władzy politycznej jednej partii, monopolem, który niesie w sobie niebezpieczeństwo powrotu najgorszego gatunku stalinizmu.

Dżilas nie jest synonimem powrotu do kapitalizmu. W historii nie istnieje cofanie się, natomiast zawsze idzie się naprzód. Dżilas reprezentuje socjalizm demokratyczny, nie totalitarny. Dżilas jest dzisiaj symbolem wolności w ramach społeczeństwa socjalistycznego. Samo stwierdzenie, iż w Jugosławii nastąpiła ewolucja systemu monopartyjnego w system wielopartyjny, oparty na wolności i demokracji i stanowić będzie „iskrę zapalną" i ideę przewodnią dla wszystkich krajów Europy wschodniej, a także oczywiście i dla Rosji.

Los wolności w Jugosławii zależy od losu Dżilasa, a od drogi, na którą wejdzie nasz kraj, zależeć będzie przyszłość wszystkich państw socjalistycznych Europy wschodniej.

◆

Wy, którzy możecie, zgodnie z waszymi życzeniami, głosować na partię pracy, czy na republikanów czy demokratów, którzy możecie czytać pisma o kierunkach odpowiadających waszym upodobaniom, pamiętajcie, że nam wolno głosować tylko na jedną partię i czytać prasę codzienną reprezentującą wyłącznie jedną tylko tendencję. Nie myślcie jednak, że sprawa ta dotyczy tylko nas. Od naszego losu zależy wasza przyszłość, a bez pomocy wszystkich sił demokratycznych i miłujących wolność nie zdołamy zmusić władz Jugosławii do szanowania konstytucji i prawa oraz do wyrażenia zgody na rozwinięcie uprawnionej działalności przez niezależną i demokratyczną nie polityczną organizację społeczną. Tego domagał się Milovan Dżilas i z tym właśnie związane jest jego imię.

Jestem gorącym zwolennikiem demokratycznego systemu socjalistycznego i pragnę przestrzec socjalistów zachodnich przed łatwowiernością; nie wierzcie ani jednemu słowu komunistów, gdy oświadczają, że zamierzają zrezygnować z dyktatury jednej partii, tak długo dopóki Dżilas przebywa w więzieniu, dopóki w

krajach o ustroju socjalistycznym wolna partia socjalistyczna, absolutnie niezależna od partii komunistycznej, nie będzie mogła rozwijać legalnej działalności. Dopóki trwać będzie system monopartyjny, dopóki w krajach socjalistycznych jedynie partia komunistyczna może brać udział w wyborach, wiedzcie, że wszelka współpraca, którą nawiążecie w waszym kraju z komunistami będzie tylko manewrem taktycznym ze strony partii komunistycznej.

Nadzieje, które wiązano z XXIII Zjazdem partii sowieckiej w przekonaniu, że przyniesie on liberalizację świata socjalistycznego, zawiodły całkowicie. Do przeszłości należy już okres gdy w czasie kongresów partii, Lenin i Trocki, Radek i Bucharin prowadzili zacięte spory ideologiczne na temat najważniejszych problemów chwili dziejowej. Ostatni kongres nie zmienił niczego, nie powiedział nic nowego. I dlatego sprawa Dżilasa i „dżilasizmu" stała się tym ważniejsza dla socjalizmu. XXIII Zjazd partii sowieckiej wykazał, że w ramach systemu monopartyjnego żadne zmiany na lepsze nie są możliwe. Brak systemu demokratycznego w społeczeństwie, powierzenie akcji politycznej tylko jednej partii, prowadzi automatycznie do całkowitego totalitaryzmu, w którym występować będzie mniej lub bardziej wyraźny „kult osobowości". Ten nienaturalny brak wolności politycznej w życiu ludności wywołuje w reakcji krańcowy nacjonalizm, fanatyzm religijny, małoduszność klerykalną i td. Objawy te występują już w Jugosławii podobnie jak i w Związku Sowieckim. Żaden środek polityczny nie zdoła tego usunąć.

Jedynym lekarstwem utrzymującym społeczeństwo przy zdrowiu jest wolność polityczna.

Stało się już zwyczajem, że podczas procesów wytaczanych w krajach socjalistycznych pisarzom i dziennikarzom, oskarżeni, broniąc się stwierdzają, że ich tak zwane przekroczenie nie ma charakteru politycznego, a dotyczy wyłącznie literatury, sztuki, historii i td. Prasa zachodnia, występując w obronie oskarżonych, powtarza niestety te argumenty.

Wydaje się, że cały świat pogodził się z myślą, że odważne wystąpienie w sprawie wolności politycznej pociągnąć musi za sobą karę więzienia i zsyłkę.

Także w czasie procesu moskiewskiego, Siniawski i Daniel starali się udowodnić, że ich utwory nie miały żadnego zabarwienia politycznego. A przecież niezaprzeczalnym prawem człowieka jest możność wyznawania poglądów politycznych zgodnych z jego upodobaniami. Dlaczego, na przykład, Sartre czy Bertrand Russell mogą, i to z korzyścią, brać czynny udział w życiu politycznym ich kraju, a my, w państwach socjalistycznych, musimy nieustannie zastrzegać się, że nasza działalność nie ma najmniejszego zabarwienia politycznego?

Możność rozwijania swobodnej działalności politycznej stanowi podstawę i jedyną gwarancję wolności we wszystkich dziedzinach twórczości człowieka, w literaturze, w sztuce, religii, nauce i ekonomii.

Bez wolności politycznej wszystkie te wolności są iluzoryczne; w każdej chwili mogą one być zniesione, a społeczeństwo nie dysponuje żadnym środkiem samoobrony. Demokracja polityczna była i będzie warunkiem oraz podstawą wszystkich innych demokracji. Sprawa Dżilasa i sprawa powstania drugiej partii są problemem politycznym; nadszedł też już czas by powiedzieć otwarcie, że zagadnienie wolności politycznej jest dla nas w świecie socjalistycznym problemem najważniejszym i najbardziej istotnym i że okres, w którym musieliśmy wypierać się jakichkolwiek związków z życiem politycznym, minął bezpowrotnie.

Czas, w którym fakt, iż tylko komuniści mają prawo do swobodnej i usprawnionej działalności politycznej, uważano za rzecz absolutnie normalną — należy do przeszłości.

Zadar, maj 1966.

Mihajlo MIHAJLOW

(Przełożył Paweł ZDZIECHOWSKI)

Nieposkromiony umysł

Alex Weissberg zmarł w Paryżu 4 kwietnia 1964 roku. W jego papierach znaleziono krótką notatkę autobiograficzną *Mein Lebenslauf*. Posłużę się nią tutaj, uzupełniając ją gdzie trzeba informacjami które wolał z tych czy innych względów pominąć, a które znaleźć można w przedmowie Koestlera do oryginału niemieckiego *(Hexensabbat)* i przekładu angielskiego *(Conspiracy of Silence)* jego wielkiej książki.

Urodził się 8 października 1901 roku w Krakowie, jako syn zamożnego kupca Samuela Weissberga i Marii Blankstein. Gdy był pięcioletnim dzieckiem, jego rodzice przenieśli się do Wiednia. W Wiedniu skończył szkołę powszechną i gimnazjum, a w roku 1920 zapisał się na Uniwersytet i do Wyższej Szkoły Technicznej, gdzie studiował matematykę, fizykę, elektrotechnikę i fizykę techniczną. W roku 1929 otrzymał dyplom inżyniera w dziale fizyki technicznej. W ówczesnej Austrii była to specjalizacja bez większych widoków na przyszłość, postanowił więc wyjechać do Berlina. Przez rok był asystentem profesora Westphala w berlińskim Instytucie Fizyki przy Wyższej Szkole Technicznej.

Miał już wtedy za sobą dość bogate doświadczenia polityczne. Wstąpił do młodzieżowego ruchu socjalistycznego w wieku lat siedemnastu. Niebawem znalazł się w szeregach austriackiej partii socjal-demokratycznej. W roku 1927 wylądował w partii komunistycznej. Zasłynął szybko jako niezrównany fechtmistrz marksizmu. „Podczas naszego pierwszego spotkania — opowiada Koestler — zrobił ze mnie dialektyczną siekankę". Z ust samego Alexa słyszałem, że w okresie komunistycznego *Sturm und Drang*

Książka Al. Weissberga ukaże się w br. w przekładzie polskim w „Bibliotece Kultury" — seria „Archiwum Rewolucji".

zwerbował lub co najmniej zbliżył do partii wielu sławnych później towarzyszy, między innymi Brechta.

Nie było zatem potrzeby zbyt długo się zastanawiać, kiedy charkowski U.F.T.I. *(Ukrainskij Fiziczesko-Techniczeskij Institut)* zaofiarował mu odpowiedzialne stanowisko w jednym ze swoich laboratoriów. Tam, w ojczyźnie rewolucji, w kraju budującym socjalizm, było jego miejsce komunisty, inżyniera i naukowca. W marcu 1931 roku wyjechał do ZSSR. Popłynęły lata gorączkowej, pełnej entuzjazmu pracy. Założywszy *Przegląd Fizyczny Związku Sowieckiego,* centralny organ fizyki sowieckiej wydawany w języku niemieckim i angielskim, został jego pierwszym redaktorem. Z ramienia Instytutu jeździł często na pertraktacje z komisarzem ciężkiego przemysłu Ordżonikidze, miał stały kontakt z Bucharinem i Piatakowem. Tymczasem, po zabójstwie Kirowa w roku 1934, zaczęła wzbierać stopniowo fala Wielkiej Czystki i Terroru. Z początku omijała charkowskie sanktuarium mózgów, w którym prócz wybitnych przybyszów z Zachodu pracowały takie wschodzące gwiazdy nauki sowieckiej jak Lew Landau i Aleksander Leipunskij. Aż w końcu uderzyła i w te mury. Weissberga aresztowano 1 marca 1937 roku.

Tu startuje opowieść zawarta w książce. I poprzez więzienia w Charkowie, w Kijowie i w Moskwie dobiega do mety 5 stycznia 1940 roku na moście w Brześciu nad Bugiem, gdy oficerowie N.K.W.D. przekazują swoim kolegom z Gestapo kilkudziesięciu komunistów i socjalistów niemieckich i austriackich, w tej liczbie jej autora.

Całą grupę Niemcy osadzili najpierw w więzieniu w Białej Podlaskiej, po czym przerzucili do Warszawy. W Warszawie nastąpiła selekcja „rasowa": pięciu Żydów skierowano do Lublina, „aryjską" resztę wysłano gdzie indziej. Po dwumiesięcznym pobycie w więzieniu lubelskim Weissbergowi wręczono biało-niebieską opaskę z gwiazdą Dawida. W przymusowym nakazie osiedlenia widniał Kraków, przypuszczalnie jako miejsce urodzenia.

W Krakowie odnalazł krewnych i schronił się u nich. Za pośrednictwem przyjaciół w Ameryce udało mu się nawiązać kontakt z Einsteinem. (W roku 1938 Einstein interweniował w jego sprawie listem do Stalina; podobny list, zaadresowany do Wyszynskiego, podpisali Jean Perrin, Frederic Joliot-Curie i Irene Juliot-Curie; oba pozostały bez odpowiedzi). Twórca teorii względności zaproponował mu katedrę uniwersytecką w Manili, obiecując że stamtąd sprowadzi go do Stanów. Władze niemieckie odmówiły zgody na wyjazd. „To — czytamy w notatce autobiograficznej — przypieczętowało mój los jako fizyka. Po latach nie mogłem już wrócić do mojego dawnego powołania".

W kilka miesięcy później Niemcy założyli w Krakowie getto.

Przeniósł się tam i zamieszkał na Józefińskiej, w bliskim sąsiedztwie przewodniczącego *Judenratu.* Jego nazwisko figurowało na pierwszej liście pięćdziesięciu przeznaczonych do Oświęcimia „starszych" żydowskich, ale cudem zdołał uniknąć aresztowania. Uciekł z Krakowa, przez pewien czas przebywał półlegalnie (wciąż jeszcze z opaską na ramieniu) w gettach w Bochni i w Tarnowie. We wrześniu 1942 roku wybrał całkowitą nielegalność i zjawił się w Warszawie.

Niemcy ścigali go listami gończymi, wyznaczyli cenę na jego głowę, puścili na jego trop całą sforę agentów. Ukryła go najpierw Zofia Cybulska, późniejsza żona, w swoim mieszkaniu na Czackiego. Spędził pół roku odcięty od świata, w zmienianych wciąż kryjówkach, tylko po zmroku ośmielając się na krótko wychodzić na ulice miasta. 4 marca 1943 roku aresztowano go mimo to, wraz z dwoma jeszcze Żydami, w mieszkaniu Zofii Cybulskiej. W samochodzie Gestapo zabrakło miejsca dla pani domu, kazano jej więc zgłosić się nazajutrz na Szucha. Opuściła natychmiast mieszkanie i ukryła się sama.

Weissberga osadzono na Pawiaku. Wywinął się dwukrotnie śmierci, wreszcie w grupie osiemdziesięciu więźniów odstawiono go do obozu pracy w Kawęczynie. Zbiegł stamtąd dzięki pomocy niemieckiego kierownika robót. W Warszawie zaopiekowała się nim znowu Zofia Cybulska, wykorzystując swoje związki z AK. Dotrwał tak do Powstania Warszawskiego, brał w nim udział w szeregach walczących. Po klęsce ocalił go przed obozem w Pruszkowie podoficer niemiecki. Jeszcze cztery miesiące ukrywania się we Włochach, do wkroczenia Rosjan. Zmienił nazwisko na Cybulski, żeby wobec nowych władców zatrzeć ślady swej przeszłości sowieckiej. W połowie roku 1946 wydostał się z Polski do Szwecji, tam też połączyła się z nim żona. Poznałem ich oboje w Londynie pod koniec następnego roku, byłem częstym gościem w ich domu, należałem do pierwszych czytelników (a raczej słuchaczy) pierwszych rozdziałów *Hexensabbat.* Po moim wyjeździe z Anglii widywaliśmy się rzadziej. Alex był jednym z najmądrzejszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

◆

Koestler kończy swoją przedmowę z maja 1951 roku słowami: „Budzą we mnie jedynie sprzeciw teoretyczne konkluzje z ostatniego rozdziału książki, w którym główne przyczyny Terroru potraktowane są w sposób dość jednostronny". Zanim będzie mowa o owych „teoretycznych konkluzjach" Weissberga, rzecz

wymaga ustawienia we właściwej — i bardziej już dziś przejrzystej — perspektywie.

W czerwcu 1956 roku, wkrótce po ogłoszeniu tajnego raportu Chruszczowa, pisałem na łamach miesięcznika włoskiego *Tempo Presente:* „Upada mit. Koestler narzucił swym *Darkness at Noon* przekonanie, że prawdziwa i najgłębsza przyczyna samooskarżeń w procesach moskiewskich tkwiła w nieodpartej logice i dialektyce Gletkina, który doprowadza do absolutnej nicości staroświeckie i moralistyczne rozumowanie Rubaszowa. Ilekroć zdarzało mi się rozmawiać na ten temat z przyjacielem i dawnym partyjnym towarzyszem broni Koestlera, Alexem Weissbergiem, wzruszał on ramionami i powtarzał: „Nonsens. Zmuszano ich do samooskarżeń nie dialektyką, lecz torturami i głodem". Alexander Werth opisał niedawno w prasie francuskiej swoje spotkania z nielicznymi oskarżonymi, którzy przeżyli procesy moskiewskie: potwierdzili oni w pełni zdrowy rozsądek Weissberga. London, którego zrehabilitowano po rewizji procesu Slanskiego, zrobił to samo w Pradze w pogawędce z dziennikarzami zagranicznymi. Gdyby nie okrutny i nieludzki aspekt sprawy, można by się przynajmniej pocieszyć myślą że świat toczy się dalej według swych odwiecznych praw".

Rozrachunek z „mitem Rubaszowa" zachowuje wciąż aktualność. Przed dwoma laty ukazał się w Londynie bardzo zajmujący sympozjon *Talking to Eastern Europe,* w którym Konstanty Jeleński zauważa między innymi: „Wiemy dziś że podkreślając jeden z najciekawszych, i zarazem najtrudniejszych do zrozumienia dla umysłu niekomunistycznego, fenomenów w samooskarżeniach moskiewskich — wyrzeczenie się życia jako ostatnia przysługa oddana partii — Koestler nadał tym samooskarżeniom złowrogą godność której nigdy nie posiadały. Wiemy od Chruszczowa że metody Stalina były tu, podobnie zresztą jak w innych wypadkach, całkowicie staroświeckie. Tortury i obietnice — oto co przywodziło jego ofiary do obciążania samych siebie". Jeleński przytacza też następującą wypowiedź Edgara Morin: „Dla wielu stalinistów i progresistów raport Chruszczowa był lekcją, gdyż potwierdzał fakty tym więcej nieprawdopodobne że dotąd nie tyle nawet je ignorowano, co odrzucano z oburzeniem jako podłe oszczerstwa antysowieckie. Jeśli o mnie idzie, znałem większość z tych faktów. Nie wszystkie. Nie mogłem był podejrzewać ludobójstwa mniejszości narodowych, zniszczenia inteligencji *jidysz.* Nie mogłem był podejrzewać, że tortura stała się systematyczną praktyką, zadekretowaną przez Stalina okólnikiem z roku 1938. Wszystkie nasze dramaty wewnętrzne, wszystkie nasze medytacje nad *Darkness at Noon* Koestlera i nad *Humanisme et Terreur* Merleau-Ponty, nabrały cech dziecinnej igraszki. Szukaliśmy wyrafinowanych interpretacji psychologicznych, a prosta prawda polegała na tym że ludzi torturowano fizycznie".

Koestler, w tymże sympozjonie, nie daje jednak za wygraną. Podkreśla że byłoby niesprawiedliwością uważać bolszewików ze starej gwardii — rewolucjonistów typu Bucharina, Zinowiewa czy Piatakowa — za ludzi działających z tak elementarnych pobudek: „umarli oni jako ofiary umysłu ludzkiego tkniętego obłędem, lecz w granicach logiki ich własnej wiary". Przypomina „mycie mózgu", praktykowane z powodzeniem przez Chińczyków w Korei na żołnierzach amerykańskich. Powołuje się na głośną książkę generała Krywickiego *Byłem agentem Stalina,* w której autentyczny epizod podobny do pojedynku Gletkin-Rubaszow został opowiedziany *przed* pojawieniem się *Darkness at Noon* na półkach księgarskich. I konkluduje: „Komuniści stosują mieszankę — odwołują się do słabości ciała i do najszlachetniejszych rzeczy jakie posiada człowiek, do jego poczucia obowiązku i samopoświęcenia".

Żaden z tych argumentów nie wytrzymuje próby krytyki. To prawda że rewolucjoniści rosyjscy ze starej gwardii nie bali się ani więzienia, ani zesłania, ani nawet szubienicy, ale technika policyjna caratu nie spychała ich nigdy poniżej granicy gdzie tak zwane „pobudki elementarne" dochodzą do głosu niemal automatycznie, na gruzach rozbitej i podeptanej osobowości; czego nie chciała lub nie umiała dokonać technika policyjna caratu, dokonała technika tortur i głodu wypracowana przez stalinizm. To prawda że „mycie mózgu" dało pewne rezultaty, ale po pierwsze nie opierało się ono z pewnością na samej tylko metodzie perswazji, a po drugie jego obiektem byli na ogół ludzie intelektualnie prymitywni i bezbronni. To prawda że epizod z książki Krywickiego jest uderzająco podobny do historii Rubaszowa, ale nie wiemy czy długoletni agent Stalina nie opowiedział go właśnie po to by „wyrafinowaną interpretacją psychologiczną" pokryć nieznośną dla siebie (bo zbyt „prostą") rzeczywistość. I tu dotykamy istoty zagadnienia. Teoria „ostatniej przysługi oddanej partii" powstała nie tyle może nawet w wyobraźni Koestlera, co w podświadomości wielu komunistów i ex-komunistów, którzy w obliczu terroru stalinowskiego nie czuli się na siłach zrezygnować otwarcie i odważnie z mizernych resztek swej „dumy ideologicznej". Waliło się ich własne dzieło: mogli pozostać przy nim na przekór oczywistości albo wyrzec go się pokonani przez oczywistość, trudniej im jednak było przekreślić doszczętnie wszystko co oddali mu ongiś w dobrej wierze. Mówiąc: „wyłącznie tortury i głód", mówiłoby się *implicite:* „naga przemoc nowego absolutyzmu". Mówiąc: „aberacja dialektyki", mówiło się *implicite:* „rozpędzona rewolucja wyskoczyła z szyn". Dzia-

łający tu mechanizm psychologiczny jest dość łatwy do zrozumienia, co nie znaczy że równie łatwy do przyjęcia. Nie istnieje taka rzecz jak „umysł ludzki tknięty obłędem w granicach logiki własnej wiary". A „poczucie obowiązku i samopoświęcenia" denobilituje się natychmiast, jeśli wspierają je kłamstwo i samoupodlenie. Lepiej więc odwoływać się tylko do słabości ciała, która ostatecznie nie hańbi człowieka wystawionego na próbę w okolicznościach nieludzkich. Miał rację Fra Diego La Matina, „heretyk" z zakonu augustianów, opisany w książeczce Sciascia *Morte dell'Inquisitore*. Gdy go 17 marca 1658 roku prowadzono w Palermo na stos i wzywano jeszcze po drodze by oddał „ostatnią przysługę" Kościołowi, odpowiedział: „Zmienię zdanie i podporządkuję się Kościołowi Katolickiemu, jeśli mi życie cielesne podarujecie". Kiedy mu powiedziano że to niemożliwe, odparł: „A zatem Bóg jest niesprawiedliwy". Teologia nie miała podczas Inkwizycji Sycylijskiej nic do roboty, jak nie miała nic do roboty dialektyka podczas Inkwizycji Stalinowskiej.

Mit Rubaszowa, pogrzebany definitywnie w raporcie Chruszczowa, wyrządził wiele szkód w latach swego prosperowania. Trzymali go się kurczowo rozczarowani lecz „wyrafinowani" komuniści i progresiści, utrudniając zajrzenie „prostej prawdzie" w oczy, zagłuszając (jako wulgarny) okrzyk z bajki andersenowskiej „Król jest nagi!", odwlekając chwilę wyłożenia kart na stół i podsumowania gry. Co do Chruszczowa, to może on sobie dziś śmiało pogratulować swego raportu: zawdzięcza mu stosunkowo spokojne przejście na emeryturę, bez procesu i samooskarżeń, bez „ideologicznego" sabatu czarownic i „dialektycznej" egzekucji w lochach Łubianki.

Pozostaje jedna sprawa. Nicola Chiaromonte, komentując moją notę w tym samym numerze *Tempo Presente* z czerwca 1956 roku, zwrócił słusznie uwagę że pociecha zawarta w myśli iż „świat toczy się dalej według swych odwiecznych praw" może niestety także dostarczyć wody na młyn filistrom, ludziom których Bernanos nazywał *les petits mufles réalistes,* przeciwnikom wszelkich idej i wszelkich ideologii. Trzeba im na to odpowiedzieć że idee i ideologie nie znaczą istotnie nic, degenerują się nieuchronnie, ilekroć przywłaszcza je sobie Państwo jako swój wyłączny monopol i fundament Władzy. Znaczą natomiast (choć też nie za dużo), gdy poddawane są ustawicznej krytyce i rewizji przez umysły nieposkromione, odporne zawsze i wszędzie na naciski bądź pokusy zniewolenia.

◆

W takiej oto perspektywie należy dziś oglądać książkę Weissberga. Ukazała się *przed* śmiercią Stalina. Cóż z tego, że — jak wynika z listu znalezionego w papierach Alexa — Churchill był jej admiratorem? Na mniej lub więcej niezależnej lewicy sprawy przedstawiały się inaczej. Z jednej strony — teoria „ostatniej przysługi oddanej partii i rewolucji". A z drugiej? W *Humanisme et Terreur* Maurice Merleau-Ponty zaserwował wątpiącym z niedoścignioną kartezjańską jasnością francuską wywód, który warto przypomnieć. Uznał w nim procesy moskiewskie za *obiektywnie* uzasadnione, choć subiektywnie oskarżeni mogli być niewinni. Dowcip polegał na tym że skoro linia polityczna Bucharina okazała się błędna, stawiało się tylko kropki nad *i* wskazując w nim prokuratorskim palcem mordercę i podpalacza, gdyż „działalność polityka określa nie to co sam robi, lecz to na jakich siłach się opiera", w tym wypadku na wewnętrznych i zewnętrznych wrogach ustroju. Stąd krok do charyzmatycznego Wodza, wyposażonego w dogmat własnej nieomylności. I został on z analogiczną jasnością postawiony, w imię niespornej przesłanki że podstawą marksizmu jest „teoria proletariatu" jako klasy uniwersalnej, nosiciela wszelkich wartości ludzkich, co zatem stanowi prawdę dla proletariatu, stanowi prawdę dla wszystkich. „Nie jest przypadkiem, ani jak sądzę romantycznym przeżytkiem, że naczelny organ ZSSR nosi nazwę *Prawda*". W bliskim sąsiedztwie Jean-Paul Sartre maszerował rezolutnie takąż kartezjańską drogą, która doprowadziła go w końcu do skodyfikowania uniwersalnej prawdy proletariatu na kartach *Critique de la raison dialectique* w cudownie klarownej formułce na użytek mniej pojętnych mieszkańców Moskwy, Warszawy, Budapesztu i Pragi: „Doświadczenie historyczne krajów, w których komuniści zdobyli władzę, wykazało niezbicie że pierwsza faza budowy społeczeństwa socjalistycznego nie może być niczym innym jak tylko nierozerwalnym agregatem biurokracji, terroru i kultu jednostki". Zgoda, były to zniewolone umysły, i to bez żadnej istotnej potrzeby poza perwersyjną tęsknotą sporego odłamu intelektualistów do świszczącego nad uchem bata, byle chodziło o bat „ideologiczny". Ale nawet demaskator *Zniewolonego umysłu,* uchodząc przed nadto już dokuczliwymi rygorami „dialektycznego rozumu", pobrzękiwał jeszcze dość długo i dumnie w walizce pigułkami Murti-Binga i eliksirem Nowej Wiary.

W podobnej atmosferze książka Weissberga nie mogła nie być „szokująca". Zjawiał się naraz „prostak", biegły co prawda w marksistowskim piśmie i „piekielnie" inteligentny, ale gardzący otwarcie „rafinacjami" intelektualnymi kapłańskiej kasty wtajemniczonych (choćby zawiedzionych). Spędził w Rosji sześć lat na wolności i trzy w więzieniu, poznał system od zewnątrz i od podszewki, był w miękkim dyrektorskim fotelu komunistą przymyka-

jącym oko na „nieprawości przejściowe" i na twardym *konwejorskim* stołku śledczym komunistą otwierającym szeroko oczy na „nieprawości organiczne", niczego *ex post* nie zniekształcał i niczego się przed sobą nie zapierał, stoczył wspaniały i w rezultacie zwycięski pojedynek ze swymi inkwizytorami wydzierając jednemu z nich mimowolny okrzyk: „Przestańcie mnie torturować, oskarżony!", dniami i nocami układał niezmordowanie z błahych na pozór płytek mozajki jako tako czytelny deseń przewodni Wielkiego Obrazu, wysilał do ostateczności mózg by dokładnie zrozumieć i po stokroć sprawdzić, i co z tego wszystkiego wyniósł? Nową subtelną i błyskotliwą teorię? Zdumiewająco przenikliwą interpretację, która daleko w tyle pozostawiała dotychczasowe dociekania pionierów „humanizmu i terroru" i „krytyki dialektycznego rozumu"? Nie — banał, liberalny banał w stylu *La storia come storia della libertà* Crocego. „Wielka Czystka skierowana była przeciw nielicznym prawdziwym przyjaciołom wolności i przeciwko wielu innym, którzy — jak się tego obawiał Stalin i jego sztab G.P.U. — mogliby się stać przyjaciółmi wolności".

Nie przeczę, w ostatecznych konkluzjach książki Weissberga było i jest nadal sporo punktów do dyskusji. Wolno, na przykład, wątpić czy podsądni w procesach moskiewskich zasługiwali na miano „przyjaciół wolności" w większym stopniu niż ich Najwyższy Sędzia. Sceptycznie nastraja przywiązywanie nadmiernej wagi do osoby despoty, tak podobne do oficjalnej postalinowskiej doktryny „kultu jednostki". Nie da się jednak zaprzeczyć, że ogółem biorąc liberalny „banał" Weissberga został w roku 1956, i w następnych latach, zweryfikowany w całej rozciągłości: opisywane i analizowane przez niego wypadki stanowiły istotnie rozdział „historii jako historii wolności"; a raczej — żeby być ścisłym — historii wolności duszonej, deptanej, topionej we krwi, lecz mimo to zdolnej do ustawicznej regeneracji. „Stalin doprowadził Wielką Czystkę do gorzkiego końca. Nie ma dziś nikogo, kto by się odważył zakłócić jego spokój. Dzieje naszej planety nie znają przykładu równie totalnej władzy. A przecież nie udało mu się wyrwać z korzeniami pamięci narodu rosyjskiego. Głęboko pod ziemią tli się wciąż iskra wolności". Czytelnicy stenogramu z procesu Siniawskiego i Daniela przytakną bez wahania tym słowom Weissberga. Pamięć narodu rosyjskiego przetrwała w jego synach, którzy w okresie Wielkiej Czystki byli dziesięcioletnimi chłopcami.

Trzeba, czytając książkę Weissberga, mieć stale na uwadze jedno. Nie bił się on podczas śledztwa tylko o siebie, o swoje życie i dobre imię. Bił się także, a może nawet przede wszystkim, o zachowanie wiary w godność rozumu ludzkiego. Bił się przeciw wściekłym kontorsjom i „amokom" ideologii spuszczonej z łańcucha, przeciw zastąpieniu rzeczywistości absurdem i abstrakcją a polityki transami mistycznymi i metafizycznymi. Za kratami charkowskiej *Chłodnoj Gory,* wspominając szczęśliwą wiedeńską młodość, zadawał sobie pytanie: „Cóż, na miłość boską, sprawiło że opętało nas pragnienie by zmienić świat?". Nie żałował tego pragnienia, w *inny* sposób pozostał mu wierny do śmierci, ale wtedy w Charkowie, przebiegłszy w myślach swoje doświadczenia sowieckie, do pierwszego pytania dorzucał drugie: „Człowiek potrzebuje chyba wolności i poczucia bezpieczeństwa, by być szczęśliwym?". Nie inaczej (choć grubo wcześniej) rozmyślał Jurij Żiwago, wpatrzony w małym miasteczku na Uralu w teksty odezw i dekretów zwycięskiego rządu rewolucyjnego: „Niegdyś urzekała go nieodpartość tego języka i wyrazistość zarysu tej myśli. Czyż możliwe, by za swój nieostrożny entuzjazm miał teraz płacić słuchaniem przez całe życie wyłącznie tych obłędnych krzyków i uroszczeń, które nie zmieniały się z biegiem lat ani na pół słowa, przeciwnie — stawały się z upływem czasu coraz mniej żywotne, coraz bardziej niezrozumiałe i abstrakcyjne? Czyż możliwe, by w owej chwili namiętnego porywu stał się niewolnikiem na zawsze?". W różnych epokach, w różnych pokoleniach i w różnych modulacjach słuszymy ten sam głos: od Pasternaka, poprzez Weissberga do młodzieży, którą z braku lepszego określenia nazwano „rewizjonistyczną". I jakkolwiek jest to w pewnej mierze głos pożegnania z pasternakowską „chorobą wieku, gorączką rewolucyjną", nie jest to z pewnością głos rezygnacji i poddania się „żelaznym prawom i nieodwracalnym wyrokom Historii".

◆

Rozstawszy się z komunizmem a bodaj i z lwią częścią marksizmu (po latach wspominał z melancholijnym uśmieszkiem swoje dawne fechtunki dialektyczne), Alex nie przestał być socjalistą. Odcisnęła na nim piętno formacja, którą tak opisuje Bertrand Russell w *New Hopes for a Changing World:* „Kiedy byłem młodym człowiekiem, znałem Bebla i starszego od niego Liebknechta, którzy byli przywódcami partii marksistowskiej w Niemczech. Obaj byli łagodnymi humanitarystami, psychologicznie bardzo podobnymi do innych radykałów owych czasów. Nie odczuwali nienawiści do swoich przeciwników politycznych; mówili o cesarzu z dobrodusznym kpiarstwem. Byli przekonani że przyszłość należy do nich, ale w to samo wierzyli inni reformatorzy: wegetarianie, abstynenci, pacyfiści, Ormianie, patrioci macedońscy i cała reszta. Ta wiara była na owe czasy częścią składową dziewiętnastowiecznego optymizmu i nie miała charakteru rozpaczliwej, mściwej fantazji. Ówcześni marksiści niemieccy — a

znałem ich wielu — byli na ogół bardzo przyjemni jako ludzie; nie czuło się w nich tej żyłki okrucieństwa, która stała się dziś tak charakterystyczna dla komunistów". Alex odbiegał teraz w jednym tylko od macierzystego wzoru: odczuwał często nienawiść do swoich *obecnych* przeciwników politycznych, a o Stalinie nie mówił nigdy z dobrodusznym kpiarstwem. Ale w sposób zdumiewający, jeśli zważyć jego przeżycia, ocalił w sobie ogromny ładunek optymizmu, prawie rewolucyjnego rozpędu politycznego, wojowniczości (dla niektórych wręcz agresywności) polemicznej. Każdy znak że „coś się tam rusza" podrywał go na nogi, zapalał w jego oczach błysk nasłuchiwania i oczekiwania, odciągał jego niespożytą energię od spychanych szybko w kąt spraw codziennych. Zmieniał się wówczas jak za dotknięciem prądu, stawał się znowu młody. Nie tracąc swojej przyrodzonej życzliwości i jowialności, był jednak nieubłagany dla „opieszałych w myśleniu" i „skorumpowanych przez system". I nie licząc się z żadnymi względami, mówił co myślał.

Wiosną 1953 roku spędziliśmy razem dwa tygodnie w Jugosławii. Zaproszono go tam z okazji wydania serbsko-chorwackiego przekładu jego książki (na ten przekład, jak również — nieco ostrożniej — na przedmowę Russella do mojego *Innego Świata,* miał się później powołać przed sądem Mihajło Mihajłow w swoim ostatnim słowie). Słuchając jak dyskutował w redakcji *Borby* z jej „trustem mózgów", przypomniałem sobie żartobliwe powiedzenie Koestlera o „siekance dialektycznej": była to bojaźliwa szkółka niedzielna, strofowana przez ojcowskiego lecz wymagającego nauczyciela. W kilka dni potem odbyła się kolacja w klubie wyższych funkcjonariuszy partyjnych. Wchodziło się do tego typowego „miejsca za firaneczkami" od podwórza, wszystkie okna w brzydkim salonie ze złoceniami zasłonięte były storami. Czekała nas uczta prawdziwie lukullusowa. Alex wybąkał parę zdawkowych uprzejmości, zasiadł do stołu, podziobał coś widelcem na talerzu, pokręcił się niecierpliwie na krześle i wreszcie zapytał spokojnie czy robotnicy też się tak w Jugosławii odżywiają. Uznano to za nietakt, zwarzyły się na chwilę humory. Mimo to, pod koniec pobytu w Belgradzie, zaproponowano mu stanowisko doradcy rządu jugosłowiańskiego. Odmówił, uważając rzecz za grubo przedwczesną. I była przedwczesna, o czym miał się niebawem przekonać na własnej skórze autor *Nowej klasy wyzyskiwaczy.*

Wczesną jesienią 1956 roku przyjechał w moje strony do Włoch. Na miesiąc przed polskim Październikiem naszkicował mi dokładnie jego plan, z wyznaczeniem ról wszystkim głównym bohaterom dramatu. Kiedy słuchałem z niedowierzaniem, a nawet z pewną irytacją „realisty" wciąganego siłą na grunt „nierealnych

pomysłów", powtarzał cierpliwie: „Dlaczego? Przecież to takie proste!". Był jeszcze w moich stronach, gdy wybuchła Rewolucja Węgierska. Tym razem odgłosy strzałów przerwały dyskusje. Popędził do Wiednia, a stamtąd do Budapesztu. Nie zdążył na czas. Zdążył jedynie wywieźć do Wiednia kilku powstańców węgierskich.

Po raz ostatni widziałem go w Paryżu, na krótko przed śmiercią. Nie był to już dawny Alex. Wszedł do pokoju ociężałym krokiem, osunął się bezwładnie na fotel, miał twarz zmęczoną i poszarzałą, a w oczach wyraz jakby niepokoju i nieobecności. Zamykał je co chwila, zdając się opanowywać w milczeniu jakiś nieznośny ból. Mówił niewiele, słuchał nieuważnie, całym zachowaniem dawał do zrozumienia że brak mu sił. Dopiero przy pożegnaniu ożywił się trochę. Nachylił się do mnie i niemal na ucho wyszeptał mi swoją ulubioną formułkę, słowa którymi Lenin określił niegdyś sytuację rewolucyjną: „Rządzący zdają sobie sprawę że nie mogą dalej rządzić starymi metodami, rządzeni nie chcą już dopuścić by rządzono nimi dalej starymi metodami". Ironia historii i sens życia Alexa polegały na tym, że była to teraz pętla ukręcona na spadkobierców Lenina.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Maj 1966

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

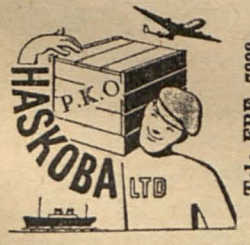

Tel: FRE. 7888

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

O Maksymie Rylskim

I.

Dwa lata temu, 24 lipca 1964, zmarł w Kijowie Maksym Rylskyj, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów ukraińskich. Był on w Polsce bodaj najbardziej znany z nich wszystkich, a to ze względu na liczne przekłady z polskiej literatury, a zwłaszcza z Mickiewicza (kongenialna wersja „Pana Tadeusza"). Do wszelkich oficjalnych kontaktów kulturalnych polsko-ukraińskich władze sowieckie wyznaczały zazwyczaj właśnie Rylskiego.

Mimo to po jego nagłym zgonie niewiele było o nim w dziennikach i czasopismach krajowych. Na pół urzędowym stylem pisane wzmianki, czasem krótki artykulik, żadnego dłuższego omówienia, żadnych przekładów. Śmierć Rylskiego, postaci w pewnym sensie kluczowej dla ostatniego półwiecza kultury ukraińskiej (nie tylko poezji), została przyjęta w kraju w sposób obojętny, żeby nie powiedzieć — lekceważący.

Toteż obowiązek uczczenia znakomitego poety, w drugą rocznicę jego odejścia, spada na emigrację.

II

Maksym Rylskyj urodził się w roku 1895, w rodzinie ziemiańskiej, polskiej aż do końca ubiegłego stulecia, gdy Tadeusz Rylski, jego ojciec, zdecydował się na reukrainizację, przeszedł na prawosławie i ożenił się z wiejską dziewczyną z sąsiedztwa. Decyzji tego rodzaju było w owym okresie więcej, a Polacy słyszą o nich i czytają niechętnie, widząc w tym coś w rodzaju

odstępstwa narodowego. Wielce to powikłane zagadnienie, które domagałoby się całego studium. Ileż nieporozumień i złej krwi wywołała sprawa metropolity Szeptyckiego, potomka rodziny od dawna spolonizowanej, a do tego wnuka Aleksandra hrabiego Fredry, „chociaż po kądzieli", jak mawiał Gerwazy. Gdy powstały tendencje reukrainizacyjne, linie podziału tworzyły się w tych samych rodzinach, nieraz między rodzonymi braćmi. Opowiadał mi kiedyś kniaź na Tokarach Tokarzewski, że spędzał całe godziny na zaciekłych sporach ze swoim kuzynem, generałem Karaszewiczem-Tokarzewskim, i nigdy nie mogli dojść do zgody. Tematem dyskusji bywało niekiedy samo istnienie narodu ukraińskiego, stawiane pod znakiem zapytania przez generała. Obydwaj nie żyją — Panie, świeć nad duszą jednego i drugiego! — ale samo zjawisko nie znikło po dziś dzień.

Ziemianin i szlachcic, Tadeusz Rylski, stał się Ukraińcem *Rylskym,* ale o strząśnięciu z siebie kultury i tradycji polskiej nie było mowy. I nie było potrzeby. Ruch chłopomański nie odżegnywał się od Polski, a jeśli, to w stosunkowo nielicznych wypadkach. Młody Maksym wychowywał się więc na skrzyżowaniu dwóch tradycji narodowo-kulturalnych, to czego doszło wczesne przejęcie się poezją zachodnio-europejską, w najbardziej klasycyzującym wydaniu: Rylskyj, podobnie jak większość sojuszników literackich jego młodości, nawiązywał do parnasistów francuskich, z Leconte de Lisle'm i Heredią na czele.

Kontynuowanie „Parnasu" w okresie, gdy po Europie szalał futuryzm, dadaizm, ekspresjonizm i inne izmy, czy to nie dowód postawy konserwatywnej a nawet reakcyjnej? W innych warunkach — na pewno, ale nie w ukraińskich. Gdy Rylskyj debiutował tomem „Na białych ostrowach" (debiut był wczesny, właściwie przedwczesny, skoro autor miał zaledwie 15 lat), poezja ukraińska legitymowała się bardzo skromnym poziomem. W latach rewolucji i wojny domowej objawiło się wiele wybitnych talentów, jednak w oficjalnym środowisku kulturalnym przeważali, za błogosławieństwem czerwonej władzy, literaccy półanalfabeci, partyjni grafomani, ściągający piśmiennictwo ku quasi ludowemu, quasi rewolucyjnemu werbalizmowi i prymitywnej propagandzie. Moskwa chciała mieć literaturę ukraińską przystrojoną w tradycyjną wyszywaną koszulę, z marksistowską wstążką u szyi, „małorosyjszczyznę" w szarawarach i juchtowych butach, tyle że pod „proletariackim" sztandarem.

W tej sytuacji grupa młodych poetów, objętych później wspólną nazwą „neoklasyków" (Rylskyj, Zerow, Kłen, Draj-Chmara, Fyłypowycz), z całą świadomością sięgnęła do najstarszych źródeł kultury europejskiej — do klasycznej starożytności i do jej spad-

kobierców w prostej linii: francuskich parnasistów. Trzeba było ostro przeciwstawić się kulturalnej anarchii, ludowej parafiańszczyźnie, artystycznemu rozwichrzeniu i pseudo-rewolucyjnemu prymitywizmowi. A także szybko odrabiać zaległości, spowodowane celowym krępowaniem rozwoju kultury narodowej przez rządy carskie. Stąd to, co w innych okolicznościach należałoby uznać za epigonizm, za artystyczną reakcję, tu w specyficznej atmosferze, stało się czynnikiem postępu i stwarzało solidną bazę na przyszłość.

Jest to poezja konkretu, zawsze w ścisłym kontakcie z przyrodą, harmonijna i optymistyczna. Wpływ symbolistów, początkowo bardzo wyraźny (Francuzi i Rosjanie), znikł w miarę twórczego dojrzewania niemal całkowicie. Rylskyj dużo przekładał z obcych poetów, przekładał dobrze, a często kongenialnie. Wybór nie pozostawia żadnych wątpliwości co do naturalnych upodobań tłumacza: Puszkin i Mickiewicz („Pan Tadeusz" i „Sonety krymskie"), francuscy klasycy XVII wieku. Voltaire i parnasiści, a także poeci starożytni. To byli jego artystyczni krewni i powinowaci, wśród nich czuł się najlepiej.

Oszczędność słowa, umiar, umiejętność tworzenia plastycznego obrazu przy pomocy szczupłych i prostych środków. Razem z Zerowym, zamęczonym później na Sołowkach, również kongenialnym tłumaczem starożytnych, stworzył szkołę *zdyscyplinowanej* sztuki poetyckiej, koniecznej do przeciwstawienia się rozchełstanej, chałupniczej tandecie różnych Poliszczuków, Tereszczenków, Hryhoruków *et tutti quanti,* tandecie, której ulegali nawet poeci utalentowani, jak Sosiura i Czumak, ba, nawet Tyczyna, w okresie swego artystycznego i moralnego upadku.

W pierwszym okresie, gdy Rylskyj słuchał wyłącznie podszeptów swojej Muzy i nie miał jeszcze przystawionego do skroni naganu czekistowskiego terroru, utwory związane w ten czy inny sposób z rzeczywistością polityczno-społeczną, zjawiały się niezmiernie rzadko. Nie znaczy to przecież, aby poeta jej nie odczuwał i na nią nie reagował. Z roku 1923 pochodzi poemat „Mówią okna", powstały na tle krwawego dramatu rewolucji i wojny domowej, które do głębi przeorały Ukrainę owych lat (1917-21). Oto dwie zwrotki, napięte w ostatecznym bólu, jak urywany krzyk rozpaczy:

Ktoś pod oknem chodzi i odchodzi,
krzyczy z bliska.
Dzieci rodzą się, żyto nie rodzi —
skrzypi kołyska.
Człek człowieka morduje i giną —

obcy i swojak...
Tak i trzeba, tak trzeba, kraino,
Ukraino ty moja!

Dochodziło przecież do tego nie często. Rylskyj coraz to ucieka na wieś, gdzie nacisk sowieckiego ustroju odczuwał się jeszcze najmniej, albo w klasyczne reminiscencje. Najczęściej zaś jedno łączy się z drugim i granica między ukraińską przyrodą, a przywołanym w wyobraźni zamierzchłym światem antycznym zaciera się całkowicie. Poeta siedzi w swojej Romanówce z wędką na zarośniętym komyszami brzegu stawu, a obok niego cienie Diogenesa i Horacego; zaprasza przyjaciół na ser i wino, z taką naturalnością, jakby gdzieś w Kampanii czy Toskanii był właścicielem winnicy i stadka kóz, zaś rzeka za domem pluszcze mu do snu na tę samą melodię, co „bajeczne morze Homera"...

III

Krytyka partyjna od razu wzięła Rylskiego pod obstrzał, zarzutów nie spisałby na wołowej skórze. Ucieczka od rzeczywistości sowieckiej, światopogląd hedonistyczno-epikurejski, trubadur kultury burżuazyjnej, mieszczański nacjonalista — oto kilka określeń z bogatego repertuaru krytycznego. W latach dwudziestych, stosunkowo łagodnych, można jeszcze było polemizować na łamach prasy, ale Rylskyj niechętnie zabierał głos. Raz tylko na zarzut, że i on i inni kijowscy „neoklasycy nie dotrzymują kroku epoce", odpowiedział z nieukrywaną pogardą; „Kiedy epoka nas dogoni, to i my pójdziemy z rytmem epoki".

Kiedy indziej próbował wykręcić się sianem, zwekslować dyskusję ku marginesom. W artykule „Moja apologia albo samoobrona" apelował do krytyków, żeby „nie wydawali zbyt pospiesznych wyroków", i kwestionował utożsamianie pojęcia współczesności z opiewaniem „fabrycznych kominów" i walki klas. „Istotnie — przyznawał — to dość dziwne w latach 1922-23 czytać wiersze o łowieniu ryb, o wiejskiej ciszy itd. Nie znaczy to jednak, że podczas rewolucji chodziłem tylko na ryby, lecz wskazuje na osobliwą cechę mojej psychologii; jestem w stanie odpowiadać lirycznym wierszem jedynie na to, co już przeminęło, co już „ustało się" w duszy..." Takie wyjaśnienia jeszcze bardziej rozdrażniały partyjnych cerberów. Bo jednocześnie Rylskyj drukował wiersze, w których oświadczał: „Nie, nasza przyszłość to nie koszary!" — albo, zamiast opiewać „radosną rzeczywistość sowiecką", przywoływał starogreckie mity i, co jeszcze gorsze, z wyraźną tęsknotą zwracał wzrok ku Zachodowi, Pary-

żowi, jakiejś Langwendocji, jakiejś Prowansji... A o komunizmie i elektryczności ani słowa!

Gdzieś w świecie śpiew łagodny Langwedocji,
Szampania, wesołości zawsze rada,
gdzie każde miasto oddech słońca złoci,
gdzie każda wioska tonie w winogradach.

Wykręty na nic się nie zdały. Mógł sobie Rylskyj nie wiele robić z ataków, dopóki te ograniczały się do cierpliwego papieru. Potem jednak przyszły naciski administracyjne, a w ślad za nimi — ostre represje. W roku 1931 poeta zawiera bliższą znajomość z GPU. Aresztowany i poddany odpowiedniemu śledztwu, autor „Trzynastej wojny" zdaje sobie sprawę, że ma do wyboru między zgubą i kapitulacją. Wybrał kapitulację, licząc, że za cenę wierszy „socrealistycznych", sławiących Stalina, Partię i „ojczyznę sowiecką", zdobędzie spokój i możność tworzenia dla siebie samego, na marginesie pisarstwa oktrojowanego.

Niestety, taki kompromis musiał przynieść wyniki połowiczne. Prawda, gdy w latach trzydziestych nastąpił pogrom kultury ukraińskiej, gdy większość literackich przyjaciół i towarzyszy Rylskiego powędrowała do więzień i łagrów, on sam uratował się i nawet utrzymał uprzywilejowane stanowisko. Jednak świadomie zaplanowane „rozdwojenie jaźni" nie udało się: znakomity liryk zwichnął skrzydła na zawsze. Prawda, nawet w latach upadku wychodziły spod jego pióra utwory znakomite (raczej fragmenty), ale szczęśliwe momenty toną bez ratunku w werbalistycznej biegunce propagandowych wierszy, w których z dawnego Rylskiego nie pozostało nic, oprócz techniki wersyfikacyjnej.

W latach drugiej wojny światowej zdołał złapać nieco swobodniejszego oddechu; w obliczu klęski cenzura zelżała, chwiejący się system potrzebował pomocy pisarzy do psychicznego mobilizowania mas. To wtedy (rok 1944) wyrwały się Rylskiemu w jednym z dłuższych poematów gorzkie słowa, skierowane pod własnym adresem: „Życiową drogą jam szedł nierówno, wciąż potykając się, i piję z czary zasłużonych udręk..." A więc wyrzuty sumienia nie opuszczały go ani na chwilę.

Wraz z zakończeniem wojny, w Związku Sowieckim, a zwłaszcza na Ukrainie, ponownie przykręcono śrubę i Rylskyj nie po raz pierwszy znalazł się na cenzurowanym. Krytyka ostro potraktowała utwory powstałe podczas wojny, przypominając przy tej okazji stare grzechy. A z nich największy: ukraiński nacjonalizm, sprzeczny z prawdziwym, „leninowsko-stalinowskim internacjonalizmem".

Krytyk Kryżaniwskyj pisał w r. 1955:

„Pojęcie ojczyzny ogranicza się tu wyłącznie do Ukrainy, pokazywanej w oderwaniu od całego Związku Sowieckiego. Poeta prawie nie wspomina o nowym, niebywałym dotąd życiu, jakie Ukrainie przyniosła sowiecka epoka. Świeci nieobecnością idea przyjaźni narodów. Nie możemy pogodzić się z ujęciem Ukrainy jako matki, rozpiętej na krzyżu. Ten religijny symbol w żaden sposób nie łączy się z obrazem Ukrainy niepokonanej..."

„Czemuż to" — *zapytuje dalej Kryżaniwskyj* — „idzie Włodzimierz z krzyżem, jedzie konno Bohdan Chmielnicki, czemu słychać bicie dzwonów, a dokoła „kipi morze czerwonych żupanów", czemu „wolność powiewa sztandarami", dlaczego jest katedra Świętej Zofii i sława Jarosława, i nóż Zaliźniaka, i „Złote Wrota" i Dniepr-Sławuta... dlaczego tylko historia, a nie zjawia się żaden czołgista ani żołnierz z automatem?"

Pretensje są zgłaszane w prymitywnej formie, ale ze stanowiska komunistycznego nie brakuje im racji. Bo nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby zorientować się, że po spłaceniu obowiązkowego haraczu w postaci czołobitnych pokłonów pod adresem rosyjskiego „starszego brata" i nieuniknionej ody na Stalina, Rylskyj zamykał się w kręgu dość hermetycznej ukraińskości, a dobierane przez niego symbole i akcesoria poetyckie, ani rusz, nie pasowały do sowieckiej rzeczywistości. A wtedy uroczyście proklamowana, deklaratywna prawowierność załamywała się w kompromitujący sposób.

Zwłaszcza duży poemat oktawą, „Wędrówka w młodość", wydany w roku 1944, ściągnął na autora prawdziwe gromy. Nie od razu — trwała jeszcze wojna i Stalin musiał nieco zaczekać, zanim ponownie zamroził życie kulturalne i literackie. Cytowany już Kryżaniwskyj pisał:

Stała się rzecz dziwna i niełatwa psychologicznie do wyjaśnienia: poeta zdecydowanie odrzucił jedyne możliwe w klasowym społeczeństwie kryteria i uzasadnienia ludzkiego postępowania, mianowicie, odrzucił klasowe kryteria partyjne i zaczął oceniać ludzi z abstrakcyjnych pozycji dobra i zła, co więcej, ze stanowiska wszystkoobejmującego przebaczenia. Było to tym dziwniejsze, że poemat powstał w czasie wojny, kiedy rozbite, ale nie dobite elementy klasowo wrogie w naszym kraju podniosły głowy, a wśród nich przede wszystkim ukraińscy nacjonaliści burżuazyjni. I to w takich warunkach poeta głosił obiektywizm, przebaczenie i odpuszczenie wszystkich grzechów nie tylko jemu samemu, ale również ludziom, napiętnowanym zdradą, burżuazyjnym nacjonalistom, białym emigrantom...

Jakież „psychologiczne" wyjaśnienie znalazł towarzysz Kryżaniwskyj?

„Sądzimy, że stało się tak, ponieważ poeta przestał pracować nad wyostrzeniem swojej broni ideologicznej i poddał się wpływom ideologii nacjonalistycznej, która — należy podkreślić — zaktywizowała się w latach wojny. Nacjonalistyczna trucizna znowu zaczęła przenikać do sowieckiej literatury ukraińskiej, umiejętnie kryjąc się za narodowymi tradycjami, przywdziewając narodowy strój, a nawet uprawiając pseudo-patriotyczną frazeologię. Rylskyj nie uniknął tych zatrutych wpływów..."

Po wysłuchaniu takich i innych, ostrzejszych jeszcze reprymend, pięćdziesięcioletni już poeta musiał po raz drugi przyjmować marksistowskie odtrutki i przestawiać się na „właściwe" tory. Jak to wyglądało? Jeden tylko przykład, ale dostatecznie wymowny, świadczący o prymitywizmie i głupocie sowieckich cenzorów.

Wyewakuowany z Kijowa do poduralskiej Ufy, Rylskyj napisał w roku 1942 poemat „Pożądanie", który po pewnym czasie ściągnął na niego ostre zarzuty. Autor musiał tekst przerobić. A właściwie nie tyle przerobić, co uzupełnić. Zestawiam zakończenie poematu (wzbudziło najwięcej zastrzeżeń) według tekstu z 1942 roku, z tekstem z roku 1958 („Antologia poezji ukraińskiej", Tom 3). Różnica od razu rzuca się w oczy: w pierwszym tekście mamy dwanaście zwrotek, w drugim — piętnaście. Rylskyj pisał pod wrażeniem wiadomości nadchodzących z okupowanej przez Niemców Ukrainy. W ówczesnych warunkach, gdy zagrożona Moskwa mobilizowała wszystkie siły, by przetrwać hitlerowską nawałę, poemat ten przeszedł przez nadwyrężone sieci cenzury, później jednak wytknięto mu ukraiński nacjonalizm.

Mybyśmy powiedzieli, że to partiotyzm, ale rzecz w tym, że w Związku Sowieckim patriotyzm musi ogarniać wszystkie narody związkowe, zaś w przeciwnym wypadku przeradza się w „ciasny nacjonalizm". Rylskyj dodał, jak powiedzieliśmy, trzy zwrotki, w których naprawił swój „błąd". Ni w pięć ni w dziewięć włączył pastucha z Uzbekistanu, oraz cieślę i rusznikarza z Tuły do walki o wolność Ukrainy. W ten sposób przekreślił „ciasny nacjonalizm" zastępując go „internacjonalizmem".

Zakładam, że na zaciśniętych ustach znawcy poezji starożytnej, tłumacza Horacego i Owidiusza, błąkał się ironiczny uśmiech, gdy dopisywał tego uzbeckiego pastucha i tulskiego majstra. Równie dobrze mógłby być mordwiński drwal, albo zyriański poganiacz renów. Grunt, że stało się zadość sowieckiemu internacjonalizmowi. Kto kogo właściwie oszukał, kto kogo wywiódł w pole? Wystarczy wykreślić te trzy zwrotki, odciąć obcą narośl, pasożytniczą jemiołę na poetyckim dębie, a wszystko staje się jasne.

Tym niemniej przemyt, uprawiany przez Rylskiego, kosztował go zbyt drogo. A już najbardziej próby przemytu w latach wojny, za które, po jej zakończeniu, trzeba było zapłacić tym drożej. Nie wiem, czy Rylskyj w ostatnim dwudziestoleciu przed śmiercią pisał „do szuflady", ale to, co drukował, było, niemal bez wyjątku, trupie, z gipsu, z *papier mâché*, z żałobnego wosku, wyczyszczonego na glanc w sowieckich koszarach.

IV

Warto zacytować dwie opinie oficjalnej krytyki partyjnej o twórczej drodze poety.

„Udział Rylskiego" — *pisał w roku 1959 Łeonid Nowiczenko* — „w grupie neoklasyków zepchnął go na mylne pozycje ideowe, odrywając jego twórczość od spraw i życiowych zagadnień narodu... Jednakże temat radosnej pracy, temat niewypowiedzianie pięknej przyszłości komunistycznej, obowiązku i odpowiedzialności poety przed prawdą, przed życiem, przed ludem coraz bardziej występuje na pierwszy plan, zmieniając cały ton, całą emocjonalną atmosferę jego poezji. Tak oto już w drugiej połowie dwudziestych lat, pomimo mylnego stanowiska wobec szeregu zagadnień ideowo-estetycznych, przygotowywało się przejście na platformę sztuki bojowo socjalistycznej, przejście, które stało się faktem dokonanym po roku 1930..."

Podobnie, często używając tych samych zwrotów, ujmuje proces rozwojowy tej poezji akademik Biłeckyj, w przedmowie do zbiorowego wydania utworów Rylskiego (Kijów, 1960).

„Cała twórczość Rylskiego z lat dwudziestych to powolny proces uświadomiania i przyswajania materialistycznego światopoglądu. Ten powolny proces już na początku lat trzydziestych doprowadził do gwałtownej przemiany w twórczości poety. Nie ulega wątpliwości, że o tej przemianie, o swego rodzaju powtórnym narodzeniu się poety, zadecydowały zwycięstwa naszego ustroju socjalistycznego, a także rozgromienie nacjonalistycznych organizacji, jak „Waplite" i grupa „neoklasyków", które usiłowały odciągnąć Rylskiego od życia ku martwiźnie..."

Zgodność opinii krytycznych zaiste zastanawiająca!

Zacytowane słowa stanowią swego rodzaju szyfr, pod którego umowne znaki nie trudno podstawić właściwe znaczenie. Zwłaszcza Biłeckyj, może nieświadomie, puścił farbę. Rylskyj uświadomił sobie i przyswoił materialistyczny światopogląd, po „rozgromieniu" pisarzy z grupy „Waplite" i „neoklasyków". Naturalnie, marksistowski krytyk ma na myśli „rozgromienie ideologiczne". Tego rodzaju „zwycięstwo ustroju socjalistycznego" może nie wywarłoby większego wrażenia na Rylskym, gdyby nie fizyczne losy większości jego przyjaciół i znajomych, rozstrzelanych, zamęczonych w obozach, doprowadzonych do obłędu. I ta precyzyjna zbieżność dat! Najpierw pobyt w celi kijowskiego GPU (zresztą krótkotrwały), a dopiero potem przestawienie się na „materialistyczny światopogląd".

Niezbyt to mocny światopogląd, skoro, jak dąsał się ten sam Biłeckyj,

„poeta nie jest jeszcze w stanie całkowicie zerwać z przeszłością. Zwraca się myślą ku antycznej Aleksandrii, do literackich motywów w faustowskim

rodzaju, ale rzeczywistość coraz częściej wdziera się w ten iluzoryczny świat..."

Istotnie, *wdarła się* na siłę, poprzedzona wizytą czekistów.

Józef ŁOBODOWSKI

PS. Swego czasu „Kultura" wydrukowała szereg moich przekładów wierszy Rylskiego (dwa — w roku 1950, kilka innych w artykule „Scylle i Charybdy poezji ukraińskiej"). Załączony obecnie wybór pochodzi prawie w całości z czterech zbiorów, ogłoszonych przed rokiem 1930 („Pod gwiazdami jesieni", „W sinej oddali", „Poprzez burzę i zamieć", „Tam gdzie schodzą się drogi"). Tylko dwa wiersze („Tam w śnieżnej mgle...", „Nie słysząc was, słowiki Ukrainy...") pochodzą z lat późniejszych. Tak wielka dysproporcja w wyborze nie jest przypadkowa; wynika z dysproporcji artystycznej między Rylskym, kiedy był sobą, a Rylskym, zapędzonym przemocą w sztywny gorset „realizmu socjalistycznego".

WIERSZE MAKSYMA RYLSKIEGO

MUZYKA

Pamięci Innokientija Annieńskiego

Nadlecieli przy krwawej pochodni —
czarny wicher w tej nocy bez świtu,
I załkali synowie żałobni,
że ich ojców, ich ojców zabito.

Zaczekajcie. I was nie ominie.
Nawet dzieci... Już jest, już w pobliżu...
W nieobjętą wyżenie pustynię,
na wysokim rozepnie was krzyżu.

Któż tam śmierci przygrywa do wtóru,
Któż tam gra, do tańczącej się wdzięcząc,
gdy korona jej w rytmie ponurym
tysiącbarwną oślepia nas tęczą?

Czarny wichr, lęk się skrada jak złodziej,
dym i pożar, ruiny w świątyni...
...to ze smyczkiem straszliwym nadchodzi,
w noc florencką nam gra Paganini.

***

Jak las, jak maszty nieulękłych fregat,
wzniesione ręce — jak na groźny bój.
Gdzież moc, by sile tej, co w mrok wybiega,
zawołać: Stój!

Niech słońce ogniem spadnie nam na głowy,
do żył wyschniętych niech napłynie krew!
Niech sina przestrzeń, niechaj śpiew sosnowy
i złota łuna u wierzchołków drzew!

To pierwszy dzień stworzenia! Pierwsze, głucho
dźwięczące słowo! Pierwszy kwiat i zwierz!
Cieszcie się, piersi, mroźnym zawieruchom!
Człowieku, ludziom wierz!

***

Tak, myśmy — prolog. U was — państwa, czyny
monarsze, sztuka zagrzebana w wiekach.
A my — to próba pierwszego człowieka,
nas ledwie wczoraj ulepiono z gliny.

Bo jeszcze nigdyśmy sobą nie byli,
ocean naszych żagli nie oglądał,
i na dalekich, rozkwieconych lądach
myśmy żadnego dziwa nie odkryli.

Myśmy niemowy, myśmy bezimienni,
zacichła woda, którą bezruch studzi,
mgła śliska. Przemykamy się wśród ludzi
niedostrzeżenie, jak gromada cieni.

Kraje i morza rozdzwonione w bitwach,
ludy, przypatrzcie się pozbytym siły!

Nam drogę w przyszłość losy wytyczyły.
Ziemia jest wasza, nasza — dal błękitna.

⁂

Gdzieś w świecie śpiew łagodny Langwedocji,
Szampania, wesołości zawsze rada,
gdzie każde miasto oddech słońca złoci,
gdzie każda wioska tonie w winogradach.

Od morza znojny oddech ku Marsylii,
geniusz Paryża, ludzkiej sławy cena...
Daudet gdzieś mieszkał i w pogodnej chwili
na polowanie wysłał Tartarin'a.

Gdzieś wyspa jest, gdzie Szekspir się objawił
i Dickens w mgle skłębionej się uśmiechał.
Przez piach Sahary jeździec mknie na jawie,
w sybirskich borach groźne grają echa.

O, świecie! O, dziewczęta, co w ramionach
unoszą w śmiech wezbrane sokiem kiście!
Błogosławione ciężkich winnic grona,
co wiosnę odnawiają uroczyście!

⁂

Szumią na brzegu otwartym grzywacze cichego przypływu —
to jakby morze Homera bajeczne nadeszło i pluszcze.
Odyss odwieczny powoli znów opowiada nam dziwy,
wskrzesza ze wspomnień zastygłe krainy i puszcze.

Może gdzieś lud Lotofagów przechodzi przez noce,
może istnieją i dotąd straszliwe, okrutne cyklopy?
Może te gwiazdy, odbite w łagodnej, świetlistej zatoce,
to właśnie oczy Zeusowe, wpatrzone w źrenice Europy?

⁂

W ciemnej gęstwinie dogoniłem ją. A ona,
na wznak, na trawy wonne obalona,

broniła się i ramionami odpychała.
Aż uciszyła się — i dziwna rzecz się stała:
te usta, co przed chwilą tak mi złorzeczyły,
pokornie się poddały, od słodkiej bezsiły
zmożone i już chętne; nogi, co się rwały
w ucieczce, rozrzucone pod księżycem białym,
zdawały się z marmuru, — i ochrypłym tonem,
głosem jak gdyby cudzym, cudownie zmienionym,
rzekła: „Ty okrutniku, coś mnie wziął zwycięsko,
jakąż radość mi dałeś taką słodką klęską!"

⁂

Róż woniejących naręcza nam ślubne łoże usłały,
posąg pani cyprejskiej nas błogosławi uśmiechem;
miodne i słodkie figi bogini złożymy w ofierze,
ciemność winogron źrałych i białych gołąbków dwoje.
Słońce ukryje się w morzu, róże zapachną goręcej,

ręce rąk poszukają i ust pożądliwe usta...
Zwól-że nam siłę, bogini, zdobyć urodę w kochaniu
i w nocy zaczarowanej mądrego począć potomka.

⁂

Stoczył się dzień dojrzały i ciężarny
czerwono-krągłym jabłkiem wpośród głuszy
i noc, powoli mroczną dłoń uniósłszy,
szerokie cienie kładzie węglem czarnym.

Cicho przymrozek skrada się — morderca,
spóźniony więdnie kwiat — umierać słodko.
Nadejście zimy nie uwiedzie serca,
a ziemia dźwięczy niby tętent podków.

I wszystko będzie jako w księgach starych:
samotne głosy, których echo czeka,
śnieg i gałązki oszronionej zarys;

a pod zamiecią — droga tak daleka —
popłynie wolno, jak przez mórz obszary,
zdradzieckie czółno wiernego człowieka.

PRACA

Pokochaj swą winnicę i ten rydel lekki.
Państwa i ludy giną, przemijają wieki,
a tam gdzie pasterz spał odwiecznym snem spokojnym,
powstają miasta, groźne wybuchają wojny
i lud śmiertelny w walce oszalałej kona.
Ty wiedz, że tylko tu, gdzie praca niestrudzona
rozwarte łono ziemi ostrym rwie lemieszem,
wyrośnie plon ku ludzkiej chwale i uciesze.

POŁUDNIE

Kosmaty trzmiel z bodziaków ssie czerwonych
miód słodki. Jakże dźwięczy ta wezbrana
po brzegi, rozhuśtana wiolonczela
południa, iskrzącego ponad ziemią.

Odpocznij! Wesprzyj się na wiernym szpadlu
i słuchaj, patrz i nie dziw się niczemu.
Tyś sam się przecież wokół rozzielenił,
rozrzucił się, rozścielił na tej ziemi,
to ty rojami pszczół brunatnych buczysz,
wśród jesionowej gęstwy opadając,
ty się po żytach snujesz drobnym pyłkiem,
rozgrzane kłosy zboża zapładniając;
i tworzysz razem z ludźmi i dla ludzi
osiedla nowe i powietrzne przęsła
przerzucasz nad sinymi przepaściami.

Zasnęły wody i na wodach czółna,
zwisają barcie jak pachnące sakwy,
i nawet słońce jak dojrzały owoc,
wydaje się bez ruchu...
Tylko ty
oparłeś się południa tego czarom,
bowiem jak siostra, czule pochylona,
twa przyjaciółka, twa surowa twórczość.

⁂

Zwiędłym tytoniem zapachniała jesień
i świeżą mgłą i jabłek aromatem,

a pyszne astry, jak gwiazdy skrzydlate
idą po piasku pod domu przyciesie.
I pieśń pasikonika w trawach rwie się
jak struny skrzypiec. Ni wiosną ni latem
już się nie cieszyć, starość nam w zapłatę
mądrości srebrnym szronem skroń zaniesie.

Podróżne sakwy weź, rzuć dom rodzinny,
zaczerpnij z chłodnej i mrocznej głębiny,
tam, gdzie dojrzewa owoc w sadzie cichym...

Ucz się powoli cnoty i prostoty
i, depcząc pogardliwie dywan złoty,
pozbądź z pamięci wieże ciemnej pychy.

⁂

Komu pałaców świetnych budowanie
i świątyń. Kto marmury, metal, szkliwo
zdobi, narodom i wiekom na dziwo,
i ryje rzeźby na wspaniałej ścianie.

A ja, gdzie dróg pod lasem skrzyżowanie,
skromność za rzecz uznawszy sprawiedliwą,
lepiankę wzniosłem i powolny żywot
prowadzę w prostym i ubogim stanie.

Lecz nie kupuję nigdy nic dla gości —
wszystko, co daje ziemia, co najprościej
wyhodowałem mą codzienną pracą...

Mam stadko kóz, a nim wieczerzać zaczniesz,
wiedz: nigdzie sera nie przyrządzą smaczniej,
zaś słów przyjaźni dytki nie opłacą.

⁂

W lot jaskółki, bo im latać trzeba,
i Haneczka kocha, bo już czas...
Kurhan Batu-chana aż do nieba
i zielenią rozwiośnił się las.

W chmurach skrzydeł srebrne kotłowisko,
już w kolanach gnie się każdy klon...
Jeszcze dzień — a porzucimy wszystko,
by odpłynąć do dalekich stron.

Niech się kręci wśród przestworzy nieba
stara ziemia, niech unosi nas!
W lot jaskółki, bo im latać trzeba,
i Haneczka płacze, bo już czas...

⁂

Dawno skoszono proso. Pustka oczy smuci.
W wysokim niebie chłodne dni się przędą.
Co przeminęło, nigdy nie powróci,
minęło — i wydaje się legendą.

A tej zielonej wiosny ileż było marzeń!
I sny jak złoty potok za potokiem!
Spłynęły i patrzymy w nasze twarze.
Nad nami niebo — sine i wysokie.

⁂

A teraz pola obce i pustkowie,
tyś także obca, obcy i sąsiedzi.
Dokąd więc iść? Jeżeli wiesz, to powiedz!
Nie wiesz i nikt mi nie da odpowiedzi.

Jak zawsze, ścichły w dali krzyki czajek,
już dawno przebrzmiał smutny śpiew żurawi,
lecz słońce, gwiazdy wschodzić nie przestają
i żaden sen umarły nas nie zbawi.

Stalowy wieczór. Chłodne niebo w ciszy
i gwiazd promienie w mżący blask się łamią...
Ach, wyjść by teraz nam na szczyt najwyższy
i w niemą przestrzeń rzucić rozpacz ramion.

⁂

Tam, w śnieżnej mgle majaczą strzechy niskich chat
rodzinnej wsi; tam kiedyś oczy na ten świat

rozwarłem, żyć uczyłem się i wzrastać w siłę.
Tam płynie rzeczka, z której zdrój ożywczy piłem,
i pola, co wzmacniały sytnym chlebem swym
małego chłopca; tam poczciwy, siwy dym
z rodzinnych szedł kominów. Tam rozmowy proste
łapczywie pochłaniałem, dojrzewałem, rosłem.
Tam krewni, przyjaciele mych najpierwszych lat;
i może jeszcze stoi płot, za płotem sad,
gdziem kiedyś naszeptywał jasnowłosej Hani
słowa o pierwszym, śmiesznym, o młodym kochaniu.
Tam pobratymcy, bracia — wieści o nich brak.
Wiem tylko — krew i mrok, straszliwej wojny znak
ponad sadami wstał w żałobnych burzy nutach
i Romanówka moja, mgłą pożarów struta,
jak cały kraj ojczysty do najdalszych miedz,
zmiażdżony, stratowany...

Lecz ty, ziemio, wiedz:
dla ciebie krew i pieśń, ojczyzno moja miła,
boś krew oddała swą i pieśni mnie uczyła.

⁂

Nie słysząc was, słowiki Ukrainy,
smucę się tak, że nieraz sam się śmieję
z tych żalów. Chociaż serce się starzeje,
śni mu się wciąż, jak młodość, kraj rodzinny.

Cuda Wersalu, Luwr, który urzecze
tak wielu, wieża Eifla... — trudna rada!
Pewnie — w Paryżu gościom nie wypada
uciekać myślą do tamtych miasteczek;
do Skwiry, do Łochwicy, na Mirhorod,
do ech wesołych w Hołosiwskim gaju, —
drzewa w Bulońskim Lasku cię witają,
ale w niewolę oczu twych nie biorą.

Tu lud przyjazny. Gałąź rosą bryźnie
i w rosie stoją klony i kasztany,
ale szmer wierzb, w pamięci zaplątany,
jeszcze wyraźniej słyszę na obczyźnie.

Zaglądasz w serce, kraju mój rodzinny,
męczysz i wzywasz, i żądasz zbyt wiele,
upijasz najmocniejszym w świecie chmielem...
I brak mi was, słowiki Ukrainy!

***

Na jesieni przylatują ptaki nieznane,
z dziwnym krzykiem opadają na rzekę,
i już nie wiesz, czy to sen, co się zdarzył nad ranem? —
sen wiosenny, wyśniony przed wiekiem...

Na jesieni co dzień coś nowego się dzieje,
tu uwiędła bylina, tam rozzłoci się zieleń...
Na jesieni pogodnej człowiek mądrzeje,
zmięta trawa coraz mięcej się ścieli.

Senna ryba nie idzie na wędkę, ni w matnię,
po rozlewach kryje się sinych...
W czas jesienny, wiadomo, rozmowy ostatnie,
ale także i wzrost oziminy!

Z ukraińskiego przełożył

Józef ŁOBODOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wyrwane strony II (1963)

„... qu'inévitablement ce grand miroir de l'esprit reflétait une réalité nouvelle"

*15. IV. Poniedziałek Wielkanocny**

W domu. Bezczynność. Goście, zmęczenie bezpłodne.

Myśli o Brzozowskim: jego gwałtowne reakcje przeciw rozczulaniu się nad sobą.

(przypisek późniejszy)

„Znowu choroba, nieoczekiwana, paraliżująca, co się stanie z nami i z biedną myślą i biedniejszą jeszcze rodziną moją... Ale trzeba mieć odwagę, *a wtedy wrośnie i ta choroba jako władza w jakość umysłu i dzieła.* Tylko, że odwagi nie staje i żal myśli niedosnutych. Dość o tym. Milcz i służ". (6. II. — Pamiętnik Brzozowskiego).

Ta notatka, nawet nie trzy miesiące przed śmiercią. Okrutna *lucidité,* odwaga intelektualna spojrzenia na siebie do ostatniego tchu.

16. IV.

Notatka z wczoraj (bardzo zmęczony zasnąłem koło 10-ej, tak mocno, że obudzony o 11-ej miałem wrażenie, że noc przespałem i że naraz *wiem,* coś wiem o sobie):

Przebudzenie o 11-ej ze snu ciężkiego, z jedną ostrą świadomością „moje życie bez sensu". Czy to wymieranie we mnie woli mojej, „drżenia" *(schaudern)* mojego w malarstwie, czy potrzeba dotrzeć do jakiejś warstwy prawdziwszej, znaczącej? No

* *(Kultura,* Nr 1/219-2/220).

przecie nie będę na boku w wolnych chwilach chodzić „chorych odwiedzać", żeby zagłuszyć w sobie swoją nicość, by czuć „tak, tak, *teraz* życie moje ma sens!" Prawie jak te wzniosłe i drapieżne burżujki Zapolskiej. To już bym musiał tylko to robić, rzucić moje życie dzisiejsze. I naraz myśl — pisać wspomnienia, poprzez to dotrzeć do warstwy głębszej istniejącej w sobie. Czy sens pisać wspomnienia? Wszyscy: od Haupta z grobem królewny Scytyjskiej, zapachem liści w górach i wodą lodowatą oceanu, po Greena jak obrysowywał ołówkiem nagie ciała w Biblii Doré'ego; u obu jest głód, zrozumieć coś więcej niż siebie, i swoją codzienność, więcej niż swoje *aviarium,* to świergotanie ambicji, żeby do czegoś tu dojść (ach, jakie ważne!) Zrozumieć więcej niż tę mysią bieganinę z Puszkinowskiego wiersza; czy może uratować przeszłość tych wszystkich „dawno zmarłych żywe twarze", bez żadnej woli uczczenia, ale wprost że były i że ich nie ma i że tylko już we mnie są (kobieta, która płacze „ja nie mogę żyć tak bez świadka, on był świadkiem 20 lat mego życia"). Iluż ludzi ja byłem świadkiem. Haupt. Co uderza, co robi, że te wspomnienia zdają mi się tak dotkliwe, to że nie tylko nic ale nic szminki, grymasów, nawet żadnej jakby hierarchii ważności poza jedną: poza uwagą w głąb siebie wpuszczoną, poza przepisywaniem tego co dotykam we mnie, co znaczy dla mnie teraz w danej chwili wspomnienie, zapach, co dziś, teraz w danej chwili zdaje mi się być wątkiem, który może zaprowadzić, do czego? Do podprowadzenia siebie samego w sobie, do tego co *jest,* nie tylko przemijającą bieganiną ambicji (która zdawała ci się wzniosła, czy choćby bez żadnej dyskusji ważna).

A może to najprościej ucieczka od mojego malarstwa, w którym od pewnego czasu staje znów przed ścianą: powtarzam się, czy mam uczucie jakbym albo się powtarzał albo szedł od porażki do porażki.

(Dalej 16. IV.)

Świadomość tej granicy nieuchwytnej i zwykle nie do uchwycenia między życiem naprawdę i życiem na niby. To wszystko co niejasno czułem w malarstwie — to jakieś „omdlenie", przecież ja mogę jeszcze i jeszcze, i jeszcze malować kawiarnie, kwiaty, ale z chwilą kiedy ginie poczucie, że wchodzę przez to malarstwo głębiej i dalej, to malarstwo mnie nie karmi, nic nie rodzi, jest cofaniem. A Haupt? Z tą książką jakby stworzył grunt we mnie, żeby zobaczyć własną płytkość i nicość. Pisać wspomnienia? Tylko tak zobaczone nagle wczoraj w nocy — gdzie nawet dzieciństwo moje zdawało mi się, że je widzę inaczej, nie od tych

czubków życia, które pamiętam *walą,* ale od wnętrza, *mémoire involontaire.*

Wczoraj widziałem i Mamę w saloniku i siebie na dywanie i hiacynty i moje przy Niej szczęście, czy prędzej bezpieczeństwo i jak przychodziła rano do pokoju Babuśki, jakeśmy się rzucali w jej objęcia; jej szczupła wysokość, złote włosy, duże ręce i suknia czarna z aplikacjami „jak czarne sasanki". I moja obojętność i mój śmiech w ogrodzie w godzinach kiedy umierała i słowa panny Skroup: „Jaki ty jesteś szczęśliwy, że nic nie rozumiesz", i błyszczącą w słońcu trumnę, i moje przymuszanie się do łez.

Moje zadziwiające niedorozwinięcie w dzieciństwie, żadnych wspomnień, seksualizmów, erotyzmów. Muzyka, książki? Pierwsze wrażenia o wiele późniejsze. Muzyka i ostry ból reagowania na kłótnie, ale tu już wpadam w rzeczy, które dobrze pamiętam i które wcale mi się nie odkrywają jak wczoraj w nocy. Żadnej innej wskazówki teraz z tego nocnego przeżycia nie mogę wyciągnąć, byłem ze snu wyrwany w jakiś inny stan głębszy, w widzeniu prawdziwszy. Dziś mogę tylko znowu z dnia na dzień walczyć o dnie pełniejsze w pracy i czekać na *takie* chwile w malarstwie.

Kiedy człowiek rusza się, miota, gada i nawet pracuje więcej niż go na to fizycznie stać, robi się *pozór* życia i *pozór* pracy, musi nastąpić spłycenie. I właśnie może to jest we mnie? Już mnie nie stać fizycznie na to życie, które prowadzę. Może trzeba *opaść,* w jakiś „Święty Kazimierz"? Piszę to metaforycznie.

To nie jest żadna nicość, to jest arcynormalne, że właśnie w okresie rozpędzenia i trudnej pracy, trudnej ale jakby przy ostatniej przeszkodzie, gdzie *może* przyjść ratunek — jakieś odejście, odepchnięcie od pracy, od malarstwa, zupełna bierność, pokusy pisania. Nowość jest, że nie używam tego czasu żeby jechać do Paryża... Że drogocenny czas bezczynności i bierności spędzam na swoim łóżku, śpię albo czytam Haupta. To wszystko dobrze, ale co zrobię, jaki wniosek z dziwnego przebudzenia wczoraj o 11-ej w nocy?

I szto eto było
Takoje abmannoje
Smatriu ja w magiłu
S nadieżdoju strannoju...

To nie było „abmannoje" oszukańcze, tylko że to było, ale przeszło. Odpowiedź na to, to chyba *nieruchomość.* Nieruchomość w znaczeniu zajęcia się sprawami podrzędnymi, wymiataniem pokoju, listami, porządkami. Czekać.

17. IV.

Ranek w łóżku. To nie jest chyba literatura, tak jest: człowiek żyje dzięki sekundom innego wymiaru, czasem dosłownie ułamkiem sekundy, z Jasiem nazywaliśmy to przed laty „ogonkami", i to przedzielonymi jedne od drugich nieraz miesiącami. I co z tych chwil? Żebym wtedy zmienił życie, żył dla nich tylko, czy w smudze tego światła — ale nie, te chwile *są*, potem jest wszystko po dawnemu, żyję tak samo, ale znowu mam ładunek, i życie znowu takie jakie ono jest, jest nie tylko znośne, często miłe, ma nienazwany i nie do nazwania sens. I potem znowu ładunek się wyczerpuje, i nie ma czym oddychać. Ta chwila, ta sekunda obecności... to *także* wizja, która przychodzi nagle, nie wiadomo dlaczego nagle tu a nie tam, dziś a nie wczoraj. Ale co dają te iskry, co zmieniają, czy o krok posuwają nas czynnie w życiu? Czy można i trzeba według nich żyć, czy one są tylko dla świadomości? A życie? odbicie ich w życiu? Krok — czyn w kierunku, kierunku który w tych sekundach jest tak czytelny — to już sprawa długa, żmudna, *inna?* Nie. Myślę, że te chwile zobowiązują, kiedy ich nie wykorzystujemy, kiedy one się nie odbijają w planach, w rozkładzie dnia w kieszeni, to my te chwile *zdradzamy*.

I jeszcze sprawa pozorów życia. Kiedy przychodzi starość, zmęczenie, można jeszcze długo żyć jak by nigdy nic, tak samo. „Jak ty się trzymasz, ale ty jesteś taki młody..." To wszystko staje się coraz bardziej pozorne, coraz więcej sił idzie na utrzymanie tych pozorów, na fasadę za którą nie ma nic. „Człowiek maluje procent od kontemplacji" — pisze Norwid, ale człowiek żyje procent od tego co się w nim dzieje, i co jeżeli nie jest kontemplacją, to jest koło, obok niej i czego na zewnątrz się nie widzi. Wszystko inne to już skamienieliny.

18. IV.

Przebudzenie. Moja niewierność. Nim kur zapieje... Cały wczorajszy dzień był świadomą zdradą, odchodzeniem od przeżycia tamtej nocy. Jakbym chciał właśnie dlatego odejść, bo miałem w sobie znowu jakąś możliwość „niebywałego". Strach przed trudem? Strach przed *idée fixe?* Po co? Na co? „I tak nic się nie zmieni i nic nie zmienię". Może to zdrada i odejście, które robi, że dziś budzę się w zmęczeniu i bezsilności bezpłodnej. „A potem wszystko było dobrze", „a może ja byłbym Napoleonem?" jak u Korczaka w „Koszałkach".

Inna wersja najprostsza. Jesteś naprawdę zmęczony, musisz naprawdę odejść, żeby się odprężyć jakoś. Naciągnięta za długo struna wiotczeje, tak jest, ale zatrzymałem się w chwili niedobrej zamącenia i obiad z K. dał temu zamąceniu jakby formę. Ale też dał świadomość, która daje nadzieje. Jego opowiadanie o B. poecie, że pisał, gdy był młody, poematy codziennie, że był szczęśliwy, bo wiedział, że idzie w kierunku tej sztuki którą osiągnie. „Teraz myślę, że moje poematy są bliskie tego co wtedy chciałem, nieskończenie bliższe. Ale tej radości już nie mam".

Co to znaczy? Delacroix, Hokusai, ich miłość, ich pasja sztuki nie słabły. Proust samobójczo oddał życie swoje pracy ponad siłę i wiedział właśnie u progu śmierci, że to jest jego życie i jego sens. Może tu nie wolno już mówić o przyjemności, może słowa B. i moje ucieczki to próba ucieczki przed starością, jej nędzą, bo złudzeniem jest, że jak odpocznę to będę znowu młody, szczęśliwy nadzieją, pewnością, że noszę w sobie „niebywałe", że dojdę. Ten czas nie wróci i trzeba iść na inny wysiłek, ostatni, „samobójczy" i *zapomnieć* nie tylko przyjemności, ale w pewnym rodzaju „szczęścia", które są związane z młodością. „Skąd wrosło w te wszystkie umysły przekonanie, że życie powinno być przyjemne?" Brzozowski i jego notatki przed śmiercią, jak u Prousta, ostatni ogień. Co w moich pokusach pisania, co w tym z ucieczki, z chęci ucieczki od malarstwa jakby u brzegu realizacji — „przez morze przepłynął..."

◆

Prostota sztuki. Staluga, jej brąz czerniawy i jej brązy w świetle z blaskami różowymi i sinymi, nudna, szaro-bura rola brunatności parawanu — zgaszone desenie czerwone na ułożonej na krześle szmacie i jest już obraz, jest już *we mnie* obraz, równie piękny, prosty i głucho-śpiewny, jak ten człowiek brązowawy przy staludze na czarnym tle Matisse'a w Musée de l'Art Moderne. Czym jest sztuka, po co jest sztuka? Świadomość życia, *jakiego* życia? *Jaka* świadomość? Może trzeba nie myśleć o tym, nie stawiać nawet zapytań, *być*, i malować i podpisywać „jak umiem".

◆

Notatki bez daty wklejone do szkicownika

Kiedyś patrząc na góry za Aszchabadem, uderzyło mnie podobieństwo kształtu załomów, stoków i nawet materii brunatnej, chropawej tych gór do rzuconego na łóżko starego koca. Parę dni temu, odwrotnie, widziane z łóżka zmięte, blade, niebiesko-szare szmaty wyblakłe, zaplamione, do malowania, miały formy,

urok, bogactwo linii, odcieni dalekich szczytów górskich, śnieżnych. Wystarczy patrzeć *naprawdę oczami* bez *przyjętej* hierarchii (góry piękne — szmaty brzydkie), żeby „en voyageant autour de ma chambre" człowiek mógł przeżywać to, czego inni nie mogą dojrzeć kręcąc się naokoło świata jak wiewiórki.

◆

W końcu tego kajetu wklejone jeszcze dwie strony z jakiegoś innego dziennika, dawniejszego, sprzed półtora roku:

Osiem stopni mrozu i w pokoju kaloryfer zaledwie działający. Jedyne wyjście... malować i czytać. Od rana zaczynam nowe płótno, wracam do wczorajszych.

Ten *malaise* przy pracy, jakieś niespodzianki techniczne, ciągle „falbanka tanecznicy" przeszkadza, nic się tym nie peszyć, pracować dalej tylko oczyszczając, oczyszczając robotę od niechlujstwa szkodliwego, z tego *malaise* tak się wyrasta, jeżeli nie przerywać pracy, ale i *nie przeciągać*. Przeciągać, to znaczy malować kiedy już położenie obojętnieje, ani boli ani cieszy. Wtedy można wszystko zawikłać.

Odilon Redon: „... nie pozwalać sobie nigdy na jedną kreskę ołówka bez tego by moja wrażliwość i moja świadomość *(raison)* nie były obecne"*.

Szukając tego tekstu znajduję inne, jakie urocze, w tejże książce. „Czy dojdziemy kiedykolwiek do pewności, do świadomości, że daliśmy wszystko? Człowiek idzie w nieustannym poczuciu wątpliwości pomieszanych z zaufaniem, i te dwa nastawienia, to jedno to drugie, trzymają nić naszego życia.

A świat i większość tych, których za rękę trzymamy, nie widzi w naszej pracy artystycznej nic poza formą odpoczynku i odprężenia".

Tu pociesza i pomaga Makowski. Jakże on się męczył, ale i u niego *malaise*.

Józef CZAPSKI

* *A soi même*, Odilon Redon, Journal (1867-1915), Ed. Floury, 1922.

Rachela w Rzymie

I

W wagonie restauracyjnym zapalono światła. Podano zupę. Za oknami brunatny tajemniczy krajobraz Umbrii wciskał swą wrogość do wnętrza pociągu.

W Rzymie nie byłem od lat. Wiedziałem, że wielu znajomych i przyjaciół pierwszej młodości już nie zastanę. Mieszkałem tam przecież w wieku, kiedy wrażenia wnet osłaniają się mgiełką sentymentalnego wspomnienia. Przygotowywałem się więc psychicznie, aby nie doznać szoku na widok ulic i domów, które zaledwie w przybliżeniu będą odpowiadać obrazom zachowanym w pamięci.

Podano więc zupę. Sparzyłem sobie tym ukropem język. Zamówiłem *scallopini al marsala*. Ale już nic w ustach nie czułem. Zraniona powłoka jamy ustnej nie reagowała na smak ulubionej potrawy.

A za oknem ten czerniejący krajobraz melancholii. Tu wewnątrz wagonu dysharmonia świateł i wielojęzycznych głosów, tam czekolada topniejących w mroku wzgórz.

W dzieciństwie zabrakło mi miłości matki. Byłem sam.

◆

Zaraz dowiedział się o moim przyjeździe Hermann Schultze-Bobolescu i domagał się, bym go bezzwłocznie odwiedził. Moje pokolenie darzyło Hermanna szacunkiem i sympatią. Był to jedyny chyba malarz starszej generacji, który okazywał zainteresowanie naszą pracą, który w sposób twórczy krytykował nasze pierwsze próby i wyszukiwał nam mecenasów.

Jego studio mieściło się wewnątrz rzekomo romańskiej odrestaurowanej ruiny na południowym krańcu miasta. Wnętrze było nawet dość ciemne, ale ten szczegół, jak Hermann zwykł był mawiać za dawnych czasów, zmuszał go do posługiwania się jasnymi, jaskrawymi barwami, od których instynktownie stronił, a które, przeczuwał to niemniej instynktownie, były w jego kompozycjach niezbędne.

W tym właśnie studio wypełnionym ciężkimi mahoniami, ogromnymi fotelami obitymi pluszem, zapachem aloesu i farb olejnych, spotkałem go ponownie po latach.

— Zmieniłeś się, mój mały — powiedział — nie poznałbym cię chyba na ulicy. Rysy twarzy stwardniały, jesteś bardziej kańciasty.

Milcząco potakuję głową.

— W oczach brak dawnego zapału i przekonania. Zapewne zrobiłeś karierę, Andrzejku.

— Tak, dopiąłem swego — odpowiedziałem po chwili. — A ty mistrzu, widzę dalej malujesz, wyobraźnia nowe odbywa podróże!

— Tak maluję więc jak Holendrzy cholera tak maluję oni wiedzieli dlaczego obserwowali świat jak to więc oglądasz widzisz jak się poruszali jak jedli cholera jak się rozmnażali więc a zarazem masz formę masz kolor formę przede wszystkim rozumiesz? Wprost platońskie psiakrew wyczucie formy. I co się z takim Vermeerem cholera przez te nieopisane lata działo? Może przeżywał jakiś cholera kubizm bo jak patrzysz na te kobiety z wiolami i lutniami na te framugi na te landszafty i lustra na ścianach na te psiakrew posadzki myślisz cholera jak on to potrafił więc co cholera myślał przez te tajemnicze lata bo historycy zasranej sztuki gówno psiakrew wiedzą a kto uwierzy ich nonsensownym teoriom i domysłom petitem w przypiskach i paskudnych bibliografiach? Ja właśnie pracuję tak samo. Przez moje oczy więc będą naszą epokę oglądać. Moje wyczucie perspektywy faktury harmonii więc podziwiać i chwalić cholera będą! Czy wiesz że Rachela jest w Rzymie?

Rachela jest w Rzymie!

Schultze nie pasował do lat sześćdziesiątych naszego stulecia. Uformowały go czasy sprzed I wojny. Dlatego też lubił owijać się brązowym ciepłem biedermeierowskich wnętrz, a współczesne jasne mieszkania i pracownie malarskie budziły w nim reakcje zbliżone do agorafobii. Czytywał Freuda, a do najgłębszych przeżyć estetycznych zaliczał *Verklärte Nacht,* którą grywał często we własnym wyciągu na skrzypce.

Jego grafika stale, obsesyjnie kierowała oko na organy płciowe pół rozebranych muskularnych mężczyzn i rozmarzonych kobiet. Kilka niezbyt twardych, niezbyt grubych, ale zdecydowanie prowadzonych linii służyło do rozniecenia niepokojącego sensualizmu w modnie udekorowanych entuzjastach i entuzjastkach jego wernisażów. Za to dźwięczne barwy bardziej ambitnych płócien przedstawiały sznury z bielizną w ogródkach podmiejskich domków oraz portrety przyjaciół i szarych eminencji.

◆

Mija drugi tydzień od mojego przyjazdu. Spodziewałem się cudu, tymczasem miasto ma teraz na mnie wpływ wprost makabryczny.

Zwiedziłem katakumby, na Forum rozmawiałem z duchami cezarów. Spoglądając na panoramę miasta z wyżyn Villa Borghese, obserwując tłumy na Piazza del Popolo, podziwiając zachodnie rafaelowskie niebo, widzę w tej świetlanej ostrości konturów własne życie zmarnowane.

Zdradziłem siebie dla łatwych sukcesów. I właśnie, gdy jestem w takim nastroju, spotykam Rachelę.

ANDRZEJ: Pani, tu cię poznaję
Po latach rozłąki. Przez góry
Szedłem, przez morza.
RACHELA: Ah! Rycerzu, źródła spragniony,
Kochanie moje, skarbie
najdroższy!
ANDRZEJ: Ściemnia się. Tu życie moje
Dotyka zenitu. Kochałem
Kiedyś, dziś nie jestem młody.
Szukałem sławy, szukałem uznania.
Samotny jestem, już brak mi złudzeń,
Jadam owsiankę, sypiam
Na sienniku, jestem krótkowidzem.
Nie wiem też nawet
Czy potrafię kochać:
Być może wzbudzasz
Tylko żądzę ciała.
RACHELA: I to wystarczy, miłość jest luksusem.
HERMANN: boże ci turyści w pompei szukają dziwnych zabronionych podniet przyjeżdżają tu z ameryki chin brytanii francji by się nasycić tajemniczymi malunkami lekkie przymrużenie oka tysiączek w brudną łapę i już jest wstęp do misteriów a tu cholera nic nie widać ciekawego słońce pali duszno
ANDRZEJ: i ta paskudna góra na którą wspinaliśmy się za-

kurzonym tramwajem znów dymi może wybuchnie co my zrobimy będziemy latać jak głupi po tych potrzaskanych cave canem kamieniach przyłapie nas ta czarna maź gdzieś przy fontannie z parszywym priapem i co

HERMANN: z hotelu psiakrew widok na zatokę i fajne sportowe babki a tu tylko zasuszone amerykańskie mumie i cholera wie co

ANDRZEJ: Pomówmy więc chwilę o percepcji przedmiotu.

HERMANN: Temat który pasjonuje mnie od dawna.

ANDRZEJ: Czy możliwa jest percepcja absolutnie pewna?

HERMANN: Nie, obiekt zmienia wygląd zależnie od warunków percepcji.

ANDRZEJ: Jakie to są warunki?

HERMANN: Są zasadniczo dwie kategorie: warunki obiektywne oraz warunki subiektywne, a te ostatnie dzielą się z kolei na psychiczne i fizjologiczne. Uczeni badają i dyskutują tylko warunki obiektywne i fizjologiczno-subiektywne, a pomijają objawy subiektywno-psychiczne.

ANDRZEJ: Więc?

HERMANN: Oni więc zwracają uwagę na efekty świetlne, na iluzje wzrokowe, perspektywę. Ale zapominają o wrażliwości subiektywnej widza. Przedmiot taki na przykład, jak dom rodzinny widziany po latach, wygląda zupełnie inaczej, nawet jeśli oglądany jest w identycznych warunkach do tych, jakie zarysowała w umyśle pamięć. A to dlatego, że ten dom zapamiętany dzielą lata przeżyć, doświadczeń, wiedzy o świecie. I to z warunkami fizjologicznymi percepcji nie ma nic wspólnego.

◆

Powiedziano człowiek powiedziano mężczyzna blondyn wzrost metr ośmdziesiąt pali cygara nazywa się André Rothmüller alias A (Arturo?) Ferucci ostatni raz widziany w r. 1947 w Bremie na ulicy niedaleko dworca głównego w towarzystwie kobiety której nazwisko prawdopodobnie brzmiało R (Renata?) Gorlicki. Taki opis nie wystarcza. Nie wystarcza fotografia en face *z profilu szkic piórkiem bliskiego przyjaciela z czasów wojny nie wystarcza podpis kilka listów do Renaty (?) Grüssmayer rozstrojone skrzypce nabyte dnia 1 września r. 1939 w antykwariacie Ernsta Hoffmana przy Tannhäuserallee w Tybindze.*

Nic nie wystarcza, gdyż człowiek tu teraz stojący, mrugający nerwowo w świetle gołej żarówki, może jest jego sobowtórem, bliźniaczym bratem, mężczyzną, którego zupełnie przypadkowo zatrzymała w pobliżu dworca głównego w Bremie Frau Ingeborg Neumann i zapytała, czy pan był na froncie wschodnim, czy pan spotkał mojego męża, tu mam fotografię, może pan znajdzie chwilkę czasu w niedzielę, pokażę panu różne pamiątki, może pan go jednak znał, ostatni list jego pochodził z Łucka.

Nie wystarczy ten opis ani żaden inny.

II

DER REICHSKOMMISSAR für die Besetzten Niederländischen Gebiete
DER GENERALKOMMISSAR für das Sicherheitswesen DEN HAAG Plein 1 Fernruf: 18-32-50

Panno Rachelo,

proszę mi wierzyć, że moja miłość jest szczera, że kocham Panią z całego serca. Już niedługo wojna się skończy, będziemy mogli żyć spokojnie i szczęśliwie. Pochodzę z Bawarii. Moi rodzice mają grunt i krowy. Z okolicznych wzgórz widać Alpy. Jest dużo jezior i lasów. Są miasteczka i wioski z pięknymi barokowymi kościółkami. Jesteśmy blisko Bayreuth. Czy była Pani kiedy w Bayreuth? Tam grywają muzykę Ryszarda Wagnera. Czy lubi Pani muzykę? Czy Pani zna *Idyllę Zygfryda?* Gdybym był kompozytorem, napisałbym podobny utwór i zagrałbym go w ogródku pod Pani oknem. Umiem grać na skrzypcach. Czy Pani zbiera znaczki? Uśmiecha się Pani! Jest Pani zdziwiona! Poznałem sekret Pani! Mam kilka bardzo ładnych z Generalnej Guberni wyprodukowanych tam przez moich rodaków w ramach szeroko zakrojonej akcji cywilizacyjnej.

Kochanie moje, Rachelo, napisz choć słówko. Ufaj mi i nie wierz tym, co źle o nas mówią. Hochachtungsvoll! (Andreas)

◆

Chciałem być maszynistą; potem marynarzem. Był też okres, kiedy zastanawiałem się nad strukturą wszechświata i chciałem zostać uczonym; potem zapragnąłem zapanować nad światem fizycznie i moralnie, więc widziałem siebie w roli średniowiecznego papieża.

Od czasu do czasu myślę o tych nieziszczonych fantastycznych ambicjach. Patrząc w przyszłość nie mamy w zasadzie pojęcia (i nie zdajemy sobie sprawy, że nie mamy pojęcia) jak, konkretnie, ta rzeczywistość, której pragniemy, nas ukształtuje.

Przewidzieć nie możemy przykrości, ani też nawet przyjemności, stylu życia, które w ostatecznym rozrachunku nam przypada.

Marząc tak o przyszłości, zafascynowany bywałem jakimś interesującym mnie oderwanym szczegółem, a przecież w każdej sytuacji muszę być całkowicie sobą, muszę po swojemu czuć, myśleć, reagować na ludzi, kolory i dźwięki.

◆

(DEN HAAG) Kochanie, mylisz się. Wermacht na Wschodzie był elementem cywilizacyjnym i wyrównującym. Rozbicie naszych dywizji w Sowietach ściska mnie za serce, nietyle ze względu na straty w ludziach (choć były przecież ogromne, ale to w wojnie jest nieuniknione), ile że ta katastrofa oznaczała zwycięstwo barbarzyńskiej czerni. Na myśl przychodzi mi upadek Imperium Rzymskiego, kiedy hordy Germanów i Gotów łamały zwarte szeregi legionistów i druzgotały perystyle doryckich świątyń.

Dlaczego więc porządek i harmonia zasługują na potępienie? Dlaczego opinia publiczna nie potępia chaosu, mordów, zbrodni, wynaturzeń? (twój Andreas)

◆

(ANDREAS) To byli przeważnie ludzie młodzi. Na początku wysyłano ich wszystkich do Westerborku, ale później zorganizowano coś w rodzaju obozu przejściowego w samym Amsterdamie i tam właśnie trzymano złapanych Żydów, aż zebrała się dostateczna ilość, by odkonwojować ich do innego obozu.

(PROKURATOR) Jak dokonywano aresztów?

(ANDREAS) Czasem nasza policja, która posiadała listy zarejestrowanych Żydów, zachodziła do ich domów i aresztowała na miejscu, czasem wzywano ich listownie na posterunek policji. Obławy i łapanki wykonywano zazwyczaj systematycznie.

(PROKURATOR) Czy w Holandii były jeszcze inne obozy przeznaczone dla Żydów?

(ANDREAS) Owszem, był jeden duży obóz na południu, a także używano w tym celu zakładów Philipsa.

(PROKURATOR) Czy Oskarżony utrzymuje, że jego działalność w związku z deportowaniem Żydów pokrywa się z bezwarunkowymi zasadami filozofii Kantowskiej?

(ANDREAS) Nie, ponieważ to, co robiłem, było mi narzucone. Mogłem trzymać się tej specyficznej zasady Kantowskiej tylko tam, gdzie byłem panem sytuacji, kiedy mogłem polegać na własnej woli i nakazach sumienia. Nie mogłem oczywiście tak postępować pod presją narzuconego mi losu. Zabijanie bezbronnych ludzi nie mieści się w ramach bezwarunkowego nakazu, ponieważ jest niezgodne z wolą Boską. Do dziś dnia wprawdzie nie udało mi się w pełni zgłębić tego moralnego nakazu, ale starałem się dostosować ten koncept do mojego własnego trybu życia.

◆

Na podstawie metryki udało mi się nareszcie obliczyć mój obecny wiek. Mam więc 45 lat. W takim razie brakuje mi gdzieś siedmiu lat. Nie jestem mianowicie pewien, co robiłem między rokiem 17 a 24, a raczej (być może) między rokiem 18 a 25, gdyż mam przeświadczenie (nie poparte niestety konkretnymi dowodami) że właśnie, gdy miałem lat 17 napisałem wiersz. Znalazłem go niedawno w szufladzie. Oto on:

Ściemnia się morze. Mnie gnębi
Nierealność własnej egzystencji.
Chciałbym trwać tak niepodzielnie
Jak morze trwa, z podobną
Energią podmywać te piaski.

W r. 1937 pierwszy raz ujrzałem morze, więc wydaje się prawdopodobne, że właśnie to doświadczenie przyczyniło się w niemałej mierze do powstania przytoczonej zwrotki.

◆

Najdroższa R, kochanie moje, Ty jesteś wszystkim dla mnie. W naszym stuleciu, w naszych warunkach, taka miłość zazwyczaj nie trwa długo, ale czyż i tu nie może być wyjątków? Spotkamy się kiedyś znów. Pamiętasz ten obraz w Villa Borghese, któremu przyglądaliśmy się, trzymając się za ręce? Myślę o Tobie, wciąż myślę. Myślałem o Tobie zawsze. Twoje oczy miałem przed sobą, gdy badałem polskich bandytów, piersi twoje całowałem, gdy odprowadzałem transport do Westerbork.

Hej pola, pola zielone! Czy Ty także masz stale w uszach melancholijne harmonie *Trystana?* Wyobraź sobie, że kurtyna idzie w górę na scenie jakiegoś burgteater. *Kennst du das Land?* Twój kochający A.

◆

Patrząc w przyszłość (ha! jak można patrzyć w przyszłość?) wyobrażamy sobie po prostu SZCZĘŚCIE (lub NIESZCZĘŚCIE)

pisane dużymi kulfonami. Koncept, abstrakcja. A przecież szczęście nie istnieje oddzielnie, samodzielnie. Szczęście nie jest szczęściem jest Hermannem malującym obraz jest Rachelą uśmiechającą się do mnie jest partyturą *Zmierzchu* czytaną na gorącej plaży jest zbliżaniem się do Rzymu wieczorem.

Opuszczam Rzym za parę godzin. Już się pożegnałem ze wszystkimi. Może nie należało wracać do przeszłości. A jednak... jestem sobą i byłbym kim innym, gdybym został papieżem, agentem bawełnianym w Chinach, marynarzem, fizykiem, poetą.

Opuszczam Rzym za parę godzin. Już się pożegnałem z Rachelą.

◆

A teraz psiakrew muszę przemówić do was wprost z serca. Muszę podzielić się z wami moją śmieszną dziecinną tajemnicą. Oto mój vermeerowski sekret niespisanych godzin i dni! A tak mi z tym marzeniem z tą złudą dobrze było. Było! Bo oczywiście z chwilą, gdy wam wyjawię całą prawdę, nic mi już nie zostanie. Nic.

Kiedyś ——— już ——— niebawem ——— —— zawsze ——— tylko ——— nigdy ——— czasami —— Właśnie —— przypadkiem ——— widocznie ——— znienacka ——— bokiem ——— od przodu ——— nad ——— wyraźnie ——— jaśniej! ———.

Za oknem ściemnia się. Tak było o tej porze wczoraj, tak będzie o tej porze jutro pojutrze i we wtorek.

Adam CZERNIAWSKI

Dziwna historia

OPOWIADANIE

Zdrowia wam życzę, towarzyszu komandarmie!

Pewnieście o mnie całkiem zapomnieli. A ja was dobrze pamiętam.

Może pamiętacie, jakeście w dwudziestym roku przyjechali do Berdyczowa, naszą dywizję sprawdzać? Tożem wam wtedy konia podprowadzał, dobry był koń, siwy, jabłkowity. A jakbyście teraz przyjechali, to bym już podprowadzić nie mógł, bo mi w tę wojnę kulasa odwaliło prawie po pachwinę, to już by mnie koń z siebie zrzucił.

Stróżuję teraz. W lecie jeszcze jako tako, że to sucho na polu. A na jesień, jak plucha nastanie, trudno kuśtykać. Zanim się do obozu dowlokę, już i szaro na niebie się robi.

Mówię do kierownika: „Dajcie jaką szkapinę. Szybciutko do toku podskoczę, wyprzęgnę, spętam i niech się ta pasie. Trawy tam takie, że, no, jedno słowo, ta-akie trawy! Choćbyście zdychającą dali — wypasę, wydobrzeje".

A ten: „Ty — powiada — nie żaden wyjątek, żeby się wózkiem rozbijać. Symin Dżeczka też beznogi i do chodzenia ma dalej niż ty, a nie grymasi..."

Też przyrównał! Symin zdrowy chłop jak byk, i młody. A mnie to już niedługo i kokoszka w piasku zagrzebie. Skąd niby tego zdrowia nabrać, jak na moje życie trzy razy wielki głód i trzy razy wojny wypadły. Porachujcie ino: na każde dziesięć lat albo jedno albo drugie...

Jakby toto samo przeżyło (to ja o kierowniku niby), to by może i nie było takim capem. A ten i maszyną własną rozjeżdża, i nogi całe, a i mordę, żeby tak rzec, całkiem niezgorszą se wypasł.

Co tam taki rozumie!

Przyjdziesz oto w nocy na tok. Ziarno pod księżycem rosą tak i świeci. Ściernisko pachnie. Przy kurniku lis ino jazgoce. A spojrzysz na niebo — Wielki Wóz niziutko, zda się, zaraz potoczy się po Biejewej Górze...

Przyjechalibyście kiedy do nas, jakbyście zechcieli się wybrać. Na rzeczkę was poprowadzę. Między łozami szczupaki chodzą, w wykrotach liny się kłębią, a zdarza się, to i karpia można jakiegoś wysmyknąć. Ciekawe przecie.

Ano, leżeć mi gdzieś w nocy pod beczułką i lekować się. Kulas żyć nie daje, kikut, znaczy się.

Do starej protezy to jużem przywykł, oswoiłem się. Połamała się niedawno, tom nową przeczepił. A ciężka przeklęta jak diabeł, nie mogę udźwignąć.

Leżę tak przez całą noc — a dłuży się, jakby cały rok — przysłuchuję się, rozważam sobie: dziwni ci ludzie na białym świecie! Takie rzeczy wymyślą, że nic, tylko sobie ręce i nogi poodrębuj, i jeszcze zachwalają: patrzta, jacyśmy to mądrale! Poodrębowali. A potem miarkują, jakby te ocipki, co się ludziom zamiast rąk i nóg ostały, dopasować...

Che, che... Ja tu cięgiem o swoim. Wiadomo, jak co u kogo boli, to on o tym i rozprawia. Wybaczcie.

A łońskiego roku przyszło na mnie jakieś nawiedzenie: wziąłem i napisałem oświadczenie do rajsobezu, żeby mi przydzielili maszynę na trzech kółkach. Za naczelnika tam jest Onyśko Chekało, z naszej przecie wsi, a wyrodziło się — Panie Boże, zmiłuj się i obroń! Podciągnie brzucho szerokim pasem, a jeszcze rzemieni na krzyż ponaczepia, a samo to, wybaczcie, nawet zasr...nego karabinu nigdy w rękach nie miało.

Przychodzili, po komisjach mnie włóczyć. Zmierzyli kikuta, analizy wzięli, ze krwi i inne tam różne. Powiadają — czekaj na odpowiedź.

I od tego czasu wszystko zaczęło się... Maszyna mi się po nocach przywiduje. Tylko ślepia zamknę, a ta już na dworze: hur-hur-hur... Trzęsie się wszystko, motor dyszy gorąco, a w środku zapach świeżej skóry. A ja już tu. Siadam do kierownicy, daję gazu, a ta — jakby ją w ziemię wkopali. Ja i tak i owak — nic z tego!

A tu stara odzywa się z pieca:

„Ty czego tam hałasisz?"

Zbudzę się rankiem, wstydno się robi: jak mały dzieciuch.

Odpowiedzi jak nie ma, tak nie ma. Ano, myślę sobie, co będzie, to będzie, a ty, Marku, graj dalej. Tom napisał po raz drugi.

I co powiecie, takem się do tej maszyny przyonaczył, że czasem potknę się, już mi się wydaje, że to mnie na wybojach podrzuciło. Zdurniałem do reszty.

Jakoś tak w sobotę przychodzę ze sklepu, patrzę — przy furtce koperta sterczy. Rozrywam, a ręce tak mi się i trzęsą, jak to kiedyś do szabli się trzęsły.

A i tak wyszło, że po próżnicy.

Maszyna wam — piszą — towarzysu Prychodźko, nie należy się, a to we związku, że kikut macie na dwa centymetra dłuższy niż potrzeba. Trzeba piętnaście, a u was — siedemnaście.

Ot, tobie i historia — nie należy się! Cóż to, mam te dwa centymetra odrąbywać, czy jak?

Już mnie nawet ta maszyna przestała korcić — niech ją wciórności. Ale jakoś mi cięgiem nieswojo. Zdarzało się przecież przedtem, że szwendasz się cały dzień po podwórku, i tak ci wesoło, że ot zaraz coś przyjemnego się przydarzy... Do furtki podchodzisz — zerkasz po wiejskiej drodze, czy aby listonosza gdzie nie widać..?

Takie to cudeńko mi się przytrafiło, towarzyszu komandarmie. Takim to sposobem powiadam: a może byście gdzieś tam przemówili jedno słowo na konto mojej gadki? Albo żebyście list do tego ważnego Chekały napisali? A nuż mybyśmy go we dwóch trochę przerobili!

Żegnajcie, kłaniajcie się ode mnie waszej żonie i dziatkom, i wybaczcie, żem taki długi list zmajstrował.

Musij Prychodźko,
stróż artela „Naprzód".

Hryhir TIUTIUNNYK

(Z ukraińskiego przełożył Józef Łobodowski)

Joasia znajduje enzym

Enzymy (fermenty), organiczne substancje o złożonej, często nie znanej jeszcze budowie, wytwarzane w komórkach roślin lub zwierząt, biologicznie czynne, regulują przebieg różnych procesów życiowych nie ulegając przy tym zużyciu.

Joasia Janiak, doktor chemii biologicznej, urodziła się w roku 1930 i w chwili wybuchu Drugiej Wojny Światowej była chudą, długonogą smarkatką z dwoma mysimi warkoczykami dyndającymi po obu stronach jej wąskiej buzi i parą łagodnych, brunatnych, krótkowzrocznych oczu, które teraz, gdy siedziała na łóżku w wynajętym umeblowanym pokoju na Mayburry Avenue w Monumental City zaczerwienione były od płaczu za okularami w cienkiej, drucianej ramce.

— Zgubiłam enzym — pochlipywała Joasia. — Zgubiłam enzym — jęknęła skarżąc się głośno czterem ścianom wąskiego pokoju: dwom długim ścianom — przy jednej stało jej łóżko, rozrzucone mimo późnej godziny (była dziesiąta rano, sobota) — przy drugiej — przysadzista, malowana tanią farbą komoda z przyćmionym lustrem, jakby pająk usadowił się poza szkłem i od rogu zapuszczał sieci ciemnoszarej pajęczyny — i dwom nieproporcjonalnie krótkim ścianom: na jednej z nich szalejący nieopanowanym żarem kaloryfer podtrzymywał okno za którym skrawek porcelanowego nieba, jak fragment zbitej niebieskiej filiżanki, wlewał do pokoju odrobinę pogodnego, listopadowego dnia poprzez pociemniałe od sadzy kominy i sznur sztywnej od chłodu bielizny. Druga, krótka ściana to były drzwi do korytarzyka stykające się niemal z drzwiami od ściennej szafy, *closet*'u.

„Wieszam się w klozecie — pisała Joasia do rodziny w Polsce — po obżarciu się pomarańczami".

Niedokończony list do męża leżał przed lustrem na komodzie obok paczki, jednej z tych wielu paczek i paczuszek, które Joasia wysłała już była do kraju, tej jednak przygotowanej specjalnie 'na święta' nie zdążyła jeszcze wysłać właśnie przez ten enzym, nad którego wyizolowaniem ślęczała już od przeszło miesiąca w biochemicznym laboratorium szpitala 'Perceval Norris'.

Praca, która już wkrótce po przyjeździe została jej *assigned* przez profesora, kierownika *research* w dziale biochemicznym, miała za zadanie wyizolowanie pewnych drobnych składników cytoplazmy zwanych *mitochondria,* i utożsamienie czynnika wywołującego skurcze owych mitochondrii, z enzymem.

— Boże, Boże — pojękiwała Joasia — była bardzo pracowita, obowiązkowa i dokładna, porażki naukowe przeżywała jak zawody miłosne — co to się stało, co to się mogło stać? Michał zaraz by powiedział, że nie nadaję się do *research* i że kobiety nie mają logicznego rozumu. Michał lubił krytykować, a wszystkie błędy w doświadczeniach Joasi zwalał natychmiast na jej kobiecą nielogiczność. Chociaż wiedziała, że w swoim rozwoju naukowym nie stoi niżej od Michała, że nawet przewyższa go umiejętnością koncentracji na drobiazgach i wyrobionym instynktem, który nieraz dopomagał jej w szybszym rozwiązaniu problemu niż Michała męskologiczny umysł, to jednak uznawała lękliwie jego nad sobą dominację chociażby dlatego, że pozostało jej jeszcze trochę (jak niewidzialny osad na sączku) przedmałżeńskiej i wczesnomałżeńskiej admiracji dla Michała dłuższego doświadczenia w pracy naukowej i wcześniej od niej otrzymanego tytułu naukowego, a przede wszystkim dla świętego spokoju w pożyciu małżeńskim.

Zdjęła okulary, przetarła końcem prześcieradła łzawą na nich rosę, włożyła z powrotem, wzięła z półki przy łóżku zeszyt z notatkami, oparła na swoich szczupłych, spiczastych kolanach i jeszcze raz odczytywała i sprawdzała przeprowadzone doświadczenia.

— I po co ja tu przyjechałam? — zadręczała się, a Joasia lubiła i umiała się zadręczać, chociaż tylko do czasu, bo gdyby się zadręczała bez pamięci nie przyjechałaby do Ameryki. — Po co ja przyjechałam, żeby już w pierwszym miesiącu skompromitować się jakimś głupstwem? Co ja tu zrobię teraz sama, nawet dobrze nie wiem jak to profesorowi wytłumaczyć po angielsku, powie, że nie znam podstawowych zasad pracy laboratoryjnej. Odeśle mnie z powrotem, cofnie mi stypendium i nie poznam Ameryki, nie pojadę sobie na *tourneé* po Stanach. Muszę jeszcze raz wszystko przestudiować i... napiszę do Włodka, napiszę

drugi raz do Włodka, w razie czego, niech przyjeżdża. A jak nie przyjedzie? Jak utknę na tym doświadczeniu? Po co ja przyjechałem do tej Ameryki! Wstyd dla mnie i dla Zakładu w Polsce.

Joasia przyjechała do Ameryki na kilkumiesięczne stypendium, może nawet roczne, jeśli się uda, a stypendium pomógł jej uzyskać mąż, doktor Michał Janiak, po szeregu mniej lub więcej burzliwych rozmów, z których ostatnia odbyła się niecały rok temu. Wrócili właśnie razem ze stołówki przy Zakładzie, w którym pracowali oboje, do swego małego mieszkania na czwartym piętrze domu spółdzielczego w nowowybudowanej, podmiejskiej dzielnicy Warszawy. Michał pakował się, wyjeżdżał na dwa tygodnie do Szwecji na zjazd biochemików. Stał w sypialni, przy łóżku przed otwartą walizką w której leżało już jego ubranie.

— Tylko jedna koszula? — spojrzał na Joasię. — A gdzie te dwie co przywiozłem sobie ze Stanów, a gdzie ta w paski co przywiozłem sobie z Pragi? A gdzie ta żółta co kupiłem w Kopenhadze?

Michał był nieduży, chłopięco zbudowany, miał okrągłe bladoniebieskie oczy i kędzierzawe włosy amorka. Tymi włosami, oczami i nie czerstwiejącą chłopięcością budził tkliwe uczucia w sercach podfruwajek-laborantek i diabli wiedzą kogo zagranicą, gdzie stale rozjeżdżał.

Joasia wzruszyła ramionami. Wiedziała, że przez te dwa tygodnie ona będzie musiała odprowadzać dzieci do szkoły, że wieczorem z domu się nie ruszy, dzieciom trzeba będzie gotować, dzieciom przepierać, bo niania-posługaczka właśnie ich opuściła, a nowej prędko się nie znajdzie. Powiedziała:

— Ta z Kopenhagi w brudach, tę z Paryża wyciągnęłam wczoraj spod łóżka, a gdzie reszta nie wiem, dlaczego nie pilnujesz swoich koszul?

— A od czego mam żonę?

— Nie od brudnych koszul. Co z moim wyjazdem do Stanów? Powiedziałaś, że się wystarasz, żeby mnie zaprosili do Perceval Norris. I co?

— Teraz z tym znów zaczynasz!

— Sam latasz po świecie, a ja co? Zadręczam się i zadręczam. Obiecałeś! Obiecałeś jeszcze dwa lata temu przed wyjazdem do Ameryki. Prezenciki musiałam różnym sekretarkom tam od ciebie wysyłać.

— A tam prezenciki!

— A bursztyny to co? A drewniane korale? A serwetkę cepeliowską? Powiedziałeś, żeby dla mnie grunt przygotować, żeby utrzymać dobre stosunki. Sam rok tam siedziałeś, a ja

tylko harowałam w Zakładzie i harowałam w domu, Zbyszka do dziecińca, Kasię do szkoły, aż się sama pochorowałam, a tyś sobie tam używał.

— Jedna koszula na dwa tygodnie!

— To sobie przepierzesz!

— Kiedy tę trzeba prasować. Tych z Ameryki nie trzeba było prasować.

— To sobie wyprasujesz! Nie zawracaj mi głowy. Co z moim wyjazdem?

— Czy musisz mi teraz urządzać awantury na kilka godzin przed odlotem?

— Twój odlot, twój wyjazd, a ja co? Zadręczam się, ale już przyszła kryska na Matyska...

— Pomówimy później.

— Później, później... zalewanie głodnych kawałków, mam dość tego „później".

— Gdzie moje skarpetki?

Odwróciła się, walczyła ze łzami.

— Mam w nosie twoje skarpetki.

Michał ubierał się, wiązał krawat przed lustrem. Joasia już nie płakała, przyglądała się mężowi krytycznie, spod oka, wściekłość ją zamraczała. Mruknęła pod nosem:

— Odpicował się, jak stróż w Boże Ciało.

— Joanna, nie bądź ordynarna.

Joasia ujęła się pod boki, chudymi nogami wparła się w linoleum (cholerne linoleum podarte, strzępi się, ale co to Michała obchodzi, byle lecieć, byle wyjeżdżać!)

— Słuchaj! — krzyknęła — ja ci teraz mówię...

— Czyli wygłaszasz mowę na bazie i po linii.

— Nie żartuj sobie! Ja ci przyrzekam, daję ci słowo honoru, zapamiętaj sobie albo w tym roku jadę do Ameryki, albo rozwód. Wybieraj!

Michał odwrócił się do lustra.

— A co z dziećmi?

— Sąd mi przyzna dzieci i mieszkanie, a ty będziesz sobie kątem gdzieś mieszkał.

— Nie opowiadaj głupstw, Joasiu, pytam się...

— Chcesz rozwodu, będziesz miał rozwód!

— Cicho. Pytam się co będzie z dziećmi, jak pojedziesz?

— Gdzie?

— No do Ameryki.

— Ty się zajmiesz dziećmi.

Michał przysiadł na łóżku.

— Dobrze, zgadzam się. Przecież ci obiecałem, przecież to

już było ustalone. Ale powiedz właściwie dlaczego ty tam chcesz jechać? Na rok, sama...

— No wiesz! — porwała się Joasia i Ameryka zaraz przed nią wybłysła: dziewuszka w spódniczce podkasanej, koronki spod spódniczki pianą, aż trzeszczą, pryskają i kankana z cowboyskiej estrady wybija na szczycie podrygującego wieżowca. A pod nią wieżowce mniejsze i większe wyfraczone, wycylindrzone w rękawiczkach białych i mosty ręce sobie podały z zapalonymi latarniami na spiczastych głowach w kółko... w kółko i ulice od samochodów śliskie, biustami wystaw sklepowych dyszą, a na każdym zakręcie ulica kapelusza szerokorondnego uchyla i Joasiu... Jo-asiu... *how do you do?* A w Joasi jakby winda od gardła do brzucha, od brzucha do gardła pędzi, aż tchu brak i rumieniec po brwi blade, niewyskubane ją oblewa.

— No wiesz! Też pytanie! Przecież tu się nigdy nie rozwinę. Tu w Instytucie — marazm. Powinnam coś napisać. Mówiłeś sam, ile tam dla biochemików możliwości. I angielskiego się porządnie nauczę. Sam wiesz, wszystko teraz po angielsku, na wszystkich zjazdach angielskie referaty. Ja tu się nigdy dobrze języka nie nauczę.

— Hm... tu też można nie jedno zrobić.

— Każdy jedzie tylko nie ja, każdemu pomagasz tylko nie mnie. Taki Włodek to już półtora roku siedzi i pisze, że jeszcze pracy nie skończył.

— A, Włodek... nie półtora roku, tylko rok.

Obiecałeś przed wyjazdem do Ameryki i — nic. Teraz też obiecujesz. Sama się zacznę starać. I słowo daję... słowo daję, jak mnie tu widzisz, albo rozwód, albo — Ameryka.

— Ja już muszę niedługo wychodzić.

— Wybieraj!

— Zwariowałaś, nie ma nikogo, żeby się dziećmi zajął.

— A jak ty wyjechałeś to ja mogłam, to ja mogłam się zadręczać! Dość mam już twoich wyjazdów, słyszysz?

— Dobrze.

— Co dobrze?

— Pojedziesz.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— To ja jutro wszystkim już w Zakładzie powiem.

— Nic nie mów, bo nam jeszcze popsują. Dałem słowo, dotrzymam. Daj mi skarpetki.

— Michał! Wszystko się zorganizuje, zobaczysz. Zbyszek może być jakiś czas u moich rodziców. Z Kasią dasz sobie radę. Chciałabym wyjechać na jesieni, to popracuję jakiś czas i potem wytarguję od profesora wakacje, co się tak patrzysz, przecież

ty też! Sam mówiłeś żeście objechali Kalifornię tym starym gratem za 150 dolarów.

— Ty byś takim nie ruszyła z miejsca. Ale możesz jechać. Tylko...

— Tylko co?

— Że ty nie masz zbyt logicznego umysłu.

Joasia siedzi na łóżku, jedną ręką drapie się po głowie, a drugą przytrzymuje na kolanach zeszyt z notatkami, paznokieć wystukuje słowo po słowie: Przemyte mitochodria zawieszone w roztworze... roztwór powinien być o temperaturze 52 stopnie, oziębiony i..

— Nic nie wiem, nic nie rozumiem. Joasia odkłada notatki, wzdycha. Zaraz, dziś jeszcze pójdę do laboratorium. Natychmiast.

Joasia zrzuca szlafrok i zaczyna się ubierać. Tyle czasu na ubieranie, taka strata czasu, a jeszcze przyczesać się trzeba.

Michał nigdy nie zwracał uwagi na ubiór. Miesiąc poślubny spędzili na wyprawach kajakowych. Było to w tym czasie, gdy kajaki zbijało się z dykty, namioty szyło w domu, a materace fabrykowało z pozszywanych razem dętek rowerowych. Michał zawsze mówił, że najlepiej lubi ją w spodniach i wiatrówce. Sukienek nie rozpoznawał, nowej nigdy nie zauważył, w kapeluszu, mówił, wygląda jak stara ciotka, uważał je za przeżytek i stratę pieniędzy. Pomimo to nikt tak nie prawił komplementów laborantkom o 'ładnym wyglądzie', 'ślicznej bluzeczce' i 'nowym uczesaniu', jak właśnie Michał.

— Lepiej pracują — tłumaczył Joasi — wszystkie szkła mam zawsze wymyte, laboratorium, jak z igły. No to co mi to szkodzi? I tak nie wiem co która z nich ma na sobie.

Joasia wkłada długie, ciepłe różowe majtki do kolan, obciąga je na grubych pończochach (zawsze dygotała z zimna — to niskie ciśnienie krwi — i uważała, aby się nie zaziębić). Wciąga wełnianą spódnicę i bluzkę-garsonkę, którą sobie kupiła w Warszawie, na Nowym Świecie, specjalnie na ten wyjazd i która mimo zapewnień sprzedającej rozciągnęła się i obwisała workowato na szczupłej, płaskiej figurze Joasi. Z grzebieniem w ręku Joasia przed lustrem komody. No i co z tej 'wiecznej ondulacji' na wyjazd? Już po pierwszym domowym myciu stóg siana na głowie, kosmyki tu i tam. A niech to wszyscy diabli! Zepnę, podczeszę byle jak, przecież tylko pod beret. I do laboratorium! Beret Joasia nakłada puszysty — angorę — w kolorową kratę, kosmyki pod niego utyka. Już. Nie widać. Pomadką (Michała prezent z Ameryki — w „5 and 10" kupił nie patrząc jaki kolor — zbyt ciemną) przejeżdża usta i mmm-mmm wargami rozciera farbę. Pudru trochę na nos, szal na szyję, z 'klozetu'

wyciąga ciepłe buty, palto długie z watoliną, i z notatkami w dużej torbie, kładąc w pośpiechu ciepłe rękawiczki, zbiega po schodach na ulicę cała pogrążona w zawiesinie, mitochondriach i zawiesinowej temperaturze, prędzej, prędzej na poszukiwanie enzymu.

Dzień wietrzny, od bladego, wysokiego słońca jasność przeraźliwa bije w oczy, chrzęszczą cienkie skorupki lodu i mimo zimowych butów Joasia czuje wilgotny chłód pod stopami. Stanęła na przystanku, przestępuje z nogi na nogę, rozgląda się,wygląda, autobus nie nadchodzi. W soboty autobusy jeżdżą rzadko. Joasia szczęka zębami pod swoim watolinowym pancerzem, wciska nos w ciepły szal.

Muszę to tego dojść. Nie mogę wrócić do Polski z pustymi rękoma. Bo jak mi nie wyjdzie... Co ja zrobię? Będę siedziała dzień i noc, dzień i noc. A jak mi wyjdzie to... pójdę sobie do teatru. Człowiek potrzebuje rozrywki. I przecież jestem w Ameryce pierwszy raz w życiu i może jedyny, ostatni. A tak sobie wyobrażałam, tak się cieszyłam i... ten enzym zaraz na samym początku. Przez łzy widzi Joasia amerykańskie słońce wysokie bardzo, jak pięciodolarówka, słońce, które jej nie rozgrzewa. W oszołomieniu pierwszych tygodni pracy zapomniała nawet czego naprawdę spodziewała się od wyjazdu. Odpoczywała od rutyny domowej. Od czasu swego małżeństwa nigdy jeszcze sama nie była z daleka od domu na czas, który wydawał jej się nieograniczony. Pożegnała się z rodziną lekko, nawet radośnie. I to gnębiło. Zostawiłam ich, odjechałam od nich. Zakreślała więc sobie różne 'muszę i powinnam', aby czas wykorzystać należycie. Muszę napisać i opublikować pracę. Powinnam nauczyć się dobrze po angielsku. Muszę poznać kraj. Przebiegła już wszystkie w mieście muzea zmuszając się do dokładnego oglądania eksponatów, notowała skrupulatnie. A potem wszystko do listów. Co ja widziałam, na co się napatrzyłam i ile ja wam potem opowiem. Jednym z Joasi „muszę" było poznanie Amerykanów. Ale czy to tak łatwo! Michałowi udawało się. Zaraz nawiązał różne kontakty, zapraszany tu i tam. Kobiecie trudniej, kobiety nie zapraszają chociażby nawet była doktorem chemii biologicznej. Owszem, kolega z laboratorium zaprosił ją raz do siebie do domu. Poznała jego żonę i pięcioro dzieci, od pętaka w pieluszkach do ośmiolatka co ujeżdżał wydręczoną kanapę i fotele. Pięcioro dzieci — myślała Joasia — pięcioro, a widać jeszcze, że i na szóstym nie zaprzestaną. Ameryka to kraj rodzinny — zapewniała żona kolegi zmęczona przygotowaniami do obiadu i doglądaniem coraz to innego dziecka — my lubimy duże rodziny. Na Boże Narodzenie, jak to wszystko zgromadzi się wokoło choinki, a jak w poranek świąteczny zbiegają rano po schodach zobaczyć

co Santa powrzucał przez komin. Co to za radość — pocieszała się żona kolegi, promieniała ledwo trzymając się na nogach. Tylko najgorsze z *baby sitterem*. I na Joasię spojrzała błagalnie, wyczekująco. *Baby-sitter?* — pytała Joasia — *baby sitter?* Więc zaraz we dwoje zaczęli jej wyjaśnić co taki dziecinny *sitter* robi. W ogóle nic. Siedzi sobie i... nic. Czyta, na telewizję spogląda, dzieci grzecznie się bawią, potem tylko do łóżeczek dzieci układa i na Joasię spoglądają wyczekująco i błagalnie, aż jej *French Fried* stanęły w przełyku, o mało się nie zakrztusiła. Ojej — myślała — swoich dwoje zostawiłam, uwolniłam się, a tu pięcioro na mnie czyha. Powiedziała, że teraz bardzo zajęta, dzień i noc, tak dzień i noc pracuje, ale może kiedyś. Żona kolegi ochłodła nieco, rozczarowana poszła dzieci układać do łóżek, Joasia z kolegą zmyli naczynia, posprzątali kuchnię i tak się skończył pierwszy kontakt z Amerykanami. Język jednak trzeba było kultywować, podkształcać się w tym świat zawojowującym angielskim. W laboratorium więc rozmawiała z kim mogła, paplała o tym i owym — najważniejsze konwersacja — uśmiechali się, kiwali głowami rozumiejąc piąte przez dziesiąte z tą wyrozumiałą, pobłażliwą sympatią, tak bardzo amerykańską, o której Europejczycy wiedzą tak niewiele. Zabierali ją z sobą do szpitalnego *Coffee Shop,* albo do *Help Yourself,* szpitalnej jadłodajni i Joasia zwolna, stopniowo, zaczynała rozumieć ich szybki, gardłowo-nosowy język, chociaż ich językowe skróty na zawsze pozostały dla niej tajemnicą. Do Michała pisała: „Mój angielski już bardzo się poprawił, z dnia na dzień nabieram coraz lepszego amerykańskiego akcentu".

W zawiesinowym roztworze krążącym nieustannie w myślach Joasi pomiędzy mitochondriami wypływała niekiedy twarz i postać pewnego Włodka, który od roku już siedział na stypendium w Bostonie, owinął sobie, jak pisał, kierownika zakładu wokoło małego palca i mógł pozostać jak długo tylko chciał, zbytnio się nie przemęczając. Chociaż znajomość z Włodkiem ograniczała się do spotkań w Zakładzie w Polsce i do przygodnych zebrań towarzyskich, widocznie stosował on swój talent „okręcania sobie wokoło małego palca" nie tylko do kierowników Zakładu, bo myśl spotkania się z nim sam na sam w Ameryce, z daleka od jego i jej związków rodzinnych, wywoływała w Joasi głęboki, wewnętrzy dreszcz.

Joasia stoi na autobusowym przystanku, przytupuje zmarniętymi stopami, a myśl o bostońskim Włodku w tej amerykańskiej samotni, w tej enzymowej rozpaczy — rozgrzewa. Gdyby tak Włodek tu był! Zaraz by złapał enzym za włosy, wytłumaczył pomyłkę. No widzisz, Joanna, widzisz jakie to proste. Oj wy, kobiety, do mycia probówek, nie do pracy doktorskiej! Michał

też by wytłumaczył, znalazł błąd, ale by gderał. Siadaj — tu Joasia, ja ci to naszkicuję. Bo kłopot w tym, że ty nie masz abstrakcyjnej wyobraźni, ty nie masz logicznego umysłu. Do biochemii trzeba podchodzić z wyobraźnią. Nie myśl o niebieskich migdałach tylko staraj się zrozumieć, bo jeżeli już tracę czas... I zaraz by się pokłócili. Gdyby tak Włodek się tu teraz znalazł, wyrósł spod ziemi, zawołał: Joanna! A to dopiero spotkanie, trzeba opić! Niech żyją nasi sojusznicy Amerykanie i Anglicy! Zaprosiłabym go do domu, zrobiłabym kolację. No cóż wielkiego! Joasia czerwienieje aż po uszy. Ale teraz lepiej nie, lepiej niech się teraz nie zjawia. Nie uczesana jestem, nieubrana, nos mam na pewno fioletowy. Ale Włodek dryblas z wielką, roczochraną głową, w nigdy niewyprasowanych spodniach, Włodek — spryciarz, Włodek — geniusz fenomenalnie zdolny, wiosłuje burzliwie w zawiesinowym roztworze i zakłóca balans naukowej powagi Joasi. Joasia pisała już raz do niego i w odpowiedzi dostała lakoniczną kartkę: Serwus Joanna, *nice to have you here,* wybieram się na zjazd do Atlantic City.

To ja też pojadę — decyduje teraz Joasia. I zaraz do niego napiszę, opiszę całe doświadczenie. Spotkamy się w Atlantic City. A może przyjedzie tu? Może przyjedzie. Włodek jest taki koleżeński, tłumaczy się przed samą sobą Joasia i czerwienieje, czerwienieje od fildekosowych pończoch i różowych reform, aż po beret — angorę w kratkę.

— *Hi, doctor!*

Tuż przed nią zatrzymał się nagle jesno-niebieski Volskwagen, a przez otwarte okno wychyla się najwyraźniej ku Joasi (bo nikogo innego na przystanku nie ma) twarz w okularach w grubej, rogowej oprawie , *crew-cut* jasny i mocne zęby w szerokiej kwadratowej szczęce.

— *Aren't you the Polish doctor from Biochemistry at Pe eN?*

— *What?* — przytomnieje Joasia. — *Sorry, excuse me?*

— Nie poznaje mnie pani? — głowa jeszcze bardziej wychyla się przez samodowe okno. — Bo ja bym pani *sorry* z zamkniętymi oczyma poznał. Ten akcent! *Charming!*

To ten! — cofa się Joasia. — Te okulary, zęby, ta twarz. To ten idiota, ten niezdara nie z tej ziemi.

— Strasznie mi przykro. Czy pani się jeszcze gniewa? *I am terribly sorry.* Niezawsze rozlewam kawę. Nie przypomina mnie sobie pani? Doktor Armstrong. John Armstrong, ten co wylał na panią kawą w czwartek w *Coffee Shop.* Proszę siadać, podwiozę!

— Poznaję — mruczy Joasia. Myśli: Nie siadam, jeszcze mnie gdzie wywali.

Ale doktor Armstrong już drzwiczki volkswagonowe otwiera, ramię zapraszająco wyciąga:

— *Want a lift?*

Autobus czy samochód? Stać na przystanku jeszcze godzinę? Za Volswagenem zatrzymany z tyłu Ford trąbi, a za Ford'em Chevrolet wściekle się rzuca.

— Prędzej — woła dr Armstrong — prędzej, ostrożnie!

— Siadać! — krzyczą z Ford'a! Na rozmówki im się rano zebrało!

Za Chevrolet'em już Rambler i Chrysler, a wszystko trąbi, rzuca się, dyszy, więc Joasia dwoma skokami Volkwagen'a dopada, płaszcz pod watoliną zaplątuje się w drzwiczki, torba z notatkami z rąk wysuwa, beret-angora na nos zjeżdża i tak oślepiona szamocząc się z płaszczem, ratując notatki, byle prędzej, prędzej, prędzej! Bum! ląduje na szerokiej piersi doktora Armstronga. Ramiona zatrzymały ją przez chwilę, usadowiły obok na siedzeniu i już... podskoczyli, ruszyli, jadą. Joasia trzyma beret na kolanach, przeciera nim okulary, czuje włosy na policzkach, na czole i podnosząc głowę, mrugając oczami szepcze zażenowana:

— *Thank you, thank you very much, excuse me, sorry...*

— Do szpitala? — spytał.

— *Yes.*

Odwrócił głowę od kierownicy, spojrzeli na siebie i nagle Joasia wbrew samej sobie i nie wiadomo dlaczego posłała w kierunku rogowych okularów promienny uśmiech przeznaczony dla bostońskiego Włodka, który w tej samej chwili razem z mitochondriami utopił się w płynie mózgowo-rdzeniowym Joasi.

— *I like you* — powiedział. — *I like to see you smile.*

Spuściła głowę, spojrzała na swoje zimowe buty. Te buciory... te buciory...

— Strasznie mi przykro za ten czwartkowy wypadek. Miałem tylko pięć minut czasu na kawę, tam jest zawsze taki tłok. Czy bardzo panią sparzyłem?

— Niebardzo. Ale mógłby być pan ostrożniejszy.

— Szalenie mi się podobało, jak mnie pani wymyślała. Nic nie mogłem z tego zrozumieć. Ale, słowo daję, postanowiłem panią odszukać, odkupić bluzkę.

— Nie potrzeba. Tylko niech pan na przyszłość uważa. Bo tak pędzicie, rozpychacie się, jakby się paliło.

— O.K. zgadzam się. Tylko to jest Ameryka, nikt nie ma czasu. Niech mnie pani jeszcze trochę zwymyśla.

Ale Joasia nic. Milczy. Tyle by chciała powiedzieć, taka, mawiał Michał, wygadana, a tu angielszczyzna język jej tamuje. Oparła się o siedzenie. Ciepło. Jedzie sobie do szpitala samocho-

dem, tłuc się autobusem nie potrzebuje. I nagle może pod wpływem ciepła, a może niedawnego szoku zderzenia z doktorem Armstrongiem — zrozumiała. A tak jasno, wyraźnie, że aż krzyknęła:

— Temperatura!

— *Yes?* — spojrzały na nią rogowe okulary.

— Temperatura! — podskoczyła doktor Joasia, aż głową uderzyła o niski volkswagenowy sufit. — Że też ja wcześniej nie wpadłam na to! No przecież to takie proste!

— Co się stało? Uderzyła się pani? Co ja znów takiego zrobiłem?

Rozpromieniona, szczęśliwa zaczęła mu bezładnie tłumaczyć o mitochondriach i enzymie, o doświadczeniu, o swojej niedawnej rozpaczy i że właśnie teraz, przed chwilą....

Stanęli na czerwonym świetle. Zdjął okulary, patrzył na nią.

— Teraz, przed chwilą przyszło mi to do głowy. A gdybym pana nie spotkała, doktorze, to może męczyłabym się cały dzień. To dzięki panu. *Thank you, thank you very much indeed!*

— To jednak coś dzięki mnie. Musimy to uczcić. *Have a dinner with me to-night.*

Światło się zmieniło. Włożył okulary. Ale spojrzenie zostało przy Joasi. I chociaż nie patrzył już, a tylko skoncentrowany na drodze, czekał na jej odpowiedź, Joasia czuła jak rumieniec zza uszu rozlewa się na policzki, na czoło na szyję. Myślała: Historia nie z tej ziemi, historia nie z tej ziemi. Prosi mnie na obiad ten... ten...

— Pójdziemy? — spytał.

Zza zakrętu ulicy wieżowiec szerokorondnego kapelusza uchylił, dziesiątkami okiennych monokli zerknął zaczepnie: Jo-asiu, Jo-asiu *how-do you-do?* A cień dziewczyny na samym szczycie podskoczył w cowboyskim kankanie: *Hi, sister!*

— *Thank you very much* — szepnęła.

— Dziękuję tak, czy dziękuję nie?

Myślała: Historia nie z tej ziemi.

— A może ma już pani *date* z jakimś polskim bohaterem. U was każdy, albo przynajmniej co drugi, mężczyzna jest bohaterem. Prawda?

— Kobiety też.

— *Sure.* No to co, bohaterko?

— Dziękuję, tak — powiedziała. — Myślała: Co też ja wyprawiam? Zwariowałam! Ale to zupełnie sympatyczny człowiek. Powinnam poznać Amerykanów. — Dziękuję, tak, doktorze Armstrong.

— Nazywam się John. Jak pani na imię?

— Joasia.

— *Charming. But how do you spell it?*

— Dżej-o-ej... Nie, nie, najlepiej niech pan powtórzy: Jo-a-sia.

— Za trudne. Czy wystarczy na początek tylko „Jo"?

— Nie, nie, musi pan powtórzyć wszystko.

— John.

— Powtórz wszystko, John.

— Nauczysz mnie wieczorem, Jo, będę się uczył po polsku.

— Myślała: Historia nie z tej ziemi. I już szpital! Już zajechaliśmy, tak szybko. Szpital stał wsparty ciężko o ulicę i patrzył na zegarek. Minęli go, przejechali na drugą stronę i zatrzymali się za ogrodzonym drucianym parkanem *parking lot.*

— Mam dyżur do 7,30. Zajadę po ciebie, Jo, gdzie mam zajechać?

— 2715 Mayburry Avenue.

— O 8-mej? Mogę być już za 15 ósma.

— Za piętnaście ósma, będę czekała tam na przystanku.

Uśmiechnął się: O.K.

Dopiero, gdy wyszedł z samochodu mogła mu się lepiej przypatrzeć. Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, pewnie nie wiele starszy od niej. Mimo chłodnego dnia miał na sobie tylko nieprzemakalną kurtkę. Otworzył jej drzwiczki, wyciągnął rękę pomagając wysiąść z samochodu ruchem tak bezpośrednim i koleżeńskim, że Joasia zapomniała o „historii nie z tej ziemi" i czując pod stopami twardy grunt *parking lot'*u powiedziała najnaturalniej i po raz pierwszy w życiu wymawiając poprawnie „th":

— *Thank you,* John.

— Może jednak o ósmej — powiedział. — Mogę się spóźnić i nie chcę, żebyś czekała na dworze.

— O ósmej — zgodziła się.

Spojrzał na zegarek.

— Przepraszam — powiedział — jestem już spóźniony. Do zobaczenia! — Uśmiechnął się, spojrzał na Joasię krótkim, uważnym spojrzeniem i wydawało jej się że zauważył wszystko, przydługi płaszcz, ciężkie zimowe buty, szalisko zakrywające pół twarzy, potargane włosy, nie upudrowany nos, całą jej niezręczność, zmieszanie i radość, którą starała się ukryć, jej okulary w drucianej ramce, które powinna zmienić na inne, stanowczo zmienić na inne bardziej twarzowe.

— Jo-a-sia — powiedział.

Odwróciła się szybko. Przebiegł jezdnię nie czekając na zatrzymanie ruchu. Po drugiej stronie, na chodniku odwrócił się

jeszcze, podniósł rękę. Frunął schodami do drzwi szpitalnego budynku. Zniknął.

Stała, patrzyła na ruchliwe drzwi szpitala, którymi ktoś co chwila wchodził i wychodził. Jej uniesiona na pożegnanie ręka opadła. A może zakpił ze mnie? Może nie przyjedzie? Zimowe słońce wyciągnęło rękę spoza szpitalnego dachu i pogłaskało Joasię po okularach. Zdjęła je, przymknęła oczy.

Z czego ja się cieszę? Ach prawda, znalazłam enzym. To odprężenie, reakcja. A jeśli to prawda? Jeżeli naprawdę mnie zaprosił? I pójdę z nim dziś wieczór na obiad? W tym palcie? W tej sukience? Z tymi potarganymi włosami?

Michał nawet w okresie narzeczeństwa nie zapraszał jej na obiad do restauracji. Jedli zawsze w stołówce zakładowej. A potem mieszkali razem z jego rodziną, w odnajętym od jego rodziców pokoju, jadało się przy wspólnym stole przy którym zawsze wybuchały awantury. Co to za przyjemność restauracja? — mawiał Michał — w stołówce zjesz to samo i taniej. Dojdzie do tego, że człowiek będzie połykał odpowiednią ilość pigułek: węglowodany, proteiny, tłuszcze i witaminy. A gdy próbowała gotować w domu, narzekał: strata czasu na pichcenie i szorowanie garów. Mnie i tak wszystko jedno co jem.

Zaprosił mnie na obiad! A jeżeli to prawda? Ojej, a jeżeli to prawda? No przecież zaprosił mnie i coś mi się wydaje, coś czuję, że to naprawdę. Zeszła z *parking lot*. Spojrzała na szpital postąpiła krok naprzód, stanęła. Zawróciła, ruszyła w stronę miasta. Zdjęła szal i beret, wiatr rozwiewał jej włosy. Znalazłam enzym, to już teraz wszystko głupstwo, wiem co robić. No patrzcie, znalazłam enzym!

Idzie Joasia ulicą wspinającą się stromo, aż do skwerku, a tam z potężnego cokołu, kamienny Washington mrugnął do niej kamiennym okiem:

— *Welcome!*

— Przecież coś mi się od życia należy — tłumaczy Joasia.

— *Free Country!*

— No to dlaczego nie mogę pójść z tym lekarzem na kolację?

— Wolność dla każdego niezależnie od rasy, wyznania i płci.

— Tak mało mam rozrywek i... powinnam nauczyć się po angielsku.

— Ja jako ojciec tego kraju daję ci moje ojcowskie pozwolenie.

— Jako Polka jednak powinnam zachować godność i dystans, więc może nie należało...

— Tylko nie zaczynaj z polskością, na Pułaskim straciłem grube dolary.

— Ale to przecież nic złego, więc chyba...

— Niech ci Statua Wolności przyświeca i od czasu do czasu znicz swój dyskretnie ręką zakrywa.

— Tylko, że ja nic o nim nie wiem, i on też mnie właściwie nie zna.

— Wszyscy tu równi... *One Nation...*

— Jak już, to już! Pójdę do fryzjera, kupię sobie sukienkę i... inne majtki. W tych mi jakoś cholernie gorąco.

To była gospoda za miastem. *Log cabin*. Opasana półkolem lasu, wsparta o trzy czarne świerki — olbrzymy przerastające jej dach. Błękitne jej światła padały na *High Way*. Na dziedzińcu spały strudzone samochody. Ich sen był czujny, strzegły ciszy gospody. Dotarli tu po jeździe długiej plątaniną dróg i wiejskich alei mijając krzykliwe przedmieścia pełne zgiełku neonów i puste obszary późnojesiennych pól, aby tu wpaść w ciszę niespodziewaną, łagodnie szemrzącą. Po chrupkim chłodzie wieczoru ciepło wnętrza: ścian wybitych drzewem, bocznych lamp o stłumionym świetle, świec na stolikach w niebieskich, szklanych kloszach i ogień na wielkim, ceglanym kominku. Siedziała wpatrzona w tańczący przed nią płomyk świecy, milcząca, chociaż przecież w samochodzie mówiła nieustannie o Zakładzie, pracy swojej w Zakładzie, ale tu stawała się coraz bardziej świadoma obecności John'a, swojej chęci spojrzenia na niego i jego wzroku który ją obejmował w całości, krytykował pewnie, zawiedziony może że ją tu zaprosił, bo przecież wiedziała dobrze, nie było w niej nic nadzwyczajnego i jeszcze te okulary, okulary w drucianej ramce. A John uśmiechnięty, pewny siebie, zawadiacki, oparty jednym ramieniem o stolik przychylony ku niej, patrzył. Zdjęła okulary.

— Jak ty inaczej wyglądasz — powiedział.

— Okulary. Zdjęłam okulary. — Podniosła rękę, trzymała jeszcze w ręce okulary, chciała je nałożyć. Powstrzymał jej rękę.

— Nie. To nie tylko to.

— Ale ja jestem krótkowidzem więc...

— Więc dlaczego zdjęłaś okulary?

Zaczerwieniła się.

— Masz pewnie kompleks, że w okularach nie jest ci do twarzy. Jako mała dziewczynka wyrzucałaś je i łamałaś.

Roześmiała się: — Tak!

Wyjął jej okulary z ręki i położył na stole.

— Taka mała rzecz, jak to może nas unieszczęśliwić i onieśmielać. Ja też miałem kompleks okularów, ale teraz już nie.

Spojrzała na niego, myślała: Ale one pasują do ciebie, ta ciężkość ramy podkreślająca oczy podoba mi się. Powiedziała: Nic teraz nie widzę.

— Nic, zupełnie nic?

— Widzę dobrze nasz stolik, tę ścianę, kominek, ale wszystko dalej zamazane trochę, może też dlatego, że tu jest półmrok.

— Ale mnie widzisz dobrze?

— Tak.

— Dlaczego nie powiedziałaś, że mnie widzisz?

— Dlaczego nie powiedziałam?

— Tak. Jestem najbliższy w twoim polu widzenia, przed chwilą przyglądałaś się mnie, moim okularom, jeśli nie mylę się, zastanawiałaś się nawet nad moją twarzą, mimo to wolałaś powiedzieć „nie widzę", jakbyś przed czymś albo na coś chciała zamknąć oczy.

— Nie wolałam, po prostu powiedziałam.

— Twoja podświadomość ostrzega cię.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Nie szkodzi. Powoli zrozumiesz. A czy wiesz chociaż gdzie jesteśmy?

— Nie umiem przetłumaczyć nazwy tego miejsca. Ale tu jest ładnie, bardzo ładnie, tak... ciepło. *Thank you.*

— *Thank you for what?*

— Za zaproszenie do tej...

— *Blue Bayou.*

— Co to znaczy?

— Mała, niebieska zatoczka. Właściciele pochodzą pewnie z południa, może znad Mississipi, bo tam pełno jest tych błotnistych, rozlewnych *bayous.*

— Powinnam nosić z sobą słownik.

— Czy traktujesz nasze przyjście tu dziś jak lekcję angielskiego?

— Nie!

— A więc były i inne powody? — Wyciągnął rękę, dotknął jej policzka. — Czerwienisz się, gorący policzek.

— To ten *coctail.* Nigdy, prawie nigdy nie piję.

Cofnął rękę: *Sorry,* to był odruch lekarza, badałem czy pacjentka nie ma gorączki.

— Czy się tak zachowuję?

— Niewątpliwie masz trochę podniesioną temperaturę, szybszy puls, błyszczące oczy.

— Tu jest ciepło. Ten kominek.

Czuła żar ognia na policzkach, płomień obejmował kłody drzewa i jej oparte o stolik dłonie. W żelaznym kole żyrandola

senne światła świec. Wnętrze gospody — szkatuła wybita pluszem, postacie ludzi przy stolikach osypane półmrokiem, stare fuzje i flinty na ścianach. Dziś po południu przyszedł list od Michała. Kasia pyta o ciebie, pokazywałem jej na mapie gdzie jesteś i pamiętaj, ażebyś odwiedziła...

— Jo-a-sia, o czym myślisz?

— Przyglądam się tej gospodzie.

Myślała: On na pewno też gdzieś chodzi wieczorami, do teatru, do kina, a jak był tutaj jeździł, nawiązywał znajomości. Dokąd ja mam pójść, kogo odwiedzić?

— Jo-a-sia... — dotknął jej ręki.

Nie myślała już. Cała spłynęła ku temu dotknięciu ręki. Cofnął rękę, spojrzała na niego.

— Wydawało mi się, że myślisz o czymś innym, z taką intensywnością nie obserwuje się gospody.

— Dostałam dziś list od męża — powiedziała.

— Aaa! — wyprostował się. — Nie wiedziałem. Został tam?

— Tak. I mam dwoje dzieci.

— Tęsknisz za nimi.

— Trochę.

— Na jak długo rozstaliście się?

Myślała: Rozstaliśmy się. Dzielą nas ocean i morza. Na jak długo? Nie tęsknię za nim, to nieprawda, że tęsknię za nim. Brak mi Kasi i Zbyszka. Ale i to nawet nie jest tak dotkliwe, jak powinno być.

— Nie wiem jeszcze — powiedziała — to zależy. Mój mąż był tu też. Cały rok. Zresztą wyjeżdża stale...

— Więc ty też chciałaś?

— To potrzebne do mego naukowego rozwoju.

Roześmiał się.

— Cóż w tym śmiesznego? — oburzyła się.

— *I am sorry.* Powiedziałaś to jak wyuczoną lekcję: Potrzebne do mego naukowego rozwoju.

— Może wyraziłam to źle po angielsku?

— Zupełnie poprawnie, ale i tak nie wierzę, że przyjechałaś tu dlatego.

— A więc dlaczego? Dlaczego?

Szerokie ramiona w ciemnej marynarce drgnęły małym, ukrytym śmieszkiem, podniosła oczy na wysokość jego ust, wargi rozchylone, ale klawiatura zębów milcząca, spojrzała na twarz, palce cieni wędrowały po policzkach i czole, ręce cieni pieszczotliwie przyciągały jego głowę, aż cofnęła się zażenowana: Co on myśli? Co on sobie wyobraża?

Szepnęła: — Dlaczego?

Kelner w marynarce białej w esy floresy rozdzielił ich, cienie spłoszył, postawił talerz przed Joasią, przed John'em, koszyczek z pieczywem, drewniane miseczki z sałatą, krzątał się pomiędzy nimi, rozdzielał.

— *Thank you* — powiedział John.

— *I hope you will enjoy it.* — Kelner odpłynął, ale ręce jego jeszcze pomiędzy nimi i zapach pieczywa i pieczonego mięsa, ktoś obok przy stoliku roześmiał się i całe wnętrze gospody zaroiło się, zabrzęczało dźwiękami, stukaniem kroków, półgłosem rozmów, John podał jej koszyczek z bułkami, przekroiła bułkę, przełknęła ostatnie „Dlaczego", rozłożyła serwetkę na kolanach. Kogo, pisał Michał, miałam odwiedzić? Acha, państwa Kruk-Czerny. To zaraz jutro...

— Chcesz wiedzieć Jo-a-sia?

— Wiedzieć, co?

— Dlaczego tu przyjechałaś? Pytałaś przecież.

— Tak. Dobrze.

— *Are you sure?*

— *I am sure* — uśmiechnęła się, a szmery gospody znów zaczęły ucichać i wsiąkać w pluszowe ciepło ścian.

— Aby przyjść tu ze mną na kolację.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, ale zanim zaczęła w pełni rozumieć, poczuła że się czerwieni, na szyi, na policzkach, za uszami. Skrzyżowała ramiona przed sobą, obserwował kątem oka, a uśmieszek z kącika ust drwiący, chochlikowaty odnajdywał rumieńce policzków i szyi. Bezczelny — zgrzytnęła zębami, gruboskórny, pewny siebie Amerykanin, nie powinnam była... Wyjdę stąd zaraz, zatelefonuję po taksówkę...

Wyciągnęła rękę. Powiedział: — Uderz, ulżyj sobie.

Siedziała sztywno obmyślając jakby stąd uciec.

— Nie chcesz uderzyć? Boisz się dotknąć mojej ręki? Nie odpowiadasz za siebie?

— Och to nie jest prawda, to nie jest prawda. Ale zawsze mówiono mi, że Amerykanie są zarozumiali, młodzież zepsuta, rozwydrzona, że tylko sex, u nas jest taki pęd do nauki, ale ty tego nie możesz zrozumieć John, tobie się wydaje...

— Zaczynasz mówić lepiej po angielsku, oburzenie często pomaga nam w lepszym wysłowieniu się.

— ...wydaje ci się, że jeżeli przyszłam tu...

— A może w tym co powiedziałem jest jednak część prawdy? Zaczerwieniłaś się, jakbym cię dosięgnął bardzo głęboko.

— Och to jest... to jest...

— Jak to dobrze, że nie masz słownika.

Pochylił się nad talerzem, zaczął kroić mięso. Spojrzał na nią:

— Nie jesz? Zapewniam cię steak tutaj jest doskonały.

— Zjem i zaraz będziemy musieli wracać, mam jeszcze dużo roboty.

— Naturalnie, ale może jeszcze zmienisz zdanie.

— Nie zmieniam zdania.

— Ani tego zdania o Amerykanach i rozwydrzeniu amerykańskiej młodzieży?

Pokręciła głową. Jadła nie czując smaku. To moja wina, nie powinnam była... teraz rozpowie wszystkim w laboratorium.

— To nowa sukienka? — spytał.

— Dlaczego?

— Bardzo ci w niej do twarzy.

Uśmiechnęła się, nie mogła zapanować nad uśmiechem.

— Śliczna sukienka i taka nowa. — Wyciągnął rękę i zanim zdążyła się cofnąć odpiął cenę przyczepioną do rękawa.

— 19. 95 — powiedział. — Położył cenę na stoliku.

— Ach — jęknęła.

— Już nie będę — powiedział — już nie. Przyrzekam. Tak się ucieszyłem jak zauważyłem tę sukienkę. Kupiłaś ją specjalnie na tę kolację. *I like you.* I tak bardzo tego chcesz, tak bardzo chcesz tego, nie potrafisz nic ukryć.

— Chcę, czego?

— Hm — powiedział — rozwoju naukowego, naturalnie.

Nie patrząc na nią wyciągnął rękę: — Uderz, ulżyj sobie.

Ścisnęła dłoń w pięść i uderzyła. Zatrzymał jej rękę. — *I am sorry* — powiedział.— A teraz już jedz, nie będę przeszkadzał.

Ściany gospody znów ścieśniły się wokoło nich, miękki plusz przylegał do skóry i drażnił. Dlaczego ja tu przyjechałam? — myślała.

— Moja żona — powiedział — była córką komandora marynarki. Odbywałem moją służbę na Wschodzie to było zaraz po *intership.* Poza granicami kraju człowiek czuje się samotny, była sympatyczną dziewczyną, po kilku miesiącach pobraliśmy się i przez następne kilka miesięcy wszystko było dobrze, w każdym razie mnie wydawało się, że dobrze, bo potem dowiedziałem się od innych, że zaczęła mnie zdradzać zaraz na początku.

— Co się z nią stało?

— Wyszła zamąż.

— A ty, John?

— Nie zarabiam jeszcze dość dobrze, na razie starcza mi na kolacje w różnych *Blue Bayous.*

— Nie smakuje ci steak?

— Bardzo dobry, tylko to trochę za dużo.

— Jo-a-sia.

— Tak.

— Żona nie rozstaje się z mężem tylko dla rozwoju w karierze naukowej.

— Chodźmy już — powiedziała.

— Nie napijesz się kawy?

— Nie, chodźmy już.

— Chciałbym ci jeszcze coś pokazać, pojedziemy tam na kawę, dobrze?

— Gdzie to jest? Muszę już jednak wracać.

— To po drodze, wstąpimy na pół godziny.

Skinęła głową. Jej uśmiech, którego już nie mogła, ani nie chciała ukryć zakwitł pomiędzy nimi.

— *I like the way you smile* — powiedział.

Podał jej płaszcz. Szli wolno poprzez dziedziniec gospody. Listopad przechylony już mocno ku grudniowi chrzęścił pod stopami resztką zeschłych liści, ale księżyc, może odmłodzony ostatnim flirtem z astronautą, był jasny i niemal wiosenny. Niebieski Volkswagen warował na *parking lot*.

Wydawało jej się, że nie jadą szosą, a unoszą się w górę. Poczucie własnej lekkości zadziwiało ją i uszczęśliwiało. John nie odrywając wzroku od *High Way* dotknął jej ręki:

— *Happy?*

Skąd wiedział o tym? W jaki sposób natychmiast przeniknął jej uczucia? Dawno, a może nigdy nie czuła się tak bardzo sobą, sobą nieskrępowaną, wyzwoloną ze wszystkiego co nie było jej najprawdziwszą istotą. To, co zostawiła poza sobą: związki rodzinne, zdobycze naukowe wydawało się nierealne, jakby w innym wymiarze, na innej planecie. Przyglądała się sobie samej po raz pierwszy nie poprzez pryzmat doktor Joanny Janiak, nie matki Zbyszka i Kasi, nie żony Michała, ale samej sobie — Joasi. Wydawało jej się dotychczas, że bez tamtych nadających jej znaczenia i sensu istnienia ról, była tylko medium laboratoryjnym potrzebnym do przeprowadzenia uważniających je procesów. Skinęła głową. Nie wiedziała jak wytłumaczyć mu swój obecny stan, dlaczego na pytanie: *Happy?* nie odpowiedziała nawet: „Tak". „Tak" byłoby zbyt blade, zbyt wąskie, nie zamknęłoby całości jej uczuć, bo przecież nie było to tylko uczucie przyjemności przebywania z John'em, był to jakby rodzaj odkrywczej radości badacza, który nie spodziewając się odnajduje w mikroskopie żyjącą tkankę, o której istnieniu już zwątpił. Jechali długo nie odzywając się wiele do siebie. Przedmieścia wyskakiwały już po obu stronach szosy, a daleko, na horyzoncie widać było pasmo elektrycznej poświaty — miasto.

Zatrzymali się przy prostokątnym, betonowym budynku, który był częścią podmiejskiego *Shopping Center*. Krwawo-zielone neony śpiewały swój krzykliwy, nocny hymn, a na szerokim placu, otoczonym zgrają nowoczesnych, tanich budowli, gwardia samochodów prezentowała broń prętami radiowych anten.

Pomógł jej wysiąść z samochodu, a potem przystanął przypatrując się przez chwilę jej twarzy.

— Ten wieczór cię zmienia — powiedział. — Nie — zmienił. Zmienia. — Uśmiechnął się. — Mnie też.

— Jak? — spytała.

— Ludzie lubią przeglądać się w lustrze, cieszysz się tym co widzisz.

— W lustrze?

— Różne mogą być lustra. Chodźmy — ujął ją za ramię — to już tu.

Były to zwykłe, drewniane drzwi, na nich mała tabliczka z nazwą lokalu.

— To warto zobaczyć — powiedział — taki mały wycinek współczesnej Ameryki. Nie boisz się? — zażartował. — Tam jest ciemno.

Roześmiała się, ale po trzynastu schodach w dół szła trochę przerażona czerwonawą ciemnością tego *Coffee Shop*, a trochę tym co tam zobaczy, z czym się zetknie: młodzieżą rozwydrzoną o której tyle słyszała, czytała, więc i ciekawość i lęk i jednocześnie ramię John'a podtrzymujące uprzejmie na skraju uprzejmości i opieki; ramię, jedyna rzecz stała, pewna, znana w tym opuszczaniu się w dół, zagłębianiu się w nieznane. Po schodach obitych czerwonym dywanem i coraz głośniejszych brzękliwych tonach gitary spłynęli do kawiarni *Thirteen Below*. A tam pieczara, czerwone lampki oliwne oświetlają głowy w półmroku kołysane rytmem gitary, bluzki dziewcząt na piersiach opięte, chłopców koszule kraciaste szeroko pod szyją rozpięte i podium prymitywne. Na podium — księżyc reflektoru, w tym tle dziewczyna w krótkiej sukience czerwonej, włosy ciemne, gładkie, chłopiec w sportowej koszuli, gitary czule objęte, a oni połączeni półuśmiechem konspiracyjnym trubadurów pół-deklamują, pół-śpiewają:

...Someday when I'am dead and gone
To heaven, the land of my dreams
I won't have to worry on losin my job
Bad time or big machines...

Ściany piwnicy bielone, sufit niski, pod nim chmura dymu papierosowego, jak obłok kurzu spod kopyt konia.

Szli przeciskając się pomiędzy ciasno ustawionymi stolikami, prowadzeni przez dziewczynę, której proste, jasne włosy opa-

dały na czoło i policzek, a kolorowa krótka spódnica tańczyła wokoło bioder. Wskazała im stolik niewielki, drewniany, pochyliła się nad John'em:

— *Sir?*

Jej pochylenie było miękkie, niemal intymne, chociaż nie zaczepne, wydawała się dopuszczać ich do tajemnicy przyjmując zamówienie na Expresso.

Obok nich przy stoliku chłopiec skupiony, wpatrzony w rozpostartą dłoń siedzącej przy nim dziewczyny, wodził palcem po liniach jej ręki.

— Odgadywanie przyszłości — powiedziała Joasia — kiedyś też wierzyłam we wróżby.

— A teraz?

Aktorzy zakończyli głosnym akordem i kłaniali się w pas rozbudzonej nagle, rozentuzjazmowanej, klaszczącej i tupiącej widowni.

Człowiek sobie zawsze dużo wyobraża — powiedziała — w każdym razie ja. A potem, jak nie ma tego... tylko z dnia na dzień... z dnia na dzień... to już przestaje się wierzyć.

— Ale nie przestaje się szukać.

— Ja już niczego nie szukam, chyba... ech, nie ma co mówić, zresztą i tak nie wiem jak to wyrazić po angielsku.

— Jo-a-sia — powiedział — *you are a very charming woman.*

Ukradkiem poprzez czerwony płomyk oliwnej lampki spojrzała na jego twarz. Nie było w niej nic doskonałego: mocne szczęki, policzki sinawe od zarostu, nierówne brwi, ale oczy w brunatnej ramie okularów bardzo jasno niebieskie wydawały się ją przenikać niby nieomylne promienie roentgena, a usta energiczne zarysowane z których znikł już był dawno drwiący uśmieszek zatrzymały się w łagodnym pół-rozchyleniu po słowach *charming woman.*

Co on we mnie widzi? — myślała. I nagle zrozumiała, że widzi w niej to, co ona sama przestała już zauważać, nie tylko widzi, ale pomaga jej odkryć na nowo. Podniosła ręce i poprawiła włosy.

Na scenę znów wypłynął reflektor. Oświetlił twarz pieśniarki bladą, ciemniały tylko jej oczy i proste brwi. Głos jej był niski, bardziej przeciągłe nawoływanie niż śpiew od *crescendo* i *forte* opadał w szept.

— Czy twój mąż miałby żal do ciebie, że przyszłaś tu ze mną?

Zaczekała, aż dziewczyna na estradzie skończyła śpiewać.

— Nie — powiedziała — nie.

Naokoło oklaski i gwizdy: *More* — krzyczano. — *More!*

— Czasem wydaje mi się — powiedziała — że wszystko jest ważniejsze niż ja. Ale trzeba znać Michała. On już taki jest. Przede wszystkim praca, nauka, jest wybitny w swojej dziedzinie, dużo jeździ na różne konferencje. Wyszłam wcześnie zamąż, jeszcze w czasie studiów. Nauka, aby do magisterium, potem, aby do doktoratu. Dzieci. Dużo zostawałam sama. Michałowi wystarcza jego praca.

— *To be happy* — powiedział — *means to be self-sufficient.*

— Czy ty tak myślisz, John?

— To nie ja. To Arystoteles.

— Ja tak nie potrafię.

— Ani ja.

— Bis! — wołała widownia. — Bis!

— Jak ci się oni podobają? — spytał.

— Tacy jacyś bardzo romantyczni.

— Reakcja na współczesność. A może i część tego, czego wszyscy szukamy. Życie jest takie skomplikowane. Ile wymaga od nas. Chociażby od ciebie. Osiągnęłaś bardzo wiele ale w tym wysiłku o *achievement* zagubiłaś to najważniejsze czego najbardziej chcesz i szukasz.

— Czego ja szukam, John? — szepnęła.

Uśmiechnął się, położył rękę na jej opartą o stolik dłoń. Nie cofnęła ręki, siedziała zamyślona.

Na podium wszedł młody, szczupły chłopak, jego głos, gdy zaczął śpiewać akompaniując sobie gitarą mimo, że nikły i mało melodyjny uciszył, uspokoił natychmiast słuchających, a słowa piosenki oparte o proste, tęskne tony, jak o sękate kije wędrowców rozchodziły się wolno pomiędzy światłami lampek i przysiadały pod bielonymi ścianami piwnicy:

How many ears must one man have
Before he can hear people cry?
How many death will it take-til he knows
That too many people have died?

The answer, my friend, is blowin' in the wind
The answer is blowin' in the wind.

Danuta MOSTWIN

Wiersze

Bogdan CZAYKOWSKI

NOTY DO ŻYCIORYSU

Widziałem jak szedł,
a póki mógł z podniesioną głową,
a mieszczanki tańczyły z jaszczurkami we włosach,
a cyganiątka rzucały w ciemne zatoki pierścienie:

Trójrytmem rozwija się świat.

Widziałem, kazał sobie patrzeć,
długo, nie nerwowo,
a póki mógł z podniesioną głową,
w kole mieszanym towarzyszek, drobnomieszczanek, biurowców,
szturmówek, w strojach ludowych, w gazie, nieco bikini:
na wielki kościół Molocha, wielki kościół rzymski, kocioł bał-
[kański,

świętych aryjskich, obszar, wiek.

Gdybym zrobił katalog świata
(trójrytmem rozwija się świat),
byłbym jak wielka wieża Babel, lub król Popiel,
lub mysz podminowana, jeden ze stryjów zabójców, pani z lilii,
kat norymberski, psychoanalityk Hamleta, spowiednik Freuda,
bowiem, cóż ludzie robią, co im pozostaje?

Odpływają gwiazdy, jak dusza anioła, na rozkoszy, na obrzydze-
[niu

skotłowanego morza, cóż że morze kochamy,
cóż wynika?

Oto garść konkluzji,
które porzucam, bo czym się dzielić,
głodem, nic.

Mówię im:
Odbudowywałem w sobie długo
utracone poczucie trwania (patrz: Hirszfeld, gdy właśnie odkry-
[łem strach).

W paszczękę wiatru, lotność piasku, sypkość moczaru, wody
rozstępujące się, gasnący ogień, ogień pożerający, subtlen, pod-
[żarcie,

maski wycieńczające szpik, sen, cień, ta dusza przezroczysta,
to, co wiem, w kły wiatru:
Budowałem kościół kościsty, rzut niski, przywarowany,
wylot podziemny, u podnóża skały, przed warstwą lawy.

Z nacją pojednany tą tylko filozofią: dość,
tu stoję, drzewo, w nim gniazda, księżyc, narodziny i śmierć.
Śmierć była solidna, dałaby się skonsolidować,
gdyby ją tak mieć.

Więc cóż chwytałem,
skoro w trójzębie rozwija się świat?

Jednym odebrano życie, ci sobie odebrali
by zginąć nie w upodleniu, tak zdobywali wolność
którą odbierano, cóż
odbierano ziemię, kościoły, słowo poecie, trupy dzieci,
biżuterię, ziemie odzyskane, prawo odzyskania, abstrakcję prawa,
gdy wszystko to jest za olbrzymie,
w tym rozmachu —
gdybyż pojedyncze zabójstwo,
jakieś zwykłe poczucie trwania.

Widziałeś, jak szedł,
a póki mógł z podniesioną głową,
nie Żyd, nie Burżuj, i całkiem nie Obszarnik,
dziecko prawie, trochę opuchły, właściwie chudy, prawie nie
[głodny,

prawie nieżywy, jeszcze człowiek.

Mówię mu: jestem w tobie, choć ciebie nie ma.
Trwam, w zaciśniętej dłoni,
nie podniosę ciężaru pięści,
ale przelotna wydaje mi się śmierć.

I tak
głowę podniósłszy odszedł,
patrzył w oczy Yoricka,
ponad rozkopaną ziemię.

O. Wacław T. CHABROWSKI

UPOKORZENIE

porosty melancholii
przerastają
powierzchnię stawu rozlaną we mnie
jak palce ręki dziecka

strach nie ma duszy
ma jednak twarz pogrzebowej wystawy
ciężki zwinny język
serce grzmiące echami umarłych hoteli
stulone uszy

tu na ziemi
rekrutami męstwa
nie są ludzie
rekrutami męstwa
są rzeczy

ZEGARY

nie straszylibyście starców że umrą
że ich zegary zabiją
mumii pompejańskich że się im zalegną
w czaszkach węże
księży że mówią za długo o wieczności
teologicznej sekundzie

z kalekimi rękami
dłuższą i krótszą
zegary biją i świecą tarczą
raz ciemno raz jasno

tak samo dobę dzieliły
raz ciemno raz jasno
za Juliusza Cezara
za papieża Grzegorza

pozwólcie rękom zegarów żeby
mieszały jak łyżką i widelcem
kruchą trwałość czasu
z sypkim piaskiem ziemi

o zegary nakręcane skrzydłami mew
regulowane ludzkim lękiem
w skałach rysowane szkieletami ryb

Andrzej Lech SOWULEWSKI

MÓWIĘ O MIASTACH

są miasta
staroświeckie
drewniane
kłujące chudymi wieżyczkami gąbkę nieba
blaszane koguty i szyldy
uczepione woskowych kamienic
brzęczą na wietrze
w sarkofagach
pod pulchnym baldachimem ciszy
drzemią
królewskie
kości

są miasta
gdzie dzień jest ciemnością
a noc głodna wilczyca
wyje ochryple
wtedy księżyc błyszcząca hiena
pokazuje srebrny kieł
i dalej błądzi zawiedziony
pies uśpiony chininą
otwierając szklane oczy
nie szczeka

są miasta
brutalne
w stęchłym negliżu
wołające o żer
tam też wyłazi noc
próbuje coś mówić
chora na trismus
zrośniętą szczękę zakrywa gwiazdą
są takie miasta

Archiwum polityczne

Kronika angielska

POLONIA ROSYJSKA

Oficjalny spis ludności w roku 1959 wykazał, że w Związku Sowieckim żyje 911,253 Polaków. Z powyższej cyfry tylko 442,905 osób podało język polski jako swój język ojczysty. W Związku Sowieckim istnieją miliony Rosjan polskiego pochodzenia. Horodyński w swoich reportażach z Rosji, drukowanych przed kilku laty na łamach prasy krajowej — zauważył, że książki telefoniczne w wielu miastach na Syberii przypominają do złudzenia warszawską książkę telefoniczną. Tak tu jak i tam same polskie nazwiska.

Wyjąwszy Wilno, gdzie ukazuje się jedno pisemko w języku polskim o zasięgu czysto lokalnym — w całym Związku Sowieckim nie wydaje się ani pism ani periodyków, ani książek polskich. Dlaczego?

W PRL istnieje Rosyjskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które wydaje własne pismo pn. „Russkij Gołos". Są również analogiczne towarzystwa ukraińskie i białoruskie, które wydają własne pisma.

Polonia rosyjska mogłaby odegrać bardzo poważną rolę w normalizacji stosunków pomiędzy obu narodami, pod warunkiem, że miałaby zapewnione *normalne* warunki rozwoju. Jeżeli Rosjanie mają w Polsce towarzystwo kulturalno-społeczne z własnym pismem — dlaczego Polacy — choćby na zasadzie elementarnej wzajemności — nie mogą mieć w Związku Sowieckim towarzystwa kulturalno-społecznego z własnym pismem?

Rosjanie zamieszkali w Polsce mogą prenumerować i sprowadzać wszystkie pisma i książki wychodzące w Związku Sowieckim. Natomiast Polak zamieszkały w Leningradzie czy we Władywostoku gdyby chciał zaprenumerować — już nie mówię „Tygodnik Powszechny" lecz „Twórczość" natrafiłby na trudności.

Gdyby dziś w Warszawie premierem był Józef Mackiewicz, a ministrem spraw zagranicznych Wacław Zbyszewski, można by zrozumieć powody, które skłoniły rząd sowiecki do odmówienia debitu prasie, książkom i podręcznikom szkolnym wydawanym w Polsce. Dlaczego jednak uczniowie w kilku polskich szkołach w okręgu wileńskim nie mogą używać podręczników szkolnych wydawanych w komunistycznej Polsce — trudno doprawdy zrozumieć. Jeszcze trudniej jest pojąć, że tego rodzaju upokorzenie i lekceważenie łyka bez sprzeciwu rząd Polski Ludowej. Tenże rząd, który podręczniki szkolne wydawane w kraju wysyła darmo wszystkim skupiskom polonijnym na całym świecie z wyjątkiem Rosji.

Wyrównanie stosunków polsko-rosyjskich wymaga, by Polacy w Związku Sowieckim byli traktowani identycznie jak Rosjanie w Polsce.

Jestem przekonany, że gdyby sprawa Polonii rosyjskiej doczekała się kiedyś pozytywnego rozwiązania — do organizacji polonijnych zapisałoby się wielu Rosjan polskiego pochodzenia. Do amerykańskich organizacji polonijnych należy wielu Amerykanów którzy nie mówią po polsku lecz czują się związani z Polonią swym pochodzeniem. Polskie pochodzenie w Rosji nikogo nie deklasuje — przeciwnie, bywa często wspominane z dumą.

Polacy w Rosji i Rosjanie polskiego pochodzenia mogliby być pomostem pomiędzy obu narodami ponieważ ich naturalną historyczną rolą winno być dążenie do zbliżenia polsko-rosyjskiego.

Lecz pomiędzy aroganckim hegemonem a serwilistycznym satelitą nie może być naturalnych stosunków. W takiej sytuacji naturalna jest po jednej stronie nienawiść a po drugiej nieufność i pogarda.

O niezależność, o status partnera trzeba twardo i mądrze walczyć. Niezależności nie można sobie wysłużyć — tylko trzeba ją zdobyć. To nie jest jednak program na miarę Gomułki i jego administracji.

REFLEKSJE HUMANISTYCZNE

Einstein — choć na swój sposób był człowiekiem religijnym — na krótko przed śmiercią napisał, że nie przypuszcza by istniało życie pozagrobowe i osobiście nie pragnie pośmiertnego dalszego ciągu.

Łatwo jest być humanistą gdy osiągnęło się pełnię życia i twórczego rozwoju. Lecz co ma do zaoferowania humanizm ludziom, których życie jest jednym pasmem udręczeń, niepokoju i nędzy?

Humanizm głosi, że mamy do dyspozycji tylko jedno życie tu na ziemi i wszystko zależy od tego co z owego życia potrafimy zrobić. Mieszkańcowi zapadłej wioski w Indiach, który przez 10 miesięcy w roku przymiera głodem — humanizm w wydaniu zachodnio-europejskim musiałby się wydać filozofią wręcz okrutną.Czy filozofia okrutna może pretendować do miana humanistycznej?

Humanizm marksistowski góruje nad humanizmem zachodnio-europejskim swym reformizmem. Można powiedzieć, że marksiści raj pozagrobowy chcą zastąpić wizją raju na ziemi. Sceptyk doda, że jedną utopię pragną zastąpić drugą utopią, lecz nie to jest ważne. Istotny jest fakt, że marksiści zdają sobie sprawę, że upowszechnienie humanizmu możliwe jest tylko poprzez upowszechnienie reform, które zapewniłyby — jeżeli nie wszystkim — to większości — równy start życiowy. W tym wypadku nie chodzi o to czy proponowane reformy są celowe i czy zniesienie prywatnej własności środków produkcji jest bramą wiodącą do ziemskiego raju. Chodzi tylko o podkreślenie faktu, że marksiści uznają, że humanizm, jeżeli ma być poglądem filozoficznym, nie może mieć charakteru elitarnego — innymi słowy nie może być „cywilną religią" tylko dla tych, którzy korzystają z najlepszych warunków rozwojowych tak w sensie materialnym jak i duchowym.

Zarówno marksiści jak i humaniści zachodnio-europejscy walczą z religią starając się odebrać ją ludziom, którym nie są w możności stworzyć warunków koniecznych do pełni humanistycznego rozwoju. Tego typu postępowanie wydaje mi się sprzeczne z humanizmem. To tak, jakby ktoś chciał Eskimosów nawracać na wegetarianizm. Być może część Eskimosów zaakceptowałaby z czasem jarską dietę lecz wpierw trzeba by im umożliwić hodowanie ogórków i pomidorów.

Humaniści są zwolennikami całkowitej sekularyzacji. Wnioskują słusznie, że trudno jest pogodzić wolność i demokrację z oficjalną państwową filozofią.

Humaniści brytyjscy na łamach swych publikacji zwalczają chrześcijaństwo, które w Anglii — choć nie jest w dawnym tego słowa znaczeniu religią państwową — w pewnym sensie jest jednak religią panującą ponieważ głową kościoła anglikańskiego jest monarcha. Ci sami humaniści wykazują wielką powściągliwość w zwalczaniu marksizmu-leninizmu, który w Sowietach jest filozofią państwową w średniowiecznym tego słowa znaczeniu.

Humanista brytyjski, jeżeli jest sowietologiem, podchodzi do zagadnień marksizmu-leninizmu z podziwu godnym naukowym obiektywizmem. Opisuje, analizuje porównuje — nie porzucając, ani na chwilę postawy naukowego badacza. Ten sam humanista pisząc o chrześcijaństwie staje się natychmiast zaangażowanym bojownikiem i propagandzistą anty-kościelnego obozu.

Chodzi mi w tym wypadku o ów moment osobistego zaangażowania. O kierunku zaangażowania winno decydować obiektywne rozpoznanie sytuacji. Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że chrześcijaństwo nie zagraża dziś w Europie ani demokracji ani wolności. Bitwa o laicyzację Europy zachodniej z Anglią na czele jest w całości wygrana. Nawet kościół katolicki, który niegdyś palił heretyków na stosie — uznał prawo jednostki ludzkiej do postępowania zgodnie z głosem sumienia. W tym roku po raz pierwszy Watykan nie ogłosił indeksu książek zakazanych. Natomiast w bloku sowieckim ludzie za czytanie i rozpowszechnianie „książek zakazanych" idą do więzienia — a jeżeli ktoś pisze w zgodzie ze swoim sumieniem, jak Terc i Arżak, ląduje w łagrze.

Lecz to jest tak. Krytykowanie chrześcijaństwa na Zachodzie nie wymaga odwagi i niczym nie grozi. Można być agnostykiem wrogo nastawionym do religii i zachować równocześnie intelektualną społeczną i polityczną *respectability*. Stalin zapytał w Jałcie: „Ile papież ma dywizji?" Watykan nie ma ani jednej dywizji lecz Związek Sowiecki ma ich bardzo wiele. Zwalczanie chrześcijaństwa i Watykanu nie pociąga za sobą konsekwencji politycznych — natomiast jawna opozycja wobec marksizmu-leninizmu jest zawsze aktem politycznym. Osobiste zaangażowanie w tym kierunku nie ułatwia życia.

I wreszcie punkt ostatni. Antyklerykalizm jest *fashionable* ponieważ antyklerykałami od dziesiątków lat na zachodzie są bardzo wybitni ludzie. Brytyjskie „Towarzystwo Humanistyczne" dysponuje również gwiazdozbiorem znakomitych naukowców i pisarzy. Wręcz absurdalny wydaje się pomysł stowarzyszenia anty-marksistowskiego z galerią nazwisk takich jak Huxley, Ayer czy Hoyle. A przecież głównym i najpotężniejszym wrogiem humanizmu w epoce w której nam żyć wypadło jest upaństwowiony marksizm-leninizm w jego obecnej postaci.

Humaniści dyskutują z chrześcijanami. Ukazują się książki podsumowujące dyskusje, tak ze stanowiska humanistycznego jak i religijnego. Przed kilku miesiącami BBC nadało sześć rozmów-wywiadów z wybitnymi przedstawicielami British Humanist Association, które przeprowadził Kenneth Harris. Owe audycje ukazały się drukiem najpierw w „The Listener" a później w formie broszury.

Z marksistami i z marksizmem nie dyskutuje nikt. Jedną z przyczyn jest niewątpliwie brak znajomości marksizmu. Pismo święte w Anglii czytali wszyscy z prof Ayer'em włącznie — „Kapitał" Marksa czytali tylko specjaliści. Komunizm w Europie zachodniej a w szczególności w Anglii odgrywa rolę czysto marginesową. Jako ideologia jest w jeszcze bardziej beznadziejnej sytuacji niż chrześcijaństwo.

Dla emigranta z Europy wschodniej — komunizm, marksizm, stalinizm — to są terminy aktualne, żywe — ewokujące łańcuch subiektywnych, głęboko odczutych skojarzeń. W tym wszystkim każdy z nas jest osobiście zaangażowany.

Zachodni humaniści i liberałowie nie są w tym sporze osobiście zaangażowani. W reformacji marksizmu-leninizmu, w „zeuropeizowaniu" Rosji — nie widzą wielkiej sprawy stulecia.

Aleksander Kiereński, którego pamiętniki ukazały się ostatnio w Anglii — cytuje następującą wypowiedź Harry Hopkinsa:

> „Wierzyliśmy naprawdę w naszych sercach, że konferencja w Jałcie jest przedświtem nowego dnia — o którego nadejście modliliśmy się i o którym mówiliśmy między sobą od lat... Rosjanie udowodnili, że potrafią być rozsądni i przewidujący i nie powstał cień wątpliwości ani w duszy Prezydenta ani żadnego z nas, że możemy z nimi współżyć pokojowo przez wieki. Jednak myślę, że każdy z nas był świadom następującego zastrzeżenia. Nie umieliśmy przewidzieć co by się stało gdyby zabrakło Stalina. Byliśmy pewni, że możemy liczyć na jego rozsądek, roztropność i zrozumienie..."

Od owych lat jałtańskich zmieniło się bardzo wiele. Niemniej cień widma Hopkins'a do dziś kołacze się na dnie duszy każdego zachodniego liberała-humanisty. Ci ludzie wierzą, że stalinowców można ugłaskać a komunizm zmodyfikować układną i przyjazną dyplomacją. Uszlachetniający ferment dokona się samoczynnie — byle tylko sowiecką kadzią nie potrząsać.

My wiemy natomiast, że Rosji należy przemycać „drożdże" i trząść kadzią sowiecką z wszystkich sił.

W zakończeniu tej noty chciałbym podkreślić, że brytyjski ruch humanistyczny poddał ostatnio rewizji swą politykę. Jak wynika bowiem z artykułu prof. A. J. Ayer'a ogłoszonego w czerwcowym numerze „Encounter" — humaniści brytyjscy zamierzają w przyszłości zaangażować swe siły w walce o reformy społeczne — a nie jak dotąd w walce przeciwko kościołom. Jeżeli humaniści zstąpią z wyżyn teologicznych na ziemię, wcześniej czy później przekonają się, że naszymi przeciwnikami w walce o wolność, tolerancję i humanizm nie są biskupi tylko aparatczycy.

NIE-MARKSISTOWSKI „MARKSIZM"

Każdemu stadu zebr towarzyszą hieny, które likwidują stare i chore zebry oraz wątłe źróbki niezdolne do długich, wyczerpujących galopów. W ten sposób zapewnione jest prawidłowe funkcjonowanie darwinowskiego prawa *survival of the fittest.*

Engels przyrównując Marksa do Darwina wyraził pogląd, że tak jak Darwin odkrył i opracował prawa rządzące ewolucją świata zwierzęcego — tak Marks odkrył i opracował prawa rządzące rozwojem społeczeństw ludzkich.

Choć terminu „socjalizm naukowy" użyto pierwszy raz we Francji na wiele lat przed Marksem — dziś jedynie komuniści pretendują do roli przedstawicieli „socjalizmu nakowego".

Socjalizm nie jest nauką ani w wydaniu komunistycznym ani w żadnym innym — ponieważ do tej pory nie wykryto praw, które determinują rozwój procesu historycznego. Okazało się również, że rzekomy „naukowy socjalizm", czyli komunizm wprowadzony w życie, nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Bankructwo marksistowskiego „socjalizmu naukowego" jest całkowite. Lecz czy oznacza to, że po tych próbach winniśmy zrezygnować z wszelkich naukowych usiłowań zmierzających do wykrycia praw determinujących proces dziejowy? Czy bankructwo marksizmu w tej dziedzinie oznacza, że nie może być naukowej odpowiedzi na pytanie: co należy robić by utrwalić pokój i uchronić w przyszłości świat od wojen?

W Stanach Zjednoczonych wyodrębniła się specjalna gałąź wiedzy i badań pod nazwą *Peace research.* Jednym z głównych centrów nowej gałęzi wiedzy jest uniwersytet w Michigan. Kierownikiem katedry jest profesor Anatol Rapoport, autor pionierskiego dzieła pt. „Fights, Games and Debates".

Na wielu uniwersytetach europejskich, brytyjskich i amerykańskich istnieją naukowe ośrodki pokrewne p.n. „Conflict Studies". Naukowe badania w tej dziedzinie zapoczątkował uczony angielski Luis Fry Richardson, który pierwszy zastosował metodę matematyczną w analizie konfliktów wojennych. Ludzie zainteresowani tym typem studiów wychodzą z założenia, że propaganda pacyfistyczna nie prowadzi do niczego. Chcąc uniknąć wojny atomowej i poważniejszych konfliktów zbrojnych — musimy dokładnie wiedzieć co powoduje wybuch wojny?

Konwencjonalni krytycy wysuwają pogląd, że człowiek obdarzony jest wolną wolą i wskutek tego jego zachowania się nie można przewidzieć. Z drugiej strony wiadomo, że pomimo wolnej woli — ludzie w określonych sytuacjach postępują według pewnych schematów. Wiadomo na przykład, że dwa dni wolne od pracy przy pięknej pogodzie oznaczają w Anglii 80-90 osób zabitych w katastrofach samochodowych. Każdy z automobilistów posiada wolną wolę — niemniej ów ponury schemat powtarza się z przerażającą regularnością.

Najgroźniejsze są wydarzenia o własnej autonomicznej dynamice. W potocznej mowie mówimy wówczas, że wodzowie, czy mężowie stanu „nie panują już nad sytuacją". Do tej kategorii sytuacji zaliczyć należy w pewnych wypadkach wyścig zbrojeń i wojny światowe. Wojny światowe od

pewnego momentu nabierają charakteru zjawiska żywiołowego, które musi przebiec swój kurs, by się wyczerpać.

Badania ustaliły, że wszystkie wielkie konflikty są w gruncie rzeczy konfliktami ideologicznymi. Wróg nie tylko nie ma słuszności w sensie polityczno-prawnym lecz również reprezentuje zło w sensie etycznym. Większość ludzi godzi się wziąć do ręki karabin tylko wówczas jeżeli się przekona o moralnej słuszności swojej sprawy. Komuniści sowieccy wkładają wiele trudu by w masach utrwalić przekonanie, że kapitalizm jest nie tylko błędnym systemem ekonomicznym, lecz systemem złym w sensie moralno-etycznym.

Ludzie nie rodzą się komunistami czy demokratami. Wszystko zależy od wychowania i uwarunkowania. Istnieją dziś niezmiernie subtelne metody uwarunkowywania ludzi w pożądanym kierunku. Krytycy omawianych badań wysuwają pogląd, że jeżeli powiedzie się stworzyć naukową teorię dotyczącą zachowania się ludzi — wówczas manipulowanie materiałem ludzkim osiągnie wymiary opisane w „Nowym Wspaniałym Świecie" Huxley'a.

Prof. Rapoport stwierdza jednak, że studia prowadzone w tej dziedzinie nie są i nie będą „wiedzą tajemną" na usługach rządzącej elity. Przeciwnie — wyniki badań udostępnione najszerszemu ogółowi zabezpieczą ludzi przed indoktrynacją wszelkiego typu i gatunku.

W krótkiej notatce nie jest rzeczą możliwą zdać sprawę z postępu badań, które są prowadzone w 70-ciu ośrodkach naukowych, z których połowa znajduje się na terenie Stanów Zjednoczonych. Sądzę jednak, że dla Czytelników, zwłaszcza w kraju — interesujący będzie sam fakt, że nauka zachodnia podjęła badania w dziedzinie, w której marksiści byli wprawdzie pierwsi lecz zbankrutowali.

Należy stwierdzić, że dziś jeszcze nie wiemy czy jest rzeczą możliwą zbudować ogólną naukową teorię dotyczącą *human behaviour.* Lecz dla pragmatyków, którymi jesteśmy na Zachodzie — istnieje tylko jeden sprawdzian w tej sprawie to znaczy podjęcie próby. I tę próbę podjęto.

Osobiście uważam, że naukowcy zachodni mają w tej dziedzinie nie daleko większą szansę sukcesu niż Marks i jego epigoni. Naukowcy zachodni postępują tak jak Darwin — odrzucają wszystkie dogmaty z marksistowskimi włącznie. Poza tym mają do swojej dyspozycji aparaturę naukową, o której nie mogli marzyć Darwin czy Marks. Komputery przeprowadzają obliczenia i skomplikowane analizy tysięcy elementów w czasie liczonym nie na lata lecz na minuty.

Jeżeli usiłowania zachodnich naukowców dadzą pozytywne rezultaty — będzie to oznaczało, że jeden z głównych celów marksizmu został osiągnięty metodami nie marksistowskimi i poza ramami marksistowskiej ideologii.

„AUTODEZINFORMACJA"

Jeżeli w broszurze o wielkim nakładzie przeznaczonej do masowej i bezkrytycznej konsumpcji — przedstawia się niżej podpisanego jako agenta wywiadów amerykańskiego i niemieckiego oraz wroga granicy na Odrze i Nysie jest to w pewnej mierze zrozumiałe. W tym wypadku nie chodzi o informację tylko o dezinformację, której celem jest podważenie zaufania do „Kultury". Metoda jest haniebna lecz władze komunistyczne wnioskują, że

przeciętny czytelnik w kraju nie ma możliwości sprawdzenia słuszności oskarżeń, istnieje więc szansa, że pewien procent czytelników owym oskarżeniom da wiarę.

Inną rolę spełnia jednak pismo „Życie Partii", którego celem — jak sama nazwa wskazuje — jest informować „elitę" narodu, tzn. członków polskiej partii komunistycznej. W tym wypadku nie chodzi o masowego odbiorcę, który musi zadowolić się propagandą — tylko o klasę rządzącą, która — wydawałoby się — posiada prawo do rzetelnej informacji.

Toteż nie bez pewnego zdziwienia przeczytałem w „Życiu Partii' (z 5 maja br.), że jestem współpracownikiem „Deutsche Welle" i stypendystą „Wolnej Europy".

Nie tylko nie współpracowałem z „Deutsche Welle" lecz nigdy w życiu nie słyszałem ani jednego jej programu. Jeżeli chodzi o stypendia to muszę wyznać, że ani w Polsce przed wojną ani na emigracji po wojnie, nikt nigdy nie zaofiarował mi żadnego stypendium. Nie-konformistom, tzn. ludziom, którzy zawsze i uporczywie piszą to co myślą — nikt nigdzie nie daje nagród, stypendiów, orderów i tp. To jest zresztą cena, którą chętnie płacę za moje publicystyczne „sobiepaństwo".

Wracając do cytowanego artykułu w „Życiu Partii" — zdziwiło mnie, że polscy komuniści systematycznie okłamują nie tylko społeczeństwo lecz i samych siebie. Dezinformacja jest metodą, którą posługują się wszystkie ustroje totalne. Lecz autodezinformacja jest obłędem.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Wymiana orędzi biskupich, memoriał Kościoła Ewangelickiego, konsekwentne postępowanie Episkopatu i autorów memoriału — stanowią od ośmiu miesięcy w Niemczech niezwykle kontrowersyjny temat o stale wzrastającym zasięgu dyskusji i znaczenia politycznego. Przyszłość stosunków sąsiedzkich niemiecko-wschodnich jest omawiana na wszystkich szczeblach życia społecznego w niezliczonych spotkaniach, zebraniach, rozmowach „okrągłych stołów", konferencjach, seminariach i akademiach, przy coraz liczniejszym udziale powojennego pokolenia.

Słyszymy głosy wysokich dostojników duchownych, uczonych o światowych nazwiskach, znanych literatów a także i polityków różnego autoramentu. Czytamy wypowiedzi uczniów gimnazjalnych i weteranów walki o rewizję „krwawiącej i płonącej" wschodniej granicy Niemiec, ustalonej po pierwszej wojnie światowej. Podziwiamy temperament, pomysłowość agitacyjną, zawziętość, upór i wszędobylstwo niektórych przywódców i funcjonariuszy „Związku Wysiedleńców", oraz ich naśladowców spod znaku „Nationaldemokratische Partei Deutschlands".

Obserwujemy to wszystko, notujemy i czekamy na odległe lepsze czasy,

w których szczera rozmowa Niemca z Polakiem nie będzie grozić Niemcowi wylaniem z urzędu, a Polakowi obietnicą zatłuczenia go kijami, jak tego domagał się jakiś krewki nadczłowiek, słuchający dyskusji z Tadeuszem Nowakowskim w telewizji kolońskiej. Czekamy i będziemy czekać cierpliwie jeszcze dość długo, gdyż krystalizacja nowych nastrojów politycznych jest procesem bardzo powolnym w każdym kraju. Poza tym, zastosowany przez Kościół sposób próby ułożenia przyszłych stosunków niemiecko-polskich jest jedynym skutecznym w obecnych warunkach, a zwalczanie tego sposobu — desperacko prowadzone przez epigonów przemijającej epoki — dowodzi jego celowości.

Biskupi niemieccy doskonale zdają sobie sprawę z trudności upowszechnienia intencyj zawartych w orędziach obu Episkopatów. „Wymiana listów wywołała wielorakie i na różnych płaszczyznach odmienne echa: — od pełnego nadziei uznania, do negacji powagi dialogu tchnącego dobrą wolą" — czytamy w oświadczeniu biskupów niemieckich, opublikowanym 4 marca rb. w związku z uroczystościami millenijnymi polskich katolików. Oświadczenie to kończą biskupi następująco:

„Na znak starań o wzajemne zrozumienie między obu narodami, wzywamy wierzących w łączność Kościoła Chrystusa, by podczas uroczystości tysiąclecia Kościoła Katolickiego w Polsce i podczas maryjnych nabożeństw majowych łączyli się we wspólnych modłach z modlącymi się w tym samym czasie w Częstochowie. Prosimy o błagalną modlitwę zwłaszcza tych, którzy zaznali cierpień wojennych i których specjalnie doświadczyły fatalne czasy. Ich właśnie modlitwy i przez nich wyrażone pojednanie — w imię boskiego dzieła zbawienia w cierpieniu i potrzebie — przyczynią się do pokonania wszystkich nieszczęsnych skutków wojny w sposób wszechstronnie słuszny i zadowolający".

Równocześnie z tym oświadczeniem opracowano program uroczystości millenijnych, obejmujący całe Niemcy i przygotowano wzruszające teksty majowych modłów maryjnych. Termin tegorocznej tradycyjnej Niedzieli Pokoju wyznaczono na 1 maja, a jako hasło dnia ustalono „Pokój z Polską".

W niedzielę 1 maja w wielu katedrach odprawiono uroczyste nabożeństwa na intencję pokoju z Polską. Tej niedzieli nasz wikariusz generalny, X. Infułat Edward Lubowiecki, na zaproszenie biskupów Spiru i Limburga, koncelebrował z nimi uroczyste msze w dwóch cesarskich katedrach; rano w Spirze, wieczorem we Frankfurcie. W słynnej katedrze kolońskiej nabożeństwo zakończono hymnem „Boże coś Polskę". Trzeciego maja „Katholische Akademie in Bayern" zorganizowała w Monachium z powodu Millenium Baptismatis Poloniae całodzienny cykl wykładów i dyskusji, zakończony uroczystym nabożeństwem w katedrze i precyzyjnie przemyślanym kazaniem Juliusa kardynała Döpfnera. Kardynał Döpfner przemawiał także na trzeciomajowej akademii urządzanej corocznie przez monachijską Polonię. Zarówno w katedrze jak i na akademii, wyrażone przez Kardynała myśli, styl i spokój wymowy, subtelne gesty świetnie uzupełniające treść słów i podkreślające wiarę w ich słuszność, zmuszały nawet zatwardziałego sceptyka do optymistycznego spojrzenia w przyszłość.

W Essen biskup dr Franz Hengsbach mówił, że polscy i niemieccy katolicy mają jednakowe apolityczne cele działania: rozbudzić i umocnić w obu narodach ducha pojednania. „Jedyną drogą do naprawy stosunków nie-

miecko-polskich jest wzajemne zrozumienie, przebaczenie i braterskie rozmowy". Mimo wszelkich przewidywanych i nieprzewidzianych trudności biskup Hengsbach z ufnością patrzy w przyszłość, gdyż „Odpowiednim jest fundament, na którym tę przyszłość budujemy".

Kardynał Döpfner tę samą myśl uzupełnia:

„Nie połączyliśmy się z polskimi biskupami by rozwiązywać polityczne zadania, do czego nie jesteśmy ani kompetentni, ani powołani, ale chcemy jako pasterze kościoła — z miłości Chrystusa i w nowym duchu — przygotować teren pod przyszłe stosunki między naszymi narodami. To wstępne zadanie przeprowadzamy z wnikliwą powagą; zmierza ono do przemyśleń, które mogą i muszą prowadzić także do politycznych konsekwencyj".

◆

Ewangelicki Kościół Niemiec Zachodnich nie rozwinął dotychczas tak planowanej działalności jak Kościół Katolicki, mimo że wystąpił ze swym memoriałem wcześniej niż Episkopat i że intencje memoriału są bardzo zbliżone do orędzi biskupich. Przyczyn szukać należy przede wszystkim w o wiele słabszej spoistości protestantów, w braku potężnego zaplecza, jakim dla katolików jest Watykan, w ilościowym braku partnerów-współwyznawców w Polsce i — w niespodziewanie wrogim, na razie skutecznym, przeciwdziałaniu Związku Wysiedleńców.

Czynną walkę przeciw skutkom memoriału EKD i działalności Episkopatu podjął w Niemczech właściwie tylko Związek wysiedleńców, który, w myśl abecadła strategii, główny atak skierował przeciw wrogowi słabszemu czyli przeciw EKD. Tu należy podkreślić ogromną różnicę zachodzącą między masą uchodźców i wysiedleńców, a ich znikomą mniejszością, która zdołała obsadzić kluczowe stanowiska organizacyjne, potrafiła zapewnić sobie wpływy w rządzie federalnym i w wielu rządach krajowych, a dziś — wobec obumierania samego zagadnienia wskutek upływu czasu i gospodarczej integracji uchodźców — uporczywie broni swych osobistych wpływów i interesów.

Rozpoczętą walkę Związek Wysiedleńców prowadzi wypróbowanymi sposobami: propagandą i intrygą. Ostatnio zastosowano nową metodę: parodią najpiękniejszej modlitwy wszystkich chrześcijan „Sudetendeutsche Landsmannschaft" usiłuje udaremnić działalność biskupów!

Przede mną leży małego formatu ulotka. 21×20 cm, dobry papier, przejrzysty druk, złożona na pół — tworzy cztery stroniczki. Na pierwszej stylizowana postać katechety i słowa „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Przez całą szerokość drugiej i trzeciej stroniczki druk:

POLAKOM, którzy z wybuchem wojny, poczynając od bydgoskiej krwawej niedzieli, zamordowali 56.000 niemieckich mężczyzn, kobiet i dzieci.
ROSJANOM, którzy się chwalą, że w podstępnej wojnie partyzanckiej wymordowali 500.000 niemieckich żołnierzy, a w 1945 roku zgwałcili setki tysięcy niemieckich kobiet i dziewczyn, z nich wiele na śmierć.
CZECHOM, którzy od maja do października 1945 zgładzili 241.000 sudeckich Niemców, mężczyzn, kobiet i dzieci.
ANGLIKOM i AMERYKANOM, którzy planowym bombardowaniem otwartych miast spalili, wydusili i zastrzelili bronią pokładową około miliona bezbronnej niemieckiej ludności cywilnej.
JUGOSŁOWIANOM, którzy zmasakrowali dziesiątki tysięcy niemieckich jeńców wojennych, a swych niemieckich obywateli zagłodzili lub przepędzili.
HOLENDROM, którzy od maja 1940 roku internowali i poddali nieludzkim cierpieniom Niemców osiadłych w ich wschodnio-azjatyckich koloniach.
i WSZYSTKIM, którzy przed- w czasie- i po wojnie sieli nienawiść przeciw naszemu narodowi.
i WSZYSTKIM, którzy do zemsty, odwetu i zagłady nawoływali.
i WSZYSTKIM oślepionym władzą i zwycięstwem, którzy mają na swym sumieniu miliony niewinnych ofiar, a których zbrodnie zostały amnestiowane, przedawnione, lub przemilczane.

Na czwartej stroniczce notatka, że 9. 12. 1948 także Polska i Czechosłowacja podpisały konwencję o ludobójstwie. Na tejże stronie tekst pierwszego, drugiego i trzeciego artykułu tej konwencji, a poniżej wezwanie:

Mężowie stanu! Wyznawajcie tę konwencję! Dotrzymujcie coście podpisali! Twórzcie pokój przez ludzkie prawo.

U dołu drobnym druczkiem podpis i adres: Sudentendeutsche Landsmannschaft, München 15. Landwehrstrasse 5.

Czy za ten niezwykły pomysł można winić ogół uchodźców sudeckich? Stanowczo nie. Zarząd Landsmannschaftu? Zasadniczo tak. Całkowitą odpowiedzialność ponosi przede wszystkim nieliczna stosunkowo grupka przywódców i funkcjonariuszy Związku Wysiedleńców.

◆

W dziale propagandy Związek Wysiedleńców wyspecjalizował się w organizowaniu masowych zjazdów, mających swymi rozmiarami wykazywać olbrzymi zasięg wpływów Związku. Do niedawna to działało, ale ostatnio zjazdy tracą popularność, ilość biorących udział wyraźnie maleje.

Na 14 maja rb. Związek zorganizował ogólnoniemiecki zjazd w Bonn. Prasa uchodźcza pisze o stu tysiącach zjazdowiczów, inna o pięćdziesięciu tylko. Nie dochodźmy ścisłości, pozostańmy przy stwierdzeniu, że ilość biorących udział była kilkakrotnie mniejsza niż przed laty.

Zupełną nowością zjazdu w Bonn były przeciwdemonstracje. Nieliczne, nie zorganizowane, ale znamienne. Kilkudziesięciu gimnazistów, kilkuset studentów, nikogo w starszym wieku. Transparenty: „80.000 nie może narzucać polityki całemu narodowi". „Chcemy pojednania z Polską i Czechosłowacją". Kilka podobnych. Wynikło trochę bójek, transparenty szybko zniszczono. Policja dość opieszale broniła nietykalności obywatelskiej młodych przeciwdemonstrantów, spisano plik protokołów policyjnych, przeciw jakiemuś policjantowi prokurator wszczął dochodzenie. Wieczorny dziennik telewizyjny pokazywał uśmiechnięte twarze, na kilka sekund uwidocznił transparenty przeciwdemonstrantów, a komentator wyjaśnił, że zjazd odbył się bez zaburzeń.

Oczywiście, jest to zaledwie symptom wskazujący, że powojenna młodzież zaczyna wyczuwać sprzeczność między hasłami zjazdowych transparentów, a zamiarami autorów tych haseł; że zaczyna ją drażnić rozbieżność między

wezwaniem „Prawo zwycięży", a treścią opisanej tu ulotki, która zbyt wyraźnie głosi że „prawem jest wszystko co służy narodowi niemieckiemu". A to właśnie „Sudetendeutsche Landsmannschaft" jako hasło trzydniowego zjazdu, wyznaczonego na 17-19 czerwca rb. ustalił slogan „Prawo zwycięży".

◆

Dalszy żywot hanowerskiego miesięcznika „Europäische Begegnung" i instytucji znanej jako „Rozmowy w Barsinghausen" jest poważnie zagrożony. Obie te instytucje zdołały nawiązać w ciągu siedmioletniego istnienia kontakt z emigracją polską i z naszym krajem, zdobywając sobie renomę lojalnych partnerów w próbach nawiązywania rozmów niemiecko-polskich.

Po ogłoszeniu memoriału EKD obie instytucje nie zajęły wrogiego stanowiska, a ich *spiritus movens*, Oberregierungsrat Hans Beske, zdecydowanie popierał memoriał. Wobec tego w Związku Wysiedleńców zapadła krótka decyzja — *Raus mit dem Lump*, przy czym *raus* pochodzi od samego prezesa Związku, a epitet *Lump* od sędziwego bojownika o „krwawiącą i płonącą" granicę wschodnią Republiki Weimarskiej.

Wykonanie decyzji poruczono ministrowi wysiedleńców, pani Marii Meyer-Sevenich, socjalistycznej posłance krajowego parlamentu w Hanowerze, i — chrześcijańskiemu demokracie, posłowi tegoż parlamentu, przewodniczącemu komisji dla spraw uchodźców, panu Otto von Firks.

Beskego zawieszono w urzędowaniu. Starannie usiłowano znaleźć jakieś niedokładności kasowe (dysponował budżetem 1.750.000.— marek) lub inne przestępstwa. Ale nie znaleziono nic oprócz takich „przestępstw" jak dwukrotna wizyta, złożona biskupowi Kominkowi w Rzymie i parogodzinna z nim rozmowa w charakterze naczelnego redaktora „Europäische Begegnung", dokonana podczas urlopu i za własne pieniądze, ale bez nakazu krajowego ministra i bez błogosławieństwa Związku Wysiedleńców; jak również podczas urlopu złożenie wizyty „Dziennikowi Polskiemu" i kilku emigrantom polskim w Londynie; jak — tym razem w czasie służbowej podróży do Paryża — odwiedziny „Kultury" w Maisons-Laffitte.

Zdradzę jeszcze dwa przestępstwa dokonane w Paryżu: Beske zwiedził Bibliotekę Polską i polską sekcję Radia Francuskiego.

Ponieważ pragmatyka niemiecka nie przewiduje sankcji za tego rodzaju działania — Beskego po upływie 90 dni od zawieszenia, w myśl tejże pragmatyki, musiano przywrócić do urzędowania. Więc przywrócono, ale przydzielono go do zupełnie innego działu pracy i w innym ministerstwie.

„Panorama" hamburskiej telewizji pokazywała Beskego (6 czerwca rb.) przy biurku w nowym gabinecie, dodając komentarz, że trudno znaleźć bardziej nieodpowiednie miejsce dla odpowiedzialnego urzędnika. Ta sama „Panorama" pokazała przewodniczącego komisji parlamentarnej dla spraw uchodźczych w Dolnej Saksonii — Otto von Firks'a — który, pytany o powód przeniesienia Beskego, wręcz oświadczył, że Beske wyraźnie popierał memoriał EKD. Więc musiał odejść.

Chrześcijańskiemu demokracie von Firks należy się uznanie za szczerość.

Czy odpowiedzialni kierownicy Socjalistycznej Partii Niemiec będą gratulować członkowi tejże SPD, przewodniczącemu Związku Wysiedleńców, także dopiero przyszłość pokaże.

◆

Na pierwsze cztery dni czerwca rb. socjal-demokraci zwołali do Dortmundu Kongres Partii SPD. Obradowało 383 uprawnionych do głosowania delegatów. Prezes Brand, wice-prezesi Wehner i Erler pozostali przy dotychczasowych stanowiskach. Brand zdecydowanie wzmocnił swoją pozycję, a wielu czołowych socjal-demokratów wykazało format mężów stanu. Kongres wzmógł widoki partii na objęcie rządów po wyborach we wrześniu 1969 roku.

W debatach o wiele wyraźniej niż dotychczas została wypowiedziana zasada, że Republika Związkowa nie zdoła utrzymać swych roszczeń do utraconych wschodnich terenów, jeżeli będzie chciała doprowadzić do odprężenia w stosunkach z narodami Europy Wschodniej.

Wschodząca gwiazda socjal-demokratów, poseł Helmut Schmidt z Hamburga, mówił że wprawdzie rząd i parlament nie mogą zrezygnować z zasady reprezentowania wszystkich Niemców, a więc i podsowieckich, ale byłoby na dłuższą metę nieznośne, gdyby wśród państw satelickich wyłącznie posłowie Ulbrychta reprezentowali Niemców. Schmidt dodał, że zapewne stosunki dyplomatyczne z Rumunią zostaną wcześniej nawiązane niż z Warszawą i Pragą.

Układ Monachijski z 1938 roku należy uznać jako w ogóle nie istniejący, aby stworzyć podstawę do porozumienia z Czechami.

Odnośnie broni atomowych ustalono formułę, że rząd winien starać się o prawo veta w wyraźnie ustalonych wypadkach zastosowania tych broni. Natomiast niemieckie współposiadanie i współdecyzja użycia tych broni — nie jest Niemcom potrzebna.

Nie brakowało też na kongresie i mocno podnieconych dialogów, a nawet utarczek. Zwłaszcza zagadnienie ustawy o stanie wyjątkowym i rozbieżności zdań między przedstawicielami Związków Zawodowych i czołowymi socjaldemokratami podniecały temperamenty.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 8 czerwca 1966.

Kronika francuska

„Otwarcie" ku Wschodowi, jakiego gen. de Gaulle dokonał w polityce francuskiej, automatycznie wzmogło w Paryżu modę na wszystko, co rosyjskie. Przy okazji, jak gdyby rikoszetem, również i pomniejsze echa ze Wschodniej Europy zyskały odpowiednie dla siebie warunki akustyczne.

W Paryżu zaczęło się wszystko od występów „Mazowsza". Świetny ten zespół zjechał nad Sekwanę w kwietniu i przy wypełnionej sali dał cały szereg przedstawień. Chyba było tego ze trzy tygodnie. Wprawdzie jeden „Mazowszanin" urwał się i nie wrócił do Polski, ale to jego sprawa prywatna.

W swoim czasie we Francji urwało się czterech. Wtedy był huk. Teraz — milczenie. Ale wtedy prasa milczała o „Mazowszu", a teraz wszystkie pisma poświęciły mu bardzo pochlebne krytyki.

Ze śpiewem sprawa wygląda gorzej, niż przed dwunastu laty. Ale wtedy żył Tadeusz Sygietyński. Po nim miejsce kierownika muzycznego stoi pustką do dzisiaj. A że nie wiadomo po co zespół ma ambicje, aby wszyscy zarówno tańczyli, jak i śpiewali, odbija się to ujemnie na śpiewie. Wiadomo — trudno jest śpiewać, jeżeli się ma zadyszkę po oberku...

W każdym razie bardzo barwne to widowisko pozwoliło m.in. też i Polonii paryskiej zachłysnąć się polskością. Niektórzy usiłowali nawet zaprosić tych sympatycznych chłopców i miłe dziewczyny, aby „młodzież poczuła, że jest serdecznie podejmowana".

Znam nawet takiego pana, który wraz z synem i córką poszedł za kulisy, aby zaprosić kilka dziewcząt i chłopców z „Mazowsza" do siebie na śniadanie i aby potem obwieźć ich samochodem po Paryżu.

— I czemuż pan nie zaprosił?

— Bałem się, że to im zaszkodzi, bo za kulisami ciągle uprzędował jakiś „ubek".

— Co pan opowiada... żadnego „ubeka" za kulisami nie było...

— Nie wiem, ale bałem się. Do niego i o nim wszyscy mówili, że to dyrektor Borman.

Oto, jakie są wyniki, jeżeli dyrektor Antoni Borman z Londynu wiernie towarzyszy „Mazowszu" na każdym jego przedstawieniu w Europie Zachodniej... Złośliwi powiadają, że po premierze nawet odtańczył (nie solo) „Łowiczankę"...

MILLENIUM

Tysiąclecie chrztu i państwowości polskiej obchodzono w Paryżu bardzo uroczyście.

Rozpoczęto nabożeństwem w katedrze Notre Dame. Na to nabożeństwo przybyły liczne delegacje organizacji polskich przede wszystkim z Francji Północnej. Innymi słowy licznie przybyli górnicy z rodzinami. Gdyby nie oni, katedra Notre Dame świeciłaby pustką. Ale na szczęście tak się nie stało.

Na nieszczęście jednak — pomimo dwudziestoletnich doświadczeń — utrzymanie porządku było zorganizowane nieumiejętnie. I dlatego, kiedy do katedry wkraczały liczne poczty sztandarowe organizacji polskich z Francji Północnej wstrzymywano górników przed „okupacją" głównej nawy katedry. Tam bowiem zasiąść mieli honorowi goście.

— Koledzy — wołano — obchodzimy tysiąclecie cywilizacji i kultury. Nie pchajcie się.

A tłum na to:

— Ty, taki i owaki. To my po to przyjechali z Nordu, żebyś ty tu znowu sterczał na honorowym miejscu?

Podobno chwilami dochodziło do rękoczynów. Tego wprawdzie nie widziałem, ale wiem, że poszturchiwano „nie wąsko".

Ostatecznie znalazł się człowiek dowcipny, który widząc, że przewodniczący parlamentarnej komisji finansowej, deputowany Jean-Paul Palewski, nie wejdzie do katedry, ustawił go za jakąś niewiastą, niosącą chorągiew bractwa kościelnego z Francji Północnej. W ten sposób pod osłoną tej chorągwi Jean-Paul Palewski wszedł do katedry. Ale nie wiadomo, czy dostał się jego brat Gaston, który jest, jako prezes Rady Konstytucyjnej, czwartą osobą w Republice Francuskiej. Wiadomo natomiast, że nie dostało się kilku ambasadorów i pewien Amerykanin, który mając zaproszenia na dwie różne uroczystości, wybrał polską...

Jeszcze gorzej było na akademii, bo około 500 osób nie weszło na salę Pleyela, gdzie z okazji tysiąclecia jeden punkt programu poświęcono masakrowaniu Chopina.

Doszło nawet do konieczności sprowadzenia policji. Ale nie z powodu masakry Chopina, lecz dlatego, że około pięciuset osób z północy obległo hall. Na dworze lało, ludzie nie mieli w Paryżu znajomych, nie znali miasta i — jak to Polacy — po czterdziestu kilku latach przeżytych we Francji nie znali francuskiego.

To właśnie ich policja musiała usunąć...

PIELGRZYMKA TYSIĄCLECIA

Emigracja polska we Francji nie ma szczęścia do... Polaków. Ilekroć zdobędzie się na naprawdę coś poważnego i zakrojonego na wielką skalę, tylekroć znajdzie się ktoś, kto sięgnie po należne emigracji laury. Tak też było i z pielgrzymką tysiąclecia, zorganizowaną nakładem wielkiej energii przez Kongres Polonii Francuskiej. Do Rzymu pojechało kilkaset osób. Przeważnie z Francji Północnej. Były jednak także autokary z okolic Tuluzy i Francji Środkowej. Co tu dużo mówić? Pielgrzymka była niezwykle udana.

Ojciec święty przyjął pielgrzymów, wygłosił w czasie nabożeństwa w bazylice św. Piotra przemówienie, z czego część po polsku.

Jakże by nasi „niezłomni" mogli przeżyć tak wielkie powodzenie imprezy, w której organizacji nawet rąk nie zamaczali?

Nie przeżyli, wyzyskując w tym celu jeszcze nie najlepszą znajomość stosunków emigracyjnych ze strony młodego opiekuna duchowego Emigracji z ramienia księdza Prymasa Wyszyńskiego — księdza biskupa Władysława Rubina. On to bowiem ułatwił audiencję prywatną u Papieża 38-miu osobom, nie mającym nic wspólnego z emigracją polską we Francji. A jednak mimo to mającym w swojej grupie pewnego trzeciorzędnego działacza, któremu „poruczono" reprezentować tę emigrację.

Rzecz prosta, że wywołało to zrozumiałe i usprawiedliwione rozgoryczenie w kołach kierowniczych Kongresu Polonii Francuskiej. I wśród kleru polskiego we Francji. A to przecie on przyczynił się w bardzo wielkim stopniu do powodzenia pielgrzymki.

Kongresowi Polonii Francuskiej należy się satysfakcja.

CO SIĘ KRYJE ZA KULISAMI WIZYTY WARSZAWSKIEJ?

Na miesiąc przed oficjalną wizytą prezydenta de Gaulle'a w Związku Sowieckim minister spraw zagranicznych Francji p. Couve de Murville udał się do Warszawy. Mówiło się niemal oficjalnie i głośno, że jedzie tam, aby przygotować przyszłą wizytę generała de Gaulle'a w Polsce.

Ale po powrocie pana Couve de Murville do Paryża coraz mniej się o tym mówi w stolicy Francji.

Wszędowścibska plotka mówi jednak, że minister francuski w Warszawie robił, co mógł, aby skłonić Polskę do wystąpienia z Organizacji Paktu Warszawskiego, podobnie jak Francja wystąpiła z Organizacji Sojuszu Atlantyckiego.

— Rumunia pragnie reformy tej organizacji, więc wszystko będzie O.K.

Ale Polacy w Warszawie nie dali się przekonać. Stanęli tak twardo za Moskwą, że nawet najbliższe otoczenie ministra Couve de Murville przestało już mówić o przyszłej wizycie generała de Gaulle'a w Polsce.

A szkoda...

PARYŻANIN

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM CXXVI

BARBARA TOPORSKA

SIOSTRY

Eksperymentalna powieść, będąca debiutem w prozie literackiej Barbary Toporskiej — dziennikarki, publicystki i poetki.

Str. 216. Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)

◆

TOM CXXVII

MAREK HŁASKO

PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI

Powieść autobiograficzna, której fragmenty drukowane były przed kilku miesiącami w „Kulturze" wywołując wielkie zainteresowanie czytelników.

Str. 216. Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)

Sprawy i troski

Polonia amerykańska

1. Studia nad Polonią

Słowo „Polonia", jak poucza nas *Słownik Warszawski*[1], ma w języku polskim znaczenie podwójne. Jest to przede wszystkim nazwa Polski z łacińska, następnie zaś nazwa stosowana do Polaków na obczyźnie, ich kolonii, towarzystw, klubów, i td.

Termin ten został zastosowany do ludności pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych, gdy nieomal cała ta ludność składała się z emigrantów — przybyszów z Polski. Dzisiaj, gdy olbrzymią większość tej ludności stanowią dzieci i wnuki tych przybyszów, urodzone i wychowane już w Ameryce, nazwa ta jest właściwie anachronizmem, takim samym, jak wyrażenie „Polacy w Ameryce", lub inne podobne.

Jeśli używamy jej nadal, czynimy to dlatego, że nazwa ta zyskała już sobie prawa obywatelstwa i może także z tego powodu, że wynalezienie nazwy bardziej odpowiedniej nie byłoby bynajmniej rzeczą łatwą.

Mimo wielkiego znaczenia, jakie powstanie i rozwój Polonii Amerykańskiej miały i mają nadal dla narodu polskiego, literatura w języku polskim, poświęcona temu zagadnieniu, jest nie tylko uboga, ale trudno dostępna i przestarzała. Wystarczy wspomnieć, że jedyna monografia na ten temat, napisana przez Polaka z kraju — *Wychodźtwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki* Mieczysława Szawleskiego[2] — wydana została w r. 1924, zaś jedyna obszerniejsza praca pióra pisarza polsko-amerykańskiego — *Polonja w Ameryce* Karola Wachtla[3] — ukazała się już przeszło dwadzieścia lat temu.

---

1. *Słownik Języka Polskiego*, t. IV, str. 539.
2. Mieczysław Szawleski, *Wychodźtwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki*. Lwów, 1924.
3. Karol Wachtl, *Polonja w Ameryce: Dzieje i dorobek*. Philadelphia, 1944.

Wydanie tej ostatniej książki w r. 1944 było raczej wypadkiem wyjątkowym[4], bo zasadniczo r. 1939 może być uważany za granicę, zamykającą długi okres piśmiennictwa na temat Polonii w języku polskim. To, co się ukazuje po wojnie, ogłaszane już jest niemal wyłącznie w języku angielskim.

Zmiana języka w piśmiennictwie, poświęconym dziejom ogólnym Polonii, czy też historii jej poszczególnych osad lub organizacji, nie zmieniła od razu jego charakteru. Prace, ogłaszane w języku angielskim, nawiązywały do wcześniejszych studiów polskich i były często ich kontynuacją. Najbardziej wymownym przykładem tego jest działalność pisarska jedynego prawdziwego historyka Polonii, Mieczysława Haimana, którego wcześniejsze prace monograficzne ogłaszane były po polsku[5], zaś późniejsze[6], łącznie z cennym zarysem syntetycznym dziejów Polonii do roku 1865[7], ukazywały się już w języku angielskim.

Jednakże już sam fakt, że studia nad Polonią przeniesione zostały do świata innej kultury musiał z czasem doprowadzić do zasadniczej zmiany w ich orientacji. W pracach pisanych po polsku, nawet tych, których przedmiot ograniczony był do historii poszczególnych parafii czy też organizacji polsko-amerykańskich, dzieje Polonii widziane były bądź co bądź ze stanowiska historii narodu polskiego lub Polaków rozproszonych po świecie. W pracach, pisanych po angielsku, perspektywa z natury rzeczy musiała się zmienić. Dzieje Polonii, widziane od strony amerykańskiej, są dziejami przystosowywania się jej do nowej ojczyzny, coraz bardziej intensywnego udziału w życiu społeczeństwa, którego częścią się stała, oraz ciągle postępującej asymilacji kulturalnej do otoczenia amerykańskiego.

Przeniesienie studiów nad Polonią na płaszczyznę języka angielskiego było wyrazem nowej, bardziej ogólnej, orientacji kulturalnej Polonii, która omówiona będzie dokładniej poniżej. Warto zaznaczyć jednak już tutaj, że zmiana ta korzystnie odbiła się na rozwoju tych studiów. Młoda inteligencja pochodzenia polskiego znalazła w nich ujście dla swoich naturalnych zainteresowań historią oraz dorobkiem kulturalnym swej grupy etnicznej. Wy-

4. Do takich samych nielicznych wyjątków zaliczyć można również pracę ks. Stanisława Targosza, *Polonia katolicka w Stanach Zjednoczonych w przekroju*. Detroit, 1943.

5. Por. np. Mieczysław Haiman, *Z przeszłości polskiej w Ameryce*. Szkice historyczne. Buffalo, N.Y., 1927; *Historia udziału Polaków w amerykańskiej wojnie domowej*. Chicago, 1928; *Polacy wśród pionierów Ameryki*. Szkice historyczne. Chicago, 1930; *Polacy w walce o niepodległość Ameryki*. Chicago, 1931; *Ślady polskie w Ameryce*. Szkice historyczne. Chicago, 1938 i inne.

6. Por. np. Miecislaus Haiman, *Poland and the American Revolutionary War*. Chicago, 1932; *Poles in the Early History of Texas*. Chicago, 1936; *Polish Pioneers of Virginia and Kentucky*. Chicago, 1937; *Poles in New York in the XVII and XVIII Centuries*. Chicago, 1938; *Polish Pioneers of Kościuszko in the American Revolution*. New York, 1943; *Kościuszko: Leader and Exile*. New York, 1946 i inne.

7. Por. M. Haiman, *Polish Past in America, 1608-1865*. Chicago, 1939.

razem tego stały się liczne prace naukowe, przedstawiane na różnych uniwersytetach amerykańskich, zwłaszcza katolickich[8].

Innymi objawami tego samego prądu było wydanie przez ks. Franciszka Bolka polsko-amerykańskiego słownika biograficznego[9] oraz powstanie pierwszej organizacji, poświęconej wyłącznie studiom naukowym nad Polonią — Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Organizacja ta, założona w r. 1942 z inicjatywy (nie-polonijnego) Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, stała się wkrótce niezależnym stowarzyszeniem historycznym, dysponującym skromnym, ale własnym, czasopismem pt. *Polish American Studies*[10].

Podczas gdy studia historyczne rozwinęły się tak pomyślnie, badania nad współczesnym życiem Polonii, nad jej ewolucją kulturalną, różniczkowaniem się społecznym, czy też postępem gospodarczym, leżą niestety jak dotąd odłogiem. To samo powiedzieć można o prądach ideowych, nurtujących Polonię, o jej stosunku do stronnictw i zagadnień politycznych w Stanach Zjednoczonych, czy też do animujących społeczeństwo amerykańskie konfliktów ustrojowych i społecznych[11].

Jest to tym bardziej zastanawiające, że na samym progu swego ustalenia się jako odrębnej grupy etnicznej, w r. 1918, Polonia poddana została bardzo gruntownej analizie socjologicznej, przeprowadzonej przez dwóch wybitnych uczonych: Williama I. Thomasa i Floriana Znanieckiego. Chociaż tytuł ich pracy, *Chłop polski w Europie i w Ameryce*[12], wydawać się może zbyt wąski dla ujęcia całości zagadnienia imigracji polskiej do Stanów, była to w istocie bardzo wnikliwa analiza nie tylko podstawowych problemów społeczno-psychologicznych, związanych z masową transplantacją ludności wiejskiej, ale również i najważniejszych zagadnień odbudowy przez tę ludność na nowym terenie zrębów jej organizacji społecznej i kulturalnej.

Aczkolwiek praca ta ukazała się już bez mała pół wieku temu, jest ona nadal czytana[13] i cytowana jak rzadko które dzieło tego rodzaju. Jest ona uważana przez specjalistów za jedną z najzna-

8. Wiele z tych prac nie ukazało się w druku, ale są przeważnie udostępniane osobom zainteresowanym w rękopisie lub fotostatach. Długą ich listę zawiera bibliografia dodana do książki Joseph A. Wytrwal, *America's Polish Heritage:* A Social History of the Poles in America. Detroit, 1961.

9. Por. *Who's Who in Polish America*. A biographical directory of Polish-American Leaders and distinguished Poles resident in the Americas. Third ed. Rev. Francis Bolek, Editor-in-chef. 1943.

10. Tom pierwszy tego pisma ukazał się w r. 1944 pod redakcją niżej podpisanego. Ostatnio *Polish American Studies* nie ukazują się regularnie.

11. Ostatnio np. prasa amerykańska pisała parokrotnie, że w wystąpieniach przeciw-murzyńskich w Stanach północnych, zwłaszcza w Massachussetts, brała żywy udział ludność miejska pochodzenia polskiego — sprawa ta zasługiwałaby niewątpliwie na wszechstronne zbadanie.

12. William I. Thomas and Florian Znaniecki, *The Polish Peasant in Europe and America*. Chicago, 1918.

13. Parę lat temu, w r. 1958, ukazało się nowe, dwutomowe, wydanie tej pracy nakładem firmy Dover w New Yorku.

komitszych monografii w dziedzinie nauk społecznych[14], gdyż łączy w sobie bogactwo materiału faktycznego z wnikliwością teoretyczno-metodologiczną.

Mimo tych niezwykłych walorów, praca ta, jeśli chodzi o studia nad Polonią, nie znalazła godnych kontynuatorów ani wśród socjologów polskich[15], ani też wśród amerykańskich. Kilku z tych ostatnich zajmowało się „Polish Americans" jako jedną z „American minority peoples", ale w pracach takich materiał poświęcony Polonii nie przekracza z reguły rozmiarów jednego rozdziału i ma zazwyczaj charakter bardzo powierzchowny. Ze względu na brak odpowiednich studiów terenowych, konkluzje ogólne różnych autorów mają charakter raczej impresjonistyczny.

Tak np. w jednej z prac zbiorowych, wydanej w r. 1945, czytamy że „w przeciwieństwie do innych grup imigranckich *Polak amerykański potrafił zachować w stopniu niezwykłym właściwości* [*pattern*] *kultury polskiej*[16]". W innej znanej pracy, wydanej zaledwie cztery lata później, znajdujemy twierdzenie, że *„kultura polska zastępowana jest coraz bardziej gruntownie przez obyczaje* [*practices*] *amerykańskie*[17]"

Ta rozbieżność zdań, panująca wśród specjalistów, daje pewne pojęcie o trudnościach, jakie napotyka każdy, kto chciałby przedstawić obiektywnie obecną indywidualność kulturalną Polonii oraz jej ewolucję społeczną w ostatnich dziesięcioleciach.

Poza brakiem studiów szczegółowych, które mogłyby służyć jako podstawa do wniosków natury ogólnej, są jeszcze także i poważne trudności metodologiczne. Pierwszą z nich jest sam ogrom zagadnienia.

Polonia nie jest grupą kilkutysięczną, tylko rzeszą kilkumilionową, szeroko rozproszoną po olbrzymim kraju i reprezentującą szereg pokoleń oraz szereg nawarstwień imigracyjnych. Nie jest to już, nawet w swej masie głównej, jednolita rzesza ludności wiejskiej, tylko społecznie i zawodowo zróżniczkowany odłam społeczeństwa miejskiego[18], całkowicie przystosowany do przemysłowo-handlowej cywilizacji amerykańskiej. Polskość czy „polonijność" to tylko jedna i to bynajmniej nie najważniejsza z cech charakterystycznych tej masy, która nie stanowi zresztą

14. Por. ocenę zbiorową tej pracy przez specjalną komisję Social Science Research Council, która ukazała się w druku pt. *An Appraisal of Thomas and Znaniecki's The Polish Peasant in Europe and America* (Critiques of Research in the Social Sciences, I) New York, 1939. Głównym referentem był ówczesny profesor Uniwersytetu Chicagoskiego, znany socjolog, Herbert Blumer.

15. Z wyjątkiem prof. Józefa Chałasińskiego, ale studia jego w okresie międzywojennym poświęcone były raczej ewolucji społecznej wsi polskiej, aniżeli emigracji.

16. Por. Francis J. Brown and Joseph S. Roucek, eds., *One America:* Rev. ed. New York, 1946. Str. 142.

17. Por. R. A. Shermerhorn., *These Our People:* Minorities in American Culture. Boston, 1949. Str. 288.

18. Z wyłączeniem farmerów polskich z Connecticut, Long Island i td.

żadnej wyspy etnograficznej, bo małżeństwa mieszane nie są już ani nowością ani rzadkością[19].

Drugą trudność o charakterze metodologicznym stanowi fakt, że Polonia jest społeczeństwem, znajdującym się w stadium stosunkowo szybkich przemian społecznych i kulturalnych. Nowe formy organizacyjne i nowe poglądy i orientacje istnieją obok i w przemieszaniu z dziedzictwem organizacyjnym i ideowym lat minionych. Wszelkie uogólnienia muszą więc z natury rzeczy mieć charakter tentatywny.

Trzecią trudnością o charakterze badawczo-metodologicznym jest problem zrozumienia istoty procesów asymilacyjnych. I w Europie i w Ameryce pojmowano przez długi czas asymilację — w sposób raczej mechaniczny — jako rodzaj reakcji chemicznej, która zachodzi w jednostkach czy grupach, zanurzonych w morzu obcości, i na skutek której upodabniają się one do otoczenia. Nowsze badania amerykańskie wykazują, iż proces ten można analizować dużo dokładniej i z wynikami, prowadzącymi do głębszego jego zrozumienia.

Zanim jednakże zreferujemy te badania i spróbujemy na ich tle przedstawić najważniejsze przemiany społeczno-kulturalne, zachodzące w życiu Polonii, musimy chociaż po krótce opisać ją i scharakteryzować jako społeczeństwo mniejszościowe.

2. *Liczebność Polonii*

Pierwsze pytanie, jakie się nasuwa, dotyczy liczebności Polonii: jaka jest ogólna liczba ludności pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych? Niestety, odpowiedź na to proste pytanie nie jest bynajmniej łatwa.

Według ostatniego spisu ludności w U.S.A. z r. 1960 ludzi urodzonych w Polsce, lub z rodziców, pochodzących z Polski, było blisko trzy miliony, dokładnie 2.780.026 czyli 1,5% ogółu ludności państwa. Stanowili oni 8,2% ludności urodzonej poza granicami Stanów Zjednoczonych, lub też z rodziców, przybyłych z zagranicy[20].

Na pozór mamy więc bardzo dokładne dane o liczebności Polonii jako grupy etnicznej, przynajmniej o jej zasięgu potencjalnym. Niestety, dane te nie są ani kompletne ani ścisłe.

Chociaż amerykańskie spisy ludności rozróżniały zawsze pomiędzy ludnością urodzoną w kraju *(native born)*, a ludnością urodzoną zagranicą *(foreign born)* i notowały także i kraj pochodzenia tej ostatniej, ustalenie dokładnej liczby imigrantów przybyłych z Polski, ani też ich potomstwa, urodzonego już w Ameryce, jest niemożliwe.

Przede wszystkim przed odzyskaniem niepodległości Polacy

19. Coraz częściej spotkać można osoby z wykształceniem, które nie wahają się przyznać do posiadania „babci polskiej", mimo iż ani z imienia ani z nazwiska nie można byłoby ich o taką rzecz podejrzewać.

20. U.S. Bureau of the Census: *Statistical Abstract of the U.S.* 1962. Tablica 28.

zaliczani byli przeważnie do ludności jednego z państw rozbiorowych[21]. Tym się tylko tłumaczy, że wedle oficjalnych danych cała emigracja z Polski do Stanów Zjednoczonych w okresie pomiędzy r. 1820 a 1960 wyniosła rzekomo mniej niż pół miliona osób, dokładnie 432.311[22]. Jak błędne są te dane przekonać się można z innych statystyk tego samego *Bureau of the Census*, jak np. z danych spisu ludności z r. 1940.

Wedle tego spisu w r. 1940 zamieszkiwało w Stanach Zjednoczonych 1.268.583 osoby urodzone w Polsce[23], czyli prawie trzy razy tyle, co miało przybyć z Polski pomiędzy r. 1820 a r. 1960 i to nie licząc ani tych, którzy przybyli po r. 1940, ani tych, którzy przybyli wcześniej, ale nie dożyli spisu z r. 1940.

Bardziej jeszcze poważną wadą amerykańskich statystyk narodowościowych — z naszego punktu widzenia — jest nieuwzględnianie przez nie trzeciego i dalszych pokoleń różnych grup imigranckich, nawet jeśli grupy te uniknęły małżeństw mieszanych. Osoby, których oboje rodziców urodziło się już w Ameryce, nie są w żaden sposób odróżniane od reszty ludności, tylko zaliczane są do ogólnej kategorii tych, którzy urodzili się „w kraju".

Jeśli dodamy do tego, że w dalszych pokoleniach różnych grup imigranckich małżeństwa mieszane stają się coraz częstsze, ustalenie istotnej liczebności Polonii jako kilku-pokoleniowej grupy etnicznej uznać należy za zadanie całkowicie niemożliwe do wykonania. W tej sytuacji skazani jesteśmy na rozmaite obliczenia przybliżone, oparte na obserwacjach terenowych. Niestety, różnią się one znacznie od siebie.

W ciągu ostatniego półwiecza szereg specjalistów różnego autoramentu próbowało ustalić liczebność Polonii, używając najrozmaitszych sposobów i dochodząc do rozmaitych wyników. Już w okresie przed pierwszą Wojną Światową obliczenia te wahały się dość znacznie — od dwóch do czterech milionów[24]. W okresie późniejszym wahania te stały się jeszcze większe.

W r. 1940 Edmund Olszyk w swej cennej pracy o prasie polskiej w Ameryce[25] obliczył ludność pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych na około pięć milionów. Liczba ta została ogólnie przyjęta jako bliska prawdzie[26]. Już w pięć lat potem, jednakże, dr Stefan Włoszczewski doszedł do wniosku, że należy przyjąć liczbę znacznie wyższą — od siedmiu do dziesięciu milionów[27].

21. Podobnie później mniejszości narodowe z Polski zaliczane były do Polaków.
22. U.S. Bureau of the Census: *Statistical Abstract of the U.S.* 1961, str. 93.
23. Cytuję za Wachtlem, op. cit., str. 60.
24. Por. Wachtl, op. cit., str. 58.
25. Edmund G. Olszyk, *The Polish Press in America. Milwaukee*, 1940, str. 7.
26. Por. Wachtl, op. cit., str. 61.
27. Por. Stefan Włoszewski, „The Polish 'Sociological' Group in America", *The American Slavic and East European Review*, t. LV, str. 142-157.

Obliczenie to prawdopodobnie uznać należy za wygórowane, ale jeśli ludność pochodzenia polskiego liczyła w r. 1940 pięć lub pięć i pół miliona, nie ma wątpliwości, że dzisiaj — przeszło dwadzieścia pięć lat później — musi ona być o wiele liczniejsza[28].

Bardziej istotne jednak jest pytanie: jakie jest znaczenie tych liczb, bo, jak słusznie stwierdził w swym artykule Włoszczewski, statystyki tego rodzaju informują nas tylko o liczbie ludności *pochodzenia polskiego*, czyli dają nam co najwyżej pojęcie o *potencjalnym zasięgu grupy polsko-amerykańskiej*. Jej istotny zasięg reprezentuje natomiast bez porównania mniejsza grupa *aktywna*[29], której rozmiar jest równie trudny do ustalenia, bo jest to w istocie swej grupa płynna.

Z konkluzją tą można się najzupełniej zgodzić, bo sprawa „udziału" w życiu Polonii jest czymś jeszcze bardziej statystycznie nieuchwytnym, aniżeli sprawa liczebności ludzi „pochodzenia" polskiego. Jedynym konkretnym wskaźnikiem liczbowym mogą tu być statystyki, dotyczące członkostwa różnych organizacji polonijnych, które znaleźć można w pracach takich autorów, jak Wachtl lub Wytrwał.

Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że mimo iż statystyki, cytowane przez tych dwu autorów, dzieli od siebie okres prawie piętnastoletni, wykazują one tylko nieznaczne różnice. Wachtl, którego książka ukazała się w r. 1944, podaje, że w tym okresie osiemnaście znaczniejszych stowarzyszeń polonijnych skupiało w sobie około 724 tysiące członków, z czego 70% (510 tysięcy) należało do trzech największych i najbardziej znanych organizacji Polonii: Związku Narodowego Polskiego, Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego oraz Związku Polek[30].

Wytrwał, którego praca wyszła w r. 1961, podaje kompletne statystyki za r. 1957. W okresie tym jedenaście najważniejszych organizacji polonijnych liczyło około 770 tysięcy członków, z czego 78% (około 602 tysiące) należało do tych samych trzech zrzeszeń czołowych[31].

Na podstawie tych danych można by dojść do wniosku, że liczebność aktywnego elementu polonijnego wynosi około 3/4 miliona osób. Byłby to jednak wniosek zbyt pośpieszny.

Pomijając już fakt, że należenie tej samej osoby do kilku organizacji polonijnych nie jest bynajmniej rzadkością[32], nie można zapominać, że nawet te z nich, które znane są ze swego patriotyzmu oraz przywiązania do tradycji narodowych, mają w swoich rejestrach tysiące członków nominalnych, których związek z da-

28. Wytrwał, przyjmując maksymalną liczbę, sugerowaną przez Włoszczewskiego, oblicza liczebność żywiołu polsko-amerykańskiego aż na 10 milionów, zaś liczebność „aktywnej" grupy polonijnej na 5 do 6 milionów, z czym absolutnie nie można się zgodzić.
29. Dr Włoszczewski określa tę grupę niefortunnym terminem „Polish *sociological* group", czym osłabia swoje słuszne argumenty.
30. Wachtl, *op. cit.*, str. 176.
31. Wytrwał, *op. cit.*, str. 327.
32. *Ibid.*, str. 183-184.

ną organizacją ogranicza się do zakupionej od niej polisy asekuracyjnej.

Z drugiej strony wykreślanie granic duchowych Polonii na podstawie członkostwa w jej różnych organizacjach jest również nieusprawiedliwione. Każdy, kto miał okazję podróżowania po Stanach Zjednoczonych oraz spotykania licznych osób pochodzenia polskiego, mógł się łatwo przekonać, że sentymenty dla Polski i Polaków nie są ograniczone do klubów i organizacji polonijnych, lecz trwają często nawet wśród osób, które nigdy nie miały z nimi kontaktu[33].

Jest to jeszcze jeden dowód, że liczbowe określenie Polonii, nawet tej, która o pochodzeniu swym pamięta i nim się szczyci, jest rzeczą niemożliwą.

3. *Cechy Polonii jako społeczeństwa mniejszościowego*

O ile statystyki, dotyczące Polonii, muszą zasadniczo pozostać w sferze domysłów, o tyle rozwój jej jako społeczeństwa mniejszościowego może być omawiany na płaszczyźnie bardziej realistycznej. O kierunku tego rozwoju zadecydowały przede wszystkim dwie podstawowe cechy naszego wychodźtwa, które są ogólnie znane, ale znaczenie których jest niezawsze w pełni rozumiane i doceniane.

Cechami tymi były: 1. katolicyzm przeważnej części imigrantów polskich oraz 2. ich ludowe przeważnie pochodzenie.

Katolicyzm wychodźtwa polskiego zadecydował o tym, że w wysiłkach swych, zmierzających do zdobycia sobie zadawalających warunków życia i pracy w nowej ojczyźnie, musiało ono toczyć walkę na dwu frontach. Musiało ono walczyć jednocześnie z tradycyjnymi uprzedzeniami przeciwko imigrantom, zwracającymi się zawsze ze szczególną siłą przeciwko ich fali ostatniej, oraz z głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami większości protestanckiej w stosunku do katolików, niezależnie od kraju ich pochodzenia.

Chociaż Kościół Katolicki stał się w ten sposób ważnym punktem oparcia dla polskiej rzeszy wychodźczej, musiała ona również i w obrębie jego organizacji walczyć o zachowanie swej indywidualności narodowej oraz o zdobycie dla siebie pewnej pozycji społecznej. Amerykanizacyjna polityka hierarchii katolickiej, opanowanej przez Irlandczyków, a częściowo także i przez Niemców, stała się przyczyną wielu bolesnych konfliktów i doprowadziła do tak dotkliwej straty, jak oderwanie się od Kościoła, a przez to także w dużej mierze i od łączności z Polonią, wielotysięcznej rzeszy Polaków, którzy utworzyli później tzw. Polski Kościół Narodowy[34].

33. Miałem możność stwierdzić to wielokrotnie tak podczas moich podróży po kraju, jak i w swojej pracy nauczycielskiej.

34. W r. 1944 kościół ten liczył cztery diecezje, 146 parafii oraz około 400.000 wiernych. Cytuję za *One America*, ed. by Brown and Roucek, str. 139.

Wyłączność grupowa hierarchii irlandzkiej była przez długi czas główną przeszkodą w wytwarzaniu się wśród duchowieństwa pochodzenia polskiego naturalnej warstwy przewodniej. Ilość biskupów pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych pozostawała i pozostaje aż po dziś dzień w rażącej dysproporcji do liczby wiernych tego pochodzenia[35], zaś na pierwszą nominację swojaka na stolicę arcybiskupią czekać musieli Polacy amerykańscy lat przeszło sto[36].

Trzeba zaznaczyć jednak, że ostatnio zachodzą także i pod tym względem pewne zmiany na lepsze, bo nazwiska polskie zaczynają się pojawiać wśród osób wyznaczanych do spraw i urzędów, nie mających nic wspólnego z polskimi parafiami narodowymi. Na tej podstawie można by zaryzykować twierdzenie, że element polski zaczyna wreszcie zdobywać sobie należne mu miejsce w kierownictwie i administracji amerykańskiej *„Catholic Establishment"*. Mniej widoczne to jest jeszcze w katolickim życiu umysłowym, piśmiennictwie, publicystyce, i td.

Wpływ Kościoła Katolickiego na wychodźtwo polskie wyraził się poza tym stosunkowo silnym udziałem duchowieństwa w życiu organizacyjnym Polonii, zwłaszcza w jej prasie i szkolnictwie. W dziedzinie tej księża polscy i siostry zakonne położyli znaczne zasługi tak dla Kościoła, jak i dla zachowania języka i sentymentów narodowych.

W okresie przed pierwszą Wojną Światową wpływy Kościoła w polskim życiu organizacyjnym doprowadziły do dość silnego, choć przejściowego, antagonizmu, pomiędzy klerykalnym Zjednoczeniem Polskim Rzymsko-Katolickim, a bardziej narodowo-zorientowanym Związkiem Narodowym Polskim[37]. Antagonizm ten jednak nie trwał długo.

Wpływów katolickich można by dopatrzeć się poza tym w pewnych cechach charakterystycznych dla masy polonijnej, jak np. w jej konserwatyzmie społecznym, w jej raczej biernej roli w związkach zawodowych, oraz w wolniejszym, niżby można było się spodziewać, narastaniu wśród niej klasy średniej. Jednakże, wszystkie zjawiska tego rodzaju mają zazwyczaj więcej niż jedną przyczynę, na cechach zaś Polonii jako grupy etnicznej zaważyły nie tylko jej tradycje katolickie, ale w wyższym jeszcze stopniu jej *par excellence* pochodzenie ludowe.

Pochodzenie to, równoznaczne w przeważnej ilości wypadków z brakiem jakiegokolwiek przygotowania zawodowego do pracy w przemyśle, zmusiło wychodźtwo polskie do rozpoczęcia swej ewolucji społecznej od samego początku — od poziomu robotnika niewykwalifikowanego.

35. Sprawę tę omawia obszernie Wachtl, *op. cit.*, str. 101-11. Por. także Wytrwał, *op. cit.*, str. 170-171.

36. Tj. od r. 1854, gdy powstała pierwsza parafia polska w Stanach Zjednoczonych do r. 1964, gdy ks. biskup Król został mianowany na stolicę arcybiskupią we Filadelfii.

37. O tym piszą Thomas i Znaniecki, a także Wachtl i Wytrwał.

Ludowość naszej emigracji masowej oznaczała również, iż nie wyniosła ona z kraju, zahamowanego kulturalnie przez rządy zaborcze[38], a częściowo także i przez własne nasze zaniedbania społeczno-oświatowe[39], zbyt imponującego bagażu kulturalnego[40]. Często nawet jej uświadomienie narodowe pozostawiało wiele do życzenia.

Wprawdzie wraz z ludem emigrowała do Ameryki pewna liczba osób z wykształceniem średnim, a nawet wyższym, ale ani ta garstka inteligencji, ani nawet większa ilość zdolniejszych czy ambitniejszych samouków, którzy do niej z czasem dołączyli, nie zapewniły Polonii w okresach dla niej szczególnie ważnych dostatecznej liczby potrzebnych przewódców, organizatorów i wychowawców. Tym się tłumaczy względna posucha na leaderów, charakterystyczna dla Polonii, zwłaszcza w okresie międzywojennym, jak również pewna tendencja do kostnienia organizacyjnego, którą można zaobserwować w jej życiu.

Innym skutkiem genezy ludowej wychodźtwa polskiego było wczesne zacieśnienie jego szeregów do elementów etnicznie polskich. Wbrew spadkowi duchowemu Związku Narodowego Polskiego, który powstał z inspiracji powstańców z r. 1863 i którego odznaka zachowała dotąd herb potrójny dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, stosunek Polonii do innych grup wychodźczych z Europy Wschodniej nie odznaczał się nigdy żadną specjalną serdecznością.

To samo powiedzieć można o stosunku Polonii do Żydów polskich, nawet takich, których więzy kulturalne i uczuciowe z Polską były bardzo silne i których udział w życiu wychodźtwa mógłby przyczynić się wydatnie do jego wzbogacenia kulturalnego. Karol Wachtl w swej pracy o Polonii, cytowanej wyżej, mówi z uznaniem o kilku dziennikarzach polsko-amerykańskich pochodzenia żydowskiego. Do listy podanej przez niego można by dorzucić jeszcze kilka nazwisk, znanych w życiu Polonii, ale na ogół była to garstka szczupła bardzo i nieznaczna.

Ludowemu charakterowi wychodźtwa polskiego, nie istnieniu wśród niego tradycji klasy średniej, przypisują niektórzy[41] także jego powolny postęp gospodarczy, ograniczoną ilość rzutkich handlowców i przemysłowców, brak milionowych fortun, i td. Wydaje się jednak, iż brak tych osiągnięć przypisywać należy raczej całemu szeregowi wiążących się ze sobą przyczyn, aniżeli jakiejś jednej definitywnej *causa efficiens*.

Jeśli katolicyzm i pochodzenie ludowe wychodźtwa polskiego

38. O tym pisał m.in. Roman Dmowski.
39. Jak np. zwłaszcza na wsi w b. Galicji.
40. W latach 1940-42, gdy przejściowo wykładałem język oraz historię kultury polskiej w Kolegium Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs, Pa., miałem niemałą trudność w przekonaniu niektórych studentów moich pochodzenia polsko-amerykańskiego, że jedzenie posiłków łyżkami ze wspólnej misy nie jest polskim obyczajem narodowym.
41. Jak np. cytowany wyżej R. A. Schermerhorn.

mogą być uważane za jego podstawowe cechy kulturalne, które zadecydowały o jego początkowej adaptacji do nowych warunków życia, bardzo istotnym dodatkowym czynnikiem w tym procesie adaptacji była stworzona przezeń imponująca struktura organizacyjna.

Struktura ta, wzniesiona już wkrótce po osiedleniu się, a stanowiąca wymowny wyraz polskiego doświadczenia narodowo-historycznego, istnieje do dnia dzisiejszego, ale jest już tylko jak gdyby skamieniałym szkieletem bardziej rozległego i pełnego życia aparatu organizacyjnego, który istniał w przeszłości i którego zadaniem było zadawalanie różnych potrzeb Polonii jako prawie samowystarczalnego pod względem kulturalnym społeczeństwa mniejszościowego. Wraz ze zmniejszaniem się tej samowystarczalności kulturalnej różne części tego aparatu musiały powoli ulegać likwidacji. Nie ma już teatru polskiego, zmniejsza się ciągle ilość organów prasowych, zniknęły różne zrzeszenia oświatowe, sportowe i td. Jednakże zasadnicze formy organizacyjne Polonii — wielkie stowarzyszenia samopomocowe — nie tylko trwają nadal, ale nie wydają się być zagrożone tym procesem stopniowego topnienia odrębności Polonii jako społeczności mniejszościowej. Dlaczego?

Odpowiedzi na to szukać należy w charakterze organizacji tych stowarzyszeń, opartych na tzw. zasadzie asekuracyjnej. Istotą tej zasady, przyjętej przez większość stowarzyszeń polsko-amerykańskich już we wczesnym okresie ich rozwoju, jest to, że członkowie ich, zamiast opłacać składki członkowskie, zakupują od nich polisy asekuracyjne, które wiążą ich z daną organizacją na czas nieokreślony. Przeważna ilość członków danego stowarzyszenia nie bierze żadnego udziału w jego działalności, ani nią się nie interesuje. Stowarzyszenia zarządzane są przez na półzawodowych urzędników, wybieranych co kilka lat drogą tradycyjnej kampanii wyborczej. W kampanii tej bierze udział aktywna mniejszość członków, podzielona zazwyczaj na dwa zwalczające się ze sobą obozy. Głównym zadaniem zarządu każdej takiej organizacji jest rozszerzenie jej operacji finansowych i powiększenie jej majątku.

W ten sposób stowarzyszenia, założone zasadniczo w celach narodowo-kulturalnych, zamieniły się zwolna w rodzaj stowarzyszeń spółdzielczych. Oparcie istnienia takich organizacji na zasadach handlowych uczyniło z nich, w wielu wypadkach, dobrze prosperujące interesy, ale zepchnęło ich cele pierwotne do roli podrzędnej.

Ten charakter organizacji polonijnych tłumaczy ich przeważnie pasywną rolę w wielostronnych procesach asymilacyjnych, zachodzących wśród ludności pochodzenia polskiego, czy to zrzeszonej w tych organizacjach, czy też pozostającej poza ich zasięgiem.

Zanim jednakże przejdziemy do analizy tych procesów, musimy zapoznać czytelnika z ich tłem ogólnym, poczynając od ideologii asymilacyjnych i kończąc na nastawieniach większości w

stosunku do mniejszości. Ta część naszych rozważań musi z konieczności mieć charakter nieco bardziej teoretyczny.

4. *„Tygiel" amerykański w teorii i w praktyce*

Żeby asymilacja w ogóle mogła mieć miejsce, jednostki czy też grupy, mające jej ulec, muszą się znajdować pod przemożnym wpływem kultury, która uważana jest za wyższą, albo reprezentuje większość ludności danego kraju. Już sam fakt, że dana kultura jest kulturą większości, czyni ją atrakcyjną dla członków różnych mniejszości, nawet takich, które mają wysokie poczucie własnej wartości grupowej. Reprezentuje ona bowiem nie tylko zwyczaje i obyczaje przeważnej masy mieszkańców kraju, ale jest niejako oficjalnym wyrazem jego indywidualności historycznej. Wszystkie inne tradycje i obyczaje są co najwyżej tolerowane, reprezentują one nie główny nurt życia, tylko jego peryferie i zaułki. Odnosi się to nawet do Stanów Zjednoczonych, społeczeństwa o tak świeżym rodowodzie, że pamięć o jego różnych składnikach etnicznych nie mogła jeszcze ulec żadnemu zniekształceniu mitologicznemu.

Jak jest wyobrażana ta „większość", która spełnia rolę maszyny asymilacyjnej? W amerykańskiej literaturze popularnej, a przez pewien czas także i naukowej, wyobrażano ją sobie jako *melting pot* — rodzaj wielkiego kotła lub tygla, w którym różne obce elementy etniczne i kulturalne są przetapiane zwolna na czysty i jednolity stop syntetycznego amerykanizmu.

Frazes ten, użyty w tym znaczeniu po raz pierwszy w r. 1918 przez Izraela Zangwilla, autora znanej sztuki pod takim tytułem, zyskał sobie od razu wielką popularność jako rzekomo wierne zobrazowanie procesów asymilacyjnych, zachodzących w kraju, oraz jako hasło programowe ideologii asymilacyjnej. Ale ideologia ta nie powstała w r. 1918 z chwilą wynalezienia tej metafory przez Zangwilla, ani też nie ograniczyła się do tej jednej koncepcji teoretycznej. W rozwoju jej wyróżnić można trzy fazy, czy raczej trzy odrębne kierunki[42].

Pierwszy z nich, którzy amerykańscy specjaliści od spraw mniejszościowych nazywają *Anglo-conformity* można by określić jako *postulat asymilacji bezwzględnej*, postulat całkowitego dostosowania się przybyszów do kultury większości, opartej na tradycjach brytyjskich. Jest to ideologia w dziejach Stanów Zjednoczonych najbardziej popularna i zarazem najstarsza, bo sięgająca swymi początkami czasów tzw. założycieli Republiki.

Już Washington, w jednym ze swoich listów do Johna Adamsa, kwestionował mądrość polityki, prowadzącej do masowego

42. Jest to klasyfikacja przyjęta ogólnie przez specjalistów w tej dziedzinie, ale przedstawiam ją tutaj z pewnymi modyfikacjami, zaproponowanymi ostatnio przez socjologa amerykańskiego Miltona M. Gordona, w jego książce *Assimilation in American Life:* The Role of Race, Religion and National Origins. New York, 1964.

osiadania emigrantów z danego kraju w jednej i tej samej okolicy, bo „w ten sposób zachowują oni język, obyczaje i zasady (dobre lub złe), które przywożą ze sobą[43]".

Bardziej jeszcze zdecydowanie wypowiedział się adresat tego listu, John Adams, stwierdzając, że emigranci „muszą zrzucić swoją skórę europejską i nigdy jej z powrotem nie włożyć". Ci, którzy tego zrobić nie potrafią, mają zawsze otwarty dostęp do Oceanu Atlantyckiego i powrotu do kraju swoich ojców[44].

Słowa te pisane były w okresie, gdy młode Stany Zjednoczone były jeszcze krajem stosunkowo jednolitym, i wyrażały raczej troskę ówczesnej elity amerykańskiej o przyszłość jej dziedzictwa ideowego, aniżeli jakiś brak tolerancji w stosunku do innych kultur. W czasach późniejszych, jednakże, pod wpływem masowej imigracji Niemców, Skandynawów, Irlandczyków, Żydów, Słowian i Włochów, ideologia ta nabrała cech wrogości do elementów obcych, w szczególności do reprezentowanych przez nie innowacji kulturalnych, takich jak socjalizm czy anarchizm, lub ideologii dobrze znanych, ale wysoce niepopularnych, jak katolicyzm. Pytanie, czy z takich obcych można będzie kiedykolwiek zrobić prawdziwych Amerykanów zaczęło budzić coraz większy niepokój aż w okresie po pierwszej Wojnie Światowej doszło do wprowadzenia w życie słynnego, a najzupełniej zbędnego, programu amerykanizacji, czyli tzw. *Americanization Movement.*

Celem tego programu, do którego wprzągnięte zostały szkoły i różne placówki społeczne i organizacyjne, było zerwanie, lub przynajmniej wydatne osłabienie, związków duchowych pomiędzy poszczególnym wychodźcą a jego kulturą macierzystą przez poddanie go odpowiednim wpływom oświatowym i propagandowym. Każdy imigrant musiał być w krótkim terminie przerobiony na prawdziwego Amerykanina, zaś wszystkie cechy jego odmiennej kultury jako „dziwne", „wykazujące niższość" oraz „powodujące trudności" skazane były sumarycznie na unicestwienie[45].

Program ten, aczkolwiek lansowany przez niektóre ówczesne powagi naukowe, nie tylko asymilacji emigrantów nie przyśpieszył, ale przyczynił się, jak tego należało się spodziewać, do wywołania w nich silnej reakcji negatywnej. Wkrótce też podniosły się przeciwko niemu głosy wybitnych krytyków, podkreślających, iż ideałem życia amerykańskiego powinno być dążenie nie do ujednostajnienia kultury, tylko do jej urozmaicenia i wzbogacenia poprzez wkłady poszczególnych narodowości i grup etnicznych, które weszły w skład narodu amerykańskiego.

Był to trzeci z kolei kierunek ideowy, znany pod nazwą *pluralizmu kulturalnego.* Jest on pod niektórymi względami bliski drugiego kierunku, tj. *ideologii tygla,* stapiającego naród amery-

43. Cytuję za Peter I. Rose, *They and We:* Racial and Ethnic Relations in the United States. New York, 1964, str. 50.

44. *Ibid.*, str. 51.

45. Por. James Vander Zanden, *American Minority Relations.* New York, 1963.

kański, ale pod innymi względami zasadniczo od niej się różni.

Ideologowie tygla czyli *melting pot*, tacy jak Zangwill, czy dużo od niego ważniejszy William Jennings Bryan, uważali iż wszystkie grupy narodowościowe reprezentują pewne wartości kulturalne, które powinny znaleźć miejsce w tworzącej się kulturze amerykańskiej i że to nastąpi automatycznie drogą roztapiania się różnych elementów kulturalnych we wrzącym kotle asymilacji.

Ideologowie pluralizmu kulturalnego, jak np. Jane Addams, John Dewey, Randolph Bourne a zwłaszcza Horace Kallen, przyjęli ten sam punkt wyjściowy, ale widzieli przyszłość kultury amerykańskiej nie w postaci stopu wielu metali, tylko w postaci orkiestry symfonicznej, złożonej z wielu instrumentów narodowych. Ideałem ich była nie nowa jedność, złożona z różnorodnych elementów, tylko ich harmonijne ułożenie i zachowanie bez zmiany na czas nieokreślony.

Nawet na podstawie takiego pobieżnego scharakteryzowania tych różnych poglądów na rolę grup i kultur mniejszościowych w Stanach Zjednoczonych można stwierdzić, iż reprezentują one raczej pewne postawy światopoglądowe, aniżeli teorie oparte na faktach. Z punktu widzenia naukowego ani jedna z tych postaw utrzymać się nie da.

Postulat asymilacji bezwzględnej jest nierealny, bo asymilacja kompletna wymagałaby natychmiastowej obustronnej akceptacji, co w wypadku poważnych różnic kulturalnych jest zgoła niemożliwe.

Postulat tygla stapiającego nie bierze pod uwagę faktu, że kontakty kulturalne pomiędzy większością a mniejszościami nie odbywają się na płaszczyźnie równości. Mniejszości, jeśli chodzi o sytuację w Stanach Zjednoczonych, stanowią fragmenty ludnościowe, przeważnie z dawna oderwane od pnia swej macierzystej kultury i nie reprezentujące nawet jej przeciętnego poziomu. W tych warunkach wymiana kulturalna, jeśli o niej może być mowa, nacechowana jest wielką nierównością.

Wreszcie postulat trzeci — pluralizmu kulturalnego — jest również koncepcją zupełnie nierealną. Grupy mniejszościowe w Ameryce nie stanowią jednostek terytorialnych. Ich odrębność kulturalna dałaby się utrzymać tylko poprzez ścisłą solidarność danej grupy etnicznej oraz jej intensywny kontakt z kulturą macierzystą. I jedno i drugie jest zasadniczo nie do osiągnięcia, ale nawet gdyby było to możliwe, wynikiem takiego kultywowania odrębności narodowych w Ameryce byłaby nie żadna „orkiestra" kulturalna, tylko rozrzucone po kraju a zacofane enklawy etniczne, coś na modłę średniowiecznych gett żydowskich lub milletów tureckich z okresu sułtanatu.

Tak więc i ta trzecia koncepcja syntezy kulturalnej w Ameryce grzeszy brakiem realizmu. Jest ona najbardziej tolerancyjna z trzech ideologii asymilacyjnych, ale jednocześnie także i najbardziej nieżyciowa, bo fakty, którymi rozporządzamy, świadczą raczej o postępującej asymilacji mniejszości w Ameryce, aniżeli

o rosnącym, czy choćby tylko ustalonym, pluralizmie kulturalnym. Zanim przyjrzymy się jednak tym faktom, musimy chociaż w najogólniejszy sposób zanalizować samo pojęcie asymilacji.

5. *Siedem stron procesu asymilacyjnego*

Tradycyjnie asymilacja była pojmowana jako rodzaj procesu naturalnego, któremu ulega nieuchronnie jednostka lub grupa, zanurzona w kulturze obcej. Traci ona powoli swoje odrębne cechy kulturalne, takie jak sposób ubierania się i zachowania, obyczaje, gesty, język, i td., upodabniając się coraz bardziej do otaczającego ją środowiska obcego. Gdy upodobnienie się to posunie się tak daleko, że dana jednostka zdradza swoje pochodzenie obce tylko pewnymi drugorzędnymi cechami kulturalnymi, jak np. akcentem lub manierami, mówimy, że jest ona zasymilowana, tj. że proces asymilacji kulturalnej czyli akulturacji został zakończony.

Dalszym jeszcze stopniem asymilacji jest utożsamienie się ideowe danej jednostki z jej otoczeniem obcym, ale, aby do takiego utożsamienia się dojść mogło, niezbędne jest nie tylko pozytywne nastawienie jednostki do otaczającego ją środowiska, ale również i gotowość tego środowiska do przyjęcia jej *bez żadnych zastrzeżeń* do grona swych członków. Bo asymilacja, trzeba to podkreślić, jest procesem dwustronnym, nawet gdy jedną ze stron jest odosobniona jednostka.

Ponieważ w procesie zbliżania się jednostki czy grupy mniejszościowej do otaczającej ją większości mogą powstawać opory obustronne, tradycyjny model asymilacji kulturalnej czyli akulturacji jest niewystarczający. Musi on być odpowiednio rozszerzony przez włączenie do niego takich ważnych składników procesu asymilacyjnego, jak nastawienia mniejszości i większości.

Jeśli mniejszość jest przeciwna asymilacji i przeciwko niej wszystkimi siłami się broni, jak np. z reguły wszystkie mniejszości religijne, do asymilacji kompletnej dojść nie może, niezależnie od tego, jak życzliwie nastawiona jest do takiej asymilacji większość. Jest to jednak sytuacja, o którą nam w tym wypadku nie chodzi.

Chodzi nam raczej o sytuację odwrotną, w której mniejszości pragną się zasymilować, natomiast większość tę asymilację opóźnia przez utrzymywanie różnych barier społecznych i psychologicznych. Taką sytuację, jeśli chodzi o problem asymilacji w Stanach, naszkicował ostatnio w swej doskonałej, cytowanej już wyżej, pracy socjolog amerykański, Milton M. Gordon.

W ujęciu Gordona kompletna asymilacja danej mniejszości jest możliwa tylko pod warunkiem, że wszystkie zasadnicze składniki tego procesu mają możność rozwijać się bez przeszkód. Składników tych jest siedem:

1. *asymilacja kulturalna* (akulturacja), tj. przejmowanie przez mniejszość cech kulturalnych większości;

2. *asymilacja społeczna,* tj. udział mniejszości na wielką skalę w klikach, klubach i innych organizacjach, reprezentujących większość;
3. *asymilacja małżeńska,* tj. powszechność małżeństw mieszanych pomiędzy większością a mniejszością;
4. *asymilacja ideowa,* tj. identyfikowanie się mniejszości z większością i jej ideologią;
5. *nastawienie akceptujące asymilację,* tj. brak jakichkolwiek uprzedzeń ze strony większości w stosunku do mniejszości;
6. *postępowanie akceptujące asymilację,* tj. brak jakichkolwiek objawów uprzedzenia ze strony większości w jej zachowaniu się w stosunku do mniejszości;
7. *asymilacja obywatelska,* tj. brak jakichkolwiek ograniczeń mniejszości w jej prawach i pozycji jako obywateli państwa[46].

Używając tego siedmiostopniowego modelu jako probierza do mierzenia postępów asymilacji różnych grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych, Gordon dochodzi do wniosku, iż osiągnęły one wysoki stopień asymilacji kulturalnej, ideowej oraz — z pewnymi wyjątkami, jak np. Murzyni — obywatelskiej, natomiast nie posunęły się zbyt daleko w asymilacji społecznej oraz małżeńskiej[47]. Miast włączyć się w główny nurt życia i zlać się z większością, każda z tych grup wytworzyła swoją własną odrębną strukturę społeczną, złożoną z kilku poziomów klasowych a wzorującą się ściśle na modelu większości.

W ten sposób członek grupy mniejszościowej, należący np. do klasy średniej może mieć wykształcenie, dochody i nawet pozycję społeczną podobną do przedstawiciela tej samej klasy spośród większości, ale nie może należeć do tej samej kliki, klubu, i td., tylko do zrzeszeń, reprezentujących jego *ethclass,* tj. kombinację klasy społecznej i pochodzenia etnicznego. Gordon przyznaje jednak, że te podziały etniczne nie stosują się do świata intelektualnego oraz artystycznego, które mają charakter ponad czy poza-etniczny.

Powodem tego rozszczepienia się społeczeństwa, w każdej jego klasie, na kilka struktur etnicznych jest obecność tradycyjnych *uprzedzeń większości w stosunku do mniejszości,* tj. brak dwu zasadniczych warunków koniecznych do kompletnej asymilacji, warunków, któreśmy oznaczyli wyżej numerami 5 i 6.

Ale kim jest ta „większość", której uprzedzenia są przeszkodą w asymilacji mniejszości? Czy można w ogóle mówić o jakiejś większości w Stanach Zjednoczonych, a, jeśli tak, to o jakiej?

Przez długi okres czasu w pracach na temat stosunków etnicznych w Stanach Zjednoczonych zagadnienie większości jako takiej w ogóle poruszane nie było. Było ona traktowana wyłącznie jako tło, od którego różne grupy etniczne i rasowe odcinały się swymi obyczajami, życiem organizacyjnym, i td.

46. Por. M. Gordon, *op. cit.,* str. 71.
47. O małżeństwach mieszanych patrz niżej.

Ostatnio zaczęto jednak słusznie podnosić, że elementy ludnościowe, które stanowią tę „większość", nie są jakąś nieokreśloną mieszaniną, tylko reprezentują wyraźny typ etniczny i kulturalny o pewnym podłożu rasowym. Typem tym są biali Amerykanie klasy średniej, należący do różnych wyznań protestanckich, którzy stanowią dotąd większość elity polityczno-gospodarczej i kulturalnej kraju i którzy byli przez długi czas jego wyłącznymi gospodarzami.

Wpływy ich dzisiaj nie są już tak wyłączne, jak w okresie przed pierwszą Wojną Światową, stanowią oni jednak nadal grupę, cieszącą się najwyższym prestiżem społecznym. Mniej lub więcej korzystne stanowisko innych grup etnicznych zależy od „dystansu społecznego", jaki dzieli tę grupę od nich. I tak Murzyni i Azjaci zajmują najniższe stanowisko w hierarchii etnicznej, bo poczucie dystansu społecznego w stosunku do nich jest najsilniejsze.

Socjologowie amerykańscy próbują od dłuższego czasu mierzyć te dystansy społeczne za pomocą pomysłowych kwestionariuszy[48], wypełnianych przez różne grupy ochotników. Cokolwiek myśleć można o wartości wniosków ogólnych, opartych na tego rodzaju danych, jest rzeczą godną uwagi, że hierarchia dystansów społecznych, odczuwanych przez „większość" amerykańską w stosunku do poszczególnych narodowości czy grup etnicznych, ulega w ciągu lat tylko nieznacznym zmianom i, co ważniejsza, że obowiązuje ona również i same mniejszości, z tym zrozumiałym wyjątkiem, że siebie umieszczają one nie na szarym końcu, tylko gdzieś bliżej samego czoła hierarchii.

Ciekawą ilustracją takich studiów nad uprzedzeniami etnicznymi są badania profesora Uniwersytetu Kalifornijskiego, Emory Bogardus, zwłaszcza drobne różnice, które zachodzą pomiędzy jego wynikami z lat 1926 oraz 1946[49]. W obu wypadkach do grup etnicznych najwyższej rangi zaliczeni są, prócz samych Amerykanów rasy kaukaskiej, Anglicy, Kanadyjczycy, Szkoci, Irlandczycy, Holendrzy i Skandynawowie. Ale poza tym nawet niektóre narody, należące do grupy prestiżowej, wykazują w swojej pozycji znaczne wahania. Niemcy np., którzy w r. 1926 wyliczeni są pod numerem siódmym, znajdują się w r. 1946 pod numerem jedenastym. Rosjanie zachowali to samo miejsce, ale Czesi i Polacy wykazują wzrost prestiżu, bo Czesi z miejsca 20 przenieśli się na 13, zaś Polacy z 17 na 15. W ten sposób Polacy znajdują się w tyle poza Anglo-Sasami, Francuzami, narodami mówiącymi językami germańskiemi, oraz Finami, Czechami i Rosjanami. Wyprzedzają natomiast pozostałe narody romańskie i słowiańskie, Ormian, Greków, Żydów oraz wszystkie narody azjatyckie.

Nie łatwo jest powiedzieć, co reprezentują przesunięcia posz-

48. W kwestionariuszach tych intensywność uprzedzenia respondenta w stosunku do danej grupy etnicznej jest mierzona przez odpowiednie stopniowanie reakcji negatywnej. Respondent wybiera stopień najbardziej mu odpowiadający.
49. Cytuję za Vander Zanden, *op. cit.,* str. 73.

czególnych narodowości na tej dziwacznej[50] „skali dystansu społecznego". W niektórych wypadkach, jak np. w odniesieniu do Murzynów, pewną poprawę w opinii o nich można przypisać postępowi demokratyzacji wewnętrznej w Stanach Zjednoczonych. W innych wypadkach zmiana w ocenie wydaje się być raczej echem sentymentów z czasów ostatniej wojny.

Pozycja Polaków — czemukolwiek można ją przypisać — znajduje się nieco *ponad* środkiem skali — niżej od narodowości cieszących się znacznym prestiżem, ale wysoko ponad tymi, które są przedmiotem poważnych uprzedzeń.

6. Ewolucja ideowa Polonii

Proces ewolucji społeczno-kulturalnej Polonii da się łatwiej zanalizować, jeśli rozbijemy go na trzy zasadnicze składniki:

1. *ewolucję ideową Polonii,* tj. zmiany, które zaszły w jej myśleniu o sobie oraz w jej stosunku do Polski i Stanów Zjednoczonych;
2. *ewolucję społeczną,* tj. proces różniczkowania społecznego Polonii w miarę jej zrastania się z otaczającym środowiskiem amerykańskim;
3. *ewolucję kulturalną,* tj. zmiany, które nastąpiły w podstawowych cechach kulturalnych Polonii.

Niestety, o różniczkowaniu się społecznym Polonii mówić możemy tylko w ogólności, bo żadnych danych statystycznych, obrazujących ten proces, nie posiadamy. Dwa inne aspekty asymilacji opisać się dadzą dużo dokładniej. Sprawa ewolucji ideowej wysuwa się tu na plan pierwszy, bo odpowiedź na pytanie: kim jesteśmy i dokąd idziemy — dla określenia orientacji kulturalnej danej grupy etnicznej wydaje się być decydującą.

Chociaż emigracja z Polski do Stanów Zjednoczonych, poczynając od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, miała charakter przeważnie ekonomiczny, nie była ona właściwie nigdy pozbawiona pewnych akcentów ideowo-politycznych.

Polacy, emigrujący z ziem b. zaboru niemieckiego lub ze Śląska, emigrowali nie tylko w poszukiwaniu lepszych warunków bytu, ale również żeby się uwolnić od ucisku germanizacyjnego, Kulturkampfu, praw wyjątkowych, i tp. Podobnie Polacy, emigrujący z Królestwa i innych ziem b. zaboru rosyjskiego, uciekali nie tylko od biedy, ale także od różnych form ucisku narodowego, jak narzucona obca szkoła, przymusowa służba w armii rosyjskiej, i td.

50. Jedną z poważnych braków tej skali jest to, że pomieszane są na niej różne narodowości, które są licznie reprezentowane wśród grup mniejszościowych w Stanach Zjednoczonych z takimi, których w Ameryce w ogóle nie ma i które Amerykanie do niedawna znali tylko z gazet, jak np. Turcy. Wydaje się, iż zestawianie tak różnych kategorii jest metodologicznie nie wskazane, zwłaszcza iż lista narodowości uwzględnionych nie jest bynajmniej pełna.

Obecność tych ważnych elementów politycznych i ideowych w światopoglądzie emigracji w połączeniu z jej głębokim sentymentem narodowym oraz tradycjami niepodległościowymi, zaszczepionymi jej przez jej poprzedników z emigracji po-styczniowej[51], zadecydowały o zasadniczej postawie ideowej wychodźtwa w stosunku do rzeczywistości życia emigracyjnego, którą można by określić jak *ideologię tymczasowości emigracji,* wiarę w przyszły powrót do Polski, uwolnionej od rządów obcych.

Chociaż ideologia ta miała oparcie raczej wśród elity kulturalnej emigracji, aniżeli w jej masach i chociaż objawy przywiązania do Stanów Zjednoczonych jako do kraju, w którym znaleźli wolność i dobrobyt, dają się zauważyć wśród wychodźców już we wczesnym okresie emigracji[52], aż do pierwszej Wojny Światowej i odzyskania niepodległości przez Polskę orientacja ideowa Polonii ma kierunek zdecydowanie narodowy polski[53]. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu tych paru dziesiątków lat, które upłynęły pomiędzy początkiem emigracji masowej a wybuchem pierwszej Wojny Światowej, asymilacja poczynić musiała dosyć poważne postępy, zwłaszcza wśród jednostek rozproszonych w środowisku obcym, jednakże nie znalazło to jeszcze żadnego wyrazu w postawie oficjalnej Polonii reprezentowanej czy to przez jej prasę, czy też poważniejsze organizacje społeczne.

Wojna Światowa była okresem kulminacyjnym napięcia uczuć i wysiłków patriotycznych Polonii, okresem, po którym musiała nastąpić pewna reakcja, nie tylko dlatego, że cel polskiej pracy narodowej został wreszcie osiągnięty, ale także i dlatego, że pomiędzy oczekiwaniami Polonii, związanymi z tym osiągnięciem, a realną sytuacją w kraju wytworzył się pewien rozdźwięk.

Niełatwo jest w kilku słowach scharakteryzować powody, dla których najbardziej po polsku czująca i ideowo przodująca część Polonii poczuła się zawiedziona i odepchnięta, ale taka sprawa, jak rychłe zlikwidowanie armii ochotniczej gen. Hallera, która była niejako symbolem czynu patriotycznego Polonii, a zwłaszcza obojętne, czy chociażby tylko biurokratyczne, potraktowanie jej inwalidów i weteranów przyczyniły się do rozszerzenia się tego poczucia[54]. Innymi czynnikami, które zaważyły na ochłodzeniu uczuć patriotycznych Polonii, były takie fakty, jak niepowodzenia emigrantów, wracających do Polski, różne niepoważne towarzys-

51. O wpływach powstańców 1863 na założenie Związku Narodowego Polskiego pisze Wachtl, *op. cit.*, str. 169 i gdzie indziej.

52. Już Henryk Sienkiewicz, który podróżował po Stanach Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, zauważył, iż niebezpiecznie jest krytykować Amerykę w obecności Polaków amerykańskich. Por. H. Sienkiewicz, „Osady polskie w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki", *Pisma zapomniane i niewydane.* Lwów, 1922.

53. Świadczy o tym wymownie, m.in., idea wychodźtwa jako „czwartego zaboru" Polski. Por. Thomas i Znaniecki, op. cit., str. 1596-1598.

54. Polacy amerykańscy, których zdemobilizowano i zachęcono do powrotu do Ameryki, musieli nagle uświadomić sobie, że widocznie Polsce naprawdę potrzebni nie są.

twa akcyjne, które naraziły Polonię na poważne straty finansowe[55], usunięcie się z areny politycznej takich faworytów Polonii, jak Paderewski lub gen. Haller, wreszcie zamach majowy i rządy Piłsudczyków.

Jednakże odzyskanie niepodległości przez Polskę miało dla Polonii znaczenie bardziej zasadnicze, aniżeli cały ten problem stosunków uczuciowych z macierzą. Postawiło ją bowiem po raz pierwszy wobec konieczności określenia swej własnej indywidualności grupowej. Powstanie Polski niepodległej musiało położyć kres mitowi tymczasowości emigracji.

Polacy, zamieszkali poza granicami kraju, stanęli wobec konieczności wyboru pomiędzy obywatelstwem państwa polskiego a przynależnością do polskiej mniejszości narodowej w jednym z państw obcych. W Stanach Zjednoczonych, gdzie mniejszości narodowe jako takie nie istnieją, sprawa wyboru wyglądała inaczej. Polonia amerykańska musiała decydować czy będzie nadal uważała się za część Polski czy też za część narodu amerykańskiego.

Dosyć pokaźna liczba uchodźców, bo około sto tysięcy osób, których związki rodzinne i kulturalne z Polską nie uległy osłabieniu, powzięła decyzję powrotu i odpłynęła stopniowo do Polski[56]. Ale przeważająca masa, zadomowiona już i rozrodzona w Ameryce, ani nie mogła, ani nie chciała myśleć o powrocie.

Odtąd było już tylko kwestią czasu, kiedy postępujący proces asymilacji kulturalnej i ideowej przetworzy Polaków amerykańskich w polskich Amerykanów czy też Amerykanów pochodzenia polskiego.

Elementem podstawowym w tym procesie było dochodzenie do pełnoletniości oraz do głosu w sprawach społecznych pokolenia zrodzonego już w Ameryce, „pokolenia, które Polski nigdy nie widziało i które było niezdolne myśleć kategoriami polskimi[57]".

Już niemal nazajutrz po wojnie, bo w r. 1921, jeden z przedstawicieli tego pokolenia, wykształconych już w szkołach amerykańskich, Tadeusz Śleszyński, omawiając dostosowanie się tego pokolenia do rzeczywistości powojennej w Stanach Zjednoczonych, podkreślił jego orientację narodowo-amerykańską[58].

Podobną orientację ideową młodego pokolenia, zrodzonego w Ameryce, wykryli dwaj socjologowie amerykańscy, którzy w parę lat później przeprowadzili badanie nad zagadnieniem identyfikacji narodowej w jednym z większych skupisk polskich — mieście Buffalo, N.Y. Na ich pytanie za kogo się uważają, 57% Polaków urodzonych w Ameryce odpowiedziało iż są Amerykanami, 39% oświadczyło że są polskimi Amerykanami lub Polaka-

55. O tym obszernie pisze Wachtl, *op. cit.*, str. 183-186.
56. Por. M. Szawleski, *op. cit.*, str. 346.
57. Wytrwał, *op. cit.*, str. 239.
58. T. Śleszyński, „The Second Generation of Immigrants in the Assimilation Process", *Annals of the American Academy of Political and Social Science*, 1921.

mi amerykańskimi, zaś tylko 7% określiło siebie jako Polaków[59].

Stwierdzenie tego stanu rzeczy przez przewódców Polonii zorganizowanej nastąpiło dopiero w szereg lat później. Jednakże już w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie nie brak dowodów, że Polonia od spraw polskich się odsuwa i że hasło „wychodźtwo dla wychodźtwa", wysunięte na jednym z kongresów emigracyjnych z lat dwudziestych jest wiernym odbiciem jego nowej ideologii[60].

> „Zasnęła Polonia od czasu skończenia wielkich działań zbiorowych w okresie pierwszej Wojny Światowej — pisze Karol Wachtl — odrętwiałość nas ogarnęła jakaś; byli, co mówili, że to już *rigor mortis* obejmuje nas. Większość zdawała się już i godzić z tą ewentualnością fatalną. Zatraciliśmy drogę w przyszłość. Dawniej wiedzieli tu wszyscy, dokąd idą — do Polski wolnej! Lecz Polska swymi poszła szlaki, a my w kraju innym, w społeczeństwie na wskroś odmiennym, innymi podążać musimy drogami. A jakie one? Ani całkiem polskie, ani w zupełności amerykańskie. Oto problem, oto trudność, nad którą biedzą się i mozolą od lat nasi przewódcy[61]!"

Wachtl pisał tak jeszcze w r. 1944, ale trochę niekonsekwentnie, bo wiedział, że zasadnicza decyzja w sprawie orientacji ideowej Polonii powzięta była już dziesięć lat przedtem. Przyszło do niej w r. 1934, gdy na Drugim Zjeździe Światowego Związku Polaków Zagranicą w Warszawie delegacja Polonii zaproszona została przez rodaków z innych krajów do przystąpienia do tego związku. Rozważywszy tę sprawę wszechstronnie, delegacja oświadczyła, że Polonia amerykańska, „uważając się za nieodłączną część składową wielkiego Narodu Amerykańskiego", do Światowego Związku Polaków przystąpić nie może, natomiast gotowa jest współpracować z tą organizacją „w zakresie kulturalnym[62]".

Chociaż oświadczenie to spotkało się z pewną reakcją negatywną wśród jednostek głębiej do Polski przywiązanych, nie ulega wątpliwości, iż było ono logiczną konsekwencją procesów rozwojowych Polonii nie tylko od czasów pierwszej Wojny Światowej, ale od początków emigracji oraz że może być uważane za jej wykrystalizowaną postawę ideową.

Od tego momentu rozwój Polonii jako społeczeństwa odbywa się już raczej pod znakiem przemian, zachodzących w Stanach Zjednoczonych, aniżeli w związku ze sprawą polską. Wprawdzie druga Wojna Światowa oraz nieszczęścia, jakie spadły na Polskę, wywołały wśród Amerykanów pochodzenia polskiego wiele serdecznego współczucia oraz gotowość pomocy moralnej i materialnej, nie wpłynęło to już jednak zasadniczo na ewolucję ideo-

59. Niles Carpenter and Daniel Katz, „The Cultural Adjustment of the Polish Group in the City of Buffalo", *Social Forces*, 1927. Cytuję za Wytrwałem, *op. cit.*, str. 239.
60. Por. Wytrwał, *op. cit.*, str. 241.
61. Wachtl, *op. cit.*, str. 95-96.
62. *Ibid.*, str. 397.

wą Polonii. Nawet ci spośród Amerykanów pochodzenia polskiego, którzy nadal określają siebie jako *Polish Americans*, rozumieją swój „pluralizm kulturalny" w sposób raczej swobodny, bo, jak stwierdza Józef Wytrwał, „nacisk na spuściznę kulturalną polską bynajmniej nie oznacza identyfikacji z kulturą polską, lecz raczej z kulturą polską — *w interpretacji Amerykanów pochodzenia polskiego*[63]".

7. *Ewolucja społeczno-kulturalna*

Żeby tę ewolucję ideową, którą Polonia przebyła w ciągu ostatniego półwiecza, uczynić zrozumiałą, trzeba chociaż po krótce przedstawić głębokie przemiany społeczne i kulturalne, które stanowiły jej właściwe podłoże.

Zmiany, które zaszły w strukturze społecznej Polonii w tym okresie, można podsumować ogólnie jako wydatny rozrost jej klasy średniej.

Jak już wiemy, przeważna masa uchodźców z Polski zaczynała swoje doświadczenia amerykańskie od pracy na najniższych szczeblach drabiny społecznej: jako robotnicy w kopalniach lub fabrykach, czy też jako parobkowie na farmach. Stopniowo część tych, którzy znaleźli sobie pracę na roli, jak również tych, co osiedli w miastach, potrafiła dorobić się niezależności czy to jako farmerzy w Connecticut lub na Long Island, czy też jako drobni kupcy lub przemysłowcy.

Przez długi okres czasu jedyną warstwą inteligencką byli księża oraz nieliczni emigranci z wykształceniem europejskim. Już jednak w okresie przed pierwszą Wojną Światową sporo młodzieży polskiej, czy to urodzonej w Polsce czy już w Ameryce, znalazło się w amerykańskich szkołach wyższych — na studiach prawnych, lekarskich lub na dentystyce. Liczba tej młodej inteligencji rosła tak szybko, że już w latach dwudziestych zaczęły powstawać w niektórych ośrodkach Polonii, jak np. w Chicago, stowarzyszenia tzw. profesjonalistów polskich.

Innymi ważnymi drogami awansu społecznego dla Polaków stały się już dosyć wcześnie polityka, zwłaszcza miejska i stanowa, oraz służba w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych[64]. Z czasem doszły do tego sporty[65], szkolnictwo, dziennikarstwo,

63. Wytrwał, *op. cit.*, str. 245. *Podkreślenia* nasze.

64. Kronikarze Polonii wymieniają długą listę oficerów pochodzenia polskiego, którzy dosłużyli się wyższej rangi; wśród kandydatów do West Point jest zawsze dosyć młodych Amerykanów polskiego pochodzenia; listy odznaczonych za bohaterstwo w czasie drugiej Wojny Światowej, wojny koreańskiej i nawet już wojny wietnamskiej zawierają liczne nazwiska polskie.

65. Lista wybitnych sportowców polskich w Ameryce jest równie imponująca jak listy wojskowe. Niektórzy sportowcy polscy, jak np. Musiał, znani są w całym kraju. Dużo żartów wywołuje znany fakt, że drużyna piłki nożnej Uniwersytetu Notre Dame, tzw. „The Fighting Irish", liczy w sobie zwykle sporo Polaków.

radio, i td. Stosunkowo nieznaczny był udział Polaków w eszelonach kierowniczych związków zawodowych, gdzie niektóre inne narodowości doszły do dużych wpływów. Ostatnio zaznacza się udział Polaków Amerykańskich[66] także w nauce i sztukach pięknych, ale w tych dziedzinach są to dopiero skromne początki.

Wzięta jako całość, Polonia reprezentuje dzisiaj dobrze pod względem zawodowym zróżniczkowaną masę ludności ze sporym odsetkiem inteligencji pracującej oraz stosunkowo liczną klasą średnią. Jeśli chodzi o asymilację kulturalną, warstwy górne wydają się być bardziej gruntownie zasymilowane, aniżeli dolne, wśród których tradycyjna kultura ludowa ma więcej szans do przetrwania, choćby w przemieszaniu z elementami kultury amerykańskiej.

Z punktu widzenia kultury cechami, wyodrębniającymi wychodźców od reszty ludności, były przede wszystkim: język polski oraz imiona i nazwiska, następnie pewna ilość tradycji, które można by nazwać ogólnie „obyczajem polskim", wreszcie wiara katolicka, wyznawana przez ich olbrzymią większość. Proces asymilacji dotknął każdej z tych cech, ale w sposób bardzo nierównomierny.

Najbardziej poważne zmiany zaszły w dziedzinie języka, jak również w nazwiskach i imionach, gdzie asymilacja od razu rzuca się w oczy[67]. Jeśli chodzi o obyczaje, zniknęły, oczywiście, wszystkie odrębności stroju czy manier, ale pokaźna ilość głębiej ugruntowanych tradycji, zwłaszcza uświęconych religijnie, jak np. obyczaje świąteczne, weselne czy pogrzebowe, wydają się nadal utrzymywać.

Najsilniejszy opór w stosunku do prądów asymilacyjnych wykazują tradycje religijne, chociaż tu właśnie opór ten nie jest bynajmniej równoznaczny z zachowaniem łączności pomiędzy katolicyzmem a polskością. W Stanach Zjednoczonych polska ludność katolicka spotkała się nie tylko w szkołach czy w pracy zawodowej, ale nawet w kościołach, z ludnością katolicką innych narodowości, w szczególności Irlandczykami i Włochami. Wynikła z tych kontaktów duża ilość małżeństw — mieszanych z punktu widzenia etnicznego, ale jednolitych z punktu widzenia wiary. Małżeństwa takie stały się tak częste, zwłaszcza w niektórych dzielnicach kraju, że przed kilku laty socjologowie amerykańscy zaczęli mówić nie o jednym, tylko o trzech tyglach asymilacyjnych[68]: protestanckim, katolickim oraz żydowskim, z których

66. W uwagach tych ograniczam się do Amerykanów pochodzenia polskiego, wyłączając uchodźców, których udział w tych dziedzinach jest niewątpliwie bardziej znaczny.

67. Sprawę ewolucji nazwisk polskich w Ameryce, która ciekawa jest nie tylko z punktu widzenia kulturalnego, ale i językowego, zamierzam omówić wkrótce w osobnym artykule.

68. Por. np. Ruby Jo Reeves Kennedy, „Single or Triple Melting Pot", *American Journal of Sociology*, 1944, lub A. B. Hollingshead, „Cultural Factors in the Selection of Marriage Mates", *Ibidem*, 1950.

każdy produkuje osobno skomplikowany stop różnych elementów etnicznych, reprezentujących to samo wyznanie.

Nowsze studia zakwestionowały to uogólnienie, ale nie ulega wątpliwości, że pośród małżeństw mieszanych pod względem narodowości lub pochodzenia, małżeństwa pomiędzy członkami tego samego wyznania stanowią grupę bardzo znaczną.

Według nieco przestarzałych danych, zawartych w *The Catholic Encyclopaedia* za r. 1950, na każde 54 małżeństwa wśród katolików pochodzenia polskiego wypada aż 31 takich, w których jeden z partnerów jest pochodzenia nie-polskiego. Wedle tegoż źródła w jednej z większych parafii polskich w stanie Pennsylvania w okresie 1940-1950 przeciętny odsetek roczny małżeństw z katolikami nie-polskiego pochodzenia wynosił ponad połowę, bo 51,6% ogółu. W przeciwieństwie do tego, odsetek małżeństw katolików polskich z nie-katolikami nie przekraczał 10%[69].

Jednakże nowsze studium w tej dziedzinie socjologa J. L. Thomasa, który objął swymi badaniami 132 parafie katolickie we wschodniej oraz środkowo-zachodniej części kraju, dochodzi do wniosku, że statystyki katolickie mają pewne poważne luki, bo obejmują jedynie te wypadki małżeństw mieszanych, w których aprobata kościelna została uzyskana. Wedle danych, zebranych przez niego, 39,6% małżeństw mieszanych, zawartych w okresie 1940-1950 nie posiadało aprobaty kościelnej[70].

Co do odsetka małżeństw pomiędzy osobami pochodzenia polskiego a osobami innej narodowości, bez uwzględnienia wyznania, dane dla miasta Buffalo, zebrane przez psychologa polsko-amerykańskiego, B. R. Bugelskiego, wykazują, iż w latach 1930-1960 wzrósł on z 21% aż do 67%[71]. Analizując te dane, Bugelski dochodzi do wniosku, że prawdopodobieństwo małżeństw pomiędzy osobami pochodzącymi z tej samej grupy narodowościowej, jak np. polskiej czy włoskiej, zmniejsza się w coraz to szybszym tempie oraz że przed r. 1975 wesela „polskie" czy „włoskie" będą już należały do przeszłości[72].

Dr Bugelski zatytułował swój artykuł: „Asymilacja poprzez małżeństwa mieszane", podkreślając w ten sposób jeden z niezmiernie ważnych czynników asymilacji kulturalnej. Małżeństwa mieszane prowadzą najprostszą drogą do zacierania się nie tylko „otwartych" granic etnicznych, ale nawet zażarcie bronionych granic wyznaniowych.

Nie posiadamy żadnych prawie danych o zmianach wyznania, zachodzących wśród ludności Stanów Zjednoczonych, ale nawet na podstawie najbardziej powierzchownych obserwacji można stwierdzić, że jeśli chodzi o wymianę wiernych pomiędzy Kościołem katolickim, a kościołami protestanckimi, nie jest ona jednostronna. Kościół katolicki zyskuje sobie wielu konwertytów spośród protestantów, tracąc równocześnie sporo swoich wiernych na rzecz różnych wyznań oraz sekt protestanckich. Jakie są przyczyny tych ruchów nie łatwo jest odpowiedzieć i zaprowadziłoby to nas daleko poza nasz temat. Ograniczymy się więc tutaj do stwierdzenia, że osoby pochodzenia polskiego można obecnie znaleźć wśród wszystkich wyznań protestanckich w Stanach Zjednoczonych i to nie tylko wśród wiernych, ale także nieraz i wśród duchowieństwa.

69. *The Catholic Encyclopaedia*, t. XVIII, dodatek II z r. 1950.

70. J. L. Thomas, „The Factor of Religion in the Selection of Marriage Mates", *American Journal of Sociology*, 1951.

71. B. R. Bugelski, „Assimilation Through Intermarriage", *Social Forces*, 1961, str. 148-153.

72. Wynikałoby z tego, że moje uwagi powyżej na temat trwałości niektórych obyczajów polskich wśród Polonii już wymagałyby rewizji, może jednak przepowiednie dra Bugelskiego są zbyt pesymistyczne.

Jeśli nawet silne bariery wyznaniowe nie zdołały w wielu wypadkach wytrzymać ciśnienia asymilacyjnego, stopniowe, ale nieuchronne, cofanie się języka polskiego było przesądzone właściwie od początku. Wprawdzie księża polscy, jako naturalni przewódcy ludu, zdołali rozbudować w Stanach Zjednoczonych nie tylko rozległą sieć kościołów polskich, ale także i szkół parafialnych, broniąc skutecznie przez czas dłuższy tego dorobku przed zakusami amerykanizacyjnymi hierarchii, nie zdołało to jednak powstrzymać naturalnego procesu erozji językowej, postępującej w miarę dojrzewania pokoleń urodzonych i wychowanych już w Ameryce.

Polskie doświadczenia historyczne wyrobiły w naszym narodzie silną odporność na różne formy ucisku narodowego, ale nie przygotowały nas na możliwość samorzutnego kruszenia się odrębności narodowej od wewnątrz. Język angielski, język ojczysty dzieci i wnuków emigrantów, przybyłych z Polski, zaczął już zaraz po pierwszej wojnie wciskać się do nabożeństw w kościołach polskich, na szpalty pism polskich, przeznaczone dla młodzieży, i td. To prawda, że jeszcze do dziś dnia mamy ponad 800 kościołów polskich oraz około 600 szkół parafialnych[73], ale do jakiego stopnia są te instytucje naprawdę polskie? Polskie parafie narodowe upodabniają się coraz bardziej do katolickich parafii terytorialnych, zaś w szkołach parafialnych język polski sprowadzony jest przeważnie do roli jednego z języków obcych.

Był czas, kiedy w Ameryce wychodził polski *Orędownik Językowy*, gdy odbywały się zjazdy kapłańskie, poświęcone kaznodziejstwu w języku polskim, gdy istniała liczna prasa w języku polskim i nawet ukazywały się książki w języku polskim[74]. Ale wszystko to należy już do przeszłości.

O ten smutny stan rzeczy nie można, oczywiście, nikogo winić. Jest to wynik żywiołowego procesu asymilacyjnego, którego nawet najbardziej inteligentna i przewidująca polityka nie byłaby w stanie zahamować, ani nawet opóźnić.

Proces asymilacji kulturalnej Polonii postępował tak wolno i niepostrzeżenie, że nawet u rodaków, którzy zdawali sobie z niego sprawę, wywoływał uczucie raczej zdziwienia i smutku, ani-

73. Wytrwał, *op. cit.*, str. 102-103.

74. O tym najobszerniej pisze Wachtl, *op. cit.*

żeli goryczy czy zawodu. Dobrze to wyraził jeden z poetów polonijnych starszego pokolenia, Józef Makowiecki, w wierszu tym bardziej wymownym, że pisanym niedługo przed śmiercią:

„Myśmy tu byli i trwali
Gromadą drwali, fornali —
Kopacze węgla i złota,
Oracze ugornej ziemi,
Rozpięci na tęsknot krzyżu,
Pokorni, posępni, niemi,
U chaty obcej nam proga
Proszący serdecznie Boga,
By śmierć lub Polskę przybliżył!

A dziś: — Tak sobie powoli
Ludźmi, których nic nie boli,
Codziennie wyjeżdżamy
Za bramy, za tamte bramy!
Pozostawiając za sobą
Kartkę: „For Rent" na progu
I w pismach polskich — kilka nekrologów![75]"

Nie łatwo jest nawet wskazać jakieś wypadki lub daty, które można byłoby uważać za przełomowe w tym procesie stopniowego przesuwania się Polonii ze świata kultury polskiej do świata kultury amerykańskiej. Proces ten zaczyna się w latach dwudziestych, gdy młoda inteligencja polsko-amerykańska tworzy swoje pierwsze zrzeszenia zawodowe — poza ramami dawnych organizacji polonijnych — i zaczyna wydawać swoje organy prasowe w języku angielskim. Równocześnie zaczynają powstawać nowego typu organizacje i zrzeszenia kulturalne, mające na celu nie „pielęgnowanie" kultury polskiej, tylko raczej informowanie o niej społeczeństwa amerykańskiego.

I tak w r. 1925 dr Stefan Mierzwa, urodzony jeszcze w Polsce, ale wykształcony już w szkołach amerykańskich, zakłada w New Yorku tak dobrze znaną później Fundację Kościuszkowską, mającą na celu zacieśnienie stosunków kulturalnych pomiędzy Polską a Ameryką, w szczególności informowanie Stanów Zjednoczonych o polskim dorobku kulturalnym.

W r. 1926 powstaje w Chicago z inicjatywy Tadeusza Śleszyńskiego pierwszy Polski Klub Artystyczny *(Polish Arts Club)*, mający za zadanie popieranie twórczości artystycznej wśród społeczeństwa polsko-amerykańskiego oraz zapoznawanie Ameryki z dorobkiem polskiej kultury i sztuki. W ślad za Chicago idą wkrótce inne większe ośrodki Polonii, organizując podobne kluby artystyczne, później zwane Polskimi Klubami Kulturalnymi *(Polish Cultural Clubs)*.

75. Józef Makowiecki, „Przypomnienie", *Wiadomości Codzienne*, Cleveland, Ohio, July 28, 1939.

W r. 1935 do tych wysiłków, zmierzających do zapoznawania społeczeństwa amerykańskiego z kulturą polską, a zwłaszcza ze spuścizną kulturalną Polonii przyłącza się Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, jedna z czołowych organizacji polonijnych, otwierając w Chicago pierwszą Bibliotekę-Muzeum Historyczne wychodźtwa oraz rozpoczynając wydawnictwo biblioteki historycznej w języku angielskim.

W r. 1937 staraniem zjednoczonych Polskich Klubów Kulturalnych ukazuje się obszerna antologia dwujęzyczna poezji polsko-amerykańskiej pod redakcją dra Tadeusza Mitany[76]. Już sam fakt, że połowa tej antologii poświęcona jest poezji w języku angielskim świadczy, iż język ten zyskał sobie pełne prawa w literaturze polonijnej jako język ojczysty młodego pokolenia.

W r. 1939 zapoczątkowane zostają doroczne zjazdy Polskich Klubów Kulturalnych, które nabierają od razu dużego znaczenia w życiu elity polonijnej. W r. 1945 zaczyna wychodzić biuletyn informacyjny o działalności klubów, zaś w trzy lata później powołana zostaje do życia specjalna Rada, mająca na celu koordynację ich prac. Od r. 1960 Polskie Kluby Kulturalne biorą żywy udział w organizowaniu odczytów oraz konferencji naukowych, poświęconych Millenium Chrześcijaństwa w Polsce[77].

W środowiskach uniwersyteckich, obok Polskich Klubów Kulturalnych, działają również rozmaite kluby studenckie, zakładane przez młodzież polsko-amerykańską, a mające na celu popieranie studiów polonistycznych lub slawistycznych. Członkowie takich klubów przyczynili się do obudzenia szerszego zainteresowania nie tylko dla spraw polskich, ale i dla dziejów samej Polonii przez wybieranie odpowiednich tematów dla swoich prac magisterskich lub doktorskich[78].

Podobny proces asymilacji kulturalnej można obserwować równocześnie w wielkich organizacjach polonijnych. Od lat trzydziestych ster rządów nad nimi zaczyna przesuwać się zwolna w ręce leaderów, reprezentujących kulturę amerykańską. Chociaż język polski zachowuje nadal swoje stanowisko w życiu tych organizacji, jak np. może nadal być używany — obok języka angielskiego — w czasie obrad na zgromadzeniach walnych lub w korespondencji, całe urzędowanie biurowe oraz akta oficjalne ich działalności prowadzone są już od lat w języku angielskim.

Nasz przegląd procesów asymilacji językowej i kulturalnej Polonii należałoby zakończyć uwagami na temat stanowiska języka polskiego w życiu prywatnym jej elity kulturalnej, szczególnie

76. *Antologia poezji polsko-amerykańskiej*, Opracował dr Tadeusz Mitana. Chicago, 1937.

77. Historię Polskich Klubów Kulturalnych omówił po krótce ich założyciel, Tadeusz Śleszyński w swoim artykule: „Development of Cultural Activities in Polish American Communities", *Polish American Studies*, t. V, str. 65-87.

78. O rozwoju studiów nad Polonią w języku angielskim mówiliśmy już wyżej.

w tych rodzinach, w których przedstawicieli starszej generacji, urodzonej w Polsce, już nie ma. Niestety, możemy tu tylko formułować pytania, na które odpowiedzi nie mamy.

Do jakiego stopnia jest język polski kultywowany w życiu prywatnym nawet najbardziej aktywnych elementów polonijnych jest rzeczą niezwykle trudną do ustalenia nietyle ze względów technicznych, ile uczuciowych.

Pytanie ile ludzi spośród milionowej rzeszy osób, należących do organizacji polonijnych i biorących udział w ich życiu, zna język polski w stopniu dostatecznym, aby móc czytać pisma lub książki polskie, musi również pozostać bez odpowiedzi.

8. Zamiast konkluzji

Wszystko, cośmy powiedzieli wyżej na temat dynamiki rozwojowej Polonii, jak również to, co wiemy o ewolucji innych grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych, utwierdza nas w przekonaniu, że żywiołowy proces asymilacyjny, który próbowaliśmy naświetlić, będzie postępował dalej, prawdopodobnie w tempie przyśpieszonym. Wobec tej konkluzji ogólnej, naczelnym zadaniem myśli polskiej wydaje się być konieczność nie tylko zrozumienia, ale właściwej oceny tych przemian z punktu widzenia naszych interesów narodowych.

Sprawa asymilacji, czyjejkolwiek, nie jest zagadnieniem neutralnym. W procesie tym, biorąc ogólnie, jedna strona bogaci się kosztem drugiej. Jednakże ocena strat i zysków obustronnych zależy w pewnej mierze od perspektywy, z której na proces asymilacji spoglądamy. Jest rzeczą niezmiernie ważną, abyśmy tej perspektywy zbytnio nie zwężali. Musimy zdobyć się na obiektywną ocenę sytuacji, co dla nas, Polaków, którzyśmy swego narodowego stanu posiadania strzegli zawsze czujnie i zazdrośnie, nie jest wcale rzeczą łatwą.

Nasze dyskusje o asymilacji miały zazwyczaj charakter jednostronny. Lubiliśmy szczycić się tym, że dawna Rzeczypospolita Polska miała wielki wpływ asymilacyjny, żeśmy zasymilowali mieszczaństwo niemieckie, szlachtę ruską i litewską, szlachtę pruską i inflancką, Żydów, Ormian, Tatarów, i td., że nawet pod rządami zaborczymi umieliśmy asymilować rodziny nasłanych urzędników-germanizatorów. Ale raczej unikaliśmy takich tematów, jak liczne wypadki ruszczenia się Polaków w Rosji przedrewolucyjnej lub niemczenia się w Niemczech cesarskich.

Było to najzupełniej zrozumiałe wobec zagrożenia naszego stanu posiadania przez tych potężnych sąsiadów, ale niezawsze wychodziło nam na korzyść, bo czyniło z każdego „utraconego" Polaka świadomego odstępcę czy renegata[79], podczas gdy wielu

79. Zarzuty, stawiane swego czasu Conradowi Korzeniowskiemu, są tu najlepszym przykładem.

z tych, co odeszli od polskości w środowisku obcym, na zarzut taki nie zasłużyli. Bo proces asymilacyjny jest czymś naturalnym i całkowicie zahamować się nie da, jeśli są do tego odpowiednie warunki.

Nawet Żydzi, którzy mogą służyć jako przykład zupełnie niezwykłej odporności na wpływy asymilacyjne, nie uchronili się w ciągu swych długich dziejów od poważnych strat ludnościowych na rzecz narodów, pośród których osiedli[80], i zdołali zachować w wielu wypadkach nie wiele więcej, niż wiarę przodków oraz pewne obyczaje, ściśle z nią związane. Ale Żydzi posiadają własną narodową religię o charakterze mesjanistycznym, podczas gdy najbardziej odrębną cechą Polaków jest ich język, jedna z najbardziej kruchych podstaw odrębności, jak to dobrze wiemy z historii.

Jako Polak wychowany poza krajem, ale w patriotycznym środowisku polskim, musiałem przezwyciężyć w sobie duże opory psychiczne, aby móc na problem asymilacji Polaków na obczyźnie spojrzeć zupełnie obiektywnie. Pamiętam, jak trudno mi było w latach młodości pogodzić się z istnieniem sporej ilości Polaków, rozproszonych w Rosji, a zwłaszcza na Syberii i Dalekim Wschodzie, którzy, pamiętając o swoim pochodzeniu polskim i w wielu wypadkach nawet znając język polski, identyfikowali się raczej z rosyjskością i nie myśleli ani o powrocie do Polski, ani o „zachowaniu" swej polskości. Może najbardziej tragiczne były tu wypadki rodzin powstańców z r. 1863, którzy na zesłaniu syberyjskim pożenili się z Rosjankami i ulegli prawie zupełnemu zruszczeniu.

Na ogół Rosja wchłonęła w siebie dużą ilość elementu polskiego, o czym świadczą nazwiska polskie, tak często spotykane nie tylko wśród elity Rosji przedrewolucyjnej, ale również wśród inteligencji sowieckiej i nawet wśród białej emigracji rosyjskiej okresu międzywojennego.

Asymilacja Polaków w Rosji była tym łatwiejsza, że w większości wypadków nie oznaczała świadomego „zerwania" z polskością, lecz była raczej sprawą stopniowego oddalania się od Polski i Polaków. Nawet ludzie nie władający już językiem polskim przyznawali się do polskości i wykazywali czasem zainteresowanie dla spraw polskich. Była to asymilacja nietyle „narodowa", co „imperialna", chociaż w wyniku ostatecznym prowadziła do tego samego, tj. do zupełnego zidentyfikowania się z ideą rosyjską. Rosyjskość nie zastępowała polskości, jak to było zazwyczaj w wypadkach germanizacji, tylko raczej pochłaniała ją, przesłaniając równocześnie ogromem swych ogólnoludzkich trosk i zainteresowań[81].

80. Jest np. rzeczą ogólnie znaną, że rodziny żydowskie, osiadłe w Stanach Zjednoczonych w czasach kolonialnych, uległy asymilacji nie tylko językowej, ale religijnej i małżeńskiej, aczkolwiek zachowały pewną tradycję swego niegdyś związku z Żydami.

81. O tym pisał Marian Zdziechowski w swej książce *Wpływy rosyjskie na duszę polską*.

Mutatis mutandis, podobne formy pochłonięcia i przesłonienia identyfikacji narodowej zachodzą również i w procesie amerykanizacji[82]. Sytuacja różni się jednak o tyle od sytuacji w Rosji przedrewolucyjnej, że opory ideologiczne przeciwko asymilacji jako takiej w ogóle nie istnieją, zaś postulatem maksymalnym narodowości, ulegających temu procesowi, jest zachowanie pewnej tożsamości oraz solidarności grupowej, podporządkowanej ściśle wymogom identyfikacji narodowo-amerykańskiej oraz patriotyzmu ogólno-krajowego.

Co więcej, jeśli chodzi o asymilację Polaków w Ameryce, nie jest to bynajmniej, jak było w wypadku ruszczenia się Polaków w Rosji, jednostronna strata dla polskiego stanu posiadania, lecz raczej w swych wynikach ogólnych zjawisko dla narodu polskiego i korzystne i pożądane. Bo jakąż mielibyśmy alternatywę, gdyby Polacy amerykańscy mieli pozostać na zawsze wyodrębnioną politycznie, czy chociażby tylko kulturalnie, mniejszością narodową? Czyż lepiej byłoby dla narodu polskiego, gdyby w miastach amerykańskich istniały „getta polskie" ze wszystkimi negatywnymi skutkami takiej izolacji społeczno-kulturalnej? Czyż moglibyśmy dysponować wówczas takimi wpływami na społeczeństwo amerykańskie, jakich możemy spodziewać się w bliskiej już przyszłości? Czy mielibyśmy to samo stanowisko w opinii amerykańskiej?

Również i z moralnego punktu widzenia sprawa amerykanizacji nie może budzić żadnych zastrzeżeń. Ameryka nie jest i nie była nigdy wrogiem Polski. Polacy, którzy osiedlili się w Ameryce i zostali obywatelami Stanów Zjednoczonych, nie muszą martwić się o to, że przyszłość może ich postawić wobec konfliktu pomiędzy lojalnością w stosunku do kraju ojczystego a lojalnością wobec ojczyzny przybranej. Lojalność w stosunku do Stanów Zjednoczonych nie wymaga od ich obywateli ani pozbycia się swojej spuścizny kulturalnej, ani zobojętnienia na losy kraju ojczystego. Chociaż w pewnych okresach historycznych tzw. *hyphenated Americans*, tj. narodowości, podkreślające swoją lojalność dla obu „Ojczyzn", bywali przedmiotem pewnej nagonki ze strony szowinistów-asymilatorów, duch dziejów Ameryki jest zasadniczo nacechowany tolerancją i zrozumieniem dla więzi emocjonalnej, łączącej emigrantów z krajem ich pochodzenia.

Zresztą przeważna większość Amerykanów pochodzenia polskiego, czy jakiegokolwiek innego pochodzenia europejskiego, nie należy do tej grupy pośredniej, bo już urodziła się i wychowała w Stanach Zjednoczonych. Dla tej wielkiej rzeszy Stany Zjednoczone nie są już ojczyzną przybraną, tylko ojczyzną naturalną i problem zaszczepienia w niej pewnego sentymentu dla ojczyzny i kultury ojców i dziadów nie jest już prostą sprawą obowiązku

82. Aczkolwiek wypadki asymilacji „negatywnej", chęci odcięcia się zupełnego od swojej grupy etnicznej, można niekiedy również napotkać.

moralnego, tylko co najwyżej dezyderatem narodowym — ani prostym, ani łatwym do wykonania.

Wydaje mi się, iż jedyną drogą do osiągnięcia tego celu było by stworzenie dla tej masy ludzi polskiego pochodzenia, lub chociażby tylko dla jej klas wykształconych, literatury w języku angielskim, propagandowej w najlepszym słowa tego znaczeniu, która mogłaby ją do sprawy i kultury polskiej zbliżyć i pozyskać[83]. Coś niecoś zrobiono w tej dziedzinie i przed wojną i po wojnie, ale bardzo niewiele, bo ciągle żyliśmy fikcją, że w Stanach Zjednoczonych żyje wielomilionowa rzesza „Polaków", głęboko Polsce oddana i zawsze o Polsce myśląca. Któżby myślał w tych warunkach o informowaniu tych Polaków o Polsce, o wzmacnianiu w nich zainteresowania i przywiązania dla kraju ich przodków. Fikcja ta jest równie głęboko zakorzeniona nie tylko wśród Polaków, ale również, *w nieco innej formie*, i wśród leaderów Polonii, którzy, żeby to wyrazić w ich języku ojczystym, *should know better*.

Wprawdzie wielu rzeczy, które zaniedbano, już odrobić się nie da, jest jeszcze czas na to, aby się podjąć dobrze planowanej akcji pogłębienia i utrwalenia związku duchowego z Polską wśród wielkiej masy Amerykanów pochodzenia polskiego, które o niej, o jej dziejach i kulturze, nic nie wiedzą lub wiedzą bardzo mało.

Niełatwo jest powiedzieć, kto tej tak ważnej pracy powinien się podjąć. Organizacje polonijne, które do tego z natury rzeczy byłyby powołane, bardziej dbają o to, aby rodziny osób, ubezpieczonych przez nie, były „stu-procentowo" związkowe lub zjednoczeniowe, aniżeli o to, aby do każdego Amerykanina pochodzenia polskiego dotarła literatura o Polsce i jej kulturze. Ale bez oparcia o te organizacje nawet najlepiej pomyślana praca taka nie mogłaby być skuteczna.

Trzeba nam, zaiste, pełnej rozmachu akcji apostolstwa kulturalnego, obudzenia się Polonii zorganizowanej z tego długiego snu letargicznego, o którym pisał zasłużony leader Polonii, a wierny syn Polski, dr Karol Wachtl.

A gdyby akcja taka mogła mieć widoki realizacji, okoliczność iż tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w Anglii, mamy obecnie wielu uczonych polskich — znawców dziejów i kultury Polski mogłaby wydatnie przyczynić się do jej powodzenia. Może obchody Millenium, które organizowane są teraz wspólnymi siłami Polonii oraz wychodźtwa polskiego ostatniej doby wywołają większe zrozumienie wśród myślącego ogółu tej naglącej potrzeby uczynienia Polski bliskiej i zrozumiałej dla wszystkich, kto się z niej wywodzi.

Konstanty SYMONOLEWICZ (SYMMONS)

83. Próbowałem szukać oparcia dla tej idei, przemawiając do rozmaitych grup kulturalnych (od r. 1942), ale bez wyników praktycznych.

Antysemityzm

W ostatnich czasach sprawa polskiego antysemityzmu jest dość często poruszana przez prasę europejską a amerykańską w szczególności, polaryzując w niewłaściwym świetle to zagadnienie. Przez niewłaściwą polaryzację wykorzystuje się antysemityzm w Polsce jako podłoże do antypolonizmu.

Szczególnie jaskrawo kwestia ta występuje w artykułach i publikacjach poświęconych wydarzeniom związanym z losami tragicznej zagłady żydostwa polskiego w okresie drugiej wojny światowej.

Polaryzatorzy zagadnienia polskiego antysemityzmu uwypuklają zasadniczo trzy okresy polskiego antysemityzmu klasyfikując go w następujący sposób:

— Tradycyjny antysemityzm polski, który na ogół łączy się z okresem sprzed pierwszej wojny światowej, podkreślając szczególnie okres zaboru Polski.

— Skrajny antysemityzm polski to okres międzywojenny związany na ogół z walką ekonomiczną tego okresu oraz —

— Narodowy antysemityzm polski pojawia się przy omawianiu wydarzeń z okresu okupacji podczas drugiej wojny światowej.

Do tych ogólnych przymiotników dodaje się jeszcze ogólne twierdzenie, które odnosi się do obecnej rzeczywistości „że Polska jest antysemicka i pozostanie".

Korzystając z łamów miesięcznika „Kultura" chciałbym sprowokować dyskusję, mającą na celu zastanowienie się jak dalece przymiotniki odnośnie polskiego antysemityzmu są słuszne.

Wypowiadając swój punkt widzenia opieram się głównie na doświadczeniu życiowym z czasów okupacji niemieckiej, podczas której jako Polak młodego pokolenia byłem świadkiem straszliwej zagłady żydostwa oraz na pobycie w Izraelu, gdzie miałem możliwość studiowania stosunków polsko-żydowskich pod różnymi kątami i płaszczyznami.

Spodziewam się, że na pewno będą inne punkty widzenia i wiele osób nie zgodzi się z moimi poglądami, ale to już sprawa dyskusji i mojego własnego sumienia.

Jak właściwie wygląda sprawa tradycji polskiego antysemityzmu, zróbmy w tym celu skrócony przegląd historii.

Historia antysemityzmu jest tak stara, jak stare jest pokolenie Izraela. Cesarz wschodnio-rzymski, Justynian I, jest twórcą prawa o Żydach, mocą którego robi z nich ludzi miernego

Artykuł dyskusyjny.

rzędu, wykluczając ich ze społeczeństwa wśród którego i z którym dotąd żyli.

Religię żydowską uznał za wstecznictwo a zebrania religijne za zebrania zbrodniarzy.

Dalsi władcy i synody kościelne sprecyzowali do reszty ten system, a rekord w tym uzyskał synod Laterański w 1215 r.

750 lat minęło od chwili wydania dekretu o świętej Inkwizycji. Z chwilą wydania tego dekretu w całej ówczesnej cywilizowanej Europie zaczyna się jedna z najstraszliwszych w dziejach narodu żydowskiego tragedia. Żydzi są masowo masakrowani i w okrutny sposób prześladowani. Państwo za państwem wydaje dekrety zabraniające osiedlania się ludności żydowskiej, zabraniające nabywania posiadłości oraz, co gorsze, wywłaszczające ich z ziemi gdzie żyli przez lata. (Edward I w Anglii, Karol IV we Francji, Ferdynand Katolicki w Hiszpanii, Maksymilian I z krajów Habsburskich).

W momencie, kiedy zdawało się, że nie ma ratunku dla prześladowanego żydostwa i los całkowitego wyniszczenia jest tylko kwestią czasu, dwa państwa otworzyły wrota dla zmasakrowanych niedobitków z pola Inkwizycji — Polska i Turcja. Polska nie tylko otworzyła wrota, ale jest pierwszym krajem, który nadaje Żydom przywileje. W okresie średniowiecza kultura Żydów w Polsce promieniuje na całe ówczesne żydostwo światowe. Renesans kultury żydowskiej odbywa się na ziemiach polskich. Słynne szkoły chasydzkie w Zamościu, Chełmie, Lublinie, Wilnie i Krakowie. Rabini polscy są jedynymi autorytetami w sprawach religii i obrządków religijnych. Pierwszy druk polski w języku „jidisz" ukazuje się w 1534 r. w Krakowie. Praktycznie, Żydzi stanowią trzeci stan w ówczesnej Polsce.

Obraz ten uległ całkowitej zmianie z chwilą utraty niepodległości przez naród polski.

Ziemie polskie są w tym okresie największym zbiorowiskiem ludności żydowskiej na świecie. Według S. Landyn'a „A world Problem" 1920 r., układ ludności żydowskiej od strony statystyki wyglądał następująco:

Ziemie polskie pod zarządem niemieckim — 1,7% ludności stanowiła ludność żydowska.

Ziemie polskie pod zarządem austriackim — 7,8% ludności stanowiła ludność żydowska.

Sytuacja na terenach polskich objętych zarządem rosyjskim wyglądała odmiennie — 28% ludności stanowiła ludność żydowska; ponieważ ludność ta głównie skupiała się w miastach i miasteczkach procent ten był zróżnicowany i wynosił od 40% do 85% (Ryki, Siedlce, Homel).

Polityka zaborców bardzo umiejętnie wykorzystała ten atut. Niemcy używają swoich Żydów do germanizacji ziem polskich, tę samą metodę stosują Austriacy. Rosjanie robią z Polski obóz koncentracyjny dla swoich Żydów.

Ze względu na dysproporcję w rozmieszczeniu ludności żydowskiej na terenach Polski, stosunki pomiędzy ludnością polską a

żydowską głównie kształtowały się na terenach objętych zarządem rosyjskim. Proces ten jest bardzo skomplikowany i zaskakujący z punktu widzenia faktów historycznych i pod wieloma względami do dnia dzisiejszego trudny do zrozumienia: i to zarówno z punktu widzenia socjologicznego jak i historycznego.

Do czasów powstania styczniowego Żydzi polscy razem z Polakami żyli wyłącznie wspólnymi ideami narodowymi, biorąc udział w Powstaniu Styczniowym. Literatura polska tego okresu najlepiej wyraża uczucia narodu polskiego w stosunku do ludności żydowskiej. Żyd jest traktowany jako integralna część narodu polskiego a nie jako jednostka poza tym narodem.

Rozprzestrzeniająca się ideologia demokracji i równości sprzyja rozszerzającemu się procesowi asymilacji Żydów. Polska tego okresu jest mozaiką różnorodnej wiary i religii. Jest to okres, w którym zdawało się, że w Polsce zagadnienie kwestii żydowskiej nie będzie istniało.

Stosunki polsko-żydowskie uległy kompletnej zmianie z chwilą zabójstwa cara Aleksandra II w 1881 roku. W Rosji i na Ukrainie zaczynają się fale pogromów. Rząd rosyjski w maju 1862 r. wydaje tzw. „prawa majowe", na mocy których Żydzi są wywłaszczani i pozbawiani prawa osiedlania się na ziemi rosyjskiej. Prawa te nie obejmują obszarów Polski. Na terenach Królestwa Polskiego obowiązuje prawo przeprowadzone przez Aleksandra Wielopolskiego o równouprawnieniu Żydów. Żydzi mogli bez obawy wypędzenia osiedlać się i nabywać majątki ziemskie oraz nieruchomości. Polska jest ponownie schronieniem dla prześladowanych mas żydowskich.

Ironią losu jest to, że do liczby Żydów spolszczonych, czujących się obywatelami polskimi, Rosja carska dodała masy Żydów rosyjskich, prześladowanych i pogardzanych w Rosji, tzw. „Litwaków", którzy byli elementem obcym pod każdym względem, stając się przyczyną niezwykłego zajątrzenia stosunków i przeszkodą w asymilacji polskich mas żydowskich.

Napływ mas Żydów rosyjskich wywołał znaczny wzrost procentowy ludności żydowskiej powodując przepełnienie w miastach i miasteczkach. Ponieważ napływ mas Żydów rosyjskich zbiegł się z przegrupowaniem polskiej ludności wiejskiej do miast, na skutek opóźnionej rewolucji przemysłowej, jaką Polska w tym okresie przechodzi, zagadnienie jest podwójnie skomplikowane. W takim stanie rzeczy jedynie periodyczna emigracja pewnej ilości Żydów mogłaby zapobiec zupełnemu uduszeniu się.

Emigracja jest w tych czasach zjawiskiem stałym, ale niekoniecznie ratującym sytuację. Miejsce emigrujących, przeważnie spolszczonych, Żydów zajmują rychło wypędzeni z Rosji „Litwacy", co przechyla szalę na rzecz elementów dla narodu polskiego obcych. Jest to jedno z największych osiągnięć polityki rosyjskiej odnośnie demoralizacji narodu polskiego.

Polacy są kompletnie zdezorientowani w swoich poglądach i pod wpływem demagogicznych haseł okupantów zaczynają głosić

hasła, „że obowiązkiem patriotycznym każdego Polaka jest odżydzenie wszystkich pozycji ekonomicznych na terenach polskich wprowadzając na miejsce Żydów — Polaków". Hasła organicznej pracy miały być bez Żydów.

Propagowanie takich poglądów stworzyło zaczarowane koło uprzedzeń rasowych bez wyjścia. Antysemityzm zaczyna przybierać w Polsce realną formę jako zjawisko społeczne.

Polska pod tym względem jest bardzo spóźniona, ponieważ Europa ma za sobą proces Dreyfusa we Francji, pogromy w Rosji, ugruntowany antysemityzm junkrów niemieckich w Niemczech, klauzulę o ucywilizowaniu Żydów zanim się ich wprowadzi do społeczności z powrotem, wydaną przez Austrię i td. W porównaniu z tym jest nielogicznym twierdzenie, że antysemityzm polski jest tradycyjny.

Polska nie posiada tradycji antysemickich, najlepszym tego wyrazem jest to, że gdyby takie tradycje istniały, nie zaproszono by Żydów na tereny Polski.

Żydów zaproszono w celu wypełnienia luki, jaka istniała w naszym układzie społecznym, szczególnie jeżeli chodzi o trzeci stan. Polska, dając możliwości rozwoju kultury żydowskiej, wykazała że Żydzi są raczej elementem pożądanym na naszych ziemiach, a jeżeli chodzi o handel i rzemiosło elementem zdecydowanie pozytywnym. I tak się do tego ustosunkowała jeżeli chodzi o okres średniowieczny.

Upadek państwa polskiego w połączeniu z rozbiorami spowodował, że stosunki polsko-żydowskie zaczęły się układać na zupełnie innych płaszczyznach; jedna płaszczyzna to polityka zaborców, druga problem „Litwaków". Polityka zaborców sprowadziła antysemityzm do Polski celem zdemoralizowania narodu polskiego, co się zaborcom udało. Problem „Litwaków" wprowadził do Polski specyficzny klimat wrogości pomiędzy Żydami i Polakami, wrogości która wypływa z jednej jak i z drugiej strony w tym samym stopniu.

Przy rozpatrywaniu polskiego antysemityzmu tego okresu należy stwierdzić ogólnie, że forma w jakiej antysemityzm wystąpił na ziemiach polskich jest odmienna od form antysemityzmu w innych krajach ówczesnej epoki, ponieważ Polska w tym okresie skupiała połowę całej ludności żydowskiej całego świata, a przy tak ogromnej liczbie antysemityzm w Polsce musiał wystąpić w zdecydowanie jaskrawym świetle.

Przy takim układzie, mylne jest twierdzenie, że antysemityzm polski jest tradycyjny ponieważ musiałby być funkcją czasu — przeczą temu fakty historyczne; jest on tylko (antysemityzm jako zjawisko) funkcją specyficznych okoliczności, które są różnie interpretowane przez różnych komentatorów.

Okres Polski odrodzonej to okres skrajnego antysemityzmu, płynącego z pozycji walki ekonomicznej, albo jak pisze J. Tenenbaum w swojej książce „okres zimnego pogromu, mający na celu zamrożenie Żydów w życiu ekonomicznym kraju poprzez bojkot społeczeństwa oraz poprzez zarządzenia administracyjne,

stawiając w ten sposób liczbę 3,5 miliona Żydów przed alternatywą wygłodzenia albo opuszczenia kraju poprzez emigrację". *(The Search for the lost People)*.

Jest to bardzo skrajne ujęcie zagadnienia kwestii istniejącej w ówczesnym okresie i do pewnego stopnia nie pozbawione słuszności lecz okoliczności, które się do tego przyczyniły są ponownie zagadnieniem bardzo skomplikowanym. Na czym ta komplikacja polegała?

Żydzi zostali sprowadzeni do Polski, aby wypełnić lukę w postaci trzeciego stanu. Z perspektywy czasu można by to sformułować mniej więcej w ten sposób: ogromna masa Żydów nie mogła po prostu znaleźć ujścia dla swoich talentów i zdolności, tworząc trzeci stan stanowiący większość w handlu i rzemiośle, a tym samym tamowała rozwój polskiego stanu średniego, który w wyniku zachodzących przemian gospodarczych sięgał po prymat w życiu ekonomicznym kraju, stąd ostra, bezlitosna walka o rynek, o klientów, o mocną pozycję gospodarczą. Polska jest krajem ekonomicznie zacofanym o słabych źródłach surowców naturalnych. Jest tylko jeden kawałek chleba, którym trudno jest obdzielić dwóch — wystarcza tylko dla jednego. Walka pomiędzy Żydami i Polakami nie płynie z pozycji antysemityzmu, płynie z pozycji walki o byt. Walka taka byłaby prowadzona na każdej szerokości geograficznej, w stosunku do każdej mniejszości narodowej, i nie tylko Polska jest tego przykładem. Wystarczy przypatrzeć się bliżej kolonizacji Ameryki Północnej, aby stwierdzić, że proces taki w jeszcze bardziej skrajnym stopniu miał miejsce jeżeli chodzi o stosunek białych kolonizatorów do Indian.

Taka sama walka toczy się dzisiaj na Bliskim Wschodzie pomiędzy Arabami i Żydami. Również Cypr jest do pewnego stopnia przykładem takiej walki. W Polsce taką samą walkę prowadzono by gdyby na miejscu Żydów byli Ukraińcy, Białorusini, Litwini lub Nowo-Zelandczycy. Metody, jakie stosowano w walce ekonomicznej, są kwestią otwartą i jeżeli Żydzi mają w tym wypadku zastrzeżenia, to zastrzeżenia te są uzasadnione i Polacy ponoszą winę za wprowadzanie metod, które niezawsze były zgodne z pojęciami cywilizowanego narodu.

Druga wojna światowa w bolesny sposób rozwiązała ten konflikt.

Okres okupacji służy na ogół do komentowania antysemityzmu w Polsce jako zjawiska narodowego. Ugruntowanie tej opinii odbywa się na ogół na tle emocjonalnym, związanym z tragiczną zagładą żydostwa polskiego. Przytoczę tutaj dwa wypadki. Jeden osobisty, z czasu mego pobytu w Izraelu, drugi to artykuł A. M. Rosenthala „Forgive not for they know what they did" w *New York Time Magazine* z 24 października 1965 r.

Odbierając poleconą przesyłkę na poczcie w Tel-Avivie, urzędnik pocztowy patrząc na mój dowód, rzekł — Polak. Polska to bardzo antysemicki naród. — Dlaczego? — zapytałem. — Wymordowano tam 6 milionów Żydów, chyba to wystarczy.

Artykuł A. M. Rosenthala jest poświęcony 25-ej rocznicy zagłady Getta Warszawskiego. W artykule tym dwa zdania poświęcone są roli, jaką odegrali Niemcy hitlerowscy, reszta artykułu w sposób demagogiczny mówi o narodowym antysemityzmie Polaków, podkreślając, że Polacy (wszyscy) byli potencjalnymi „szmelcownikami". Z artykułu A. M. Rosenthala oraz wypowiedzi urzędnika pocztowego w Tel-Avivie można by wywnioskować, że wypadki drugiej wojny światowej i związaną z tym zagładę żydostwa polskiego można przypisać polskiemu antysemityzmowi, rozciągając go na skalę narodową. Urzędnik pocztowy w Tel-Avivie jak również Rosenthal nie robią Polaków odpowiedzialnymi za obozy zagłady i komory gazowe, lecz robią Polskę potencjalnym miejscem dla tego celu, oraz przez taką interpretację dezorientują opinię, stojącą poza polem tego zagadnienia.

Ponieważ okupację spędziłem w Polsce oraz byłem świadkiem zagłady, chciałbym odpowiedzieć na stawiane zarzuty.

Do chwili drugiej wojny światowej Polskę zamieszkiwało 3,5 miliona Żydów, Żydów, którzy swoim wyglądem różnili się od pozostałej ludności. Niemcom hitlerowskim łatwiej było zbudować obozy na miejscu, niż transportować 3,5 miliona ludności poza tereny przez nich zamieszkałe. Prowadząc totalitarną wojnę w Europie, transport hitlerowskich Niemiec nie może sobie pozwolić na taki wysiłek. Polska ze względów geograficznych została wybrana przez Hitlera jako miejsce na rozwiązanie kwestii żydowskiej. Poza tym Polska była jedynym krajem okupowanym, który nie posiadał przedstawiciela narodu współpracującego z okupantem, przedstawiciela w rodzaju rządu Pétain'a, Quislinga.

Cała Polska jest jednym wielkim obozem. Na terenie Polski obowiązywało wydane przez Niemców hitlerowskich prawo, które nie miało miejsca w innych okupowanych państwach, że za przechowywanie Żyda groziła kara śmierci dla wszystkich członków rodziny, która przechowywaniem Żyda się zajmowała. Sam byłem świadkiem jak hitlerowcy w powiecie Puławskim ugotowali żywcem całą rodzinę składającą się z 8-miu członków włączając dzieci i starców.

Nikt z nas nie zaprzeczy, że w czasie okupacji hitlerowskiej grasowały hieny ludzkie, zajmujące się wydawaniem Żydów w ręce Gestapo. Odpowiedzią na to były wyroki śmierci wydawane przez polskie podziemie na „szmelcowników". Nie zapominajmy o tym, że słowo „szmelcownik" jest zaczerpnięte ze słownika polskiego podziemia. Armia Krajowa posiadała specjalną sekcję przy swoim sztabie, która zajmowała się niesieniem pomocy Żydom. A Zukerman w swojej książce „Walczące Getto" opisuje bardzo wyraźnie pomoc polskiego podziemia. Zaopatrywanie getta w żywność odbywało się przez ludność polską, mimo że groziła za to kara śmierci. („Scroll of Agony — The Warsaw Diary" of Chaim Kaplan).

Nie bez wymowy jest również fakt, że wykup getta lwowskiego (J. Tanenbaum „The Search of the lost people") został doko-

nany ze zbiórki pieniężnej Polaków. Listy dziękczynne do dnia dzisiejszego napływają do Polaków, którzy uratowali życie Żydom podczas okupacji ryzykując swoim i rodzin życiem (Tygodnik Powszechny).

Wystarczy odwiedzić w Izraelu miejsce które robi może największe wrażenie z wszystkich jakie się w tym kraju odnosi a mianowicie „Iad Washem" pod Jerozolimą czyli Muzeum poświęcone zagładzie. Wokół tego Muzeum jest las młodych drzewek poświęcony tym, którzy zginęli za sprawę żydostwa. Każde drzewko symbolizuje postać i jest opatrzone nazwiskiem.

Nazwiska *Polaków* są bardzo licznie reprezentowane i są bodajże drugie co do ilości poza nazwiskami żydowskimi.

Wszystkie te fakty świadczą o tym, że naród polski nie jest narodem antysemickim.

Prawdą jest, że Polska ze względu na liczbę Żydów była potencjalnym miejsce, wybranym przez szaleńca XX-ego wieku celem rozwiązania kwestii żydowskiej. Nieprawdą jest, że naród polski klaskał w ręce z radości gdy ostateczne rozwiązywanie kwestii żydowskiej miało miejsce. Prawdą jest, że Polacy wykazali do pewnego stopnia obojętność na tragedię Żydów. Obojętna postawa społeczeństwa polskiego wypływała z faktu obcości i braku zrozumienia jaki istniał pomiędzy tymi dwoma grupami.

Skąd ta obcość i brak zrozumienia wypływały?

Duchowi przywódcy żydostwa na ziemiach polskich kultywowali ideologię getta duchowego i fizycznego opartego na filozofii, że Żydzi są narodem wybranym i że tylko i wyłącznie Żydzi otrzymali koncesję na prawdziwą religię, z którą to koncesją nie należy się w żadnym wypadku dzielić z przeciwnikiem wrogiego obozu, w tym wypadku obozem innej grupy religijnej. Polska była terenem, który skupiał najbardziej konserwatywny odłam ortodoksów żydowskich na całym świecie, który uważał, że kultura żydowska powinna się skupiać wyłącznie na studiowaniu Talmudu i jego interpretacji. Ogromny sprzeciw przeciwko włączaniu się żydostwa w sprawy państwa polskiego.

Wśród przywódców duchowych żydostwa polskiego nie było myślicieli i filozofów tej miary co Baruch Spinoza, Mendelson, którzy potrafili wyprowadzić żydostwo Europy Zachodniej spod władzy rabinów i włączyć je w życie europejskie, stawiając sprawę religii jako kwestię otwartą, uwalniając Żydów z getta duchowego.

Żyd polski różnił się od pozostałych Żydów europejskich. Warunki w jakich żył i elementy duchowe na przestrzeni czasu stworzyły specyficzny okaz Żyda polskiego — Żyda wschodnio-europejskiego. Żyda, który rasowo był prawdopodobnie najczystszym Żydem z całego pokolenia żydowskiego. Stąd też spotęgowana nienawiść niemieckich rasistów spod znaku swastyki do żydostwa polskiego. Nienawiść wynikająca z tezy o czystości ras. Żydostwo polskie za czystość swojej rasy zmuszone było zapłacić najwyższą cenę.

W celu porównawczym pozostaje nam stwierdzić jak zachowała się wobec tragedii żydowskiej reszta świata podczas drugiej wojny światowej.

Aby zrozumieć w pełni stosunek świata do Żydów, a do Żyda polskiego w szczególności, posłużę się filozofią zaczerpniętą z książki J.-P. Sartre'a o antysemityzmie. Każdy człowiek jest z gruntu uprzedzony do obcych — tak jest w stosunkach pomiędzy białymi i czarnymi, żółty nie znosi czarnego, obaj do kupy wzięci nienawidzą białego, muzułmanin jest śmiertelnym wrogiem Hindusa i td., co tworzy nieprzerwany łańcuch uprzedzeń rasowych. Ludzkość osiągnęła doskonałość na polu uprzedzeń rasowych w stosunku do Żydów, gdyż potrafiła obrzydzić Żydowi jego własną osobowość, wiedząc że Żyd nie będzie miał możliwości ucieczki od swojej osobowości, jak również ucieczki przed nią. Żyd musi żyć ze swoją własną znienawidzoną osobowością, w ten sposób zrobiono z Żyda kalekę psychicznego, którego obdarzono paskudnym garbem znienawidzonej osobowości. To szatańskie okaleczenie jest trudne do zrozumienia dla kogoś kto nim nie jest. W tych warunkach garb Żyda polskiego był chyba garbem największego kaleki moralnego — Żyd polski był super garbusem.

Żyd polski był nie tylko Żydem w stosunku do Polaka, ale był tylko Żydem „wschodnio-europejskim" w stosunku do Żyda zachodnio-europejskiego i amerykańskiego. Żyd wschodnio-europejski był w oczach Żydów zachodnio-europejskich i amerykańskich nie Żydem, ale „Litwakiem", „Galicjaninem" — był pariasem wśród swoich własnych ziomków. Takim jaskrawym przykładem jest ustawa emigracyjna U.S.A. z r. 1921, która została przyjęta jednogłośnie, a godziła w emigrację Żydów wschodnio-europejskich. Żaden kongresman żydowski, zarówno republikański jak również demokrata, nie podniósł głosu sprzeciwu w tej sprawie, mimo że emigracja Żydów z Polski rozładowałaby sytuację odnośnie zagadnienia kwestii żydowskiej. W Ameryce są na ogół zadowoleni, że zamknięto wrota emigracji przed Żydem wschodnio-europejskim, ponieważ obawiano się, że Żyd ten przyniesie ze sobą tyfus bolszewizmu.

Z biegiem czasu stosunek do Żydów ze Wschodniej Europy stawał się coraz bardziej i bardziej obojętny. Po „nocy kryształowej" w Niemczech hitlerowskich, kiedy wiadomo było całemu światu, że losy żydostwa wschodnio-europejskiego są w niebezpieczeństwie, nikt nie kiwnął palcem, aby ten los odmienić, mimo że można było dużo zrobić w tym kierunku. Wyrazem reakcji świata na wydarzenia tego okresu są okręty widma, dla których nie ma portu, który by przyjął zrozpaczonych uchodźców żydowskich.

W miarę postępu czasu sytuacja ta pogarsza się. K. Żabotyński w książce, napisanej w początkach wojny pt., „The war and Jews", pisze:

„W Ameryce i częściowo wśród aliantów panuje przekonanie,

że tocząca się wojna jest wojną żydowską. Tylko Żydzi mogą z niej wyciągnąć korzyści, jeżeli zostanie wygrana".

Taką była opinia świata w chwili gdy na terenach Polski obozy zagłady dla Żydów były faktem dokonanym.

Żabotyński domaga się wydzielonej armii żydowskiej, która by służyła jako zapewnienie, że alianci po wojnie będą zmuszeni rozwiązać problem żydowski. Powstanie takiej armii postawiłoby prawdopodobnie Żyda na zupełnie innej platformie, a specjalnie Żyda polskiego w okupowanej Polsce. Z planów Żabotyńskiego wyśmiano się — Anglia w tym samym roku wydaje „Białą Księgę" o nielegalnej emigracji Żydów do Palestyny, jako odpowiedź na propozycję Żabotyńskiego.

Z posiadanych faktów widzimy, że Żyd polski nie tylko w Polsce był obcym, ale że był obcym dla całego świata i nie tylko Polacy wykazali pasywność podczas tragicznej zagłady, ale cały świat był także pasywny. Wobec ogromnej tragedii masakry Żydów podczas drugiej wojny światowej, cały świat w równej mierze ponosi winę za to, co się stało i tak należy to zagadnienie rozpatrywać.

W celu całkowitego wyczerpania zagadnienia należałoby odpowiedzieć na zarzuty stawiane pod adresem obecnej rzeczywistości „że Polska jest i pozostanie antysemicka". A. Hertz w swojej przedmowie do „Żydzi w kulturze polskiej" pisze:

„Ale w Polsce dzisiejszej, obok tej tradycyjnej i wciąż potężnej postaci antysemityzmu, idącego z dołu, coraz wyraźniej zaznacza się postać nowego antysemityzmu, idącego z góry".

Oficjalnie, reżym komunistyczny w Polsce podchodzi do sprawy po marksistowsku: w tym świetle problem antysemityzmu w Polsce nie istnieje, czyli ani z dołu ani z góry, wszyscy równi.

Jak sprawa wygląda naprawdę?

Po drugiej wojnie światowej, do roku 1947, Polska walczy desperacko o wyrwanie się spod wpływów Rosji Sowieckiej. Na terenach Polski prowadzona jest regularna walka podziemna przeciwko reżymowi komunistycznemu. Niedobitki Żydów polskich ocalałych z masakry hitlerowskiej wracają do Polski z dwóch źródeł: z obozów koncentracyjnych i z Rosji Sowieckiej.

Żydzi wracający z obozów koncentracyjnych są moralnie i psychicznie rozbici i nie są w stanie zapuścić ponownie korzeni w miejscu gdzie fakty bestialstwa hitlerowskiego są wciąż świeże i przypominają o tragedii. Polska jest dla nich jednym wielkim cmentarzem. Przechodzą oni na ogół przeszkolenie kibucowe w Polsce i emigrują nielegalnie do Palestyny, albo legalnie do krajów zachodniej Europy lub Ameryki, zabierając z sobą rozgoryczenie i uraz do miejsca gdzie ich spotkała tragedia.

Żydzi wracający z Rosji stanowią dwie grupy: jedna to kadrowcy komunistyczni, którzy jeszcze w latach międzywojennych uwierzyli w czerwonego mesjasza i z Polski uciekli do Rosji Sowieckiej, a obecnie wracają aby wprowadzić hasła równości proletariuszy — jest to grupa nieliczna ale bardzo wpływowa. Druga grupa, to ludzie, którzy uciekli przed zagładą hitlerowską

na tereny Rosji i nie mają obecnie sprecyzowanego poglądu i rozeznania w sytuacji. Byli prawdopodobnie przygotowani na to, że zastaną zostawione warsztaty pracy w takim stanie w jakim je zostawili, niestety warsztaty te znalazły się w posiadaniu innego właściciela — proletariatu. Niepewna sytuacja polityczna oraz nacisk ze strony politruków powoduje, że duża część Żydów zaczyna obejmować wysokie stanowiska w partii i aparacie państwowym mimo, że nie są do tego przygotowani. Nie bez uzasadnienia jest tutaj motyw psychologiczny — Żydzi, którzy w Polsce nigdy nie mieli dostępu do władzy, teraz poczuli się bardzo pewni swojej szansy. Stanowiska ofiarowane przez komunistów przemawiały do psychiki Żydów, którzy byli stale na dole drabiny społecznej, jeżeli chodzi o zarząd administracyjny i życie polityczne.

Żydzi na stanowiskach partyjnych i na wysokich stanowiskach w aparacie państwowym mieli poczucie pewności. Sądzili, że gdy będą pracowali dla dobra klasy robotniczej, pozycje ich nie będą zachwiane. Hasła komunistyczne o łączeniu się proletariuszy wszystkich krajów bardzo dawno przemawiały do proletariatu żydowskiego.

Rok 1956 zmienił konfigurację świata komunistycznego. Żydzi, którzy uważali, że pozycje w aparacie partyjnym i państwowym zapewnią im bezpieczeństwo, stali się nagle osobami skompromitowanymi. Polska gomułkowska dała im prawo wyboru: degradacja albo emigracja do Izraela. Większość z nich wybrała emigrację, zabierając z sobą żal i rozgoryczenie.

Kompromitacja Żydów byłaby zjawiskiem pozytywnym, gdyby wypływała z rewizjonizmu, niestety kompromitacja wypływała ze stalinizmu, który w Polsce był znienawidzony. Stąd też automatyczna nienawiść dla tych, którzy go reprezentowali, w równym stopniu zresztą do Żydów jak i Polaków. Skomplikował zagadnienie fakt, że polscy stalinowcy zostali, natomiast żydowscy wyemigrowali, zostawiając po sobie wrażenie ludzi, którzy Polskę traktowali jako laboratorium doświadczalne nie biorąc odpowiedzialności za powodzenie eksperymentu.

Walka polityczna jaka toczy się w Polsce na szczeblach drabiny politycznej i w której to walce Żydzi biorą udział, stoi poza kręgiem społeczeństwa. Zarówno Polacy jak i Żydzi w walce o stanowiska w reżymie wykorzystują takie czy inne hasła jako narzędzia tej walki. Polacy — antysemityzm jako atut celem wygrania haseł politycznych. Żydzi w celu pokrycia błędów. Postawa społeczeństwa polskiego jest znana: element, który reprezentuje reżym, bez względu na to czy są to Polacy czy Żydzi, jest obiektem srogiej krytyki.

Antysemityzm Polski dzisiejszej jest w głównej mierze reprezentowany przez starsze pokolenie, dla młodego pokolenia to zagadnienie nie istnieje. Jest to stwierdzenie dwustronnego faktu, przekonałem się o tym będąc w Izraelu, gdzie nie miałem żadnych trudności w porozumieniu się z ludźmi młodego pokolenia, a co dziwniejsze, nie byliśmy sobie obcy w poglądach i krytyce

przeszłości, jest to jeden z jak najbardziej pocieszających faktów, dla stwierdzenia którego warto przyjechać do Izraela, szczególnie, jeżeli chodzi o młode pokolenie. Jest tutaj również odpowiedź dotycząca przyszłości antysemityzmu w Polsce. Żydzi jako społeczność przestali w Polsce istnieć. Wielomilionowy problem zeszczuplał do cyfry kilkudziesięciu tysięcy. Nie ma Żyda w jarmułce i pejsach, z biegiem czasu coraz bardziej stanie się on postacią świata legend i wspomnień, świata w którym wiara, niedowiarstwo i męczeństwo mieszały się bez przerwy, świata ruchu, handlu i harówki, czasowego dobrobytu i ciągłej nędzy, troski i lęku przed wrogiem.

Na zakończenie artykułu należałoby się zastanowić, komu zależy na polaryzacji polskiego antysemityzmu oraz dlaczego w Europie zachodniej, a w Stanach Zjednoczonych szczególnie, zagadnienie polskiego antysemityzmu jest tak bardzo częstym tematem na łamach prasy?

W wyniku drugiej wojny światowej, świat został podzielony na Wschód i Zachód.

Granica pomiędzy wolnym światem reprezentowanym przez Zachód a komunizmem reprezentowanym przez Wschód przebiega przez Niemcy, które z kolei zostały podzielone na część zachodnią i wschodnią i stanowią kluczowe zagadnienie, jeżeli chodzi o rozgrywki polityczne pomiędzy światem wolnym a komunizmem.

Struktura polityczna podzielonych Niemiec jest zróżnicowana jeżeli chodzi o ustrój.

Niemcy Wschodnie, które są pod zarządem Rosji Sowieckiej, praktycznie jako państwo są nie uznawane na zachodzie.

Niemcy Zachodnie, które odbudowały swój obecny ustrój polityczny na zasadach demokratycznych, stanowią potęgę ekonomiczno-polityczną w świecie, i praktycznie przejęły spuściznę całych Niemiec jeżeli chodzi o przeszłość. Przy układzie wschód-zachód Niemcy zostały również podzielone na dwie kategorie: dobrych i złych — w zależności kto ich światu przedstawia.

Zarówno wschód jak i zachód chce widzieć w „swoich" Niemcach tylko „dobrych Niemców". W takiej sytuacji Niemcy Zachodnie, które stanowią największą wartość polityczną w obozie zachodnim muszą być przedstawione w jak najbardziej korzystnym świetle aby pozyskać zaufanie świata zachodniego. W tym też celu polaryzuje się wydarzenia drugiej wojny światowej, a szczególnie jeżeli chodzi o zagładę żydostwa europejskiego.

Celem zmniejszenia odpowiedzialności za sprawę zagłady żydostwa europejskiego Niemcy Zachodnie. Starają się wmówić światu, że masakra Żydów jest tylko częściowo winą reżymu hitlerowskiego, który bardzo mało mógłby zdziałać w tym kierunku, gdyby nie pomoc ze strony narodów podbitych. Taką kampanię prowadzi się bardzo intensywnie od 1953 r. Ostatnio urabia się pogląd filozoficzny, dotyczący zagłady żydostwa europejskiego, który głosi — że Żydzi podczas okresu zagłady zachowali się bardzo pasywnie wierząc w swoje przeznaczenie, co ułatwiło

zadanie hitlerowskim Niemcom, którzy w oczach ginących Żydów byli tylko egzekutorami przeznaczenia. Wymienione poglądy importuje się na całą Zachodnią Europę, a szczególnie do U.S.A. ze względu na liczbę Żydów zamieszkujących to państwo.

Świat Zachodni bardzo pasywnie przyjmuje te twierdzenia nie wnikając w szczegóły, tym bardziej że strony zainteresowane bezpośrednio: Izrael, reprezentujący naród żydowski i Polska, na terenie której zagłady dokonano, znalazły się w bardzo specyficznych dla siebie warunkach politycznych. Wolne Państwo Żydowskie Izrael znalazło się w najbardziej zagmatwanej sytuacji polityczne ze względu na położenie geograficzne. Otoczone przez wrogi świat arabski, który z kolei jest terenem niemniej ważnym jak Niemcy, jeżeli chodzi o rozgrywki polityczne, zmuszone jest szukać pomocy u każdego, kto jest chętny takiej pomocy udzielić aby utrzymać równowagę sił w tym rejonie.

Niemcy Zachodnie są jednym z państw, które udzielają Izraelowi intensywnej pomocy finansowej, co z kolei stawia Izrael w trudnej sytuacji szczególnie jeżeli chodzi o opinie i wypowiedzi pod adresem Niemiec odnośnie wydarzeń z okresu drugiej wojny światowej.

Pobudki emocjonalne są tamowane w Izraelu przez rozsądek i trzeźwość.

Polska po drugiej wojnie światowej znalazła się w sferze wpływów Rosji Sowieckiej. Polityka zagraniczna Polski jest podporządkowana Rosji Sowieckiej i reżym Polski zgodnie z tą polityką popiera wrogie narodowi Izraelskiemu Państwa Arabskie.

Nie bez wymowy jest tutaj fakt że 400 tys. ludzi w Izraelu mówi po polsku. Polski reżym komunistyczny popełnia bardzo duży błąd ignorując tę cyfrę, jak również to, że Izrael jest rynkiem zbytu dla kultury polskiej.

W chwili obecnej można śmiało stwierdzić, że dzisiejsze pokolenie Izraela jest w dużym stopniu polskie, co automatycznie wyznacza Izrael jako miejsce gdzie należałoby uporządkować sprawy przeszłości, jeżeli chodzi o stosunki polsko-żydowskie.

Aby mocniej uzasadnić to twierdzenie, wrócę do wypadku z urzędnikiem pocztowym w Tel-Avivie. Urzędnik ten będzie mówił o stosunkach polsko-żydowskich w jak najbardziej skrajnej formie, ale ponieważ pochodzi z Polski będzie wspominał i zachwycał się smakiem polskiej „antonówki".

Żydzi polscy w Izraelu będą mówili o polskim antysemityzmie, ale nie mogą zapomieć świeżego powietrza i „deptaka" w Krynicy.

Z takimi ludźmi można mówić i należałoby mówić.

Akredytując na terenie Izraela odpowiednią grupę dziennikarzy i literatów polskich można by otworzyć przy udziale społeczeństwa izraelskiego i izraelskich intelektualistów polemikę i dyskusję dotyczącą polsko-żydowskiej przeszłości. Niestety polskich literatów i dziennikarzy, którzy by się taką polemiką i dyskusją zajęli w Izraelu ze strony polskiej nie ma.

Dlatego też dyskusję taką prowadzą wszyscy inni poza bezpośrednio zainteresowanymi.

Polska w wyniku swojej nieobecności — pada łatwo ofiarą demagogii ludzi spoza kręgu zagadnienia, którzy polaryzują zagadnienie polskiego antysemityzmu w takim świetle i pod takimi kątami, jak tego wymaga sytuacja polityczna, nie licząc się z obiektywnymi faktami jak również z tym że antysemityzm polski nie może być ujęty w ramy przymiotnikowości, ponieważ jest on zjawiskiem tak specyficznym i złożonym, że nie jest zrozumiały dla kogoś kto stoi poza tym problemem.

Stanisław MROCZKOWSKI

BIBLIOTEKA "KULTURY"

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DZIEWIĄTY

Luty 1966

zawiera m.in. prace

Kazimierza OKULICZA: Ostatni akt dramatu J. Piłsudskiego
Karola POPIELA: Wybór prezydenta Ignacego Mościckiego
Tadeusza RUDNICKIEGO: Konferencja Teherańska
Guido SORO: Upadek Polski
Stanisława MACKIEWICZA: Stulecie urodzin Wł. Studnickiego

oraz działy

OSTATNIA WOJNA A POLSKA — W OBCYCH OCZACH — WSPOMNIENIA O LUDZIACH — KSIĄŻKI — POLEMIKI — LISTY

Str. 240. Cena 15 F. (dol. 3,00; 22 sh.)

Przypominamy naszym Czytelnikom, że *prenumeratorzy* KULTURY korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych" otrzymują rocznie *d w a* „Zeszyty" w cenie jednego.

Posiadamy na składzie jeszcze niewielką ilość pierwszych „Zeszytów". Każdy czytelnik *prenumerujący* KULTURĘ od roku 1962 może otrzymać komplet „Zeszytów" po cenie zniżkowej to jest w cenie F. 15,— lub równowartość rocznie.

Cena myślenia

Notatka prasowa była krótka, prawie niewidoczna: Ludwik Hass — historyk, Romuald Śmiech — historyk oraz Kazimierz Badowski — ekonomista zostali skazani przez sąd w Warszawie na karę trzech lat więzienia. Za szkodę wyrządzoną interesom państwa. Hass jest znany czytelnikom „Kultury", lecz kim są inni? Nic nie wiem o Kazimierzu Badowskim, lecz znam Romka Śmiecha, którego historia choć zupełnie inna niż Hassa wydaje się być, przez swą zwykłą normalność, symptomatyczna dla pewnej grupy młodzieży polskiej.

Romek Śmiech ma 28 lat, jest synem drobnego, biednego chłopa z Rzeszowskiego. Takiego, dla którego Polska Ludowa roku 1945 wydawała się obietnicą lepszego życia. Który przez całe życie mieszkał w chałupie pod strzechą, który zawsze ciężko pracował na kawałek chleba, lub chodził za pracą do pobliskich małych miasteczek. Zaraz po wojnie Romek poszedł do szkoły, najpierw do powszechniaka w małej szkółce, potem do gimnazjum w małym miasteczku. Wstąpił do ZMP w okresie stalinowskim. Nie był doskonałym, brylującym, prymusem, ale był pracowity i był ambitny. Do Krakowa przyjechał w 1957 roku, dostał się na U.J., na historię. Zawsze lubił historię — „wiesz, stary, to daje perspektywy" — tak mawiał. ZMP już nie było. Ale Romek chciał działać, coś robić; został członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej. Z latami wolno awansował — wybrano go do komitetu uczelnianego, nawet pracował w okręgowym komitecie wojewódzkim w Krakowie. Był ambitny, aktywny, kochał akcję, czyn. I uczył się, uczył się wciąż — jego pracowitość wręcz denerwowała kolegów. Nigdy nie było go w „Piwnicy", może czasem „pod Jaszczurami", ale to rzadko, bardzo rzadko.

Jego życie, to była historia i organizacja. Z czasem trafił na socjologię; studiował oba kierunki na raz. Przemiany społeczne, walka klas, grupy, hierarchie, warstwy, to wszystko stawało się coraz bardziej jego pasją. Był oczywiście marksistą i zaangażo-

wanym komunistą. Nie kwestionował nigdy sytuacji społecznej i politycznej w Polsce. Staczał bojowe dyskusje z kolegami, którzy krytykowali *status quo*, ale też nie odrzucał książek przeciwników marksizmu, nie obrażały go ataki, lubił wymianę poglądów. Chciał wiedzieć, rozumieć i potem dopiero zajmować stanowisko. Koledzy się z niego śmiali, mówiąc, że w jego rzeszowskim nie wiele mu z tego przyjdzie, Choć nie był najlepszym studentem, to wiedział dużo i traktował swą wiedzę zupełnie serio. W 1962 roku przyjechał do Warszawy — po historii postanowił dokończyć tutaj magisterium socjologiczne.

II

Warszawa — największy ośrodek studencki w Polsce, ma też najbujniej rozwinięte życie młodzieżowe. Całe miasto wydaje się młode, pełne życia, pełne utajonej energii i akcji. Wśród studenterii panuje atmosfera walki o maksimum. To maksimum oczywiście jest różne.

Dla jednych — to Hybrydy, Europejski, Bristol, PIW, czy Kameralna — wszystkie te miejsca stały się symbolami statusu społecznego. Ci nie myślą o polityce, ich problemy są inne, doskonale określone, cele wyraźnie zarysowane. Tu samochód papy czy skuter jest ważniejszy niż wszystkie *coups d'état*. Nie ma walki klas, tu jest jedna klasa odcięta od reszty społeczeństwa. Najmodniejsze stroje, wspaniałe prywatki, nagrania najnowszych „yeah, yeah" i „zachodni styl życia" — oto streszczona filozofia. Zamszowa kurtka określa osiągnięty etap. Cóż znaczy kraj, społeczeństwo, demokracja czy rady robotnicze? Bzdura! Złote Piaski, Split, a może Włochy, oto świat zainteresowań. Ostatnio gdzieś na Chmielnej miał miejsce *happening*, gdzie elegancko ubrani goście rzucali w siebie makaronem. No niech ktoś powie, że PRL to nie *dolce vita*.

Dla innych — dla tych co mieszkają w ciasnych i dalekich od centrum akademikach lub zatłoczonych mieszkaniach rodzinnych, maksimum jest już inne. Zostać w Warszawie, dostać pracę, zarobić na luksus spółdzielczego mieszkania, może kiedyś kupić Syrenkę — oto centrum marzeń. Władza — obojętne kto ją ma i jak ją sprawuje. Hm, może jak ktoś zrobi drugi Październik? Ale samemu działać, narazić się na kłopoty — o nie! Cóż, Warszawa da się lubić — słowa piosenki stały się symbolem konformizmu — nikt nie będzie ryzykował jej utraty. Nikt nie będzie nadstawiał głowy aby znaleźć się w sytuacji niepewnej więc niepożądanej. Konkurencja jest wszędzie duża; trzeba walczyć o chleb, o mieszkanie, o motor, skuter, może potem samochód. Stabilizacja, stabilizacja to grunt. Ci stanowią olbrzymią większość oni są wszędzie. To zrozumiałe, każdy chce żyć.

Inną grupę stanowią zorganizowani oportuniści — działacze

organów centralnych organizacji młodzieżowych jak ZMS i ZMW. Wieczni studenci z władz ZSP, i naokoło kręgi ich satelitów. Aktywiści!? Dla nich akcja nie przejawia się w walce. Wprawiają się we współpracy z każdą stroną: Natolin, Puławska, Rakowiecka (Moczar) czy Nowy Świat (Gomułka) — każdy kierunek jest dobry. W danym momencie. Powiedzieć nie — to nie my. Powiedzieć tak — dobrze, tylko kiedy i komu? Tu organizacja stoi na straży ludzi silnych obecnie i interesów dobrze i jasno określonych. Myśl, a raczej dyrektywa, przychodzi z góry, potrzebne jest tylko zastosowanie. Tak tworzy się przyszły aparat władzy, nowe żółte firanki, nowi pasażerowie Mercedesów, nowa „elita" narodu.

III

W żadnej z tych grup Romek nie widział dla siebie miejsca. Żyjąc przez cały czas ze stypendium, nie miał możliwości na skuter czy wino w Hybrydach. Z tańcem też u niego nie było najlepiej. O mieszkaniu spółdzielczym nawet nie myślał. Jakoś taka stabilizacja nie była jego marzeniem! Nawet zacięta praca w ZMS nie na wiele mogła się przydać. Ktoś kto miewał odczyty naukowe i ideologiczne na zebraniach organizacji, lub jeździł delegowany na seminaria, nie ma dla siebie dużo miejsca w aparacie biurokratycznym.

Tak więc, chcąc nie chcąc Romek trafił do innego otoczenia. Może dlatego że był ideowym komunistą, że chciał naprawdę działać, i że nie lubił kompromisów. Miał więc wszystkie cechy człowieka, który nie nadaje się do życia w społeczeństwie socjalistycznym Polski Ludowej. W kręgach inteligencji uniwersyteckiej Romek znalazł kolegów, o dziwo, myślących bardzo podobnie jak on. Studenci, asystenci, lub nawet starsi pracownicy naukowi, przedstawiciele różnych specjalności. Humaniści i ci z Mat-Fiz-Chem. Czasami organizowano dyskusje na uniwersytecie. Tam Romek poznał Modzelewskiego, Kuronia, Hassa i innych. Potęga Białego Domu (siedziba KC na Nowym Świecie jest tak popularnie nazywana) niedostępność willi Mokotowa czy Żoliborza, gmachy alei Ujazdowskich, dawały pewien pryzmat, pewną perspektywę rozmowom. Wciąż tu pamiętano wiece na Politechnice i taczki żerania. Skala problemów była inna niż w Krakowie — bardziej buntownicza. Centrum władzy rodziło centrum opozycji. Opozycji nie negatywnej. Opozycji, która miała na celu nie wyłącznie krytykę, ale również tworzenie, proponowanie, ulepszanie, krótko mówiąc działalność konstruktywną. Przez pewien okres istniał nawet w lokalu rady uczelnianej ZSP, pod pokrywką klubu językowego, stały studencki ośrodek dyskusyjny. Stało się to tak znane w Warszawie, że zaczęli przychodzić tam cudzoziemcy. Wkrótce potem klub językowy został zamknię-

ty. Lecz wciąż istniała możliwość robienia odczytów. W takich po-odczytowych dyskusjach wysuwano krytyki, stawiano postulaty, omawiano projekty rozwiązań niektórych palących zagadnień społecznych czy politycznych. W drodze tego typu spotkań zaczęła się wyłaniać grupka młodych zapaleńców. Tych którzy się interesowali, którzy domagali się zmian. W ogniu rozmów i argumentów tworzyła się koncepcja nowego układu społecznego. Szkielet ideowy był potem roztrząsany szczegółowo na prywatnych herbatkach w kawiarniach lub na seminariach. Rzecz nader charakterystyczna, że na ogół nie podważano ideowej podstawy systemu socjalistycznego. W danym kadrze politycznym starano się wykazać istniejące błędy, aby je usunąć, zetrzeć, i w ten sposób naprawić, istniejący ustrój. Problem władzy i demokracji był ciągle wysuwany na czoło. Nie żądano zlikwidowania partii czy stworzenia innych partii obok komunistycznej. Nie! Żądano przywrócenia, a raczej stworzenia demokracji wewnątrzpartyjnej. Wysuwano postulat zlikwidowania uprzywilejowanej pozycji członków Komitetu Centralnego, zarówno z punktu widzenia ekonomicznego, jak i monopolu decyzji. Organy terenowe winny mieć autonomię i móc wpływać na linię polityczną całej partii. Żądano wolnej dyskusji w łonie organizacji partyjnych możliwości dawania projektów oddolnych, a zarazem swobody konstruktywnej krytyki wytycznych idących z góry. Stara leninowska idea centralizmu demokratycznego ale prawdziwego.

Domagano się demokratyzacji zarządzania środkami produkcji czyli zakładami pracy w formie pełno-uprawnionych i faktycznie działających rad robotniczych. No i oczywiście realnej swobody słowa i pisma dla wszystkich, partyjnych i bezpartyjnych.

Ile razy słyszało się krytyki aktualnej sytuacji ekonomicznej, lecz nikt nie chciał powrócić do systemu kapitalistycznego. Nikt nie chciał tworzyć wielkich prywatnych kompanii. No, może rzemieślnicy i chłopi, może drobny handel i przemysł, — tzw. „usługi", ale na tym koniec.

Drogą realizacji tych projektów i zamierzeń miała być masowa partycypacja elementów demokratycznych i aktywnych w szeregach partii, oraz młodzieżowych organizacji z partią stowarzyszonych. Przecież jak uda się osiągnąć większość w komórkach partyjnych, to góra sama będzie musiała się ugiąć i wtedy można będzie robić nową demokratyczną politykę. W końcu skończyć z tak zadziwiająco rozciągliwym okresem błędów i wypaczeń.

Owocem tych rozmów i dyskusji stał się „manifest" Kuronia i Modzelewskiego. Manifest, który miał być dla znajomych i kolegów materiałem w pewnym stopniu dyskusyjnym, materiałem do rozszerzenia i omówienia. To nie był akt rewolucyjny. W tym momencie wkroczyła w grę ręka wymiaru sprawiedliwości. Parę miesięcy potem Kuroń i Modzelewski w pierwszym procesie, oraz Hass, Śmiech i Batowski w drugim, zostali skazani na karę wiezienia.

IV

Procesy, kary więzienia, wydawałoby się więc że to koniec, że próba innowacji zamierzona przez tę grupkę młodych ludzi została zlikwidowana. Że jeszcze raz aparat odniósł zwycięstwo. Aparat czyli organizacja, czyli zwarty blok, siła i potęga ustroju. Ale...

Ale wydaje się być zupełnie odwrotnie. Przez uśmierzenie buntu więzieniem aparat uznał iż te rozproszone grupki młodych intelektualistów spotykających się na herbatkach, rozprawiających bardzo akademicko na abstrakcyjne tematy związane z władzą i ustrojem mogą być przeciwnikiem, z którym trzeba się liczyć, że stwarzają oni niebezpieczeństwo realne i trzeba ich zlikwidować. Wydaje się to zagadką. Argumenty i krytyki wypowiedziane w manifeście były wiele już razy powtarzane na łamach oficjalnej prasy. Niektóre idee jak na przykład rady robotnicze, zostały zarzucone jako nierentowne, hamujące rozwój produkcji. W systemie efektywnej gospodarki która opiera się na maksymalnie scentralizowanych grupach przedsiębiorstw nie może mieć miejsca tego typu organizacja pracownicza. Bo i na którym szczeblu hierarchii ekonomicznej mogłaby ona istnieć? W fabryce, zjednoczeniu czy ministerstwie? Wszystkie decyzje są tak od siebie współzależne, tak z sobą powiązane, że trudno nawet myśleć o tego typu demokratycznych związanych z bazą doświadczeniach.

Wydaje się że główną winą „manifestowiczów" był fakt, że wszystkie krytyki były wypowiedziane razem i powiązane z sobą, tworzyły całość. Zaś krytyka globalna to opozycja. Opozycja natomiast jest niedopuszczalna w systemie totalitarnym.

Poza tym, przez fakt organizacyjnego zaangażowania — wszyscy skazani byli członkami partii — grupa mogła stać się frakcją partyjną. Frakcyjność zaś, już potępiona przez Stalina, jest najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla partii komunistycznych. Gdzie kończy się żelazna dyscyplina wszystko traci swój sens. To wydaje się być najważniejszym powodem skazania. Ale załatwiając w ten sposób wewnętrzną sprawę partyjną — ukaranie swych członków — partia karząc ich oddała im rewolucyjny hołd. Dotychczas zupełnie nieznani, uzyskali natychmiast popularność, wręcz akceptację, ze strony mas młodzieży. Aparat wyjął ich z próżni i zacisza, rozdyskutowanego co prawda, ale zawsze zacisza, i postawił na piedestale równego co prawda, ale zawsze zacisza, i postawił na piedestale równego sobie przeciwnika. Mało, przeciwnika tak groźnego, że trzeba go prewencyjnie zlikwidować.

Czyżby system był już tak słaby, że każdy kto myśli, kto stara się temu ustrojowi nawet pomóc, staje się automatycznie przez sam fakt posiadania mózgu niebezpieczny? Paradoksem bowiem całej tej afery jest fakt, że wszyscy oprócz Hassa byli wychowani i wykształceni w Polsce Ludowej. Wszyscy myśleli kategoriami

używanymi przez komunistów i nikt nie wyobrażał sobie najmniejszej choćby zmiany w podstawach ideowych ustroju. Lecz tu tkwi największe niebezpieczeństwo dla aparatu. Przeciwników komunizmu można atakować za brak racjonalnego — czytaj geopolityczno konformistycznego — stanowiska, za klerykalizm, czyli społeczne zacofanie, można ich w końcu lekceważyć i ignorować, nie dając im zarazem żadnego środka wypowiedzenia argumentów. Ale swoich, komunistów — co zrobić z nimi? — oto pytanie na które aparat nie może znaleźć odpowiedzi.

W społeczeństwie które jest niezadowolone, lecz które nie wyobraża sobie żadnej możliwości radykalnej zmiany, każda próba ulepszenia staje się błyskawicznie popularna. To prawda, iż grupa Modzelewskiego i Kuronia nie miała żadnego oparcia moralnego w szerokich masach studenckich. Te masy po prostu ich nie znały. To fakt, że będąc grupą czysto inteligencką, nie miała żadnego kontaktu z robotnikami, których interesu broniła w swych wypowiedziach. Wątpliwe jest również, aby mieli oni jakiekolwiek kontakty z organizacjami rewolucyjnymi innych krajów. Gdzie zresztą można znaleźć te organizacje rewolucyjne interesujące dla polskich nie-stalinowskich komunistów.

Jednak proces i wyroki zrobiły im popularność, postawiły ich na świeczniku, wskazały jako przykład dla niezadowolonych. Jednocześnie zaś stanowisko oficjalne, te „kajdany" jak je określił W. Jedlicki, wyraźnie pokazały słabość aparatu władzy. Za myślenie, za dyskusje, za posiadanie mózgu trzeba zapłacić cenę — cenę więzienia. Lecz żadne więzienie, żadna kara nie może zabronić ludziom marzyć o innej, może lepszej przyszłości. Każda zaś manifestacja tych marzeń jest krokiem w kierunku ich realizacji. Romek Śmiech i towarzysze zrobili krok. Za nimi pójdą inni.

Zygmunt JAN

Zależność czy współzależność

(Uwagi na marginesie ostatnich zmian gospodarczych w Europie Wschodniej)

We wszystkich krajach bloku sowieckiego rozpoczął się dialog między ekonomistami, a politykami sprawującymi władzę. Nie jest to dialog teoretyczny, dotyczy bowiem szeregu bieżących problemów, których znaczenie i to zarówno gospodarcze jak polityczne rośnie z dnia na dzień. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że dyskusja toczy się wokół problemu zakresu władzy i kontroli na-

czelnych czynników partyjnych nad życiem gospodarczym kraju. Ekonomiści zabierają głos z większą pewnością siebie, niż kiedykolwiek przedtem, wiedząc, że żaden z przywódców komunistycznych nie może lekceważyć problemów, które poruszają.

Jak kierować gospodarką, by osiągnąć optymalne wyniki? Na jakich zasadach ułożyć międzynarodową współpracę gospodarczą, gdy się okazało, że dążenie do samowystarczalności gospodarczej w ramach świata komunistycznego nie przyniosło zadawalających wyników? Czy można osiągnąć większe rezultaty ekonomiczne stwarzając warunki wzajemnej współzależności gospodarczej, a nie jednostronnej zależności? Czy można podnieść efektywność gospodarczą odstępując od zasady centralizmu? Czy decentralizacja oznaczać musi ograniczenie władzy?

Ekonomiści wysuwają projekty reform, politycy szukają porad ekonomistów.

„Nasi ekonomiści poświęcają za mało uwagi analizie efektywności produkcji socjalistycznej. Nie wysuwają też projektów, by ten stan rzeczy zmienić". Z tymi zarzutami wystąpił premier sowiecki Kosygin, przemawiając na wrześniowym Plenum KC Partii.

Gdyby słowa te wypowiedział Stalin, ekonomiści sowieccy prześcigaliby się w samokrytyce. Dziś, jeden z nich odważył się nawet odpowiedzieć premierowi.

Czołowy ekonomista sowiecki prof. A. Birman zamieścił w grudniowym numerze miesięcznika „Nowy Mir" artykuł zatytułowany „Myśli po Plenum". W artykule tym stwierdził m.in.:

„Statystyki sowieckie dobre są na użytek szerokiej publiczności, dla nas ekonomistów nie przedstawiają żadnej wartości".

„Trzeba pamiętać" — pisze dalej Birman — „że doświadczenia laboratoryjne w zakresie ekonomii są trudniejsze niż eksperymenty w dziedzinie techniki, bo wymagają większej ilości obliczeń".

„Dajcie nam nowoczesne narzędzia statystyczne, a będziemy zgłaszać projekty".

Podobne głosy odzywają się w innych krajach bloku sowieckiego. W Bułgarii, która uchodziła do niedawna za kraj najbardziej „stalinowski", profesor ekonomii z Instytutu Wyższych Studiów Ekonomicznych im. Karola Marksa w Sofii, Georgi Petrow, wystąpił w styczniu tego roku z projektem zniesienia obowiązujących dyrektyw planu oraz wprowadzenia zasady konkurencyjności wśród przedsiębiorstw państwowych.

W Niemczech Wschodnich, Ulbrycht, który rozpoczął bez rozgłosu wprowadzanie w życie reformy gospodarczej już w początkach 1963 roku, oświadczył:

„Gdy reformy ekonomiczne wprowadzone zostaną w życie we wszystkich krajach Bloku, stosunki między tymi krajami będą musiały się oprzeć na gospodarczych raczej niż politycznych kryteriach".

Wszystkie te wypowiedzi uważane byłyby jeszcze niedawno za polityczną herezję, a przecież dziś wypowiadają je nie tylko eko-

nomiści, lecz również przywódcy partyjni, a drukują je nie tylko nieliczne pisma fachowe, lecz prasa partyjna o wielkich nakładach.

Czym to jest spowodowane? Co to oznacza?

Nie wydaje się by komunistów, takich jak Ulbricht, którzy wsławili się w swej karierze aktami terroru (jak np. brutalna kolektywizacja wsi) ogarnęły nagle sentymenty liberalne. Fakt, że skłaniają się do poglądów fachowców w dziedzinie ekonomii, że poszukują, a nawet jak Kosygin zalecają fachowcom opracowywanie i ogłaszanie projektów reform świadczy tylko o jednym — o narastaniu w całym bloku komunistycznym nowej skali problemów, z którymi przywódcy komunistyczni nie mogą dać sobie rady.

Zagadnieniem kluczowym jest efektywność planowania i sprawność zarządzania gospodarką. Jest to zagadnienie stosunkowo nowe i z roku na rok rosnące.

Efektywność, opłacalność, rentowność, zysk, strata, rachunek ekonomiczny, a przede wszystkim zagadnienia cen — te pojęcia nie liczyły się zupełnie w okresie „stanu wyjątkowego" a więc wojny, rewolucji, odbudowy zniszczeń, czy budowania bazy przemysłowej za wszelką cenę. Rubel zainwestowany w okresie gdy większość fabryk leżała w gruzach był zawsze dobrą inwestycją. Dziś już tak nie jest. W krajach, które osiągnęły pewien stopień dojrzałości gospodarczej, inwestycje mogą przynosić dochody, ale też mogą przynosić straty. Przy złym „ustawieniu" planu wielkie kombinaty przemysłowe produkują „buble na skład" niszcząc surowce, zajmując magazyny, marnując pracę ludzi i maszyn. Najmniejszy błąd planu centralnego przynosi olbrzymie straty.

Na czym polega trudność w przeprowadzaniu właściwej kalkulacji i podejmowaniu decyzji opartych na naukowych podstawach?

W systemie komunistycznego centralnego planowania, Komisja Planowania opracowywała do niedawna po kilkaset wskaźników w odniesieniu do każdego produktu. Plan jest w dodatku ustawą i ma charakter obowiązujący.

W Niemczech Wschodnich asortyment produkowanych wyrobów przemysłowych liczy ponad półtora miliona pozycji. W Związku Sowieckim od 15 do 20 milionów.

Trudno się dziwić, gdy prof. Birman mówi, że „laboratoryjne doświadczenia w zakresie ekonomii są trudniejsze niż eksperymenty w dziedzinie techniki".

W tej sytuacji, w krajach Bloku Sowieckiego powstały dwie „szkoły myślenia": matematyczna i rynkowa. Są to oczywiście określenia ogólne.

Obie szkoły wychodzą z założenia, że człowiek nie jest w stanie kontrolować procesów ekonomicznych w kraju, który wyszedł z okresu „szybkiej rozbudowy" i przechodzi z ekstensywnego na intensywny rozwój gospodarki. Zachodzi konieczność operowania pewnymi mechanizmami, co oczywiście oznacza odstąpienie od dowolności i arbitralności w podejmowaniu decyzji gospodarczych.

Stawia to władze komunistyczne wobec dylematu: rezygnacji z części władzy, względnie pogodzenia się ze stagnacją gospodarczą.

W obecnych warunkach wyścigu gospodarczego żaden kraj nie może pogodzić się z permanentnym zjawiskiem malejącego tempa rozwoju gospodarczego. Trudno by sobie było z drugiej strony wyobrazić, by rządy oparte na dyktaturze rezygnowały dobrowolnie z władzy.

Przywódcy komunistyczni pragną utrzymać jak największy zakres władzy i kontroli w swym ręku, a jednocześnie zapobiec groźbie kryzysu gospodarczego.

Zwolennicy szkoły „rynkowej" w krajach Bloku Sowieckiego reprezentowani przede wszystkim przez czołowego ekonomistę czechosłowackiego profesora Ota Sik'a są zdania, że „zastosowanie mechanizmu rynkowego nie zagraża planowemu realizowaniu socjalizmu", przeciwnie, profesor Sik twierdzi, że „mechanizm rynkowy jest niezastąpionym uzupełnieniem planu".

Zwolennicy szkoły „matematycznej" proponują inne rozwiązanie. Uważają oni, że racjonalne decyzje ekonomiczne mogą być pobierane centralnie na zasadzie szczegółowych obliczeń matematycznych. Wymaga to jednak codziennego rozwiązywania wielu miliardów problemów matematycznych co jest możliwe tylko przy użyciu całego systemu elektronicznych maszyn liczbowych (komputerów).

Szkoła „matematyczna" zdobyła sobie największą pozycję w Związku Sowieckim. Uczeni sowieccy Kantorowicz, Nemczinow, Nowożyłow, Pugaczew i inni zgrupowani w Instytucie Matematyczno Ekonomicznym Akademii Nauk i Instytucie Badań Ekonomicznych Gosplanu opracowali dynamiczny model rozwoju gospodarczego Związku Sowieckiego na lata 1965 — 70 oparty ściśle na kalkulacjach matematycznych. Zalecają oni przede wszystkim zmianę podstaw planowania. Dotychczas planuje się na zasadzie ilości środków, którymi się dysponuje. Powinno się planować na zasadzie istniejących potrzeb.

Uczeni tej szkoły twierdzą, że w gospodarce „socjalistycznej" efektywność gospodarczą można osiągnąć tylko w dwojaki sposób: albo przejść na system cen opartych na rynku i ograniczyć się do planowania „wskaźników", albo oprzeć ceny na kalkulacjach matematycznych.

Przejście na system cen opartych na rynku oznaczałoby w istocie rzeczy powrót do „kapitalizmu" i mogłoby spowodować wielkie zaburzenia nie tylko w dziedzinie gospodarczej, lecz również społecznej. Należy więc oprzeć decyzje gospodarcze na kalkulacjach matematycznych.

W Sowietach mówi się już o utworzeniu sieci 50 połączonych stacji „mózgów elektronowych", z których każda mogłaby przeprowadzić około półtora miliona obliczeń na sekundę. Pozwala-

łoby to na utrzymanie pełnej elastyczności cen, dostosowanej do zmieniających się warunków lokalnych.

Trudności w ustalaniu cen, czy opłacalności produkcji występują z równą ostrością w stosunkach wewnętrznych, jak i zewnętrznych krajów komunistycznych. Gdy Chruszczow ogłosił program „podziału pracy socjalistycznej" w ramach RWPG powstało zagadnienie ustalenia obiektywnych kryteriów specjalizacji, co i gdzie należy produkować by osiągnąć najlepsze wyniki. Problem ten nie został rozwiązany do dnia dzisiejszego. Na tym tle doszło do „buntu" Rumunii, to było powodem publicznych wystąpień i otwartej krytyki Polski, Węgier i Czechosłowacji.

Należy tu przypomnieć, że w okresie rządów Stalina kraje Bloku Sowieckiego nie przywiązywały zbyt wielkiego znaczenia do handlu zagranicznego. W tym czasie zarówno polityczna jak i gospodarcza sytuacja w Europie Wschodniej wytwarzała warunki jednostronnej zależności wszystkich krajów „satelickich" od Moskwy.

Zmiany tego stanu rzeczy narastały powoli i stały się widoczne dopiero w 56 roku, gdy Polska i Węgry zażądały rewizji stosunków z Sowietami. Były to jednak wówczas próby odosobnione i na Węgrzech skończyły się klęską militarną, a w Polsce nieudaną próbą reform gospodarczych. Następne lata przyniosły jednak zmiany zasadnicze w ramach całego Bloku. Wypadki na Węgrzech i w Polsce oraz narastający spór z Chinami postawiły przywódców sowieckich wobec nowej rzeczywistości. Co więcej narastająca potęga gospodarcza Zachodu, a w szczególności sukcesy Wspólnego Rynku zmusiły Związek Sowiecki do szukania nowych podstaw budowania własnej potęgi i nowych metod utrzymania „sojuszników". Ogłaszając projekt „podziału pracy socjalistycznej" Chruszczow odstąpił od stalinowskiej zasady autarkii gospodarczej i dążył do powiązania krajów Bloku węzłami współzależności. O jaką jednak współzależność chodzi? Czy Sowiety gotowe są rzeczywiście zrezygnować z roli dominującego partnera Bloku, czy tylko wyrzekną się bardziej jaskrawych form eksploatacji?

O to właśnie toczy się dziś spór. Względy polityczne wiążą się tu ściśle z względami gospodarczymi.

Uprzemysłowienie krajów Europy Wschodniej (dokonane metodami stalinowskiemi) i stopniowe osiąganie dojrzałości gospodarczej kończy okres „stanu wyjątkowego" i zmusza do zastosowania bardziej precyzyjnych metod planowania i zarządzania gospodarką. Konieczność wprowadzenia zmian wewnętrznych zbiega się ze zmianą stosunków nie tylko gospodarczych ale i politycznych w ramach całego świata komunistycznego. Wytwarza to okres napięć wewnętrznych, ale otwiera również nowe możliwości i daje możność większego manewru.

Czy usprawnienie funkcjonowania gospodarki i oparcie współpracy w RWPG na zasadzie podziału pracy i współzależności przyczyni się do wzmocnienia potęgi Bloku Sowieckiego i przyśpieszenia integracji gospodarczej wokół Moskwy, czy też osłabi spoistość świata komunistycznego?

Te dwie przeciwstawne możliwości są dziś równie prawdopodobne.

Przywódcy komunistyczni w Polsce dążą do reformy RWPG tak by współpraca gospodarcza z krajami Bloku Sowieckiego była bardziej korzystna. Polska mając nadwyżki w handlu z krajami komunistycznymi wystąpiła z żądaniem wymienialności rubla na złoto lub dewizy. Żądanie to zostało w zasadzie przyjęte. Węgry zażądały reformy cen w ramach RWPG i to również zostało zatwierdzone. Realizacja tych żądań jest jednak rozłożona na wiele lat. W dalszym ciągu trwa spór o „podział zadań produkcyjnych i ustalenie cen opartych na kryteriach ekonomicznych.

W dalszym ciągu struktura handlu zagranicznego krajów Bloku stwarza zależność gospodarczą od najsilniejszego partnera, jakim jest Związek Sowiecki. Wystarczy powiedzieć, że 31% ogólnej wartości polskiego handlu zagranicznego przypada na obroty z Sowietami. Dla porównania obroty ze Wspólnym Rynkiem wynoszą 9% wartości polskiego handlu zagranicznego.

Swego czasu Polska odegrała pionierską rolę w projektach reform ekonomicznych i inicjatywie rozszerzenia współpracy gospodarczej z Zachodem. Polska rozpoczęła rozmowy z firmą Krupp zmierzające do podjęcia wspólnych inwestycji i wspólnej produkcji. Nie przyniosły one jednak konkretnych rezultatów, natomiast Krupp podpisał podobne umowy z Węgrami i Rumunią.

Polska rozpoczęła rozmowy wstępne ze Wspólnym Rynkiem i starania o członkostwo największej międzynarodowej organizacji handlowej GATT-u (Generalnego Porozumienia Taryfowo Handlowego). Rozmowy ze Wspólnym Rynkiem ograniczyły się jednak do spotkania na szczeblu ekspertów, a starania o członkostwo GATT-u stanęły na martwym punkcie i to z winy Polski.

Sprawa ta zasługuje na specjalną uwagę.

W początkach 64 roku Polska zgłosiła nieoficjalny projekt, który umożliwiałby uzyskanie pełnego członkostwa GATT-u.

Polska miałaby się zobowiązać do:

— takiego układania planów gospodarczych, które zapewniło by krajom członkowskim GATT-u rosnący udział w zaopatrywaniu polskiego rynku wewnętrznego,

— udzielenia gwarancji, że rosnące dochody z eksportu polskiego do krajów GATT-u będą użyte na zakupy w tych krajach w odpowiedniej proporcji ustalanej w dwustronnych rokowaniach,

— rozpoczęcia rokowań z zainteresowanymi krajami GATT-u o włączenie pewnej kategorii towarów produkowanych przez te kraje do polskich planów importowych i zapewnienie, że obroty tymi towarami wzrastać będą szybciej niż inne pozycje importowe Polski.

W zamian za te koncesje Polska chciałaby otrzymać:

— potwierdzenie Klauzuli Najwyższego Uprzywilejowania w handlu z krajami GATT-u,

— zniesienie ograniczeń ilościowych stosowanych wobec polskiego eksportu,

— zabezpieczenie praw Polski w wypadku wielostronnego obniżania taryf celnych w ramach GATT-u,

— utrzymanie rynków zbytu na polskie produkty rolne przynajmniej w obecnym zakresie.

Polska wyraziła ponad to gotowość zniesienia wszelkich praktyk dyskryminacyjnych wobec towarów sprowadzanych z krajów GATT-u.

Polskie roczne plany gospodarcze miałyby być przedstawiane do wglądu zainteresowanym krajom GATT-u tak by mogły być podstawą do zawierania umów handlowych. Firmy zachodnie mogły by otwierać własne przedstawicielstwa i prowadzić działalność reklamową na terenie Polski.

Propozycje te zgłoszone w kwietniu 64 roku w sekretariacie GATT-u nie zostały niestety nigdy przedstawione oficjalnie.

Tym samym sprawa przystąpienia Polski do GATT-u na prawach pełnego członka stanęła na martwym punkcie.

Nie ulega wątpliwości, że przystąpienie do GATT-u leży w interesie gospodarczym Polski. Inicjatywa w tej sprawie została jednak sparaliżowana przez czynniki centralne.

A jednak właśnie teraz istnieją specjalne i być może niepowtarzalne możliwości szerokiego otwarcia „drzwi na Zachód" przynajmniej w dziedzinie gospodarczej. Składa się na to wiele warunków, które wystąpiły w tym samym czasie.

Przede wszystkim program reform gospodarczych został oficjalnie przyjęty przez wszystkie rządzące partie komunistyczne Bloku Sowieckiego. Tym samym dążenie do reformy systemu przestało być rewizjonizmem piętnowanym przez ośrodki centralne, tak jak to było w roku 56 i przedtem.

Po drugie, reformy wewnętrzne zmierzające do usprawnienia i racjonalizacji gospodarki znajdują swój oddźwięk w stosunkach między krajami Bloku, a więc w ramach RWPG.

Po trzecie, wszystkie kraje bloku wchodzą w okres „drugiego etapu rozwoju przemysłowego", co z natury rzeczy (poprzez wyspecjalizowaną produkcję) stwarza ściślejsze więzy międzynarodowe.

Po czwarte, świat komunistyczny przeżywa głęboki kryzys przywództwa. Dominujący niegdyś autorytet ośrodka władzy — Moskwy, został poważnie osłabiony poprzez wypadki w Polsce i na Węgrzech, w Chinach i w Rumunii.

Obecne próby reform mogą się rozwijać w dwóch kierunkach: oparcie planowania i metod zarządzania gospodarką na mechanizmie rynkowym prowadzi do decentralizacji i stopniowej „liberalizacji" systemu gospodarczego. Przejście do „matematycznego" planowania i zarządzania może doprowadzić do super-centralizmu, to jest jednego ośrodka dyspozycji w skali całego Bloku. Zresztą, przy obecnych tendencjach rozwojowych handlu zagranicznego i współpracy gospodarczej oba kierunki mogą przynieść zacieśnienie integracji gospodarczej wokół Moskwy, na bardziej racjonalnych niż dotychczas podstawach.

W praktyce jednak sytuacja przedstawia się inaczej. Reformy realizowane są połowicznie. Przywódcom komunistycznym bardziej zależy na utrzymaniu pełni władzy, niż na uzdrowieniu gospodarki. Co więcej wprowadzanie zmian rozłożone jest na okres wieloletni.

W tym właśnie czasie istnieją realne możliwości wytworzenia nowych warunków, a mianowicie warunków współzależności krajów Europy Wschodniej nie tylko w ramach RWPG, lecz w gospodarce światowej.

To prawda, że rozwój handlu z Zachodem napotykał na szereg trudności natury ekonomicznej. Wynikały one z braku towarów, które kraje Europy Wschodniej mogłyby zaoferować Zachodowi i z braku dewiz, koniecznych na opłacanie importu z Zachodu.

Jednakże głównym hamulcem w rozwoju handlu Wschód-Zachód były względy polityczne i doktrynalne. Dziś, te ostatnie się nie liczą, a polityczne zostały poważnie osłabione.

Przykład Rumunii wykazał, że rozwijanie handlu z Zachodem, a nawet nadawanie temu rozgłosu nie pociąga za sobą represji politycznych czy gospodarczych ze strony Sowietów.

Jan KROK-PASZKOWSKI

Książki **Skład Płyt** **Skład Nut**

KSIĘGARNIA "ZWIĄZKOWCA"

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontaria, Canada

ma na składzie WIELKI wybór
POLSKICH KSIĄŻEK
Polecamy polskie książki:
— do nabożeństwa
— powieści
— techniczne
— medyczne
— rolnicze i hodowlane
— podręczniki szkolne.

zaopatrzona jest w DUŻY wybór
POLSKICH PŁYT GRAMOFONOWYCH
produkowanych w kraju i za granicą.
— Muzyka
— Śpiew
— Kolędy
— Monologi i recytacje
Utwory polskich kompozytorów w wyk. polskich artystów.

Piszcie po BEZPŁATNE katalogi. Wykonujemy zamówienia pocztą
Przyjmujemy abonament na „Kulturę" — Posiadamy na składzie wszystkie książki wydane przez Instytut Literacki w Paryżu

Trybuna W. A. Z.

Przyszłość planowania na Zachodzie

Poza nazwą, planowanie na Zachodzie i planowanie w krajach komunistycznych nie ma nic wspólnego. Na Wschodzie, w imperium sowieckim i w imperium chińskim, jest to planowanie totalne, odwrotna (i zapewne nieunikniona) strona totalizmu politycznego. Planowanie to jest centralne: żadne magistraty, żadne prowincje, żadne nawet republiki związkowe nie mają autonomii, czyli prawa do samodzielnych decyzyj. Normalne środki polityki ekonomicznej, jako to warunki kredytu, stopa procentowa, ustawodawstwo podatkowe, kurs wymiany waluty, taryfy celne etc., są podporządkowane decyzjom czysto administracyjnym: za każdym kierownikiem przedsiębiorstwa siedzi w Rosji i jej satelitach nie buchalter i nie ekonomista, ale policjant.

Totalizm gospodarczy jest naturalnym systemem gospodarki wojennej: im bardziej wojna jest totalna, tym bliższy będzie ustrój gospodarczy wzorów sowieckich. Czy ustrój III Rzeszy w latach wojny tak bardzo się różnił od gospodarki bolszewickiej? Zapewne, był bardziej sprężysty, bardziej *efficient*. Zapewne, w teorii właściciel fabryki czy sklepu czy kawałka ziemi pozostawał właścicielem, ale wszystkie dyspozycje gospodarcze przejęło państwo. A dzisiaj tytuł własności ma niezmiernie małe znaczenie, decyduje dyspozycja. Manager, nie właściciel, jest dzisiaj motorem i dysponentem w każdym ustroju gospodarczym. Gdyby w ZSSR kierownik „kombinatu" miał te uprawnienia i tę swobodę decyzji, którą cieszył się Dr Nordhoff w latach 1947-62, gdy był kierownikiem upaństwowionego Volkswagena, to by ustrój sowiecki niezmiernie się zbliżył do ustrojów zachodnio-europejskich. Albowiem zmiana tytułu własności Volkswagena — z własności Budesrepublik stał się on po „reprywatyzacji" własnością spółki akcyjnej, w której 20% akcyj nadal należy do „Bund'u", dalszych 20% do „Landu" Niedersachsen, a reszta, 60%, do prywatnych akcjonariuszy, w tym bardzo wielu pracowników tej firmy — nic a nic nie wpłynęła na faktyczną omnipotencję i absolutną niezależność naczelnego dyrektora: Dr Nordhoff jest w praktyce znacznie bardziej samowładcą w Volkswagenie, „upaństwowionym" czy „reprywatyzowanym", niż baron Alfred Krupp von Bohlen und Halbach jest panem w swym koncernie. W rzeczy samej baron jest figurantem, a dyspozycja przeszła do jego managera, którym jest generalny dyrektor Beitz.

Na tym przykładzie — bo „konkretne" wypadki są zawsze bardziej pouczające, gdy chodzi o politykę gospodarczą od teoretycznych rozważań — można wymierzyć przepaść, która dzieli system managerski, z własnością publiczną lub prywatną, od systemu sowieckiego. Jeszcze za czasów, gdy Volkswagen był własnością Bundesrepublik, Nordhoff wygrał dwie wielkie batalie z Erhardem, ministrem ekonomii. Nordhoff postawił na kartę eksportu do Ameryki: rozbudował tam sieć warsztatów reperacyjnych, w stolicy każdego stanu Unii powstało przedstawicielstwo Volkswagena z odpowiednim personelem, częściami zapasowymi. Erhard zaczął wołać, że nie można składać wszystkich jajek w jednym koszyku etc. Nordhoff się uparł, i postawił na swoim. Rezultat: od lat Volkswagen reprezentuje sam jeden przeszło 60% *całego* importu wozów zagranicznych do U.S.A. W roku ubiegłym Volkswagen sprzedał 360 tysięcy sztuk w Stanach, następny eksporter B.M. (British Motors) 30 tysięcy sztuk, a Renault (dotąd upaństwowiony) tylko 23 tysiące. *Nothing succeeds like success.* Erhard zapomniał o swych przestrogach. Ale w 1964 roku Nordhoff postanowił podnieść cenę Volkswagena. Znowuż Erhard zaczął wielki raban. Że ta zwyżka zagraża jego ogólnej polityce cen, że Volkswagen daje zły przykład etc. Nordhoff nie dał się zastraszyć. „Kto jest za tę firmę odpowiedzialny? — wołał — ja czy pan?" I postawił na swoim.

Jeżeli porównać rezultaty gospodarki sowieckiej z zachodnią, a także japońską, to pierwszy rzut oka wskazuje, iż wyniki sowieckie wyglądają dużo gorzej: obywatel sowiecki, po 50 latach planowania i własności uspołecznionej, jada gorzej, mieszka gorzej, jest gorzej odziany, gorzej obuty, ma gorszy transport, nie ma samochodu, jest gorzej leczony, ma gorsze szkoły, więcej pracuje, ma mniej wczasów, nie wyjeżdża zagranicę etc. Nie ma bezrobocia, ktoś powie. Po pierwsze, nikt tego nie wie. Statystyki państw komunistycznych są dziwnie niedokładne. Polska też miała zlikwidować bezrobocie, teraz przyznaje, że na wsi istnieje ukryte bezrobocie, że przeludnienie urzędów i fabryk tłumaczy się właśnie nadmiarem rąk do pracy, że liczne przeniesienia przedwczesne na emeryturę tłumaczą się natłokiem młodych etc. W Titolandzie też twierdzono przez dwadzieścia lat, że komunizm zażegnał całkowicie bezrobocie, a tymczasem nielegalna czy pół-legalna emigracja z Jugosławii na Zachód wzrasta już od lat, i przybiera obecnie postać lawiny, także do Austrii i Włoch. A w konsulatach NRF zapisanych na emigrację jest pono aż dwa i pół miliona ludzi! Jeszcze dużo bardziej katastrofalnie wygląda sytuacja w nowszych krajach „socjalistycznych": w Algierii było, według spisu ludności z 1954 roku, w przeddzień rebelii, 9 i pół

miliona mieszkańców, w tym półtora miliona Europejczyków i Żydów. Ci uciekli, z milion osób zginęło w czasie wojny domowej, około miliona Algierczyków pracuje dzisiaj we Francji. Tak więc, bez przyrostu ludności, Algieria musiałaby dzisiaj mieć zaledwie 6 milionów mieszkańców. Ma ich rzekomo aż 12 milionów! Nawet zdjąwszy różowe okulary rachmistrzów spisu ludności, cyfra ta jest przerażająca. Na tych 12 milionów mieszkańców, tylko 5 milionów ma być w wieku pracy, co oczywiście tłumaczy się liczebnością młodych roczników. Na tych pięć milionów, ilu pracuje? Tylko półtora miliona, a i to znaczna część jedynie po kilka dni w tygodniu czy po kilka tygodni w roku. Na Kubie sytuacja wygląda nie lepiej: stąd Castro pozwala teraz Kubańczykom, którzy mają dosyć jego rządów, emigrować masowo do USA, albo do Meksyku. Natomiast w NRF jest milion robotników zagranicznych, w Szwajcarii 750 tysięcy, we Francji dwa miliony Europejczyków, milion kolorowych (co prawda we Francji imigranci europejscy są w bardzo dużej mierze z czasów przedwojennych, a więc należą do innej kategorii zjawisk socjalnych i ekonomicznych). Jestem jak najdalszy od wszelkich inklinacji do robienia propagandy anty-sowieckiej, czy anty-planowej: brzydzę się każdą propagandą, poza tym uważam ją zawsze za nieskuteczną. Ale doprawdy nie widzę, co można przytoczyć na rzecz planowania sowieckiego, jako dowody jego wyższości, czy skuteczności, czy przyczynku do szczęścia i dobrobytu choćby tylko klasy robotniczej. Planowanie sowieckie można tylko wytłumaczyć awersją do choćby najmniejszego zakresu wolności obywatela, chęcią narzucenia całej ludności totalnej pasywności. Skłonność komunistycznych władców do totalizmu ekonomicznego tłumaczy się częściowo nacjonalizmem. W razie otwarcia możliwości akumulacji kapitału prywatnego wewnątrz Rosji rząd tego kraju zapewne obawiałby się wzrostu znaczenia grup mniejszościowych: Żydów, Niemców, Ormian, Greków etc. Socjalizm pociąga ludy, które mają mniejszą dynamikę i zdolności gospodarcze. „Socjalizm" inkrustuje się dużo łatwiej w Algierii, gdzie tubylcy tradycyjnie zajmowali się tylko pirateriią i rolnictwem, a dużo trudniej w Syrii, której ludność ma duże zdolności kupieckie. W dzisiejszych warunkach przywrócenie z dnia na dzień „kapitalizmu" w Polsce czy w Rosji doprowadziłoby z całą pewnością do przewagi kapitałów nie-polskich, względnie nie-rosyjskich w obu tych krajach. Ten podświadomy wzgląd nacjonalistyczny wzmacnia atrakcyjność argumentów dogmatycznych.

Źródła planowania na Zachodzie, specjalnie we Francji, są zupełnie inne. Na skrajnej lewicy, komunizującej, niechęć do kapitału zagranicznego, specjalnie amerykańskiego, refleksy nacjonalistyczne, admiracja dla ustroju sowieckiego, etc. nadal odgrywają większą lub mniejszą rolę. Ale ludzie typu Jean Monnet, który był wszak inicjatorem pierwszego „Planu" i pierwszym jego Komisarzem w latach 1946-51, czy typu urzędników Komisji Wspólnego Rynku, którzy raz po raz wysuwają projekty „programmacji europejskiej" są jak najdalsi od naiwnej wiary sowieckich planistów w omnipotencję i omnizbawczość państwa, w możność uszczęśliwienia ludzkości i tworzenia bogactwa przy pomocy dekretów i niekończącej się piramidy administracyjnej. Źródła planowania we Francji, a teraz także w Anglii we Włoszech etc. (znacznie bardziej nieśmiałe) są natury pragmatycznej, a nie doktrynalnej. Planiści zachodni często wyszli z liberalnego ustroju kapitalistycznego, wcale nie chcą go zwalczać, lecz pragną tylko jego najbardziej jaskrawe defekty reformować. Właśnie ci ludzie często dochodzą do słusznego wniosku, że dawne zasady klasyczne, w szczególności wiara w automatyzm zjawisk gospodarczych i w sezam, zwany równowagą budżetową, już nie są w stanie rozwiązać wszystkich trudności, że bardziej aktywna polityka gospodarcza i koniunkturalna jest koniecznością. Zwolennicy planów na Zachodzie konstatują mnożenie się interwencyj gospodarczych państwa: w tej dżungli zasiłków, subwencyj, zwolnień od podatków, tanich kredytów, przepisów dewizowych, celnych, taryfowych etc., ludzie ci zapragnęli ujrzeć w końcu jakiś ład, porządek, myśl przewodnią, słowem plan czyli logikę.

Planowanie na Zachodzie jest *przewidywaniem:* planiści nie są wyposażeni w „imperium", we władzę: apelują do przedsiębiorców, by robili takie a nie inne inwestycje, w tych a nie innych rozmiarach, apelują do rządów, by swe zasoby i kredyty skierowywali na te a nie inne cele, by rezygnowali z pewnych środków polityki gospodarczej, uciekali się do innych.

Planiści zachodni mało i rzadko interesują się konsumpcją: wszak skasowali racjonowanie zaraz po wojnie, a system kartkowy jest najdalej posuniętym „planowaniem" spożycia, jaki można sobie wyobrazić. W wielu innych dziedzinach planiści zachodnio-europejscy są szermierzami klasycznych doktryn liberalnych: z reguły wojują o zupełną wolność obrotów dewizowych, zarówno bieżących, jak i ruchu kapitałów, walczą o skasowanie wszystkich ograniczeń obrotu towarowego (w pierwszym rzędzie kontyngentów i zakazów przywozu, potem ceł, opłat granicznych). Ta walka o liberalizację międzynarodowego obrotu towarowego jest prowadzona zarówno wewnątrz pewnych większych obszarów gospodarczych (Wspólny Rynek, Strefa Wolno-handlowa, Benelux, Unia Nordycka), jak i na terenie całego globu (tak zwana negocjacja Kennedy'ego). Byłoby więc mylne przeciwstawianie kategorycznie liberałów i planistów zachodnich. Obie szkoły mają licznych wyznawców — często tych samych — w licznych ciałach międzynarodowych, w szczególności w Komisji Wspólnego Rynku.

Punkt ciężkości sprowadza się do dwóch punktów: czy interwencjonizm państw — nieunikniony już choćby na skutek coraz większej komplikacji technicznej współczesnego życia — pozostawić na boku, jako nieograniczoną domenę improwizacji i natchnień rządów a w szczególności ministrów skarbu? Czy też ten interwencjonizm ująć w karby ogólnych dyrektyw, wydawanych

przez ekspertów gospodarczych (kierowników planu, komisji Wspólnego Rynku), mniej zależnych od preokupacyj politycznych i od rozgrywek prestiżowych i dyplomatycznych? Czy, po wtóre, dla ustalania kierunku inwestycyj, wystarcza prospekcja rynku, czy też te inwestycje muszą być „planowane"?

Jeżeli chodzi o ten drugi punkt, to zwięźle ujął go pan André Philip, dawniej socjalista, wydalony z SFIO, dzisiaj gaulista lewicowy. Inwestycje, pisze i wywodzi ciągle ten wybitny ekonomista, bardzo czynny i ruchliwy, są sprawą zbyt poważną i zbyt odpowiedzialną, by decyzje o nich pozostawiać w rękach właścicieli prywatnych. Tylko ekonomiści, wyposażeni w autorytet państwa, mogą pobierać te decyzje, które mają decydujący wpływ na przyszłość całego narodu.

Ekonomiści wyposażeni w autorytet państwa, to są w praktyce urzędnicy. Ich ciężar gatunkowy jest różny, gwarancji nieomylności nie mają. *A priori* nie widzę powodów, dla których M. Pierre Dreyfus, dyrektor upaństwowionego Renault, ma pobierać bardziej trafne decyzje co do inwestycyj swego koncernu, niż Dr Nordhoff, kierownik i dyktator Volkswagena, zarówno za czasów, gdy ta firma należała do państwa, jak i obecnie, kiedy należy do spółki prywatnej (z udziałem kapitałów publicznych w wysokości 40%). W obu wypadkach sądzę, że i Dreyfus i Nordhoff lepiej oceniają możliwości rynku międzynarodowego na samochody od urzędników wydziału pojazdów mechanicznych francuskiego ministerstwa przemysłu, względnie Komisariatu Planu (Commisariat au Plan).

Zapewne mały człowiek, mała firma popełniają niezliczone błędy. Właśnie w końcu maja odbyły się w Verdun obchody z okacji 50-lecia tej morderczej bitwy. Władze w osobie ministra byłych kombatantów obwieściły, że liczą się ze zjazdem pół miliona *pélerins*, weteranów tych bojów i ich rodzin. Miejscowe kupiectwo porobiło odpowiednie zapasy: zrobiono sandwicze, upieczono ciastka etc. Zjazd był z całą pewnością dużo mniejszy niż przypuszczano: 25 tysięcy obecnych, według kupców, sto tysięcy według władz. Jest też spór co do przyczyn tej dezafekcji: czy chciano w ten sposób zamanifestować niezadowolenie z powodu odmowy translokacji zwłok zwycięzcy spod Verdun, czy też winna była pogoda etc. Dość, że kupcy i piekarze, rzeźnicy i lodziarze ponieśli straty, i żądają zwrotu tych strat. Takie wypadki zdarzały się zawsze: należą do normalnego ryzyka kupieckiego, żadna kompensacja tym zacnym mieszczanom się nie należy. Ale oczywiście to nie jest przykład „złej kalkulacji kapitalistycznej".

Czy jest ona taka zła, gdy chodzi o wielkie koncerny, które dzisiaj de facto monopolizują inwestycje wielko-przemysłowe? Nie tylko General Motors ale i Citroën (własność dzisiaj rodziny Michelin) lepiej inwestuje od upaństwowionego Renault, tym bardziej niż sowiecki przemysł samochodowy. Amerykański Telephone & Telegraph odrzuca kilkaset milionów dolarów dywidendy, to samo choć na mniejszą skalę Ericson w Szwecji, a we Francji telefony są fatalne, dają deficyt, i państwo już teraz

nie jest w stanie dostarczyć aparatów przeszło 400 tysiącom kandydatów na abonentów. Inaugurowane przez państwo francuskie inwestycje w naftę saharyjską skończyły się na razie tym, że akcje, które subskrybenci nabyli siedem czy osiem lat temu po kursie sto,teraz, po sześciu latach, reprezentują przeciętnie tylko dwie trzecie ówczesnej wartości, czyli ci co zaufali wskazówkom inwestycyjnym państwa francuskiego stracili już jedną trzecią swych wkładów i mają wszystkie szanse, że stracą resztę. Ci co zaufali Standard Oil, zrobili dużo lepszy interes; poza tym nafta tego koncernu pozostaje nadal pod kontrolą amerykańską. Czy budowa transatlantyka „France" się opłaciła? Czy rozbudowa przemysłu lotniczego we Francji i w Anglii jest atutem, czy też obciążeniem dla przyszłości gospodarczej obu tych krajów? Czy projekt „Concorde" ma perspektywy opłacalności? Czy subsydiowanie znacjonalizowanego węgla przez rządy Anglii i Francji jest celowe? Budżet francuskiego ministerstwa przemysłu wynosi równo miliard NF, z tego 700 milionów NF idzie na pokrycie deficytu upaństwowionych kopalń węgla, a na *recherche* przemysłową idzie tylko sto milionów NF, jedna siódma? To olbrzymie subsydium *à fond perdu* jest tylko częścią haraczu, który Francja płaci, by utrzymywać kopalnie koło Lens i Béthune, gdzie pod ziemią, w nieludzkich warunkach, sto tysięcy górników *du fond* (bo z tymi na nawierzchni jest ich 181.000) haruje za nędznym wynagrodzeniem i z codziennym narażeniem życia: albowiem tego węgla nikt nie chce, specjalnie hutnicy francuscy awanturują się ciągle, że rząd nie pozwala im zastąpić tego miejscowego węgla tańszym i lepszym, importowanym z Ruhry, z Ameryki, albo z Polski, albo też fuelem, i żądają, jako kompensaty za godzenie się z dyrektywami rządu, nowych z kolei subsydiów, pożyczek po ulgowej taryfie etc. Gdzie tu jest cień sensu? Że niby własne źródło energii na wypadek wojny? Właśnie gdy rząd twierdzi, że niebezpieczeństwo wojny w ogóle znikło, jest urojeniem! A zresztą, któż dzisiaj może przez sekundę uwierzyć, że losy wojny mogą zależeć od istnienia paru mało wydajnych kopalni węgla z górnikami po pięćdziesiątce i z przestarzałymi maszynami?

Najlepszą poglądową lekcję ekonomiki dało mi Science Museum na Kensingtonie, w Londynie. Figurują tam dotąd dwie ogromne pompy na wodę w kopalniach węgla, zbudowane przez samego James Watta w roku 1783: pierwsza funkcjonowała do 1914 roku, druga nawet do 1939. Więc coś jak 150 lat! Ten kto nabył taką pompę do kopalni węgla w 1783 miał przez 150 lat „kapitał", przy minimalnych wydatkach na konserwację. A dzisiaj? A dzisiaj okres amortyzacji nowych obrabiarek wynosi przeciętnie 10 lat, w NRF nawet tylko 8 lat. Czyli kapitalista, który nie amortyzuje i nie inwestuje, jest po 10 latach dziadem! Idzie z torbami. Więc kapitalista dzisiaj musi być inwestorem, i musi być nieprawdopodobnie *à la page*, inaczej ginie. Czyż przy tych sankcjach, wynikających z obecnego tempa życia, można sobie wyobrazić gnuśnych kapitalistów? Są, ale jak długo mogą się

utrzymać? Czytałem teraz niemiecką statystykę: na 20 małych i mniejszych przedsiębiorstw w Niemczech Zachodnich 10 jest na sprzedaż, bo właściciel nie daje rady, a z tych 10-ciu cztery się nadają na szmelc, trzy na licytację, a trzy tylko warto nowym nabywcom kupić.

Nieprzytomne tempo postępu technicznego wywołuje nacisk na kapitał w ustroju wolnokonkurencyjnym, o którego natężeniu my, Polacy, naród typu urzędniczego, nie mamy wyobrażenia. Nasi rodacy w kraju stoją bezradni wobec zmierzchu przemysłu węglowego. A jak jest z przemysłem tekstylnym? Równie źle. Sztuczne włókna, rozbudowa przemysłu włókienniczego w krajach ex-kolonialnych wybiły godzinę zgonu europejskiego przemysłu bawełnianego. Czy przemysł stalowy się ostoi? Rozbudowano go nieprzytomnie na całym świecie: dzisiaj są huty bez mała w każdym kraju, w Azji, w Afryce, w Brazylii. Zapewne stale specjalne, szlachetne, mają jeszcze piękną przyszłość. Ale zwyczajne wyroby walcowane? We Francji Czwarty plan przewidywał 25 milionów ton stali na koniec 1965 roku. Faktyczna produkcja: niespełna 19 milionów. Produkcja ta spada nieznacznie od dwóch lat. Czy ktoś odczuwa ten „deficyt" w stosunku do Planu? Nikt. Stali wcale nie brak na francuskim rynku wewnętrznym, a zagranicą coraz trudniej nadwyżki spławić. Rząd jest zmuszony udzielić przemysłowi stalowemu dla jego „reorganizacji" ukrytych subwencyj w postaci kredytów, oprocentowanych na 2%, podczas gdy na rynku przemysł ten musiałby płacić 8%. Te pożyczki rządowe mają wynieść trzy miliardy fr. na 10 lat. Różnica 6% od 3 miliardów wynosi 180 milionów rocznie, 1.800 milionów w ciągu 10 lat. Spora suma. Po co? By utrzymać przy życiu wszystkie huty i stalownie francuskie.Czy się to opłaci? Czy tych pieniędzy nie można by zużyć bardziej celowo? I co najważniejsza, czy ten wysanowany kosztem subsydiów z kasy państwowej przemysł stalowy okaże się za 10 lat zdolny do życia? Wszak mówi się, że stal będzie wypierana przez aluminium: być może już niebawem wagony i samochody będą robione z aluminium, nie ze stali. Czy szkło też nie będzie konkurować ze stalą nawet w budowie kamienic? Bardzom ciekaw, który przemysł stalowy będzie za 10 lat lepiej dostosowany do wymogów epoki: United Steel w Stanach, Usinor we Francji czy stal sowiecka i polska?

Czy papier nie zastąpi tekstyliów, a plastyk skóry? Czy inne substancje chemiczne nie zastąpią nafty i benzyny? Czy motorki elektryczne nie zastąpią Diesla i karburatora, idącego na benzynie? I znowuż do tych rewolucyj technicznych i przemysłowych, które inwestycje się lepiej, szybciej dostosują? Planowane, to znaczy państwowe lub subsydiowane z funduszów publicznych, czy też inwestycje prywatnych, gigantyczny koncernów?

Nie upatrywałbym pola do popisu planistów na terenie inwestycyj przemysłowych, tym bardziej rolnych: myślę, że należy tę domenę pozostawić w miarę możności koncernom prywatnym, i nie ratować ich, gdyby okazało się, że porobili tak zwane *Fehlinvestitionen*. Najgorszą formą „planowania" jest z całą pewnością przejmowanie deficytów, oraz przejmowanie przez państwo bankrutów, a jest to niestety główna i najczęstsza forma działalności gospodarczej nowoczesnego państwa. *Fehlinwestitionen* — ten termin wydaje mi się ściślejszy i dosadniejszy, niż spolszczony „błędne inwestycje" — są nieuniknione, są też warunkiem postępu gospodarczego. Weźmy znowu przykład konkretny. Pod morzem Północnym odbywa się obecnie poszukiwanie złóż nafty i gazu ziemnego, które mają się tam znajdować, i to na wielką skalę. Jeżeli wyniki obecnych próbnych wierceń zostaną potwierdzone, Anglia będzie mogła liczyć pono na pokrycie około 7% swych potrzeb energetycznych gazem spod tego morza. Być może, złoża tego gazu, a także złoża nafty okażą się jeszcze bogatsze, niż się dotąd zakłada. Cały rozwój przemysłowy Europy w XIX-tym wieku był oparty na węglu, od Newcastle, Glasgow i Lancashire do Sosnowca, Będzina i Huty Bankowej. Dzisiaj tę rolę może odegrać nafta, może odegrać gaz ziemny. Pono 32% produkcji amerykańskiej idzie na gazie ziemnym. Są to olbrzymie możliwości. Ale być może te wielkie nadzieje okażą się płonne, tak jak przesadne okazały się nadzieje wiązane z Saharą Algierską (jak dotąd 25 milionów ton nafty rocznie zamiast obiecywanych stu). Poszukiwania nafty, gazu muszą być loteryjką. Niech się tym trudnią koncerny prywatne, a nie państwo. A to z kolei oznacza, że państwo nie powinno nabywać udziałów, tym bardziej większości akcyj w koncernach naftowych.

Natomiast jakieś formy planowania, być może znacznie dalej idące od obecnych, w dżungli interwencyj gospodarczych wydają mi się konieczne. Planowanie w tej dziedzinie jest dużo trudniejsze, niż się zdaje. Jak skutecznie zabronić ministrom czy Funduszom udzielania, nagle i niespodziewanie, na okres krótszy czy dłuższy, wszystkim czy tylko jednej firmie, zamówień, skont, zniżek podatkowych, kredytów ulgowych, stu innych form pomocy, które całkowicie fałszują normalne funkcjonowanie rynku? Te interwencje, nieskoordynowane, chaotyczne, dotyczą różnych spraw, od najważniejszych do najbardziej błahych. Zniżki na kolejach, w métro, dla studentów, dla ex-kombatantów, dla rodzących matek, dla ojców licznego potomstwa etc. etc. są każda z osobna słuszne, ale razem zwiększają pracę kasjerów, biletерów, uniemożliwiają wprowadzenie automatów, zmuszają więc do trzymania nadmiernego personelu, i w końcowym efekcie sprawiają, że jedna trzecia pracowników metra paryskiego, to są biedne staruszki, które za psie pieniądze dziurkują bilety pasażerów, że budżet RATP (metro plus autobusy paryskie) wykazuje miliard fr. deficytu rocznie, za którą to sumę można by wybudować około 200 km. autostrad rocznie, że na kolejach francuskich dla przewiezienia zaledwie 600 milionów pasażerów rocznie (niecałe dwa miliony dziennie!) i 20 milionów ton towarów miesięcznie, trzeba aż 350 tysięcy kolejarzy. Właściciele jabłoni w departamencie La Manche (Cherbourg), ale tylko tego departa-

mentu, otrzymują bonifikację w wysokości 5 fr. od każdego wyrwanego drzewa owocowego, o ile owoce z usuniętej jabłoni służyły do wywaru jabłecznika, ale już nie, jeżeli te same jabłka były sprzedawane na kompot czy na konfitury. Nawet komisja Wspólnego Rynku poszła za tymi pięknymi przykładami: w jednym z układów agrarnych, z takim zapałem negocjowanych przez pp. Pisani i Couve'a, znalazła się klauzula na mocy której Holandia nie będzie płacić *prélèvement* od importowanego spoza Szóstki jęczmienia, ale tylko o ile ten jęczmień służy do fabrykacji piwa: jeżeli służy do karmienia świń czy ludzi, to *prélèvement* trzeba uiścić. W takich warunkach administracje muszą stale powiększać personel, wydatki budżetowe muszą pęcznieć, podatki rosnąć, a jedynym wynikiem wszystkich tych dziwacznych przepisów, poza bałaganem i kosztami, jest umożliwienie podejrzanych interesów rozmaitym łobuzom. Gdy chodzi o jabłecznik czy jęczmień, to takich spryciarzy jest mało, ale gdy chodzi o zniżki podatkowe, o kredyty, o przepisy bankowe czy ubezpieczeniowe, to na tej dżungli zarządzeń i wyjątków już nie tylko poszczególne łobuzy, ale cały firmy, całe trusty robią kolosalne fortury. Czytałem np. w londyńskim „Sunday Times'ie", że istnieje w Genewie trust znany jako Geneva Syndicate, na czele którego stoi 37-letni Turek, pochodzenia rosyjskiego, z paszportem amerykańskim, który to trust operuje setkami milionów dolarów. Na czym polegają interesy tej firmy, która ma „filie" w Luksemburgu, w Lichtensteinie, w Monte Carlo, w Nassau na Bahamach? Nikt nie wie: wiadomo tylko, że wspólnicy tej oryginalnej spółki nie płacą nigdzie podatków, a poza tym, że trust trudni się tylko operacjami finansowymi, bo nigdzie ani jednej fabryki nie posiada. W ogóle strona finansowa jest najsłabszym punktem systemu gospodarczego na Zachodzie. Nie widzę korzyści z istnienia tak rozbudowanego aparatu City czy innych ośrodków finansowych. Nie widzę celu istnienia maklerów giełdowych, nie rozumiem jaki jest cel i sens *hot money*, nie widzę żadnych plusów z ruchu kapitałów na giełdach europejskich. Myślę, że dzisiaj cały rozum tzw. finansistów polega na unikaniu opodatkowania, na grze na giełdzie, albo na spekulacjach walutowych. Wahania wskaźnika Dow Jones o 10% w ciągu tygodnia czy dwóch, nie mogą mieć żadnego gospodarczego uzasadnienia, i mogą tylko dyskredytować ustrój kapitalistyczny w oczach maluczkich, a ideę kapitalizacji giełdowej w oczach kandydatów na akcjonariuszy. Klient poważny, prawdziwy inwestor, którego spółki akcyjne szukają, nie znosi takiej huśtawki. Nie tylko inflacja i dewaluacje, ale także niemożliwe zachowanie się giełdy, i to na całym świecie, sprawia, że tylu potencjalnych ciułaczy ucieka od walorów giełdowych, akcyj i obligacyj, od oszczędności pieniężnych w ogóle, i kupuje złoto, obrazy, dzieła sztuki, a przede wszystkim tereny. Ceny nieruchomości, terenów budowlanych są wyrazem tezauryzacji, nieufności do pieniądza. Bardzo surowa kontrola wszelkiej spekulacji giełdowej wydaje mi się konieczna. Wbrew rozpowszechnionym opiniom

dobra giełda, to taka, gdzie kursy zmieniają się niezmiernie rzadko, i są niskie, tak że nikt nie ma ochoty sprzedawać. Każda szybka zwyżka akcyj na giełdzie jest zwiastunem kryzysu. Wszystkie spółki akcyjne powinny wypłacać jak najniższe dywidendy, a jak najwięcej przeznaczać na *Selbstfinanzierung*.

W jaki sposób państwo powinno planować, by wyjść z matni interwencjonizmu, posuniętego do śmieszności, do absurdu? Przede wszystkim symplifikując i ograniczając liczbę celów swej polityki gospodarczej. Dzisiaj takim celem jest wszędzie obrona własnej waluty. Stwarzając walutę Szóstki, wzmacniając zakres działalności MFM, tworząc Bank Europy, lub przynajmniej Bank Szóstki na wzór Banku Świata, ileż powodów do interwencyj, do subsydiów, do ulg, do faworów się za jednym zamachem usunie. Dżungla przepisów celnych, rozmaitych zarządzeń, których domniemanym celem ma być „obrona produkcji krajowej" czy „walka z konkurencją zagraniczną", zostały teraz trochę przerzedzone, ale wciąż jesteśmy daleko od prawdziwego Wspólnego Rynku.

Obrona rolnictwa, obrona hodowli, obrona węgla, obrona stali, obrona stu innych działów gospodarki narodowej — to wszystko dalsze powody interwencjonizmu, czyli gospodarki sprzecznej z jakimkolwiek planem. Obrona narodowa *tout court* jest zawsze i wszędzie okazją do największych, najgorszych wypaczeń systemu gospodarczego, do najgorszych machlojek i nadużyć. Obecne spory anglo-niemieckie o pokrycie zamówieniami kosztów postoju brytyjskich garnizonów w Niemczech są bardziej kłótnią anglo-niemieckich koncernów o zamówienia i ceny, niż kłótnią dwóch rządów o nowy klucz podziału ciężarów budżetowych. Gdy Szóstka będzie miała wspólną obronę, i wspólną walutę, i wspólny budżet, wspólne planowanie okaże się możliwe, i od razu stanie się znacznie bardziej efektywne. Już dzisiaj dla przemysłów lotniczego, spacjalnego, atomowego, elektronicznego i innych, ramy państw narodowych są w Zachodniej Europie za ciasne; jutro trzeba będzie to samo powiedzieć o przemyśle samochodowym, chemicznym, naftowym, stalowym i dwudziestu innych.

Każdy prawdziwy i godny tej nazwy plan gospodarczy, o ile ma być czymś więcej od wiązanki przewidywań i pobożnych życzeń, musi mieć jasne i wyraźne *priorytety*. Plany narodowe wymieniają zwykle priorytety produkcji, natomiast *programmation* Komisji Wspólnego Rynku stawia na czele wszystkich zagadnień walkę z inflacją i walkę o stałość cen, domaga się większej i lepszej *formation professionnelle*, oraz ograniczenia ruchu zwyżkowego płac do znośnych rozmiarów. Po komisji Brukselskiej najlepszym planistą jest inna instytucja międzynardowa, a mianowicie Bank Świata, a na trzecim miejscu MFM (Międzynarodowy Fundusz Monetarny). Dla Polski przystąpienie do Banku Świata i do MFM (jak to zrobiła z takim sukcesem Hiszpania w roku 1959) jest warunkiem *sine qua non* jakiejkolwiek po-

prawy gospodarczej. Żadne kredyty amerykańskie, francuskie czy niemieckie, żadne inwestycje Kruppa czy Fiata nie potrafią zastąpić dyscypliny, którą te dwa organizmy narzucają.

Bank Świata udzielił dotąd kredytów na koło 10 mld. dol. z tego koło 3 mld. dłużnicy już spłacili, rezerwy Banku wynoszą już przeszło dwa mld., roczne pożyczki dochodzą do 1 mld. dol. Bank Świata wyciągnął z opresji Austrię i Włochy, a teraz wyciąga Hiszpanię. Bank Świata udziela kredytów tylko na cele proste a pilne, jak modernizacja kolei, jak rozbudowa portów, jak budowa autostrad do miejscowości turystycznych, podczas gdy Francuzi namawiają biednych, zacofanych Hiszpanów na budowę elektrowni atomowych w Pirenejach. Te elektrownie mogą poczekać, aż eksperymenty z reaktorami w Ameryce, Anglii etc. wykażą, które są najbardziej ekonomiczne, które się najlepiej opłacą.

Obecny francuski plan pięcioletni, *le V^e plan*, wymienia cztery priorytety: *l'enseignement*, czyli oświatę, *la formation professionnelle*, czyli wykształcenie zawodowe, *la recherche scientifique*, czyli badania naukowej, i, nieoczekiwanie, *les télécommunications*, środki łączności.

Te cztery rzekome priorytety dotyczą bez wyjątku spraw drugorzędnych, są to tylko bardzo wątpliwe dyrektywy budżetowe. Wątpliwe, bo dlaczego te, a nie inne? Priorytet oświaty jest tak ogólnikowy, że nic nie mówi. Czy rząd zamierza w pierwszej kolejce faworyzować budownictwo gmachów szkolnych, czy też kształcenie kadr nauczycielskich? Czy będzie nadal dążył do formowania masówki maturzystów i studentów, czy też nawróci do XIX-wiecznej, a doskonałej tradycji francuskiej kształcenia elit, dość nielicznych, ale za to wyborowych (w 1900-tym roku studentów szkół wyższych było we Francji 30 tys., dzisiaj jest ich 411 tys., ale wówczas wszyscy ci studenci byli wybornymi łacinnikami, a dzisiaj po łacinie mało kto umie). Zresztą budżet oświaty we Francji regularnie wzrasta: można twierdzić, że jest to jedyna dziedzina budżetu, obok wojska, policji, dyplomacji i subwencyj dla rolnictwa, gdzie rząd jest stale bardzo hojny.

Formation professionnelle i *recherche scientifique* na każdy priorytet oczywiście zasługują. Wykształcenie zawodowe jest sprawą pilną: dotąd 50% narybku na francuskim rynku pracy, w tym omal wszyscy maturzyści, nie ma żadnych kwalifikacji zawodowych. Ideał obecnej cywilizacji miejskiej i wielko-przemysłowej — miliony ludzi, którzy pracują w bezosobowych ulach, schematycznie, bezdusznie, mechanicznie — na pewno nie jest wieczno-trwały: kiedyś ludzkość znajdzie lepsze formy organizacji socjalnej. Ale jeszcze przez lat 20 czy 40 ta właśnie forma ustroju gospodarczego — mrowisko — okaże się zapewne konieczna, albowiem ta forma umożliwia najszybszy wzrost stopy życiowej, a ten wzrost jest dzisiaj postulatem numer jeden ludności całego świata. Wszyscy chcą jeść do syta, dobrze mieszkać, być dobrze leczeni, mieć wakacje, mieć własny transport (samochód), który daje wolność osobistą w okresie week-endu i wakacyj i pozwala łatwiej znosić niewolnictwo fabryki i biura (prywatnego czy rządowego, to nie robi prawie żadnej różnicy dla szarej masy, przeciwnie wszędzie utwierdza się mniemanie, że państwo jest złym pracodawcą). Do tego typu cywilizacji Francuzi są z natury znacznie gorzej dostosowani, niż Anglicy a zwłaszcza Amerykanie, Niemcy i Japończycy: ci maszerują o 8-ej rano do fabryki czy biura przez 40 i nawet 50 lat, jakby właśnie w tym celu zostali stworzeni, a Francuzowi taka formuła pracy nie dogadza, nawet go mierzi — każdy Francuz chciałby być pracownikiem niezależnym, indywidualnym, pracować na własny rachunek. *La formation professionnelle* ma ułatwić to dopasowanie się do pracy zespołowej, w ogromnych firmach. *Recherche scientifique* jest związana z drugim kapitalnym zjawiskiem naszych czasów, mianowicie z postępem technicznym, który jest też głównym motorem postępu gospodarczego: gdyby nie ten właśnie postęp techniczny, to stopa życiowa i w krajach najczystszego liberalizmu vel kapitalizmu, i w krajach najdoskonalszego marksizmu wszelkiego modelu, byłaby dzisiaj mało co wyższa, niż przed wojną, a jednak w Zachodniej Europie i w Ameryce Północnej ta stopa jest plus minus dzisiaj *trzykrotnie* wyższa niż w 1938 roku. Znowu Francja jest w dziedzinie *recherche*, specjalnie jej zastosowań praktycznych, niesłychanie zacofana nie tylko w stosunku do Stanów, ale także w stosunku do Niemiec i Anglii. Same Stany wydają na *recherche* cztery razy więcej, niż CAŁA Europa Zachodnia. Wtrącę tutaj dwie uwagi: primo Francja *sama jedna* nie ma cienia najmniejszej szansy dopędzenia Stanów czy to w dziedzinie *recherche*, czy jakiejkolwiek innej, dystans jest za wielki; secundo, Francji i gospodarki francuskiej nie można w ogóle porównywać z USA, bo są to wielkości absolutnie NIEWSPÓŁMIERNE: i tak wartość akcji, notowanych na giełdzie nowojorskiej, jest 250 razy większa od wartości akcji francuskich, notowanych na giełdzie paryskiej. Można wyrównać stosunek sił jeden do dwóch, choć już to jest ciężko, ale wyrównanie stosunku jeden do stu czy więcej — to są utopie.

Czwarty priorytet p. Pompidou: telekomunikacje. Ten jest wymierny, techniczny, *tangible* — to już prawdziwy *target*, w sensie zbliżonym do tych, które są stale windowane na piedestał za Żelazną Kurtyną. Czy jest dobrze, trafnie wybrany? Zapewne, sieć telefoniczna wygląda we Francji opłakanie, Francja jest na ostatnim miejscu w Szóstce, nawet za Włochami, na czternastym miejscu na świecie. Z teleksem jest jeszcze gorzej, aparatów telewizyjnych Francja ma równo o 50% mniej, niż NRF czy Anglia, co sprawia, że jej pretensje do narzucenia SECAM'u czyli sytemu kolorowej telewizji, wydają się jej partnerom co najmniej nieoczekiwane. Ale dlaczego ten wybór? Załóżmy, że Francja otrzymuje, na skutek tej decyzji, sieć telefoniczną równie gęstą i równie sprawną, co Szwecja, która zajmuje pierwsze miejsce na świecie w dziedzinie telekomunikacji. Czy Francja staje się skutkiem tego krajem pokoju socjalnego, względnie czy jej siły na arenie światowej się przez to radykalnie

zmieniają? Gdzież tam! Siły Francji mogą naprawdę wzrosnąć tylko na skutek: a) zjednoczenia Europy Zachodniej, w której zawsze Francja musi odgrywać rolę większą, niż w organizacjach ogólno-światowych; b) zwiększonych wielokrotnie inwestycji przemysłowych, które by jej dały przemysł maszynowy i inwestycyjny na poziomie Niemiec lub choćby Anglii — dzisiaj przemysł niemiecki jest o 80% silniejszy od francuskiego, przemysł angielski o jakieś 50%; c) bardzo poważnej imigracji, i to europejskiej, nie kolorowej, która by dała Francji potencjał ludnościowy równy niemieckiemu, brytyjskiemu, czy włoskiemu, choć nie rosyjskiemu (na szczęście jakościowo niezmiernie zacofanemu i prymitywnemu).

Jeżeli chodzi o *targets* ilościowe, to, według mnie, Francja powinnaby wahać się między forsowaniem inwestycji wielkoprzemysłowych, w pierwszym rzędzie w energetyce, w przemyśle maszynowym, w trasporcie (kanały, autostrady, porty i koleje) a inwestycjami socjalnymi, na czele których znajdują się budownictwo mieszkaniowe i związane z nimi inwestycje urbanistyczne (métro, oczyszczanie miast, *la voirie*, walka z pollucją powietrza, *espaces verts*, szpitalnictwo, decentralizacja, domy dla starców etc.). Osobiście, po długich wahaniach, opowiedziałbym się jednak za inwestycjami socjalnymi a nie przemysłowymi. Uważam mizerię mieszkaniową we Francji za główny powód upadku moralności, notorycznej nieuprzejmości francuskiej, nerwowości ludności, istnienia partii komunistycznej, cynizmu młodzieży, bardzo słabej wydajności pracy etc. NRF zbudowała po wojnie przeszło 9 milionów mieszkań, Anglicy 5 milionów, Francuzi niecałe cztery, i francuskie mieszkania są najgorsze pod względem rozmiarów, opału, czystości, światła, wygody, konfortu etc. *Bidonvilles* są nieopisanym skandalem. Pół miliona młodych małżeństw, mieszkających *en garni*, w podejrzanych hotelikach — to są kandydaci na rozwodników i co gorzej na przestępców. Na miejscu Pompidou, czy każdego innego premiera, wołałbym od rana do wieczora: *priorité au logement*. Cytowałbym oświadczenie kardynała Faulhabera, arcybiskupa Monachium, najodważniejszego z biskupów niemieckich, który za III Rzeszy krytykował Hitlera, a po wojnie mawiał: „póki rodzice mieszkają z dorastającymi dziećmi w jednej izbie, czy te dorastające dzieci mieszkają w jednym pokoju, póty nie może być mowy o moralności, będziemy hodować samych chuliganów".

Ale wybór najlepszych *targets* nie zastąpi POLITYKI EKONOMICZNEJ, która, z planowaniem czy bez, musi być systemem zupełnie odmiennym od wyznaczania obiektów cyfrowych — *targets* — dla poszczególnych działów gospodarki narodowej. Pierwsze pytanie, które się dzisiaj powinno planistom nasuwać brzmi: czy planowanie wewnątrz poszczególnych państw narodowych jest możliwe, czy już nie? Pytanie to zadawały sobie niemieckie państwa i państewka oraz wolne miasta w XIX-tym wieku, i odpowiedź już wówczas wypadła negatywnie. Są tacy, którzy są zwolennikami mondializmu: powiadają, że tylko planowanie ogólnoświatowe może zagwarantować rozwój bez tarć, bez wojen i bez kryzysów. Osobiście wyznaję centusiowaną, drobnomieszczańską filozofię: *le mieux est l'ennemi du bien*. Stworzenie „*One World*", rządu światowego, który by wydawał jednakowe dekrety dla Chińczyków i Luksemburga wydaje mi się przedwczesne. Od Europy po Ural, która *de facto* sięgałaby do Władywostoku, wolę mniejszą Europę, która by się kończyła na wschodnich granicach państw Bałtyckich, Polski i Rumunii. Nie byłaby idealem, ale miałaby szanse, których dzisiaj nie mają ani Francja, ani Anglia, ani NRF, ani Włochy. Widzimy dzisiaj aż nadto jaskrawo, jak bardzo ambicje wojskowe i zbrojeniowe przekraczają dzisiejsze możliwości Wielkiej Brytanii i Francji. Widzimy, jak ich (Francji i W. Brytanii) połączone wysiłki w dziedzinie spacjalnej, elektronicznej, zbrojeń klasycznych, awiacji etc. zawodzą: raz po raz, choć bardzo opieszale, choć z wewnętrznym skurczem niechęci, oba „mocarstwa" europejskiego *Far West*'u są zmuszone prosić, a może nawet błagać pozostałe państwa europejskie, od NRF do Austrii, o współpracę. Planowanie ogólnoeuropejskie (to znaczy Europa minus Rosja, która sama przez się stanowi część świata i naturalną autarkiczną jednostkę) już rozwiąże znaczną część problemów, które w skali Francji czy United Kingdom są w praktyce nierozwiązalne.

Fundamentalnym problemem ekonomicznym globu, a specjalnie Europy Zachodniej, jest problem stosunku dochodu społecznego, przeznaczanego na konsumpcję i na inwestycje. Dzisiaj — niekoniecznie tak musi być zawsze — interes społeczeństwa wymaga, by proporcja wydatków na inwestycje była możliwie wysoka w stosunku do wydatków na konsumpcję indywidualną. Za 30, za 50 lat, da Bóg, ta proporcja się zmieni. Na razie sytuacja wygląda następująco (pomijając Stany, które, jak we wszystkich innych dziedzinach, są zjawiskiem *à part*, nieporównywalnym): Japonia rzekomo przeznacza aż prawie 30% swego dochodu społecznego na inwestycje, Niemcy (znowuż rzekomo) koło 25%, Francja 16 do 18%, a Anglia 14%. Nie bierzmy tych procentów *à la lettre:* są liczne dane, że te cyfry są orientacyjne i nic więcej. Ale jeżeli chodzi o *trend*, o kierunek, te cyfry są na pewno trafne. Dla Francji, dla Anglii postulatem najpierwszym jest zwiększenie frakcji dochodu społecznego, przeznaczonej na inwestycje, do rozmiarów, przyjętych w NRF czy w Japonii. Do tego, specjalnie we Francji, dochodzi drugi problem czy może problemik: jak zrobić, by te inwestycje były możliwie rentowne, i przybierały postać pieniężną, a nie tezauryzacji złota, monet, banknotów, nabywania dzieł sztuki lub terenów, lub nieruchomości, by przechodziły przez rynek pieniężny i finansowy (zakup obligacji, akcji, depozyty w bankach etc.).

Wydaje mi się, że tylko posunięcia bankowe, podatkowe i kredytowe mogą skłonić obywateli, czy to Francji czy innych krajów, do oszczędności i rozumnego inwestowania, zamiast do nadmiernej i nierozumnej konsumpcji. Wydaje mi się, że państwo, które dzisiaj jest i największym konsumentem, i najwięk-

szym inwestorem, i największym pracodawcą ma na te decyzje poszczególnych obywateli wpływ decydujący, ale nietyle przez „planowanie", ile przez swą politykę ekonomiczną, której planować niesposób, bo jest ona zależna od miliona codziennych decyzyj rządów, ministrów i rozmaitych władz. Żadne planowanie, żadne *targets*, nawet najrozumniejsze, nie zastąpią światłej i celowej polityki gospodarczej, której z góry na okresy paroletnie lub wieloletnie ustalić się nie da.

W. A. ZBYSZEWSKI

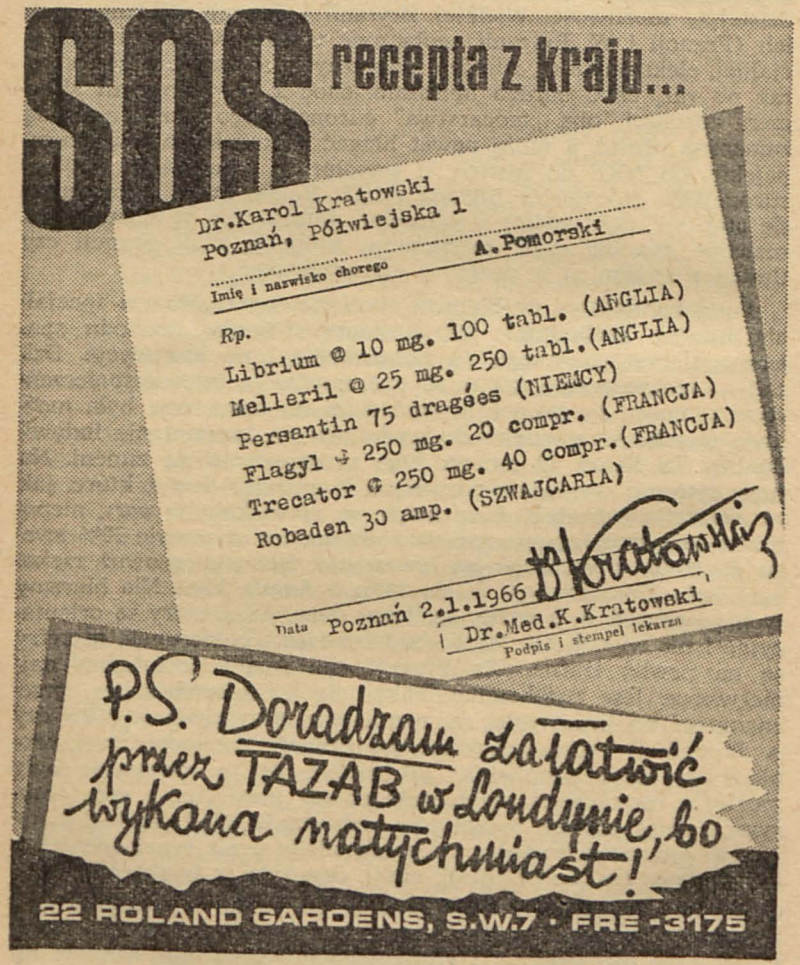

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Dokumenty

Przemówienie M. Ceausescu

(PRZEMÓWIENIE MIKOŁAJA CEAUSESCU SEKRETARZA GENERALNEGO RUMUŃSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ WYGŁOSZONE 7 MAJA 1966 ROKU NA ZGROMADZENIU DLA UCZCZENIA 45 ROCZNICY ISTNIENIA PARTII)

Drodzy Towarzysze!

Obchodzimy dziś 45 rocznicę założenia Rumuńskiej Partii Komunistycznej, wydarzenia o historycznej doniosłości w ruchu rewolucyjnym naszego kraju, które dodało nowego bodźca walce o społeczne i narodowe wyzwolenie szerokich mas ludowych, wykuwających wolną i niepodległą Rumunię. Stworzenie na bazie postępowych idej marksizmu-leninizmu, partii komunistycznej jako straży przedniej klasy pracującej, stanowi krok naprzód w rewolucyjnym i demokratycznym ruchu rumuńskim. Partia komunistyczna to wyraz urzeczywistnienia celów odwiecznej walki ludu o niepodległość kraju, walki o uformowanie narodu rumuńskiego i zjednoczonego państwa narodowego — dla przyśpieszenia postępu społecznego i uprzemysłowienia Rumunii.

Budowanie państwa

W wyniku znacznego zaostrzenia się konfliktów gospodarczych i społecznych, spowodowanego kapitalistycznym układem stosunków w produkcji, wiek XIX zaznaczył się w naszym kraju szeregiem gwałtownych rewolucyjnych wybuchów. Powstanie ludowe pod dowództwem Tudora Vladimirescu, burżuazyjno-demokratyczne rewolucje na Wołoszczyźnie, w Mołdawii i Transylwanii, zjednoczenie się Mołdawii z Wołoszczyzną w r. 1859 i utworzenie narodowego państwa rumuńskiego, reforma rolna z r. 1864, wreszcie uzyskanie niepodległości w 1877 r. prowadziły ku postępowi społecznemu i rozwinęły krajowe siły wytwórcze...

Zjednoczone państwo narodowe było odwiecznym dążeniem ludu rumuńskiego i logiczną koniecznością rozwojową społeczeństwa. Jak to już stwierdził Lenin w styczniu 1917 r., wielu Rumunów i Serbów żyło poza granicami kraju a na Bałkanach rozwój państwowości w kierunku burżuazyjno-narodowym nie był jeszcze zakończony. Z chwilą załamania się imperium habsburskiego i tryumfu Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej, która zadała potężny cios systemowi imperialistycznemu, stało się możliwe narodowe wyzwolenie naszego ludu i zakończenie procesu kształtowania się zjednoczonego rumuńskiego państwa narodowego.

Zjednoczenie państwowe Rumunii — dzięki wysiłkowi szerokich mas ludowych całego kraju — stworzyło gospodarczo-społeczne warunki do szybszego rozwoju narodowych sił wytwórczych; energia i uzdolnienia naszego ludu pobudziły postępowe siły społeczne i stworzyły rewolucyjny ruch robotniczy...

Błędy Kominternu

Jesienią 1920 r. socjaliści rumuńscy wysłali delegację do Moskwy w celu przedyskutowania sprawy przyłączenia ruchu robotniczego w naszym kraju do Międzynarodówki komunistycznej. W toku dyskusji z przedstawicielami III Międzynarodówki, członkowie delegacji rumuńskiej Gheorghe Cristescu, Constantin Popovici i Eugen Rozvani zgłosili akces do leninowskich zasad jeśli idzie o partię nowego typu, ale skrytykowali poglądy Kominternu na sytuację w Rumunii, będące wynikiem ignorancji i nieznajomości stosunków w naszym kraju. Jednocześnie sprzeciwili się wtrącaniu się Kominternu do sprawy powoływania czołowych organów Rumuńskiej Partii Komunistycznej, uważając to za wyłączną prerogatywę tejże partii.

8 maja 1921 r. odbył się w Bukareszcie kongres, który zatwierdził przekształcenie Partii Socjalistycznej w Rumuńską Partię Komunistyczną... Na kongresie przeważająca większość delegatów głosowała za stworzeniem partii komunistycznej i jej bezwarunkowym przyłączeniem się do Międzynarodówki Komunistycznej, lecz zgłosiła zastrzeżenia podkreślające jedynie fakultatywny charakter postanowień Międzynarodówki Komunistycznej w stosunku do partii członkowskich. Można więc stwierdzić, że kongres majowy z 1921 r. jednomyślnie postanowił przekształcić Partię Socjalistyczną na Rumuńską Partię Komunistyczną...

Wśród zagadnień społeczno-gospodarczych jakie z końcem wojny należało rozwiązać, problem rolniczy był najpilniejszy. Pod naporem wielkich społecznych wstrząsów i obiektywnych potrzeb gospodarczych, burżuazja w r. 1921 przeprowadziła reformę rolną, zarządzając wywłaszczenie z górą 7 milionów hektarów czyli około 66% ogółu obszarów ziemi, pozostającej w rękach właścicieli majątków. Reforma rolna z roku 1921 osłabiła siłę gospodarczą wielkich obszarników i umniejszyła rolę odgrywaną

przez tę klasę w życiu polityczno-społecznym. Jednocześnie po wsiach wzrastał podział na warstwy wśród włościan. Wzmagały się sprzeczności społeczno-gospodarcze. Rosła gospodarcza rola wielkiej burżuazji...

Prowadząc działalność w warunkach nielegalności, partia komunistyczna przeplatała prace jawne podziemnymi... Czyniono wysiłki w kierunku skonsolidowania organizacyjnego i wzmocnienia więzów partyjnych z szerokimi masami. Był to jednak proces trudny: na przeszkodzie stało ideologiczne dziedzictwo po dawnym ruchu socjalistycznym jak również to, że warunki w jakich partia zmuszona była działać uniemożliwiały szeroko zakrojone i zasadnicze dyskusje w ramach partii na temat społeczno-gospodarczych zagadnień dotyczących rozwoju Rumunii. Do tego dodać należy ujemne skutki praktyk kominternowskich, wyrażających się w narzucaniu partii kadr kierowniczych, wśród nich i sekretarzy generalnych, spośród osobistości zagranicznych, nie orientujących się w życiu i zainteresowaniach ludu rumuńskiego. Starsi działacze partyjni przypominają sobie, że sekretarzami generalnymi Komitetu Centralnego Rumuńskiej Partii Komunistycznej, mianowanowanymi na IV i V Zjeździe, byli dwaj aktywiści innych partii komunistycznych. Jeśli dodamy, że i inni przywódcy naszej partii należeli do osób nie mieszkających w Rumunii i nie znających warunków społeczno-politycznych kraju, możemy zdać sobie sprawę ile szkód wyrządziła tego rodzaju praktyka walce rewolucyjnej, prowadzonej w naszym kraju.

Bałagan komunistyczny

Istniejące w tym czasie w ruchu robotniczym ideologiczne pomieszanie pojęć, obecność w partii różnych elementów karierowiczowskich, drobnoburżuazyjnych oraz wyżej opisane praktyki doprowadziły w r. 1929 do starć frakcyjnych, które nie tylko poważnie zdezorganizowały działalność partii, ale nieomal nie spowodowały jej likwidacji i to właśnie w okresie ofensywy kapitalistycznej przeciw masom ludowym i w przeddzień wielkich walk klasowych...

Konieczne jest przypomnienie, że na V Zjeździe Partii Komunistycznej w r. 1931 stwierdzono, że ciągle wyciąga się błędne wnioski i źle interpretuje się doniosłe zagadnienia, dotyczące generalnej partyjnej linii politycznej, strategii i taktyki, oraz takich spraw jak zagadnienie chłopskie, problem narodowy i inne. Mimo że w kraju naszym włościaństwo posiada wielką wagę społeczną i rozwiązanie problemu rolnictwa w drodze wywłaszczenia ziemi i przyznania jej chłopom było decydujące dla ostatecznego przeprowadzenia burżuazyjno-demokratycznej rewolucji i przejścia do rewolucji socjalistycznej — przez długi okres czasu dominował w partii fałszywy slogan unarodowienia ziemi i kolektywizacji rolnej — poprzez formułkę współwłasności wioskowej w warunkach burżuazyjno-obszarniczego reżymu. V Zjazd porzucił

te błędne tezy i wysunął prawidłowy slogan: wywłaszczenie majątków wielkich obszarników i rozdział odebranej ziemi między chłopów.

W tymże czasie nie dało się całkowicie sprecyzować stanowiska partii wobec warstw włościańskich w okresie przejściowym. Przyjmowano jedynie w sposób mechaniczny slogany, odpowiednie dla innych krajów i innych warunków. Spowodowało to, że Partia nie mogła prowadzić szerszej akcji celem zdobycia większego wpływu politycznego na masy chłopskie i doprowadzenia do sojuszu robotniczo-chłopskiego.

W partii istniały wówczas błędne poglądy, dotyczące niektórych innych partii i ugrupowań politycznych w kraju. Pogląd jakoby zarówno Partia Socjal-Demokratyczna jak i Niezależna Partia Socjalistyczna (w których działalności bez wątpienia przejawiały się zarówno idee reformistyczne jak i błędne praktyki) były agenturami klas panujących — szkodziły sprawie utworzenia jednolitego frontu robotniczego. Tego rodzaju sekciarski pogląd przejawił się też w stosunku do lewego demokratycznego skrzydła pewnych partii burżuazyjnych, które określono w sposób dyskryminacyjny jako faszystowskie lub z faszyzmem sympatyzujące. Przeszkodziło to Partii Komunistycznej przez pewien czas obiektywnie oceniać grę sił na scenie politycznej i koncentrować walkę przeciw czołowym klikom reakcyjnym burżuazyjno-obszarniczych partii (zwłaszcza przeciw szerzącym się organizacjom faszystowskim).

Ideał narodu-państwa

W świetle licznych dokumentów, uchwał i postanowień III, IV i V Zjazdu, Rumunię błędnie uważano za typowe wielo-narodowe państwo, stworzone poprzez anektowanie obcych terenów. Dokumenty te nie rozumiejąc procesu formowania się państwa narodowego podkreślają potrzebę stałej, wytężonej działalności w kierunku tzw. uwalniania ciemiężonych ludów na terenach okupowanych przez imperializm rumuński na zasadzie prawa narodów do samostanowienia, co wiodłoby do ich całkowitego odseparowania się od istniejącego państwa.

Wprowadzenie do dokumentów partyjnych sloganu o samostanowieniu posuniętym aż do wyodrębnienia się ze zjednoczonego państwa, jak również skierowanie do Partii instrukcji, zalecających walkę o oderwanie od Rumunii pewnych terytoriów, zamieszkałych w przeważającej większości przez Rumunów — nie brało pod uwagę konkretnej właściwości Rumunii, mianowicie faktu, że jest ona państwem zjednoczonym. Był to niewątpliwy błąd, który spowodowałby rozbiór państwa narodowego i rozpad ludu rumuńskiego. Teorie naukowe marksizmu-leninizmu proklamują prawo ludu do samostanowienia nie w sensie rozbijania istniejących państw narodowych, lecz odwrotnie — w kierunku wyzwalania ludów uciśnionych i konstytuowania się ich jako suwerennych państw narodowych — zgodnie z wolą szerokich mas ludowych. Te błędne opinie i slogany uznane zostały za niewłaściwe w latach następnych. Dokumenty partyjne z lat 1938-39 mówią o konieczności obrony jedności narodowej oraz niepodległości i suwerenności ojczyzny.

Błędne tezy i slogany znajdujące się w dokumentach partyjnych pewnego okresu, były wynikiem niedokładnej analizy historii ludu rumuńskiego, jego gospodarczo-społecznego rozwoju oraz gry sił politycznych naszego kraju. Wynikały one przede wszystkim z mechanicznego przyjęcia pewnych tez, naszkicowanych zagranicą...

Niekorzystne skutki tych praktyk i metod, świadczą o olbrzymim znaczeniu, jakie dla walki rewolucyjnej posiada poszanowanie prawa każdej partii do niezależnego kształtowania swej polityki, gdyż tylko dana partia posiada znajomość realnych warunków poszczególnego kraju i może obiektywnie ustalać polityczne zadania na każdym etapie.

Zwalczanie faszyzmu

Wiele osobistości politycznych — demokraci i przedstawiciele postępowej inteligencji — niepokoiło się wzmożoną akcją legionistów (Żelazna Gwardia) i niebezpieczeństwem zaprzedania kraju faszystowskiemu niemieckiemu imperializmowi. Szereg polityków, jak Nicolae Titulescu, Nicolae Iorga, Grigore Iunian, Virgil Madgearu, Dem. Dobrescu, Grigore Filipescu i inni, występowało przeciw agresywnej ekspansji nazistowskich Niemiec i oczywistym, zakulisowym machinacjom faszystowskim. Opowiadali się oni za współpracą z innymi państwami i wzmacnianiem obronności kraju.

Rumunia podpisała wówczas konwencję o definicji agresora, nawiązała stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Radzieckim i przedsięwzięła szereg środków w kierunku wzmocnienia współpracy z innymi krajami w ramach Małej Ententy i Porozumienia Bałkańskiego. Przyczyniła się również do opracowania projektu traktatu rumuńsko-radzieckiego, mającego na celu wzajemną pomoc między obu państwami w wypadku agresji przeciw jednemu z nich — wszystko to na podstawie wzajemnego poszanowania niepodległości i suwerenności tych państw...

Lud rumuński walczył w najbardziej zdecydowany sposób przeciw faszyzmowi i zagrożeniu nazistowskiemu, w obronie demokracji i narodowej niepodległości. Bohaterska walka, prowadzona w tych latach przez Partię Komunistyczną na czele klasy robotniczej i kół postępowych, przyczyniła się do ocalenia demokracji i niepodległości kraju. Zdecydowana postawa niektórych przywódców klas panujących powstrzymała na pewien czas dążenie do władzy organizacji faszystowskiej i podporządkowanie kraju nazistowskim Niemcom...

W marcu 1939 r., po zajęciu przez Niemców Czechosłowacji, lud rumuński był gotów dopomóc ludowi czechosłowackiemu i przeciwstawić się zbrojnie ekspansji nazistowskich napastników. Gdy rząd ogłosił częściową mobilizację, Partia Komunistyczna zleciła swym członkom i sympatykom stawić się w oddziałach wojskowych i spełnić obowiązek wobec ojczyzny. Jesienią tegoż roku wojsko polskie i polska ludność cywilna, które wskutek najazdu niemieckiego schroniły się w Rumunii, korzystały z gorącego przyjęcia i pomocy ze strony naszego ludu.

Wzrost nasilenia ruchu antyfaszystowskiego w Rumunii wyrażał się w wielkich demonstracjach w dniu 1 maja 1939 r., będących wyrazem opozycji naszego ludu w stosunku do faszystowskich Niemiec, umiłowania wolności i determinacji w obronie niepodległości kraju. W Bukareszcie z górą 20 tysięcy obywateli demonstrowało na ulicach przeciw Niemcom i złożyło wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. Podobne manifestacje odbyły się w Cluj i Jassach. W tym samym czasie znaczne ugrupowania burżuazyjne, pewne koła finansowe skupiające się wokół Banku Narodowego i przywódcy partii burżuazyjnych zdając sobie sprawę z katastrofy grożącej Rumunii wypowiedzieli się przeciw niemożliwym do przyjęcia klauzulom narzuconego przez Niemcy traktatu gospodarczego...

Radziecko-komunistyczne dyrektywy

W tej atmosferze ogólnego podniecenia, w chwili gdy Niemcy zaatakowali i podbili szereg krajów europejskich, dyrektywy Kominternu z r. 1940 kierowane do Rumuńskiej Partii Komunistycznej — zamiast uznania słuszności walki przeciw hitleryzmowi i wezwania do jej wzmożenia — wypowiadały się krytycznie o komunistach rumuńskich, o ich działalności skierowanej przeciw napastnikom niemieckim a w obronie niepodległości ojczyzny. Wbrew oczywistym faktom dyrektywy Kominternu głosiły — cytuję dosłownie: „Niemcy i Włochy nie chcą w obecnym stadium wciągnąć do wojny krajów bałkańskich. Życzą sobie, by kraje te zwiększyły produkcję pszenicy, nafty i innych potrzebnych im surowców. Jedynie podżegacze wojenni, angielscy i francuscy imperialiści, chcą ograniczyć produkcję w tych krajach i ich handel z Niemcami. To one zmierzają wszelkimi środkami do utworzenia na Bałkanach frontu przeciw Włochom, by z boku zaatakować Niemcy".

Ustawiając w sposób arbitralny faszystowskie Niemcy po stronie Związku Radzieckiego, dyrektywy Kominternu stwierdzają, że „zadaniem ludu rumuńskiego i klasy robotniczej jest niedopuszczenie do przekształcenia Rumunii w angielsko-francuski przyczółek mostowy w wojnie przeciw Niemcom i ZSSR". Zażądano odwołania hasła obrony granic, przy pomocy którego Partia chciała zdobyć poparcie elementów patriotycznych, a który

uznano za kontynuację polityki zbliżenia z Anglią i Francją i wspierania wojny przeciw Niemcom i ZSSR.

Dyrektywy te, sprzeczne z polityczną linią i koniecznością walki przeciw faszyzmowi i hitlerowskiej agresji, wywołały głębokie zamieszanie i dezorientację w partii i na pewien czas zahamowały jej działalność, stwarzając niebezpieczeństwo odstręczenia od Partii szerokich sfer społecznych i różnych ugrupowań politycznych. Miały one poważne reperkusje jeśli chodzi o wysiłki w kierunku jednoczenia ludu przeciw faszystowskiej i niemieckiej agresji.

Jak wiadomo dyktat wiedeński został narzucony Rumunii w sierpniu 1940 r. Zgodnie z nim północna część Transylwanii została zrabowana i oddana faszystowskim Węgrom. Partia Komunistyczna, liczne koła polityczne... i inne demokratyczne i patriotyczne organizacje oraz ugrupowania wojskowe opowiedziały się przeciwko dyktatowi, organizowały burzliwe demonstracje w licznych ośrodkach kraju i domagały się chwycenia za broń w obronie całości i suwerenności ojczyzny. Ta ponura w losach kraju chwila zastała lud rumuński osamotniony, bez żadnego poparcia z zewnątrz, porzucony przez wszystkie mocarstwa europejskie. Rumunię zmuszono do przyjęcia niesłusznych warunków dyktatu wiedeńskiego i zostawiono na łasce Niemiec. Wkrótce potem w kraju naszym zapanowała wojskowo-faszystowska dyktatura. Okupacyjne wojska niemieckie weszły do Rumunii, którą zmuszono do wojny przeciwradzieckiej...

Ruch oporu przeciw faszystowskiej dyktaturze i hitlerowskim Niemcom objął szerokie kręgi, m.in. osoby należące do partii burżuazyjnych i sfer Pałacu Królewskiego, które były w opozycji do okupacji niemieckiej i protestowały przeciw grabieży kraju przez hitlerowców. Przedstawiciele Niemiec w Rumunii zmuszeni byli do zwalczania silnej antyniemieckiej opozycji, skupiającej się wokół Banku Narodowego i burżuazyjnych właścicieli przemysłu naftowego oraz kopalni i fabryk metalurgicznych. W październiku 1943 r. gospodarczy przedstawiciel hitleryzmu w Rumunii, Clodius, zakomunikował rządowi berlińskiemu w związku z żądaniem zwiększenia rumuńskich transportów nafty do Niemiec: „Moje powtarzające się wysiłki w kierunku skłonienia rządu rumuńskiego do zmiany stanowiska okazały się bezskuteczne. Gubernator Banku Narodowego niezmiennie odmawia i mówi że zgodnie ze stanowiskiem całej dyrekcji Banku podałby się do dymisji nawet w wypadku, gdyby żądania niemieckie w części tylko były zaspokojone"...

W rozlicznych listach, memoriałach i protestach, kierowanych do rządu Antonescu przez wybitnych Rumunów, znajdujemy słowa opozycji przeciw wojnie hitlerowskiej i okupacji niemieckiej. Memoriał skierowany do Antonescu w kwietniu 1944 r. przez 66 uczonych, członków Akademii Rumuńskiej i profesorów uniwersytetów w Bukareszcie, Jassach i Cluj stwierdza — cytuję dosłownie: „Całkowita katastrofa zagraża istnieniu narodu. Życiowe interesy naszego państwa i ludności wymagają natychmias-

towego zaprzestania wojny, bez względu na trudności połączone z tym krokiem. Ofiary jakie Rumunia może ponieść będą bez porównania lżejsze i mniej bolesne niż dalsze prowadzenie wojny".

Głęboko zakorzeniona nienawiść szerokich mas do Niemców i groza wojenna znajdowały także wyraz w broszurkach i artykułach, ogłaszanych w ówczesnej prasie przez wielu przedstawicieli sfer kulturalnych, ujawniając niezadowolenie i zrewoltowanie mas robotniczych, żołnierzy i oficerów. Wielu żołnierzy odmawiało pójścia na front i zdarzały się masowe dezercje. Korpus oficerski, patriotyczni generałowie i oficerowie, otwarcie przeciwstawiali się hitlerowcom i dyktaturze Antonescu. Wszystko to świadczy, że szerokie masy należące do wszystkich warstw społecznych, były wyraźnie antyfaszystowskie i dążyły do obalenia wojskowej dyktatury i panowania nazistowskich Niemiec...

W nocy z 23 na 24 sierpnia 1944 r. armia i inne patriotyczne oddziały przystąpiły do rozbrojenia niemieckich jednostek wojskowych. Po ciężkich walkach stolica i większa część terytorium kraju zostały oswobodzone. Nowa era rozpoczęła się w historii naszego kraju. Otworem stanęła droga do wyzwolenia ludu rumuńskiego i postępu społecznego. Rumunia skierowała broń przeciw Niemcom i przyłączyła się do koalicji antyhitlerowskiej. Użyła wszystkich sił wojskowych i gospodarczych by przyczynić się do ostatecznego pogromu nazistowskich Niemiec. Ramię przy ramieniu z Armią Radziecką walczyła Armia Rumuńska, by zmiażdżyć i przepędzić bez reszty oddziały hitlerowskie z całego terytorium państwa i poza jego granicami, uczestnicząc czynnie w oswobodzeniu Węgier i Czechosłowacji aż do ostatecznego pogromu faszyzmu i zwycięskiego zakończenia wojny w Europie...

Wspólna ojczyzna

Towarzysze! W ciągu 45 lat istnienia partia nasza walczyła z determinacją przeciw wszelkiego rodzaju narodowej dyskryminacji. Wypowiadała się stale za polityką wzmacniania jedności całego ludu roboczego, niezależnie od jego narodowości. Rozgromienie klas wyzyskiwaczy usunęło przyczyny stwarzające nienawiść narodową i podział sił ludu pracującego. W latach socjalistycznego budownictwa przy stosowaniu marksistowsko-leninowskiej polityki narodowej, stale wzrastała braterska przyjaźń między pracującym ludem rumuńskim i innymi narodowościami.

Społeczność socjalistyczna stworzyła realną wspólnotę interesów wszystkich obywateli, niezależnie od narodowości czy rasy, i zapewniła im równe prawa i możliwości. W braterskiej solidarności lud rumuński i inne narodowości tworzą wielką rodzinę socjalistyczną i, ożywione gorącym patriotyzmem, pracują ramię przy ramieniu dla rozkwitu i postępu wspólnej ojczyzny, socjalistycznej Rumunii. Przemiany, jakie od chwili wyzwolenia nastąpiły w życiu gospodarczym i społecznej strukturze kraju

oraz zwycięstwo socjalizmu w miastach i wsiach, stworzyły warunki do pełnego wykazania narodowych cech ludu rumuńskiego oraz rozwoju i rozkwitu naszego socjalistycznego narodu.

W ostatnich czasach pewna ilość teoretyków usiłowała lansować teorię, że narody to w historii przestarzałe pojęcie, które w dzisiejszych czasach nie może odgrywać doniosłej roli w rozwoju społeczeństwa. Historia jednak uczy, że pojawienie się narodu jako wspólnoty ludzkiej i rozwój narodowego życia ludu są podstawą procesu społecznego, niezbędnym i koniecznym stadium w ewolucji wszystkich ludów. Uformowany w warunkach kapitalistycznych naród, od samego początku wywierał potężny wpływ na postęp gospodarczo-społeczny i awans społeczny ludu. Marks powiedział, że nie można kasować okresów rzeczywiście niezbędnych dla rozwoju społecznego, co najwyżej można je skrócić. Życie uczy, że przechodzenie do porządku nad tym faktem i usiłowanie ominięcia stadium formowania się narodu lub stawianie przeszkód temu stadium, może przynieść poważne szkody interesom ludu i pokojowi światowemu. Marksistowsko-leninowska analiza sytuacji istniejącej we współczesnym świecie wykazuje, że równorzędnie ze starymi narodami, istniejącymi od dawna, i które osiągnęły gospodarczą i duchową dojrzałość, jest szereg młodych narodów w trakcie formowania się, które mają jeszcze do przebycia długą drogę zanim osiągną pełny rozkwit, a które odgrywają i będą odgrywać coraz większą rolę w życiu międzynarodowym. Zadanie stojące przed komunistami i patriotami w tych krajach polega na tym, by dając wyraz woli i aspiracjom wolnościowym i niepodległościowym mas ludowych, jednoczyli wszystkie siły w celu zwiększenia materialnego i ludzkiego potencjału swych krajów i stopniowego rozwoju społeczeństwa i wzmocnienia narodu.

Ludy, które w ciągu wieków walczyły o zrzucenie obcego jarzma, a dziś zakosztowały wolności i niepodległości narodowej i korzystają z prawa decydowania o swym losie i o przyszłości ojczyzny, nie mogą wyzbyć się tych świętych prerogatyw, zapewniających im posuwanie się ku sprawiedliwszemu systemowi cywilizacji. Sukcesy osiągnięte w toku umacniania gospodarczej i politycznej niezależności tych państw mobilizują wszystkie ludy, wciąż cierpiące pod kolonialnym panowaniem, mobilizują je do walki o zrzucenie obcego jarzma i zdobycie niepodległości narodowej.

Wiadomo, że mimo wszelkiego rodzaju przeszkód i obcych okupacji, ciemiężone ludy nie przestają walczyć o wyzwolenie i nie szczędzą żadnych ofiar, by przepędzić obcego najeźdźcę i przekształcić się w niepodległy naród, zdolny do kroczenia drogą wolnego i niezależnego rozwoju. Tryumf naszego kraju stanowi tu wymowny przykład. Wołoszczyzna, Mołdawia, Transylwania przez wiele stuleci znajdowały się pod obcym panowaniem. Cały ten bardzo długi okres nacechowany był grabieżą, stosowaną przez krajowych bogaczy, ruiną gospodarczą i niszczeniem niezliczonych materialnych i duchowych dóbr. Wszystko to przez

czas dłuższy hamowało produkcyjne i społeczne siły oraz rozwój narodowy i sprawiało, że Rumunia zostawała w tyle za innymi krajami o przeszło 100 lat. Tym niemniej obcemu panowaniu nie udało się zdusić w masach pragnienia wolności i dążenia do zjednoczenia. Trudności i cierpienia sprawiły jedynie że płomień walki o zjednoczenie narodowe jarzył się jaśniej i wzmacniał uczucia patriotyzmu i godności narodowej...

Socjalizm przewodzi procesowi rozwoju narodowego, rozpoczętemu w epoce burżuazyjnej i stwarza warunki niezbędne do pełnego wykorzystania przez lud życia narodowego. Rewolucja socjalistyczna, tworzenie nowego ładu wyzwalają wszystkie talenty twórcze ludu i w życiu każdego kraju stanowią moment przebudzenia się i potężnego utwierdzenia patriotycznych uczuć. Slogan o wielostronnym wzmacnianiu się ojczyzny socjalistycznej, sformułowany przez Partię Komunistyczną, mobilizuje siły ludu roboczego i stanowi ważny czynnik w marszu ku przyszłości. Bez wątpienia długo jeszcze naród będzie stanowił podwalinę rozwoju naszego społeczeństwa, w całym okresie budowania socjalizmu i komunizmu.

Usiłowanie przedstawiania socjalistycznego narodu, socjalistycznej ojczyzny, jako przeciwieństwa internacjonalizmu socjalistycznego jest głęboko niesłuszne i nienaukowe. Usuwając antagonizmy między narodami oraz przyczyny panowania jednych ludów nad innymi, socjalizm stworzył obiektywne podstawy zbliżenia i współpracy między państwami i możliwość łączenia narodowych i międzynarodowych interesów wszystkich ludów.

Współpraca między socjalistycznymi narodami, równoprawnymi, suwerennymi i niepodległymi, wielostronnie rozwijającymi się w dziedzinach gospodarczej, naukowej i kulturalnej, przyczynia się do zapewnienia postępu w każdym kraju i zwiększa wpływ socjalizmu w całym świecie. Stałe wzmacnianie się każdego z socjalistycznych narodów nie tylko nie jest sprzeczne z interesami internacjonalizmu socjalistycznego, lecz odwrotnie — w pełni odpowiada interesom klasy robotniczej w świecie i walce powszechniej o tryumf socjalizmu i pokój światowy...

Nowy system komunistyczny

W czasie skomplikowanej akcji, zmierzającej do zbudowania nowego systemu socjalistycznego — nastały nowe stosunki między socjalistycznymi krajami, stosunki równości i wzajemnej braterskiej pomocy. Stosunki te ustanowione między państwami, po raz pierwszy w dziejach, są stale poszerzane i udoskonalane. Jest rzeczą możliwą, że w ramach tego procesu zaistnieją wśród krajów socjalistycznych różne punkty widzenia na niektóre problemy współpracy, czy inna będzie interpretacja spraw związanych z rozwojem społeczeństwa i sytuacją międzynarodową. Nie może to jednak szkodzić stosunkom między socjalistycznymi krajami, opartym na tych samych podstawowych celach,

takim samym systemie społecznym i na zasadach równouprawnienia, niewtrącania się do spraw wewnętrznych, poszanowania niepodległości i suwerenności narodowej, na wzajemnej korzyści i braterskiej współpracy...

Ogromna różnorodność sytuacyj, istniejących w życiu i walce dziewięćdziesięciu z górą partii komunistycznych, istniejących obecnie na świecie, wyłącza możliwość działalności kierowanej z jakiegoś międzynarodowego ośrodka. Jeszcze w roku 1942, z okazji powzięcia decyzji o rozwiązaniu Kominternu — w obecności również i naszej partii — prezydium Komitetu Centralnego Międzynarodówki Komunistycznej stwierdziło: „Rozwiązywanie zagadnień ruchu robotniczego w każdym kraju z osobna, napotykałoby, w razie załatwiania tego przez jeden międzynarodowy ośrodek, wszystko jedno jaki — na trudności nie do przezwyciężenia. Głębokie różnice między historycznymi drogami rozwojowymi różnych krajów, różne, sprzeczne nawet cechy ich systemów społecznych, oraz różnice poziomów ich społecznego, politycznego i gospodarczego rozwoju, wreszcie różne stopnie rozwoju świadomości i organizacji klasy robotniczej — sprawiają, że przed robotnikami w różnych krajach stają odmienne zagadnienia".

Próba utworzenia nowego ośrodka w postaci Kominformu, który uzurpował nawet sobie prawo wykluczania tej czy innej partii z międzynarodowego ruchu komunistycznego, przyniosła szkodę krajom komunistycznym i interesom klasy robotniczej w różnych krajach. Tak więc zaprzestanie działalności Kominformu stało się koniecznością, narzuconą przez życie oraz przez gospodarcze i społeczno-polityczne potrzeby partii komunistycznych.

Życie uczy, że nikt nie może znać lepiej rzeczywistości gospodarczej, gry sił politycznych oraz ich układu w takim czy innym kraju, wewnętrznych i zewnętrznych sytuacji politycznych i ewolucji tego kraju, niż partia komunistyczna, niż rewolucyjne i patriotyczne siły poszczególnego kraju. Oto dlaczego wyłącznie one mają prawo wytyczać linię polityczną, rewolucyjną strategię i taktykę klasy robotniczej oraz metody walki — poprzez stosowanie ogólnych prawd nauki marksistowsko-leninowskiej. Prawo to nie może ulegać dyskusji: każda partia komunistyczna jest odpowiedzialna wobec klasy robotniczej do jakiej należy, wobec ludu jako całości.

Wielkie zmiany gospodarcze i społeczne nastąpiły we współczesnym świecie. Zrozumienie tych zmian i obiektywnych, rządzących nimi praw oraz wyprowadzenie z tego prawidłowych politycznych wniosków, wymaga głębokiej, naukowej analizy wydarzeń. Nie można tego dokazać w drodze mechanicznych porównań z sytuacjami, istniejącymi w czasach sprzed 50 czy 60 lat, lub przy pomocy wyłącznego cytowania klasyków. Taki sposób podchodzenia do zagadnień stanowi jedynie przeszkodę w rozwoju myśli marksistowsko-leninowskiej. Poza tym nikt poważnie nie może przypisywać sobie prawa czy kompetencji wyłącznego interpretowania zjawisk społecznych... Studiując realia życia społecznego danego kraju, wziąwszy pod uwagę obiektywne prawa

i wyciągając nauki z własnego doświadczenia i doświadczeń innych partii — każda partia może przyczynić się do trwałego wzbogacenia wspólnego skarbca nauk marksistowsko-leninowskich. Inny punkt widzenia na niektóre zagadnienia współczesnego rozwoju społecznego nie może jednak zaszkodzić stosunkom między komunistycznymi i robotniczymi partiami... Dyskutowanie rozmaitych problemów między partiami, między kierownictwami, może stworzyć trwałą podstawę konsolidowania jedności komunistycznego i robotniczego ruchu. Decydujące znaczenie posiada tu poszanowanie podstawowych stosunków między partiami, zasad niepodległości, równouprawnienia, niewtrącania się w sprawy wewnętrzne i sprawy proletariackiego internacjonalizmu...

Rumunia rozbudowuje współpracę ze wszystkimi krajami, bez względu na ich system społeczny, uważając że jednym ze sposobów wzmocnienia zaufania między narodami jest właśnie nawiązanie ścisłych stosunków gospodarczych, kulturalnych, naukowych i politycznych z Francją, Włochami, Anglią, Austrią i innymi krajami. Pragnę zwłaszcza podkreślić istniejące obecnie możliwości rozwoju stosunków gospodarczych, kulturalnych i naukowych między Rumunią i Francją, które związane są odległymi tradycjami przyjaźni i współpracy. Odpowiada to, co potwierdziła niedawna wizyta w Rumunii francuskiego ministra spraw zagranicznych — zarówno życzeniom i interesom rumuńskiego i francuskiego ludu jak i ogólnej sprawie pokoju i międzynarodowej współpracy. W ostatnich czasach ożywiły się nasze stosunki z państwami Europy północnej i innymi krajami zachodniej części kontynentu. Jesteśmy zdania, że istnieją pomyślne perspektywy rozszerzenia i urozmaicenia tych stosunków. Trzeba zaznaczyć, że osiągnięto postęp w stosunkach gospodarczych z Federalną Republiką Niemiecką, które mogłyby rozwijać się i w innych dziedzinach, gdyby Zachodnie Niemcy wykazywały bardziej realistyczne podejście do dzisiejszej sytuacji międzynarodowej. Pragnę też wspomnieć o naszych stosunkach ekonomicznych ze Stanami Zjednoczonymi. Mogłyby być one bardziej ożywione, a jeżeli rozwijają się powoli, to nie dlatego, że Rumunia się przed nimi wzdraga...

Bloki wojskowe i istnienie baz wojskowych na terytorium obcych państw stanowią jedną z barier na drodze do współpracy między ludami. Istnienie bloków oraz wysyłanie wojsk do cudzych krajów jest anachronizmem, sprzecznym z niepodległością i narodową suwerennością ludów i z normalnymi stosunkami międzypaństwowymi.

Coraz szersze koła opinii publicznej i rosnąca liczba państw wykazują tendencję — która ostatnio coraz bardziej się umacnia — w kierunku likwidowania obcych baz i wycofywania wojsk z terytoriów innych państw. Spełnienie tego gorącego życzenia ludów świata miałoby doniosłe znaczenie i stanowiło potężny bodziec dla rozwoju zaufania między narodami, dla odprężenia sytuacji międzynarodowej i konsolidacji pokoju światowego...

Kronika kulturalna

Amerykański Zagłoba o Mickiewiczu

Jednorazowy gubernator Kalifornii Newton Booth należał do ludzi o wszechstronnych zainteresowaniach. Nie ograniczając się do działalności prawniczej i politycznej, która w końcu przyniosła mu senatorskie krzesło w Waszyngtonie, był on zarówno zdolnym i energicznym przedsiębiorcą jak i żywym podróżnikiem, w Europie czując się równie swobodnie jak w swym „ogrodzie Hesperyd" — takim to bowiem mianem lubił określać Kalifornię współczesny mu Sienkiewicz. Miał przecież Booth jedną specjalną cechę wyróżniającą go spośród legionu lokalnych polityków dziewiętnastego stulecia: lubił mianowicie zabawiać się piórem.

Zachowane w druku przemówienia Bootha* zawierają u końca tomu dodatek dość niezwykły jak na puściznę zawodowego polityka. Jest to skromny wybór jego utworów literackich drukowanych uprzednio w różnych czasopismach i gazetach. W utworach tych występują pod własnymi nazwiskami lub przejrzystymi pseudonimami bliscy przyjaciele czy też ludzie z najbliższego otoczenia pisarza, tworzący barwną mieszaninę typów i postaci tak charakterystyczną dla Kalifornii, począwszy od połowy ubiegłego wieku aż po nasze czasy. Nie może wśród nich, rzecz jasna, zabraknąć Polaków, którzy choć niewielką odegrali rolę w dziejach zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, umieli jednak kilkoma choćby nazwiskami zapisać się w nich na stałe. Mieczysław Haiman wśród swych „polskich pionierów Kalifornii" wymienia ich sporo, wiek zaś dwudziesty zdaje się potwierdzać słowa Modrzejewskiej o tych, którzy poszliby jeszcze dalej gdyby nie powstrzymały ich wody Oceanu Spokojnego.

---

* *Newton Booth of California. His Speaches and Addresses.* Edited with introduction and notes by Lauren E. Crane, New York-London, G. P. Putnam's Sons, 1894. Tłumaczenie za zezwoleniem wydawcy.

Wśród bliskich przyjaciół Bootha czasów jego gubernatorskiej kadencji znajdował się kapitan Rudolf Korwin-Piotrowski, postać ze wszech miar na uwagę zasługująca, jeśliby nawet jedynym powodem miało być użycie jej przez Sienkiewicza jako bohatera opowieści „Przez stepy" a później prototypu Zagłoby. Helena Modrzejewska dość szeroko rozpisuje się o nim w swych wspomnieniach wielokrotnie przedrukowywanych i tłumaczonych, nie warto więc by było do zbieżności owej powracać, gdyby nie jedno z opowiadań Bootha, które w ciekawy sposób podobieństwo między Piotrowskim a Zagłobą potwierdza. Co więcej rzuca ono ciekawe światło zarówno na sposób myślenia i styl Piotrowskiego, jak i na niezwykłą rolę kulturalną polskiego szlachcica w Kalifornii lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Opowiadanie, napisane w sierpniu 1869 r., zatytułowane jest *After Dark*, a więc „O zmroku", czy „O zmierzchu". Tematem opowieści jest przyjacielska pogawędka o spirytyzmie i nadprzyrodzonych zjawiskach, problemach, które pisarzy całego zachodniego świata ówcześnie fascynowały, sięgając aż po naszego Reymonta. Opowieść jednak rozłamuje się wyraźnie na dwie luźno związane wzajemnie części, dając świadectwo niezbyt wysokiemu kunsztowi kompozycyjnemu autora. W pogawędce z dwoma kompanionami, z których pierwszy zwie się Don Mateo, drugi zaś po prostu nazwany jest Kapitanem, narrator, w którym podejrzewać musimy samego pana gubernatora, usiłuje wyjaśnić dość zawiły problem pojawiania się szatana wcielonego, który właśnie narobił sporo zamieszania w miejscowości Stockton, ciskając spluwaczką w kościelnego sługę podczas sprawowania służby bożej.

Sceptycyzmowi narratora i Kapitana przeciwstawia się Don Mateo. Na dowód istnienia sił nadprzyrodzonych przytacza dość łzawą historyjkę ubogiej dziewczynki, która nie tylko zdołała przepowiedzieć swą własną śmierć, lecz postarała się nawet uwiadomić o niej swych przyjaciół, pojawiając się im w momencie zgonu na drugim końcu Ameryki. Toteż gdy z kolei głos zabiera Kapitan oczekiwać by należało, iż przeciwstawi się on teorii Dona argumentami potwierdzającymi sceptycyzm uwag wtrącanych na początku opowiadania. Tymczasem sarmacki rozmówca rozpoczyna od próby wyjaśnienia teorii mesmeryzmu i wywierania niewyjaśnionego wpływu na otoczenie, tą okrężną drogą zmierzając do opowiedzenia historii Mickiewicza i Towiańskiego, znanej mu, jak to zresztą jasno z opowiadania wynika, z drugiej tylko ręki. Że wpływ ten wiązano z teorią mesmeryzmu wiemy dobrze — sam Mickiewicz w liście do Skrzyneckiego (23. III. 1842) mniemanie to próbował obalić.

Przydługi wstęp mający słuchaczy do historii tej przygotować stanowi zabawną mieszaninę osobistych wspomnień z sądami ogólnie znanymi, postaci zaś Szopena i George Sand nadają mu posmaczku salonowej plotki i z tezą opowiadającego nie bardzo się wiążą. Toteż słuchając opowiadania z rzadka przerywanego pytaniami narratora odnosimy wrażenie, że obaj panowie czarują się wzajemnie — narrator znajomością europejskiej kultury, Kapitan zaś dawnymi koneksjami wśród wielkich tego świata.

Napisał kiedyś współczesny Piotrowskiemu E. Brodowski, że gdy kapitan wpadał w ferwor, to „tak łgał, że aż się kurzyło". Toteż mimo że autentyzm opowieści Kapitana nie ulega wątpliwości, zbieżność zaś z własnymi przeżyciami Piotrowskiego ponad wszelką wątpliwość identyfikuje postać Kapitana, znajdujemy w niej mnóstwo przekręceń, zmyśleń, dodatków i przestawień dat, dla amerykańskiego czytelnika zapewne obojętnych, dla nas jedynie zabawnych.

Korwin-Piotrowski, który do Stanów Zjednoczonych przybył w roku 1840, poprzedni dziesiątek lat spędził we Francji i jako młody oficer związany był nader blisko z kołami Wielkiej Emigracji, a zwłaszcza z Karolem Różyckim, z którego rąk otrzymał był order Virtuti Militari podczas powstania. Niejedno też musiał widzieć i słyszeć, potem zaś, już w okresie amerykańskim utrzymywać musiał żywą łączność z przyjaciółmi. Jakkolwiek nie udało mi się wpaść na trop jego korespondencji, ze świadectw współczesnych wiemy, że korespondecję prowadził szeroką, m.in. z Sienkiewiczem w czasie jego amerykańskiej wyprawy, a nawet ratował pisarza pożyczką na ukończenie podróży. Opowiadając więc swą historię po trzydziestu czterech latach (jak wspomina) Piotrowski opierać się musiał częściowo na własnej pamięci, częściowo zaś na cudzych relacjach. Trudno dziś stwierdzić, czy pamięć mu nie zawsze dopisywała, czy też ponosiła go kawalerska fantazja, czy też wreszcie gorliwy narrator „naciągnął" daty, w każdym jednak razie niektóre z faktów i dat wymagałyby poważniej korektury. Dotyczy to zarówno „osobistej" rozmowy Kapitana z cudownie uzdrowioną Celiną Mickiewiczową jak i szczegółów jej pobytu w szpitalu. Przybycie Towiańskiego do Paryża w 1838 r. i jego natychmiastowa wizyta u Mickiewicza mijają się z prawdą historyczną przypadkiem lub celowo — być może Piotrowski przesunął je na czas swego pobytu w Paryżu by nadać im większej autentyczności, uchylając się jednak w sposób charakterystyczny od znajomości z Towiańskim. Pozwala mu to uzyskać dystans, z którego obiektywnie ocenia zbiorowe szaleństwo przyjaciół, sam pozostając czysty i poza nawiasem. Wydaje się on zresztą nic nie wiedzieć o dalszych związkach poety z „prorokiem", w opowieści jego bowiem organiczają się one do paryskiego okresu Towiańskiego.

Z tym wszystkim zdrowy sceptycyzm wobec nastrojów mesjanistycznych, okraszony żołnierskim humorem, nadaje jego opowiadaniu charakteru, który stanie się później przysłowiowy w postaci sienkiewiczowskiego Zagłoby.

Booth relacjonuje opowiadanie Kapitana niemal bez własnych komentarzy. Nazwiska Mickiewicza i Towiańskiego podaje bezbłędnie, w czym zresztą musiała pomóc wspomniana w opowieści *Encyclopaedia Britannica*, gdy bowiem do postaci mniej znanych dochodzi, gen. Różycki zmienia się w „Carl Roycki", Mikołaj Kamieński w „Kominsky" etc. Podobnie rzecz ma się z wykładem

Mickiewicza „o szczurach" (!), jakkolwiek trudno osądzić, czy zawiedli tu informatorzy Piotrowskiego, czy też interpretacja gubernatora.

Oddajmy jednak wreszcie głos narratorowi, by posłuchać relacji o paryskich dziejach, wracającej dziś do nas po stuleciu spod pióra kalifornijskiego pisarza.

„Kapitan jest Polakiem, ekspatriowanym za udział w rewolucji 1830 r. Nie mając już kraju jest całkowitym kosmopolitą. Po angielsku mówi z francuska i z lekkim akcentem, którego nie mogę przelać na papier tak jak nie mógłbym oddać tonacji jego głosu czy wzruszania ramion, toteż nie będę obniżał jego intelektualnej wartości przez przystrajanie jego języka w szmaty nieprawidłowej pisowni.

— Trudno jednak, Kapitanie — powiedziałem by przerwać milczenie — wyjaśnić to doktryną subiektywnych przywidzeń i zdumiewających zbieżności.

— Nie. Ani też żadną teorią psychologii, magnetyzmu czy elektryczności, terminami których używamy dla pokrycia mnóstwa ignorancji.

— A jeśli i one nie wystarczą, możemy uzupełnić je mianem mesmeryzmu.

— Właśnie. Zaledwie parę dni temu czytałem w *Encyclopaedia Britannica*, że „Mickiewicz, parę lat przedtem nim wybrany został profesorem języków i literatury słowiańskiej na College de France w 1840 r., dostał się pod wpływ religijnego szarlatana nazwiskiem Towiański, który wmówił mu, że uleczył panią Mickiewiczową z choroby umysłowej przy pomocy mesmeryzmu". To metoda, której współczesna historia i nauki ścisłe używają dla wymykających się im faktów, których zasymilować nie mogą. Pani Mickiewiczowa sama mi mówiła, że Towiański *istotnie* uratował ją od beznadziejnego szaleństwa, i że bez względu na to co świat by o nim powiedział, dla niej stał się wybawcą. Towiański nie był szarlatanem, a jeśli Mickiewicz poddał się ułudzie to zapewne tego rodzaju, jaka mogła mieć większy wpływ na umysł silny niż na słaby. Odmowa, ta ucieczka słabych, nie zawsze bywa dana silnym i otwartym.

— Znał pan, Kapitanie, Mickiewicza, polskiego Byrona?

— Woleliśmy nazywać go „Dantem Północy", żadne jednak z tych określeń nie jest trafne, jako że geniusz nie ma paraleli. Znałem go na tyle, na ile młody człowiek ledwie wstępujący w życie znać może kogoś już sławnego, wobec kogo odczuwa admirację graniczącą z rewerencją. Po raz pierwszy spotkałem Mickiewicza na *soirée* w Paryżu. Musiało to być już 1835 r. Byli tam też Gurowski i Szopen.

— Chciałbym mieć takie jak pan wspomnienia.

— Chętnie zamienię je na pańską młodość.

— Byłbyż to ten sam Gurowski, który w okresie wojny był

w Stanach i tak ostro krytykował niektórych naszych generałów i działaczy?

— Ten sam. Człowiek to był wielkich zdolności i silnych uprzedzeń. Większość kierownictwa polskich patriotów byli to arystokraci, pragnący ustanowić arystokratyczny rząd narodowy. Gurowski, jakkolwiek szlachcic z urodzenia, był radykalnym demokratą z czerwonej szkoły republikańskiej. Będąc jednakże, jak wielu innych, skrajnie demokratycznym w teorii, w życiu społecznym był autokratą, a słabość charakteru doprowadzała go do niecierpliwości wobec sprzeciwu i nietolerancji co do różnic poglądów. Niedbały i pozornie bezmyślny lwem się stawał gdy go podrażniono.

— A czy słyszał pan grę Szopena?

— Często. Aby w pełni ocenić muzykę Szopena trzeba być artystą i Polakiem. Jedno miał on tylko uczucie poza swą sztuką, Polskę, dopóki nie spotkał George Sand. Tak jak i on była to artystka, ale w przeciwieństwie do Szopena sztuka jej obejmowała wszystko, nawet miłość. Podczas gdy ona była dlań namiętnością, on stał się dla niej igraszką. Nic też dziwnego, że się nim zmęczyła, zazdrosny był bowiem nawet o kwiaty i ptaki, które pieściła. Byronowskie

Man's love is of man's life a thing apart,
'T is woman's whole existence

było w tym przypadku odwrotne, a Szopen nie miał nawet tego marnego wyjścia by „kochać na nowo, znów być odmienionym".

— Czytałeś pan życiorys Szopena pióra Liszta?

— Tak. Taka tam szczera słodycz, takie smarowanie miodem... Powinna to była napisać jaka kobieta. Ale Liszt został potem opatem, a jak mówią Francuzi, rodzaj ludzki dzieli się na trzy rodzaje: mężczyzn, kobiety i duchownych. Liszt datuje śmierć Szopena od jego rozstania z George Sand i każe mu umierać przez trzy lata i dwadzieścia pięć stronic. Jeśli Karol II uważał, że uprzejmość każe mu przeprosić dworzan za tak długie zwlekanie ze zgonem, to Liszt z całą pewnością winien jest podobne przeprosiny swoim czytelnikom w wypadku Szopena. Po tamtej sprzeczce Szopen w dalszym ciągu uczył muzyki biorąc po dwadzieścia pięć franków za lekcję (ekstrawagancka cena na owe czasy), a kiedyś nawet okazał się na tyle zwykłym człowiekiem, że gdy zaproszono go by zagrał w towarzystwie, zaraz po wejściu do salonu zdumiał gospodynię odmową „zapłaty za obiad awansem". Tak, pierwszy raz ujrzałem go jeszcze w dniach blasku. W czasie owego przyjęcia wszyscyśmy byli ogromnie ciekawi posłyszeć improwizację Mickiewicza. Odmówił, przyjaciele zaś zbyt byli delikatni by nastawać. W istocie, nie wiem czy mógł daru swego używać na zawołanie. Szopen niedbale zasiadł do pianina i muskając klawisze jakby od niechcenia (cóż on miał za dotknięcie — klawisze zdawały się ożywać pod palcami) grać rozpoczął w narodowym polskim duchu swe własne polonezy i

mazurki. Stopniowo począł i Mickiewicz wkraczać w ten zaczarowany krąg i najpierw głosem cichym, wkrótce przechodzącym w szybki i ożywiony recytować począł coś, co wtedy żywą mi się wydało poezją, poezją płomienną. I przez godzinę natchnienie tych dwuch w jedno się zlewało. Szopen w swym akompaniamencie trzymał się najdokładniej *en rapport* z poetą. Zaczarowana była to godzina. Nikt nie przemówił ani się nie poruszył, ledwie oddychać się ważąc by nie przerwać czaru. A gdy przerwali, entuzjazm wybuchnął poza granice zakreślone modą i decorum. Niestety! Po trzydziestu czterech latach wyznać muszę, że ogólnie tylko pamiętam, iż tematem Mickiewicza było coś niby jego dramatyczna poema „Dziady", ale przypomnieć sobie ani jednego wiersza nie potrafię...

— Ale to było zanim Mickiewicz poznał Towiańskiego?

— Mniej więcej trzy lata przedtem. Wkrótce potem wyjechałem z Paryża i nigdy nie widziałem „proroka". W owym czasie ogromnie dużo było w Paryżu Polaków, po części przywabionych nadzieją pobudzaną mętnymi obietnicami Ludwika Filipa, jakoby rząd francuski bronić miał sprawy niezawisłości Polski. Była to jednak czysto dyplomatyczna rozgrywka, a polskie pionki szybko zmieciono z szachownicy. Cóż więc dziwnego, że żyjąc z niepewnej łaski księcia, ustawicznie to podnoszeni na duchu to znów rzucani w depresję, bez łączności z domem, bez kraju i bez przyszłości liczni z mych biednych towarzyszy wygnańców zapomnienia szukali o przeszłości i o samych sobie we frywolnościach, rozwięzłości i szaleństwach? Jeden z nich, mniej gorączkowy niż większość kompanionów otrzymał był posadę referendarza w jakimś banku w Strasburgu, ożenił się i pewnie dotychczas tam mieszka. Nie pomnę jego nazwiska, ale poznałem go kiedyś i wiem, że słowo jego ma wartość weksla. Otóż z jego własnych ust słyszałem, jak to przez trzy kolejne noce, zdaje się było to w 1838-ym, śniło mu się, że stał na moście nad Renem o zachodzie słońca i widział nadjeżdżający staroświecki polski pojazd, tzw. bryczkę, ciągnioną przez czwórkę koni a powożoną przez człowieka odzianego w skóry i futra, jak to się widuje na dalekiej polskiej prowincji. Pierwszego ranka sen wydał mu się dziwnie żywym; następnego zdumiała go powtarzalność; trzeciego przyjął to jako znak i o zachodzie udał się na most, gdzie wszystko wypadło tak właśnie jak widział to był we śnie. Woźnica, którym był Towiański, zagadnął go, jakby właśnie oczekiwał jego tu obecności, powiadając, że potrzebuje pieniędzy by opłacić wydatki w drodze do Paryża. Powiedział też, że jest prorokiem Matki Boskiej Ostrobramskiej (co dosłownie znaczy „ostra brama" i pochodzi od specjalnego kształtu wejścia do kościoła w Wilnie, gdzie prorok mieszkał), i że mając wizję cudowną wysłany został przez świętą patronkę do Paryża by kazać tam o wyzwoleniu Polski.

Środki na podróż wnet się znalazły i następnego ranka prorok ruszył w drogę. Gdy dotarł do Paryża zajechał wprost pod dom Mickiewicza a dostawszy się siłą przed oblicze poety misję swą

proklamował. Rzecz oczywista Mickiewicz poczytał go za wariata, zbyt jednak świeże cierpienia przeżył we własnym sercu i w domu swoim by potraktować go inaczej jak uprzejmie; zdumiał się też gdy mu Towiański powiedział: „Znam Twe myśli. Za szaleńca mnie uważasz. Dozwolono mi dać Ci znak mego mesjaństwa. Żona Twa cierpi na umyśle i nie masz nadziei na jej wyzdrowienie. Pójdź ze mną do *hôtel des aliénés* w Charenton. Wrócę ją bez zwłoki do zdrowia".

Nie dziw, że zdumiał się Mickiewicz. Niewielu tylko najbliższych przyjaciół wiedziało, że choroba żony przybrała formę melancholii i że skierowano ją do zakładu, który prorok wymienił. Zgodził się też na żądanie nie zwlekając, gdyż sądził zapewne, że zakład dla obłąkanych będzie miejscem ze wszystkich miar najodpowiedniejszym, do jakich powieźć by mógł swego dziwnego gościa.

Pokryty jeszcze kurzem drogi, w dziwacznym swym stroju i po tak niezwykłym wstępie Towiański, będąc całkowicie obcym w Paryżu zajechał do zakładu słowem o drogę nie pytając i jako prorok zażądał widzenia z panią Mickiewiczową. Lekarz naczelny Esquirol, który jak większość lekarzy, to znaczy lekarzy francuskich wyrosłych w tradycjach osiemnastego wieku, był materialistą i nie wierzył ani w Boga ani w diabła (to drugie Kapitan uważał widocznie za niebezpieczniejszą herezję) i odrzucał wszelkie pomysły istnienia cudów, tak minionych jak i współczesnych. Gdyby on to był w zakładzie, zupełnie możliwe, że Towiańskiego zatrzymano by jako pacjenta miast przyjąć go jako proroka. Nie było go tam jednak, a asystent zgodził się na widzenie pod warunkiem, że prorok trafi wprost, jak to zaproponował, bez przewodnika do pokoju żony poety. Towiański bez namysłu ruszył długimi i splątanymi korytarzami do pokoju gdzie trzymano Mickiewiczową, na oddziale dla beznadziejnych i niebezpiecznych pacjentów. Nie poznała męża, jednako przerażona jak i rozwścieczona tą intruzją. Rozkazał Towiański służbie uwolnić ją z wszelkich więzów, a złożywszy jej rękę na głowie w imieniu Matki Boskiej Ostrobramskiej rozkazał demonowi by ją opuścił. Biedna kobieta ucichła i do nóg prorokowi upadła. Jej przesilony umysł znalazł ulgę we łzach i szlochu. Powstawszy rzuciła się mężowi w ramiona i od tej chwili była uzdrowiona.

Czyżby jednak wyegzorcyzmowany demon wziął w posesję jej męża? Wedle ogólnej opinii on to stał się szaleńcem od czasu wyzdrowienia żony. Skoro prorok zwrócił mu żonę, przyjął to jako gwarancję, że i ojczyznę mu zwróci.

Jeśli prawdą jest, że społeczności wariować mogą tak jak jednostki, to nigdy nie było żadnej lepiej przygotowanej na przyjęcie zarazy niż polska społeczność w Paryżu. Wibrując od lat między nadzieją a rozpaczą była to w dodatku grupa w uczuciach jednolita jak jeden mąż.

Natychmiast też prorok zwołał Polaków na zebranie do Notre Dame. Trzej nawróceni wspólnie z nim przystąpili do komunii. Po mszy, gdy księża odeszli, przemówił Towiański do zebranych,

opowiadając o swej cudownej wizji, nadnaturalnym uzdrowieniu pani Mickiewiczowej i nawoływać Polaków począł do życia w świętości, w nagrodę za prawość i patriotyzm przyrzekłszy wyzwolenie ojczyzny. Próżno porządkowi usiłowali go pohamować. Tegoż dnia utworzone zostało twarzystwo czterdziestu osób, a w ciągu roku liczba ta wzrosła do prawie pięciuset. Karol Różycki, bożyszcze młodych oficerów, mianowany został wodzem nowej krucjaty, której władza większa niż moc francuskiego rządu ukoronowana miała być sukcesem. Prorok oddziaływał z cudowną siłą na moralność i pod dziwnym czarem trzymał umysły swych zwolenników. Ślubowali bezwzględne posłuszeństwo jego maksymom wstrzemięźliwości i wyrzeczeń; wielu pożeniło się ze swymi kochankami, a wszystkie swe doczesne dobra uznali za wspólną własność. Uczył ich doktryny metampsychozy, a mój pułkownik Kamieński, najdzielniejszy z dowódców jacy kiedykolwiek wiedli oddział straceńców, wyobraził sobie, że pamięta czasy gdy sam był krową! Chodziła też jego żona i do proroka i do kolegów błagając o wyzwolenie męża z tego obłędnego szaleństwa, wszyscy jednak równie jak on byli zwariowani.

Warto by się było dowiedzieć jak długo trwałby ten urok rzucony na ludzi w świecie bywałych, a nawet wielu światłych i uczonych, nagły jednak wszystkiemu kres położyło wygnanie ich przywódcy z Francji. Był on już w Paryzu przez prawie rok, aż nagle zjawił się w pałacu i zażądał dopuszczenia do króla. Odmówiono. Powrócił następnego dnia i znów spotkał się z odmową i groźbą uwięzienia. Wrócił więc trzeciego dnia rządowi francuskiemu zarzucając dwulicowość wobec Polski i przepowiadając upadek domu orleańskiego a także, jak mówią, gwałtowną śmierć następcy tronu, księcia Orleańskiego, która w parę lat potem nastąpiła. Ludwik Filip był najłaskawszym z monarchów dopóki nie zaistniała obawa zamachu. Nie mógł on nie wiedzieć o Towiańskim i przekonany jestem, że gdyby żądanie audiencji przekazano królowi zezwoliłby na nią. Tak się jednak nie stało i prorok, po rzuceniu klątwy wygnany został z Francji. Towarzystwo, które założył rozsypało się stopniowo, a większość jego członków pochłonął życiowy prąd. Mój stary pułkownik ocknął się z halucynacji jakoby kiedyś należał do przeżuwających, tylko mu zamiłowanie do słodyczy i gorzkości pozostało. Urok rzucony na zmysły Mickiewicza był silniejszy. Do swych wspaniałych wykładów o literaturze słowiańskiej wtrącać zaczął dysertacje o „Uwielbieniu Napoleona" (za panowania Ludwika Filipa!), „Mesjanizmie Towiańskiego", a w końcu o „Szczurach". Pozwolono mu przez lat parę zachować nominalną profesurę ale bez przywileju wykładania. Po wstąpieniu na tron Ludwika Napoleona powrócony do łask dworu, w roku 1855 wysłany został z misją dyplomatyczną na Wschód. W listopadzie tegoż roku zmarł na cholerę w Konstantynopolu.

W jakieś trzy lata po wygnaniu proroka odwiedziłem Paryż i nawet wtedy stwierdziłem, że wielu z mych kompanionów pozostało pod głębokim wrażeniem i w stałej wierze, iż w jakiś tajemniczy sposób Towiański okaże się zbawcą ojczyzny. Wierzę szczerze, że tylko fakt, iż miałem poważne obowiązki i odpowiedzialności, które odsunęły Polskę od mych myśli, trosk i uczuć, że tylko fakt ten, powiadam, ocalił mnie od podzielenia ich zaślepienia.

Don nagle jakby przywrócił nas polu swego widzenia i rzekł:

— Tak czy inaczej, świat byłby uboższy bez entuzjazmu i przesądów.

— Są one jak ogień — odparł Kapitan zapalając cygaro. — Dobrze służą, kiepsko rządzą".

Tyle kapitan Piotrowski a za nim Newton Booth. Czy należy prostować przeinaczenia, wyjaśniać raz jeszcze fakty i ustalać daty spraw od lat wielu wyjaśnionych i znanych? Pamiętajmy, że mimo historycznego tła mamy do czynienia z *fikcją literacką*, i to w dodatku fikcją w nader skomplikowanej formie „opowieści dwakroć powtórzonej", by użyć anglosaskiego terminu. Toteż wydaje się najsłuszniejszym ograniczyć się do powtórzenia jej po raz trzeci by przypomnieć głos z lat minionych i raz jeszcze zadumać się nad zdarzeniami, które najtrafniej zrekapitulował kiedyś profesor Pigoń: „Sumienny historyk przedstawiając epizod powściągnie się jednak od potępień. Pamięta on, że wyraz „patologia" wywodzi się od greckiego słowa *pathos*, które znaczy: cierpienie, i to cierpienie w wysokim natężeniu. Mówiliśmy o przejawach bolesnego cierpienia, przez jakie przeszła znakomita część generacji popowstaniowej. Mówiliśmy nie po to, żeby cierpieniu temu urągać, raczej — żeby je współczująco wyrozumieć".

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Komunikaty

NAGRODY ZWIĄZKU PISARZY

Jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznało w rb. *Gustawowi Herling-Grudzińskiemu* nagrodę im. Herminii Naglerowej za całokształt twórczości literackiej, ufundowaną ponownie przez mec. M. Chmielewskiego.

Nagrodę Koła AK, którą ufundował tym razem oddział Koła w Manchester, przyznano *gen. T. Bór-Komorowskiemu* za książkę „Armia Podziemna". Drugie wydanie tej książki jest przygotowywane przez „Veritas".

Nagroda Związku Pisarzy za najlepszą książkę wydaną w r. 1965 przypadła *Danucie Mostwin* za powieść „Olivia" (Instytut Literacki, Paryż).

NAGRODY IM. M. KISTERA ZA R. 1964/65

Dwie nagrody ufundowane przez Wydawnictwo Roy Publishers Inc. w New Yorku, w wysokości 250 dol. każda, zostały przyznane: *Kenneth R. Mackenzie* za przekład „Pana Tadeusza" na język angielski oraz *prof. Witoldowi Chwalewikowi* za przekład na język polski „Króla Leara" Szekspira. Honorowe odznaczenie przyznano *Davidowi Welsh* za przekład na język angielski powieści Wł. Odojewskiego „Wyspa Ocalenia" *(Island of Salvation)*.

APEL INSTYTUTU POLSKIEGO O ZAPISYWANIE SIĘ NA CZŁONKÓW PRZYJACIÓŁ

Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego powstał w 1965 r. z połączenia Polskiego Ośrodka Naukowego, założonego w 1940 r., i Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego, założonego w 1945 r.

Instytut jest skarbnicą pamiątek Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, miejscem gdzie przechowywane są sztandary jednostek wojskowych, które w czasie drugiej wojny światowej walczyły o wolność i niepodległość Polski.

W Instytucie znalazło pomieszczenie archiwum najnowszej historii Polski oraz niezwykle cenne zbiory biblioteczne, wykorzystywane przez uczonych zarówno polskich jak i obcych.

Ponadto Instytut jest wydawcą dzieł z dziedziny historii i kultury polskiej; jest również miejscem zebrań i spotkań naukowych, literackich czy politycznych.

Muzeum jest stale zwiedzane przez liczne zastępy rodaków zarówno tych, którzy zamieszkują w Wielkiej Brytanii jak i przybyszów z Kraju i z różnych stron wolnego świata.

Nie otrzymując, mimo starań, pomocy ze strony brytyjskiej a w obliczu kurczącej się pomocy ze źródeł amerykańskich — Instytut znalazł się dzisiaj w sytuacji krytycznej.

Utrzymanie tej tak ważnej instytucji jest odpowiedzialnością całego społeczeństwa polskiego. Nie możemy dopuścić, aby Instytut Polski to wspaniałe osiągnięcie emigracji politycznej miał całkowicie zawiesić swą działalność albo znacznie ją ograniczyć.

Gorąco prosimy o zapisywanie się na członków przyjaciół Instytutu.

Składka roczna członka przyjaciela od £ 1.0.0 w zwyż. Osoba lub instytucja wpłacająca jednorazowo niemniej jak £ 25.0.0 wpisana będzie do Złotej Księgi Instytutu.

Instytut Polski i Muzeum im. Generała Sikorskiego
20 Princes Gate, London, S.W.7.

Książki

Socjalizm romantyczny

Pierwszy ten tom dzieła zamierzonego na pięć tytułem wprowadza w błąd. To nie „zarys". To historia źródłowa, gruntowna, dogłębna, jakiej nie było dotąd i nie poprzestająca na dziejach ludzi czy grup występujących „pod sztandarem" socjalizmu. Ogarnia ona wszystkie przejawy polskiej myśli społecznej od listopadowego powstania do czasów powstania styczniowego. Ten pierwszy tom zawiera okres, w którym wyraz „socjalistyczny" znaczył to samo co „socjalny", „społeczny". Pierwszy zaś polski dokument, w którym użyto wyrazu socjalizm, to, jak autorzy stwierdzają, protestacja sekcji „Grudziąż" w Portsmouth przeciw centralizmowi Towarzystwa Demokratycznego (październik 1835), opierająca się — jak oświadczają — „na dobrze zgłębionym pojęciu socjalizmu", bo „zaufanie dane osobom wykopało grób Polsce... lud sam sobie jedynie ufać powinien" a „kto zawierza komu innemu władzę nad sobą, przybiera na siebie znamię poddaństwa". Tak pod znakiem buntu przeciw „naczelnictwom" indywidualnym czy zbiorowym, a w imię wszechwładztwa ogółu członków społeczeństwa czy gromadki wygnańczej wyraz „socjalizm" wkroczył do naszej historii.

Socjalizm na Zachodzie był jeszcze in statu nascendi. Recepcja wielu rozbieżnych kierunków ideowych dokonywała się na emigracji. W doskonałym przeglądzie stanu spraw społecznych i prądów społecznych w Polsce i na Zachodzie ukazują autorzy jak „socjalizm polski, socjalizm romantyczny ukształtował się na obczyźnie jako socjalizm *patriotyczny* — albowiem przenikało go dążenie do odzyskania utraconej niepodległości ojczyzny; *między-*

Lidia i Adam Ciołkoszowie: *Zarys dziejów socjalizmu polskiego*. Tom I. Londyn 1966. Str. 520.

narodowy — albowiem w ruchu powszechnym ludów Europy i w ich solidarności upatrywał nadzieję odzyskania Polski; *chrześcijański* — albowiem ożywiało go głębokie poczucie religijne; *agrarny* — albowiem w sprawiedliwym urządzeniu stosunków rolnych widział podstawę szczęścia i rozwoju rodzinnego kraju. Zabarwiały go również pierwiastki mesjanistyczne a mianowicie wyznaczał on Polsce zadanie rewolucyjnego posłannictwa na wschodzie Europy". Czytamy, że Zenon Świętosławski w swej wizji świata zjednoczonego pod władzą wybranego przez ludność papieża wyznaczał językowi polskiemu miejsce powszechnego i urzędowego obok języków narodowych.

Tak wprowadzono nas w labirynt myśli i prądów rodzących się wśród wygnańców pod natchnieniem Zachodu. Labirynt zaludniony tłumem ludzi. Autorzy słusznie pozwalają nam osobiście się z nim zetknąć. Pierwszy Bogdan Jański — ten późniejszy przyjaciel Mickiewicza i z czasem założyciel Zakonu Zmartwychwstania Pańskiego, przejęty nauką Saint-Simonistów, admirator Owena. Za nim niespodziewanie Lelewel, nie tylko przez dość zrazu platoniczne pragnienie uwłaszczenia włościan, lecz także przez teorię pierwotnego, gminnego ustroju rolnego, ziemi gminnej i ziemi ludu którą mu odebrali Lechici, czyli stan rycerski, czyli szlachta. I przejście ziemi z powrotem na własność gmin uznawał z czasem jako środek zbliżenia do Rosji. Oczywiście do Rosji rewolucyjnej. Gdy mowa o Lelewelu trzeba pamiętać, że jako „naczelnik czarńców", to jest węglarzy na Litwie, był w kontaktach ze związkami rosyjskimi, a w roku 1830, przed wybuchem listopadowym, usiłował je wznowić, że uważał to za jeszcze ważniejsze niż współdziałanie Zachodu, że z tym poleceniem wyprawiał później i Zaliwskiego i Konarskiego do Kraju, w przekonaniu że związki rosyjskie nie zniszczone ze szczętem. Co o tym wiedział stwierdzić się nie da.

Lwią część tomu wypełnia oczywiście historia Ludu Polskiego otwarta manifestem „Gromady Grudziąż" w październiku 1835 roku, zrywającym z Towarzystwem Demokratycznym. Manifest w którym „Gromadzianie" przemawiają jak się wydaje piórem Stanisława Worcella. Bo ten wielki pan kresowy, powstaniec, poseł sejmu rewolucyjnego, był ich duszą — tej żołnierskiej gromady zaciętej w potępianiu całej przeszłości, w poczuciu krzywd doznanych własnych i ludu. „Cierpienie nasze (czytamy) było własnością ludu, bo żaden ze szlachty nie podzielał go z nami". „Ojczyzna nasza, to jest Lud Polski zawsze była odłączona od ojczyzny szlachty i jeżeli było jakie zetknięcie pomiędzy krajem szlachty polskiej i krajem ludu polskiego miało ono niezaprzeczone podobieństwo styczności jaka zachodzi pomiędzy zabójcą a ofiarą". Sami gromadzianie są co najmniej w połowie z drobnej szlachty — ale już się szlachectwa wyparli. Żądają od szlachty „obmycia się z pierworodnego grzechu szlachectwa". „Zachęcamy was obywatele abyście siebie podnieśli do Ludu, spłynęli w Lud a nie chcieli już dłużej tego Ludu do siebie zniżać"*. Chcą stwarzać nowy świat, w którym „symbol powszechnej równości wyrzeczony przez Jezusa Chrystusa zaprowadzi braterstwo" i „porównanie kondycyj socjalnych stanie się rzeczywistością". Uznają emigrację powiązaną w Gromady za „anioła stróża tego niebieskiego pojęcia" a Lud Polski „podniesiony jako jeden człowiek, jej wojującym Kościołem".

W pracach programowych stawiają zasadę, że „jedynym i prawdziwym właścicielem narzędzi pracy" ma być społeczeństwo. A w pierwszym rzędzie *ziemi*. I stąd zacięte walki z Towarzystwem Demokratycznym i jego programem uwłaszczenia chłopów, zasadą indywidualnej własności.

Patronem ich jest Babeuf, twórca niegdyś „Sprzysiężenia Równych", apostoł wspólnej własności, stracony po nieudanej próbie pochwycenia władzy. Jego towarzysz a głowa międzynarodowego węglarstwa, Filip Buonarroti był uwielbianym jego prorokiem. Wspólny jest Ludowi Polskiemu jego uniwersalizm i recepcja symboli chrześcijańskich. Nawet ustanowienie przez Robespierre'a Kultu Najwyższej Istoty, to dla „Ludu Polskiego" „dzień powrotu pierwiastkowego chrystianizmu... założenia nowej stolicy papieskiej w Paryżu, mianowania nowej głowy Kościoła — w Ludzie".

Drugą gromadę „Ludu Polskiego" założył w roku 1836 w St Helier na wyspie Jersey inny szlachcic kresowy, Zenon Świętosławski, pod nazwą „Humań". Na przypomnienie potwornej tam rzezi szlachty, księży i Żydów. Nazwa przyjęta jako akt ekspiacji. Trzecia, w Londynie, nazywała się „Praga" od tego, że tam Polskę mordowano. Jest szukanie ekspiacji w tym okrutnym wypominaniu nieszczęść i win i okrutne rozprawy z przeszłością i nienawistne osądy wszystkiego co było i własnej warstwy społecznej. A jest coś z Apokalipsy w wizji Kościoła Powszechnego, wyłącznego na świat cały z wszechwładzą Namiestnika Chrystusa a z hierarchią naczelników; wyrok śmierci na carów, cesarzów, królów, książąt, bogaczy, papieży, biskupów etc. Nic tu z mi-

* Czytamy na str. 67, że „sekcja Grudziąż" była też jedyną sekcją złożoną niemal całkowicie z chłopów pańszczyźnianych". Pogląd ten nie wytrzymuje krytycznego zestawienia z „Listą imienną żołnierzy polskich przybyłych z Gdańska do Portsmouth" ogłoszoną przez P. Brocka, „Geneza Ludu Polskiego" (Londyn 1962). Podaje ona oddziałami 212 nazwisk, w czym co najmniej połowa niewątpliwie szlacheckich (z mazowieckiej, podlaskiej i litewskiej szlachty zagrodowej), sporo brzmiących z mieszczańska, niewątpliwie chłopskie w mniejszości — a bez względu na te podziały są to w starych pułkach przeważnie starzy już, długo służący żołnierze.

łości chrześcijańskiej i nie ma już miejsca na wolność żadną, a już najmniej na wolność sumienia. I nic miłosiedzia dla bliźnich innych przekonań w literaturze i w postępowaniu gromadzian*.

Po raz któryś przerzuca się stronę za stroną — setki. Wszystko pasjonująco ciekawe. I jakież zastanawiające myśli Tadeusza Krępowieckiego z jego związkiem „Wyznawców Obowiązków Społecznych" i jego pomysł z komitetem śledczym mającym tropić „intrygi" rosyjskie na emigracji. W gminie Hawerskiej największe wpływy socjalistów katolickich, księdza Lamennais i Bucheza; wszechwładztwo ludu uznane za wpływ chrystianizmu, „wyniesienie ludu do jego człowieczeńskiej godności, a niebiańskiej potęgi". Wysuwa się postać Józefa Ordęgi, wydawcy „Demokracji Polskiej XIX w.". Uderza trzeźwość jego spojrzenia; jego oceny roli katolicyzmu, jego myśli społecznej.

Apostołem zniesienia wszelkiej własności jest w „Polsce Chrystusowej" Ludwik Królikowski, obrońca rzezi galicyjskiej, bo Opatrzność „Spólnością głodu, moru, ognia i bratobójczej walki" doprowadzi do stworzenia wspólności braterskiej „błogiej dla wszystkich a nawet dla dzisiejszych ciemiężców". On też pierwszy wystąpił z apologią komunizmu i ogłosił w swym piśmie francuskim „Système de Fraternité" artykuł swego mistrza Cabeta o idei generalnej komunizmu i streścił jego „Podróż do Ikarii".

Jan Czyński, wybitny pisarz w poglądach krańcowy, zwolennik Fouriera, odegrał przez swoje pisma „Północ" i własną działalność publicystyczną dużą rolę. Zdawał sobie sprawę lepiej od innych z rzeczywistości społecznej w Polsce i z życia gospodarczego Europy. Zamiast indywidualnych uwłaszczeń chciał jednak uwłaszczyć gminy w duchu Lelewela a na modłę Falansterów swego mistrza i przekonywał jak to będzie mądrze gdy zamiast trzystu chat zbuduje się jeden gmach, zamiast trzystu pieców jeden rozgrzewacz, jedna kuchnia, gdzie kilka kobiet przyrządzi zdrowe i pożywne pokarmy dla tysiąca mieszkańców. Praca w takiej zjednoczonej gminie stanie się „ujmującą rozkoszą". Coś o tym wiemy z praktyki sowchozów i z twórczości Mao Tse-tunga. Po polsku nawet czworaki nazywano „piekłem", a cóż dopiero takie gmaszysko na kilkadziesiąt rodzin z jedną kuchnią!

Część książki „Lata burzy" zaczyna ścisły i doskonale przemyślany wykład o precedensach i przebiegu wydarzeń 1846 roku, z ostrą odprawą historykom krajowym, określającym rabację jako „antyfeudalne powstanie chłopskie", a mordowanych powstańców jako „obrońców ustroju feudalno-pańszczyźnianego". Doskonałe są rozdziały o Henryku Kamieńskim, Edwardzie Dembowskim — jako rewolucyjnym socjaliście — i księdzu Ściegiennym. Rozdział „Na progu rewolucji europejskiej" daje pierwszy pełny przegląd międzynarodowych rewolucyjnych poczynań w Londynie związanych z działalnością Mazziniego (Międzynarodowa Liga Ludów), z ruchem Czartystów (Bratni Demokraci) a także ze Związkiem Komunistów Karola Marksa i Stowarzyszeniem Demokratycznym w Brukseli. Wysuwa się w sprawie pomocy dla sprawy polskiej nazwisko George J. Harneya i pismo Czartystów „Northern Star". Obchód 29 listopada 1847 w Londynie pamiętny jest jako pierwsze publiczne wystąpienie Marksa i Engelsa w sprawie polskiej. Co do wydarzeń Wiosny Ludów mamy pierwszy gruntowny wykład przebiegu wielkiej manifestacji paryskiej 15 maja z Augustem Blanqui, Armandem Barbès i Fr. Raspail na czele, z petycją o wystąpienie w sprawie odbudowania Polski. Podana informacja o kontakcie Marksa z Władysławem Kościelskim i zasiłku od niego na „Neue Rheinische Zeitung". Na nowo opracowana dalej rola Mickiewicza i jego udział w „La Tribune des Peuples"; ważne rozdziały o Edmundzie Chojeckim i Leonie Rzewuskim. Najwięcej nowego wnosi część ostatnia o Socjaliźmie Polski w okresie lat 1848-1860*. Jej omówienie wymagałoby osobnego artykułu.

Książka ta pisana z pasją, z umiłowaniem przedmiotu, z sercem dla tych ludzi których nawet w obłąkaniach myślowych wiodła miłość cierpiącego ludu, pragnienie powetowania jego krzywd wiekowych, jakiś nakaz wewnętrzny pokutnej ekspiacji. Przy silnym zabarwieniu emocjonalnym książka jest pisana z dużym obiektywizmem, ze zrozumieniem dla poglądów nawet biegunowo przeciwnych — autorzy umieją na przykład wyczytać myśl społecznie postępową w wypowiedziach Czartoryskiego. Także i pod tym względem staje ta książka wyżej od wszystkich dotychczasowych prac w tej dziedzinie, odbija od publikacyj krajowych, z reguły zaprawionych nakazem aparatu partyjnego.

Tom ten jest sam w sobie wielkim osiągnięciem i zapowiedzią, która oby się zrealizowała w przewidzianym szybkim tempie przez ukazanie się całości dzieła naprawdę pominkowego.

M. KUKIEL

* W związku z Gromadą notują autorzy za książką p. Olczakowej „Bunt Wspomnień", że Żeromski w „Iskrach" (dalszym ciągu „Popiołów") uczynił Rafała Olbromskiego emigrantem w Anglii i członkiem gromady Grudziąż. Rękopis przepadł przy rewizji.

* Na ten okres ostatni przypada smutna kompromitacja Gromady Rewolucyjnej Londyn, uwikłanej bezwiednie w prowokacyjną robotę dyrektora policji w Poznaniu Bärensprunga, występującego w korespondencji z Gromadą jako „Komitet Rewolucyjny". Podana o tym dokładna informacja.

Dwie Antologie

Jedna, wydana w Londynie*, jest chyba dokumentem i ciekawym socjologicznym źródłem, omawiającym w tym wypadku tworzenie się i początkową działalność poetyckiej grupy londyńskich „Kontynentów", druga**, wydana w tym samym czasie w Polsce przez PIW, stara się zamieszczonych autorów pokazać od ich najlepszej, poetyckiej strony. Obie mają ten sam wspólny trzon (Busza, Czaykowski, Czerniawski, Darowski, Ławrynowicz, Śmieja i Taborski), choć *Ryby na piasku* zamieściły dodatkowo wiersze Marii Badowicz, Ludwika F. Buyno, Ewy Dietrich, Janusza A. Ihnatowicza, Mieczysława Paszkiewicza i Jerzego S. Sity, podczas gdy *Opisanie z pamięci* dokooptowało do grupy siedmiu, Jerzego Niemojowskiego, lecz ani jedna ani druga nie uwzględnia twórczości utalentowanej poetki Danuty Bieńkowskiej, która na pewno mieści się w granicach wytyczonych przez Czerniawskiego grupie „Kontynentów", artystycznie zaś podniosłaby zdecydowanie poziom obu książek.

Obie antologie są systematycznie i dobrze opracowane, zwłaszcza londyńska, z przedmową Czerniawskiego, daje pełny obraz nie tylko poetycki, ale i sytuacyjny, wyjaśniający jak w diasporze emigracyjnej powstawała ich diaspora poetycka. Przeszkadza trochę benedyktyńska cierpliwość w gromadzeniu szczegółów i umiłowanie drobiazgów, tak jakby to one decydowały o randze i nasileniu talentu. Dla przyszłego jednak historyka będą to fakty niezbędne. Mimo to, Czerniawskiego antologia ułożona jest „na wyrost", do każdego poety przykłada on optymistyczną miarkę, dodaje sobie i innym bodźca, zagrzewa do brania przeszkód, podsyca zapał i ogień. Tylko w ten sposób — przypuszczam — grupa mogła przetrwać w warunkach londyńskich, które zupełnie nie sprzyjały jej rozwojowi, w oparciu o pismo, tracące, z braku funduszu wydawniczego, dosłownie grunt pod nogami. I choć ostatecznie pismo „utonęło", jednak grupa z małymi wyjątkami utrzymała się na powierzchni i wchodzi dziś z impetem do literatury, tak u nas, jak i w kraju. Legitymacją zaś jej są wiersze zebrane w *Opisanie z pamięci.*

Ryby na piasku są publikacją staranną, na trzystu prawie stronicach zebrał Czerniawski szeroki wachlarz wierszy, reprezentując każdego autora pokaźną liczbą utworów. Wychodzą z nich ciekawe, zarysowane mocną linią sylwetki, czasem przekorne, gardzące własnym gniazdem, upozowane, z otwartym parasolem wewnętrznego, angielskiego spokoju, jakim nacechowana jest twórczość Hopkinsa, Yeatsa, Eliota czy Pounda. Ale ukłon ten w stronę wielkich nazwisk nie razi, dodaje raczej młodym poetom uroku i potwierdza regułę. Ach, wykrzykujemy z mgiełką żalu w głosie, czytając wstęp Czerniawskiego — *la jeunesse!* i zapominając o siwiejącej skroni, chcielibyśmy deklamować wiersze Rimbauda.

Ryby na piasku, według zestawienia na obwolucie, zawierają 121 wierszy, zaś antologia PIW-u tylko 87, jeśli zaś uwzględnimy tylko nazwiska przytoczone w obu antologiach (siedem nazwisk), to na pierwszą przypada 71 wierszy, na drugą zaś 80.

Statystyka ta ma pewien cel, gdyż przyjmując, że antologia PIW-u jest dojrzalsza artystycznie, chciałem dowiedzieć się, co i ile ocalało z jej poprzedniczki londyńskiej dla czytelnika w Polsce, a co w oczach Lama, redaktora antologii, musiało odpaść?

Wiemy, że inaczej przyjmuje wiersz przeciętny emigrant, a inaczej przeciętny Polak zamieszkały w kraju. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że przeciętny emigrant wierszy nie czyta. Żadnych. Owszem, pamięta je ze szkoły, lub słucha na akademiach narodowych, o ile na nie uczęszcza, wewnętrznie jednak, nie czuje „poetyckiego głodu".

Mam bliskich znajomych w Stanach, oboje z wyższym wykształceniem i o dużych aspiracjach intelektualnych, którzy oprócz pism fachowych z zamiłowaniem czytują pisma literackie, ale do głowy by im nie przyszło, by kupić tom wierszy, nawet z prostej grzeczności — mój tom. Przypadkowo zetknęli się z Polakiem z kraju, który był w Stanach na wakacjach i który dowiedziawszy się o moim adresie, napisał do mnie z prośbą o tomik. Listy tego rodzaju, to zastrzyk prawdziwego optymizmu dla autora, wysłałem mu więc tom, dziwiąc się przy tym mile, że chce mu się w takich warunkach tracić czas na wiersze. A oto jego odpowiedź:

Bardzo serdecznie dziękuję Panu zarówno za miły list, jak i przesłany mi tomik poezji.

W chwilach trudnych, a w takich przecież żyjemy, „ucieczka" w świat poezji jest niekiedy wewnętrznym nakazem, duchową potrzebą, przejawem ukrytych i niezawsze nawet uświadomionych tęsknot do czegoś, co lepsze, bogatsze, piękniejsze...

* Londyńska Biblioteka Poetycka, *Ryby na piasku*, antologia wierszy poetów „londyńskich" pod redakcją Adama Czerniawskiego, ze słowem wstępnym Juliana Przybosia. B. Świderski — Londyn 1965. Obwoluta Anny Czerniawskiej, winieta tytułowa Tadeusza Terleckiego, stron 273.

** *Opisanie z pamięci*, antologia poetycka londyńskiej grupy „Kontynentów". Wybrał, opracował i przedmową opatrzył Andrzej Lam. Obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1965. Stron 179.

Naturalnie, moi dobrzy znajomi nie napiszą nigdy takiego listu, gdyż dobrze zarabiając, nie mają — jak ów Polak — „chwil trudnych", a ich „ukryte tęsknoty" są bardzo „świadome", gdyż skierowane są w stronę dolara. Mimo to, są głęboko kulturalni i przyjaźń z nimi daje mi dużo radości.

Bez tego nawet przykładu wiemy, że w Polsce poezja jest popularniejsza i bardziej poszukiwana, może właśnie te „trudne chwile" stwarzają warunki, w których człowiek odwraca się od „dolarowych", materialnych dóbr i szuka wewnętrznej równowagi w słowie.

Hostowiec napisał kiedyś, że poetę ocenia on po jego najwyższych osiągnięciach i gdybym — w myśl tej zasady — miał ułożyć z siedmiu zamieszczonych w obu antologiach poetów, moją własnę antologię, to z Buszy dałbym *Operację i Wrzody,* głęboko zastanawiając się nad *Malvern Hills* i *Zdarzy się kiedyś taki odjazd;* z Czaykowskiego przede wszystkim *Gwałtownikami kogo nazywamy dziś,* obok *Buntu wiersza* i *Ogrodu;* Czerniawski miałby w niej *Dulce et decorum, Topografię wnętrza* i *Rozdzieranie szat,* obok partii *Lamentacji* i *Homunculusa pisanego z boku.* W tym ujęciu „mój Darowski", to byłyby wiersze *Na schodach, Z niepodręcznika zoologii,* zwłaszcza druga jego część i *Z psychologii klucza;* z Ławrynowicza *Okup* i *Saint Mary-Le-Bow,* ze Śmieji *Miasto i wieś* i *Umarłemu wczoraj emigrantowi,* gdy Taborski miałby w moim wyborze *Spenserowską strofę, Szekspira* i *Erotyk V.* Nie jest to wybór pełny i nie zupełnie obiektywny, ale przyznam się, że zaważyło tu moje odczucie poetyckie, mój smak i interpretacja słowa, w takim samym chyba stosunku, jak u Czerniawskiego czy Lama, podczas doboru wierszy do antologii.

Czytałem niedawno wzruszający apel do redaktora „Wiadomości", by zamiast poetów współczesnych drukował Mickiewicza i Asnyka. Apel taki w kraju, pismo literackie zamieściłoby w swojej *camera obscura* lub na oślej łączce, na emigracji zaś traktuje się go poważnie, a nawet drukuje w listach do redakcji. List ten wyraźnie świadczy, że emigrant przeciętny nie czuje łączności z tym źródłem kultury, które zasila twórczość poetycka; nie przywiązuje on prawdopodobnie wagi do wysiłku malarzy i prozaików, kultura dla niego jest zjawiskiem statycznym, które jak obraz przenosi się z pokoju do pokoju — w zależności od tego gdzie uplasuje się nowe pokolenie — i ustawia jak ołtarzyk pamiątek narodowo-patriotycznych. Kultura, dla wielu na emigracji, nie jest organizmem żywym, ale zielnikiem zasuszonym przez nasze prababki i pradziadków. Powinniśmy dobrze o tym pamiętać zwłaszcza dziś, w okresie Millenium, gdy — jak w Kanadzie — wszystkie uroczystości organizowane są pod hasłem Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej, ale nic nie mówi się o kulturze polskiej, tak jakby chrześcijaństwo mogło być barbarzyńskie i rozwijać się bez zaplecza kulturalnego środowiska, co jest oczywiście nonsensem.

Przeglądając obie antologie można by powiedzieć, że poeci grupy „Kontynentów" debiutowali w warunkach normalnych, jak wielu młodych ich angielskich kolegów. Piszą o miłości, o ptakach, o przyrodzie, no i o wojnie. Czasem dotkną politycznej, czasem patriotycznej struny, ale w miarę, bez angażowania się, raczej jako obserwatorzy. Wszyscy oni przeszli przez wojnę, lub bardzo dotkliwie otarli się o nią, byli jednak zbyt młodzi, by jej piętno pozostawiło na nich trwałe ślady. A może stała się ona dla nich tak codzienna, że spowszedniała i nabrała cech naturalnych, jak w owej bajce o ptaszku urodzonym w klatce. Ocierają się oni przy tym stale o środowisko polskie, o emigracyjny program polityczny, piszą i w domu mówią po polsku, choć doświadczenie i wrażliwość poetycką kształcą prawdopodobnie na bogatym dorobku anglo-saskim. Są więc produktem dwujęzycznym i dwukulturowym.

Wtedy, gdy grupa powstała i gdy zaczęli wydawać pierwsze swoje tomiki, nic ich właściwie nie łączyło z żadną grupą i szkołą poetycką polską. Mieli swoje upodobania i antypatie, to wszystko. Woleli na przykład Przybosia od Skamandrytów, powoływali się na Norwida, ale wynikało to raczej z ogólnego nastawienia, z programu — powiedzmy — towarzysko-kulturalnego, bo poetykę pragnęli wypracować sobie własną, bardziej zbliżoną do osiągnięć w poezji angielskiej, niż polskiej. Ostatecznie cały poetycki świat wirował wtedy wokół Eliota.

Młody debiutant pragnie zazwyczaj być oryginalny, poeci „Kontynentów" wybrali trudniejszą drogę, chcieli być sobą. I gdyby urodzili się byli nad Wisłą, tam żyli i zaczynali pisać, start ich byłby o wiele łatwiejszy, a oddźwięk bardziej spontaniczny. Bo kto na emigracji interesował się poezją, zwłaszcza wierszem nowoczesnym i to w warunkach, gdy jeden świat wstawał z popiołów, a inny — jak nasz — dalej rozpadał się w gruzy? Tylko jednostki. W tych warunkach, młodzi poeci zrobili jedyny rozsądny krok, zrzeszyli się. Powstała grupa, która miała im zastąpić normalne środowisko, kraj, czytelników, krytyków, wytworzyć normalną atmosferę, w której wiersz mógłby nie tylko się rodzić, ale i żyć. To dodało im sił i pozwoliło przetrwać pierwszy, najcięższy zazwyczaj okres, czas debiutu. Z czasem, warunki na emigracji również uległy zmianie, a kontakt z Krajem, dopływ pism i książek, wizyty pisarzy, regulował je, tak że grupa — jak to wyjaśnia Czerniawski — nie miała już racji bytu.

Antologia często więcej mówi o smaku i upodobaniach jej

redaktora, niż o samych poetach. W wypadku grupy „Kontynentów", obie mają duże skazy: jedna czekała na światło dzienne grubych kilka lat w biurku redaktora, na drugiej zaciążyła presja polityczna Kraju, całość więc mówi raczej o potencjale poetyckim zamieszczonych poetów, a nie o obecnym stanie ich twórczości.

Busza uogólnia swoje przeżycia; w każdym prawie wierszu można doszukać się niepokoju o los człowieka. Najbardziej dramatycznie i nago oddał on fatalizm ludzki w wierszu *Operacja:*

Włożono go
w imadło ciszy
. . . . . .
wisiał tak
w próżni
dusząc się
aż tchu mu brakło
— . . . . . .
ruszyły elektronowe tryby
i zębatym kołem
zmiażdżyły
kruchą bańkę serca

po czym
ponownie naoliwiono łożysko

i ten sam temat w *Piosence:*

widzę
zawsze
pod jedwabiem
chropowatość czaszki

Busza jest oszczędny w słowie, korzysta ze środków wersyfikacyjnych, które rozwinęła awangarda krakowska, a jej najdoskonalszym artystycznie przykładem jest Karpowicza *Lekcja ciszy,* zaś u Buszy wiersz *Wrzody,* zwłaszcza ostatnia część:

inne
twardnieją w diament
tną w nieskończoność
gałęzie żył.

Busza jest najmłodszym poetą w całej grupie, podczas gdy Czaykowski, sześć lat starszy od Buszy, to poeta o wyrobionym już smaku i dużym dorobku poetyckim. Ma za sobą kilka już tomików wierszy, dużą pracę badawczą, napisaną wspólnie z Sulikiem *Polacy w Wielkiej Brytanii,* szereg tłumaczeń i artykułów.

U Czaykowskiego bardzo wyraźnie dochodzi do głosu świadomość narodowa z jej politycznym, emigracyjnym wariantem:

Urodziłem się tam.
Nie wybierałem miejsca.
. . . . . .
Przykuli mnie gdy jeszcze byłem dzieckiem.
. . . . . .
Język moim łańcuchem
Słowo obrożą moją.
Urodziłem się tam.

Ma on przy tym doskonałe spięcia i uogólnienia:

i uderzał o szklane granice jak ryba
złociście tęczująca pod powierzchnią rzeki.

albo:

Gwałtownikami
kogo nazywamy dziś?

i tylko gdy wpada w pasję, dotyka granicy konwenansu i retoryki, wprowadza do opisu barokowe zdania, by jednak w porę cofnąć się i wrócić do precyzji jak w wierszu: *Gwałtownikami kogo nazywamy dziś,* lub w *Ogrodzie.* Mimo jednak bogatej tematyki i ciekawych prób stylistycznych, Czaykowskiego słowo najbardziej pulsuje krwią, a wizja nabiera czystości w utworach takich, jak *Bunt wiersza* i *Wiersz chciał być.* W Czaykowskim rozwinął się „dramat" emigracyjny i nie przypuszczam, by poeta zdołał się od niego uwolnić tak łatwo.

Czerniawski jest o dwa lata młodszy od Czaykowskiego, debiutował jednak o rok wcześniej od tego ostatniego tomem: *Polowanie na jednorożca.* O ile Czaykowski mógłby być socjologiem grupy „Kontynentów", Czerniawski służy jej duszą całą, jako wojujący i bezkompromisowy krytyk. Jemu zawdzięcza chyba grupa antologię *Ryby na piasku,* „Kontynenty" swój przedłużony żywot, a poeci wiarę w słuszność założeń grupy.

Czerniawski umie unosić się w dyskusji, na wiersz patrzy jednak okiem Pounda, z rozmysłem, planem, należytym dystansem. Wiersz może wtedy nabiera chłodu ale i precyzji, jest tym, czym w oczach jego autora ma być, i nawet tam, gdzie powinien ponieść go dziedziczny patriotyzm, jak w wierszu *Dulce et decorum,* Czerniawski nie pozwala sercu na tanie uczucia, woli dyscyplinę kontrolowaną umysłem i jasność. Wybiera rolę obserwatora stojącego z boku, a nie czynnego, biorącego w akcji udział bohatera:

Legendarne łąki arkadii
i ona w bieli swego ciała
. . . . . .
oczy jej wstrząśnięte miłością
widzą rzeź i miasto w płomieniach.

Ten niedosyt kontrolowany i dawkowany w miarę można obserwować w charakterystycznym dla Czerniawskiego wierszu *Topografia wnętrza* i w jednym z najlepszych, o ciekawej i bogatej konstrukcji wierszu *Homunculus pisany z boku,* gdzie zaskakujące zestawienia łączą się, jak u Białoszewskiego w nową stylistycznie i graficznie całość.

Myślę, że credo Czerniawskiego wyraża tytuł wiersza *Zaburzenia i pozy,* a zwłaszcza ten oto fragment:

— Moje choć małe, miłością utkane,
miodem nie płynie, przecie błyska
chromem, sączy jak jedwab,
żal szalem owija, na ścieżce się kłębi,

Twórczość czwartego z rzędu, mocno związanego z grupą „Kontynentów" poety, Bolesława Taborskiego, łączy klasycyzujące elementy z ultra nowoczesnymi zdobyczami wersyfikacyjnymi. *Spenserowska strofa,* to nie tylko jeden z najpiękniejszych wierszy w antologii, ale w twórczości całej grupy. Powstał on i ma coś z atmosfery Szekspirowskiej:

Czy blask, co wieże Camelot zapala
Jest zmartwychwstaniem wygasłego dworu?
Czy szmaragdową skrą świętego Graala?
Czy w Lancelota zbroi na tle boru
Odbitą twarzą słońca, tęcz, koloru?
Nie, dwór nie wróci, nikt Graala nie szuka.
To płonie zestrzał atomów wodoru;
Zbroja w rdzy; słońce — jak mówi nauka —
Bez twarzy, zmienia wodór w hel — nie lada to sztuka.

Z tej samej czystej materii słowa są Taborskiego erotyki:

moja w cichej przystani snu
moja w porannej fali przebudzenia

Darowski jest bardziej oschły i bliski sprawom codziennym. To co dzieje się w jego otoczeniu stara się zamknąć w wiersz, który jak *Z psychologii klucza* ma ciekawą budowę i symbolikę:

Jego krew jest zimna
białą manną biegunów zawiane zęby

kryją bezbożnego sofistę
handlarza pustych orzechów

Wiersz Darowskiego ma uproszczoną stylistykę i brak mu poetyckich ozdobników, pragnie on sprowadzić poezję do języka mówionego, co potęguje bezpośredniość i platykę obrazu, pozwala jednak na przemycanie prozaizmów i rozgadanych sentencji, które często rozbijają konstrukcję wiersza:

Ostatecznie, lepszy jąkała na forum niż mędrzec w muzeum, drażnią również u Darowskiego krótkie, młodopolskie sformułowania rymowane, jak:

Na koturnach-nokturnach
. . . . . .
A co zwiastował księżyc ci
księżyc ci
człap
człap
. . . . . .
Serdeczył się w obłokach.
Były strofy
antystrofy
katastrofy
nie było.

Tego rodzaju onomatopeiczne zgęszczenia o natychmiastowych rymach burzą równowagę wiersza, łamią jego współczesny rytm.

Ławrynowicz i Śmieja są w tym samym wieku, to również ten sam rocznik literacki. Ławrynowicz debiutował tomikiem *Epitafium jesieni,* a Śmieja zbiorem wierszy *Czuwanie u drzwi,* obaj w 53 roku. Ławrynowicz operuje krótkim wersetem, jego liryki są powściągliwe, ale czyste, o zgęszczonej treści, metafory zaś uszczelniają obraz:

rozwijam
płatki zmroku
odkrywam
szerszenie gwiazd

Ten rodzaj obrazowania jest charakterystyczny dla Ławrynowicza i przewija się przez całą jego twórczość:

oto ludzie
kolorowe kule
na zielonych choinkach
czasu

mówi w wierszu *Saint Mary-Le-Bow,* jednak zawsze potrafi powstrzymać się w porę, ustrzec od gadatliwości.

Śmieję należałoby właściwie charakteryzować po jego ostatnich wierszach zamieszczonych w kwietniowym numerze „Kultury". Już w wierszu *Umarłemu wczoraj emigrantowi* widzimy, że Śmieja umie zwięźle rejestrować fakty i wydobywać z prozy jej poetycki wydźwięk. Interesuje go przede wszystkim najbliższe otoczenie, krajobraz londyński i emigracyjne zaplecze:

Nie zrobił kariery
ani tu
ani tam
. . . . . .
Nie postawił trwałego pomnika

pisze on w *Umarłemu wczoraj emigrantowi,* ale tematyka jego i poetycka wrażliwość, w ostatnio drukowanych wierszach, robią olbrzymi krok naprzód. W *Angelusie,* drukowanym ostatnio w „Kulturze" pisze on:

Dziś kataklizmu nie obwieszcza anioł
trąbą ze srebra. Posłaniec burz czai
się za cienkim dzwonkiem telefonu .....

widzimy jak korzystając z tych samych elementów, Śmieja zdołał odcodziennić fakty, uogólnić je, zobiektywizować. A gdy kończy wiersz słowami:

aby wśród postaw ze spiżu odlanych
gest nie zaginął człowieczej słabości.

to widać, że poeta odnalazł swój właściwy wyraz poetycki.

Wacław IWANIUK

Zgrzebna włosienica

Roman Bratny jest bardzo płodnym pisarzem. Pisze opowiadania, powieści, scenariusze filmowe, zajmuje się — teraz już wprawdzie nie do tego stopnia, co za najlepszych stalinowskich czasów — publicystyką społeczno-kulturalną. Ma styl lekki, miejscami błyskotliwy, tematyka — zawsze atrakcyjna jak towary w

sklepach galanterii luksusowej Galuxu. Jego pisarstwo bowiem łączy w sobie dwa elementy działające jak magnes na polskiego czytelnika: współczesność i tzw. skażenie historią. Można by z tego wnosić, że Bratny jest pisarzem odważnym, który nie boi się podejmowania „trudnych i nieraz bolesnych problemów dnia dzisiejszego". Na pozór jest tak istotnie. Faktycznie zaś odwaga Bratnego jest odwagą kuglarza, uprawiającego sztuczki przy pomocy zimnych ogni. Inna sprawa, że to jest fascynujące widowisko.

Proza Bratnego jest w przeważającej mierze autobiograficzna w sensie, że używa on własnej biografii do tworzenia fikcji literackiej. Warto więc przypomnieć, że w czasie wojny walczył w szeregach AK, potem wyczuł koniunkturę i rzucił się w ramiona mianowańców z Lublina i przez długie lata grał w ich ręku rolę narzędzia do przeciągania byłych Akowców na stronę reżymu. Stąd cały szereg kompleksów, jakie się w nim zrodziły, a które znalazły swoje odzwierciedlenie w jego utworach.

„Brulion"* kontynuuje i do pewnego stopnia poszerza krąg zainteresowań, którym Bratny pozostał wierny od początku swej literackiej kariery. Kontynuuje o tyle, że mamy tu do czynienia z tematyką podzwaniającą dalekim echem spraw akowskich, poszerza zaś o tyle, że konfrontacja postaw, jaka leżała w zamyśle pisarskim, odbywa się pomiędzy ludźmi tego samego wprawdzie pokolenia, ale których powojenne życie rzuciło każdego w inną stronę świata, czas oddalił od siebie, i którzy teraz podlegają ciśnieniu różnych środkowisk.

W tym miejscu trzeba sięgnąć do fabuły. „Brulion" jest powieścią o pisaniu powieści, która się nie udała. Bohaterem obu jest pisarz polski, były żołnierz AK, obecnie zaufany członek partii. Nieudana powieść dzieje się w Wietnamie w okresie powojennego rozejmu. Druga powieść, która mówi w jaki sposób autor pisał tę wietnamską powieść i wyjaśnia, a raczej usiłuje wyjaśnić, dlaczego rzecz uległa poronieniu, dzieje się pięć lat później w czasie krótkiego pobytu autora w Paryżu.

Najpierw rozpatrzymy wietnamską powieść. Autor znalazł się w Wietnamie Południowym jako członek Komisji Rozjemczej ONZ — do której, jak wiadomo, Polska do dziś należy — i z jej ramienia, wraz z drugim Polakiem i jednym oficerem Szwedem, objeżdża forty celem lustracji więzień, gdyż „układ rozejmowy przewidywał, że nikogo nie wolno karać za działalność poprzedzającą zawieszenie broni, tymczasem... wciąż dochodziły wieści o aresztowaniach wśród dawnych partyzantów i ich rodzin". Obwozi ich po fortach żołnierz francuskiej Legii Cudzoziemskiej, specjalnie przydzielony przez Francuzów do szpiegowania poczynań misji. Francuzi, zapewnia nas autor, zastępując rzeczywistego suwerena kraju, Bao-dajowców, na każdym kroku usiłowali sabotować działalność Komisji. Niesłychanym zbiegiem okoliczności autor rozpoznaje w szoferze Jagiełłę, swego dawnego przy-

---

Roman Bratny: *Brulion*, Czytelnik, Warszawa 1962.

jaciela z powstania warszawskiego. Obydwaj jednak udają, że się nie znają. Jest więc zalążek i jednocześnie zasadniczy problem powieści, którą można by na tym tle osnuć. Bo oto jest „sytuacja... pełna prawdy o losach pokolenia... on — legionista — bojący się kompromitacji przyjaźnią z komunistą, ja — wiadomo — z kompleksem człowieka, który się boi, że „życiorys" w niego uderzy. Nie mogę się, jako oficer Komisji Rozjemczej, kompromitować przyjaźnią z własnym szpiegiem". Tak, ale jak dalej poprowadzić akcję? Jak ją zakończyć? Dla dobrego komunisty jest tylko jedno wyjście: niech Jagiełło „się nawróci" i powróci do Polski. Ale to mógłby uczynić jedynie przy pomocy swego dawnego przyjaciela, któremu wówczas cała, skrzętnie dotąd ukrywana przeszłość akowska, zwali się na głowę. W konsekwencji ruina kariery, widmo więzienia. Przed takim rozwiązaniem autor się cofa, sam sobie to tłumacząc „słabością swego charakteru" i... rezygnuje z dokończenia wietnamskiej powieści.

Ale nie tu leży pies pogrzebany. Ażeby naprawdę wyjaśnić dlaczego rezygnuje z próby „nawrócenia" przyjaciela, autor musiałby się uciec do analizy stalinowskiej Polski, pokazać na własnym losie działanie terroru, wskutek którego komunista musi gwałcić własne sumienie. Byłaby to powieść „rozrachunkowa", tymczasem w roku 1961, kiedy powstawał „Brulion", partia w Polsce orzekła, że więcej literatury rozrachunkowej już nie trzeba. Oj, zagalopował się ten Bratny, nagrzeszył tym „swoim planem powieściowym", teraz wypada mu tylko „włożyć zgrzebną włosienicę. Niech nią będzie notatnik poszukiwań klimatu... powieściowego prototypu" Jagiełły. Bo ostatecznie problemik własnego gwałconego sumienia to drobna sprawa w porównaniu ze sprawą Jagiełły. Co Jagiełło robi w Wietnamie? Jak to się stało, że bohater powstania warszawskiego, jego dawny przyjaciel, znalazł się teraz pod drugiej stronie barykady, w szeregach Legii Cudzoziemskiej, która, jak to Bratny dobrze wie z kursów szkolenia partyjnego, jest narzędziem współczesnych imperialistów do tłumienia ruchów narodowo-wyzwoleńczych.

I tu wkraczamy w drugą, paryską część „Brulionu". W Paryżu właśnie w roku 1945 przebywał autor wraz z Jagiełłą po wyzwoleniu z obozu w Niemczech. Tu więc będzie szukał „śladów autentycznego Jagiełły". To szukanie zaś będzie się odbywało na barwnie namalowanym tle perypetii łóżkowych z Joanną, przygodnie poznaną Polką malarką, z którą wybierze się na nieudany weekend do Hiszpanii, oraz ponownego spotkania z Natalią, która w czasie powstania była ukochaną autora, a teraz jest szczęśliwą żoną Niemca, którego jedynym przestępstwem jest to, że ma ojca zbrodniarza wojennego. Do tego dorzuci jeszcze sprawę niejakiego Nałowego, drugiego kochanka Joanny, „bęcwała z orkiestry 'Mazowsza', który został w Paryżu w czasie ich *tournée*" i który to „bohaterski skrzypek ulżył pęcherzowi wprost w lokalu", w następstwie czego ma sprawę przed sądem francuskim, gdzie grozi mu „wydalenie z Francji... równoznaczne z 'wydaniem go Polsce na zgubę w śnieżnym Sybirze' ". Wszystko to zaś jest

upstrzone odpryskami tzw. moralnego rozkładu Zachodu: *striptease* („Tu rozbiera się również wielki książe Włodzimierz"), pudle malowane pod kolor samochodu swoich bogatych i znudzonych właścicielek, kolacje spożywane w luksusowych lokalach na Champs-Elysées, a również — żeby obraz był zrównoważony, dalekie echo „wszystkoizmu" — „polskie bęcwały" z Klubu Kombatantów, osławionej meliny „andersowskich emerytów". Taki jest klimat bratnowskiego Paryża, mieszanka wcale ponętna dla polskiego czytelnika, wydawnictwa się na to rzucą!

Tak zatem z lubością nurzając się w trujących odmętach zachodniej zgnilizny, autor obmyśla ideologiczną sylwetkę swego wietnamskiego bohatera. Streszcza się ona po krótce do tego, że człowiek, który nie przyjął ideologii komunizmu jest skazany na nędzną wegetację w rynsztoku wspaniałego pochodu postępu. Postęp to oczywiście komunizm. „... kiedy cofa się fala historii, to, co zostawia na brzegu, może nie mieć już żadnej wartości, choćby się nazywało najpiękniej religią, wiarą, przekonaniem,... po potopie być po dawnemu religijnym, patriotycznym i td. to tylko wynik chamskiej nieruchawości wewnętrznej". Sprawa jest prosta: Polak nie-komunista nie ma nawet prawa do patriotyzmu, wszystko w co wierzy jest załgane. Wojenna nienawiść do Niemców, nie podbudowana walką klas, prowadzi nieuchronnie do sprzymierzenia się z ludźmi SS — w Legii Cudzoziemskiej, bo przecież „nienawiści mogą się porozumieć. Są wymienialne, odkąd staną się same jedyną treścią wewnętrzną".

Dobrze, a cóż wobec tego powinno być gwiazdą przewodnią człowieka, ideałem do którego winien wzdychać? Tym ideałem jest — proszę się nie śmiać — „klimat umiarkowanej niewoli" w jakiej żyje człowiek w ustroju komunistycznym, „ten klimat, w którym pozostajemy wszyscy, ludzie „normalni" (z Bratnym na czele), bo „człowiekowi jest równie źle, gdy sam przekroczy dopuszczalne granice wolności, jak gdy otoczą go zbyt ciasne granice niewoli". W ustroju Bratnego oczywiście człowiek sam nie musi się męczyć nad dokonaniem własnego wyboru, ustrój robi to za niego. Co za ulga! Przez całą historię człowiek męczył się nad rozwiązaniem tego największego problemu: jak żyć po ludzku, i oto nareszcie znalazł się ustrój, który w naukowy sposób wszystkie te moralne problemy załatwił. Trzeba być ślepym, albo świadomie pozbawionym dobrej woli, żeby tego nie widzieć i nie ugiąć się przed taką żelazną logiką. Ba! Ale jak tu „rozpisać tę historię klimatu umiarkowanej niewoli jako ideału moralnej równowagi człowieka? Będzie to 'cynizm'. Sformułowane wprost z pewnością nie przejdzie, ale wyrazić to fabułą!" Biedny Bratny, siedzi w hoteliku paryskim, czeka na Joannę i marzy: gdyby mu się udało taką powieść napisać! Klimat umiarkowanej niewoli jako ideał moralnej równowagi człowieka! Co za genialne sformułowanie! No tak, ale jeszcze się taki pisarz komunistyczny nie znalazł — a ilu próbowało! — któremu taka karkołomna impreza by się udała. Smutno, prawda? Więc co? Proste wyjście: po co się męczyć? Bratny dokonuje kolejnej *volte-face*, w jego

języku to się nazywa „bohaterski zryw ku prawdzie" i rzuca całą powieść w kąt: „Nic mnie nie obchodzą szkice rozdziałów. Stać mnie — po raz pierwszy — na to, by cisnąć zaczętą robotę, która mnie przestała interesować (!?). Interesuje mnie, kiedy będzie godzina szósta i co my zrobimy ze sobą". My wiemy, co zrobią: dadzą nura do łóżka.

W pewnym miejscu swej książki Bratny pisze: „My pisarze chcemy sprzedać wszystko, nawet chwile, gdy nie mamy nic do powiedzenia... wszelkie pamiętnikarskie b ź d z i n y to pisanie najgorsze z kiepskich". Święta racja. Ale nawet to łobuzerskie przymrużenie oka, z jakim się do tego przyznaje wdziewając na siebie „zgrzebną włosienicę" notatnika nieudanej powieści nie zaprowadzi go do nieba. O to może być spokojny.

Piotr GUZY

Pornografia a humanizm

Jak kania deszczu wyglądają Polacy na emigranci nowego Conrada. Dlatego też za każdym razem kiedy ukazuje się książka w języku angielskim, lub też w jakimkolwiek innym języku, napisana przez Polaka, oczekuje się że będzie ona nową rewelacją literacką. Rozgłos „Malowanego Ptaka"* Jerzego Kosinskiego, amerykańskiego *bestseller*'a, poprzedził publikację książki w Anglii. Pochwalne głosy witające nowy talent literacki nie powinny nam przesłaniać zawartości samej książki, a powierzchowna błyskotliwość stylu wartości literackich i ogólno-ludzkich.

Kosinski posiada dwie cechy wyróżniające go jako osobowość literacką. Po pierwsze zgrabny styl i dobra znajomość języka angielskiego, a po drugie świetne wyczucie rynku literackiego. Książka która jest *par excellence* katalogiem okropności, rozgrywającym się na egzotycznym tle kraju niemal nieznanego na Zachodzie, „gdzieś we wschodniej Europie", jest sensacyjnym połączeniem sadyzmu i sexu, a więc trafia w sedno obecnego kręgu dyskusji podnieconej popularnym wznowieniem wydań de Sade'a, dyskursów w najwyższych sądach wielu krajów nad tym gdzie leży granica pomiędzy literaturą a pornografią, i tp. Żaden wydawca nie może stracić na wydaniu tej książki.

Sprzedawanie niesamowitych historyjek Amerykanom i Zachodowi nie jest, jak wiadomo, zadaniem niemożliwym. Parę lat temu inny z naszych dzielnych rodaków, Adamski, wydał książkę która zawierała zestawienie pojawień się wszystkich latających

* Jerzy Kosinski, *The Painted Bird*, W. H. Allen, London, 1966. — *L'oiseau bariolé*, Flammarion, Paris 1966.

talerzy i Marsjan. Zestawienia te miały dokumentacje zaprzysiężonych świadków i tych którzy mieli okazję rozmawiać z Marsjanami. Nie trzeba dodawać że książka miała ogromne powodzenie.

Kosinski nie posuwa się aż tak daleko. Opisuje on historię sześcioletniego chłopczyka którego rodzice wysłali na wieś w momencie wybuchu drugiej wojny światowej. Chłopca powierzono opiece bliżej nieznanego osobnika, który miał go oddać z kolei pod opiekę rodzinie na wsi. W potęgującej się zawierusze wojennej rodzice stracili kontakt z dzieckiem, jego opiekunka zmarła i chłopiec został sam, błąkając się w poszukiwaniu jedzenia i schronienia. Wszystkie te fakty podane są w bardzo krótkiej przedmowie po której następuje opis wędrówek dziecka wśród wrogich mu ludzi. Powodem tej wrogości było to, jak się czytelnik dowiaduje, że chłopak urodzony w „dużym mieście zachodniej Europy" miał ciemną skórę, ciemne oczy i włosy. Jego opiekun powiózł go na wschód, do „kraju rozległych bagien i trzęsawisk" (odnotujmy że autor nie podaje żadnych nazw) i zostawił go w okolicach gdzie chłopi, i to wszyscy bez wyjątku, mieli jasną skórę i włosy i niebieskie lub szare oczy. Dlatego też ludność miejscowa uznała że chłopiec jest albo Cyganem albo Żydem, a skoro przechowywanie Żydów i Cyganów było zakazane i pociągało za sobą prześladowania hitlerowców okupujących kraj, chłopi w najlepszym wypadku nie tylko unikali go, ale w większości wypadków starali się zrobić mu krzywdę. Sprawę pogarszało również to że poprawny „miejski" język chłopca był zupełnie niezrozumiały dla otaczających go chłopów. Reszta książki obejmuje makabryczne opowiastki przeżyć i przygód chłopca, opisy tego co widział, słyszał, co zrobił i co jemu zrobiono. Tutaj, w parujących błotach wschodnio-europejskiej głuszy odciętej od reszty świata, toczy się życie nietknięte cywilizacją niemal nie zmienione od stuleci. Tutaj, pomiędzy tymi bez wyjątku płowymi, niebieskookimi chłopami, panuje zabobon, okrucieństwo, lęk i okropność na okropności, okropność *ad nauseam*, okropność *ad infinitum*.

Nic dziwnego że recenzent cytowany na obwolucie książki milutko stwierdził że „ta sensacyjna historia pewnego chłopczyka... jest bardziej wstrząsająca niż katalog okropności hitlerowskich, być może dlatego, że nawet teraz jest trudno pojąć, że zaledwie parę lat temu istniał cały obszar w sercu Europy który nieomal nie rozwinął się od średniowiecza". Oczywiście trudno jest to zrozumieć, tak jak trudno jest zrozumieć zasięg przerażająco ponurej wyobraźni Kosinskiego. Książka napisana jest w pierwszej osobie. Nigdzie nie jest powiedziane że jest to autobiografia, chociaż wiadomo jest że autor sugerował to w swych wypowiedziach poza-literackich. Również, nie jest powiedziane, że akcja rozwija się w Polsce, choć jest to raczej oczywiste. Jeśli książka miała być autobiografią i miała rozwijać się w Polsce, jest ona po prostu nie prawdziwa. Od początku powinno się jasno powiedzieć, że kluczowe dla oceny tej książki jest rozgraniczenie między kłamstwem a fantazją.

Wordsworth pisał:

Discourse was deemed man's noblest attribute
And written words the glory of his hand.
Then followed printing with enlarged command
For thought — dominion vast and absolute
For spreading truth and making love axpand.

„Malowany Ptak" odbiega niewątpliwie daleko od ideałów Wordsworth'a. Jeśli nawet celem autora nie musi być „szerzenie prawdy i krzewienie miłości" i jest on w pełni uprawniony do własnych wzlotów fantazji, pewna doza odpowiedzialności powinna przysługiwać drukowanemu słowu, które stanowi *enlarged command for thought:* tego rozszerzonego królestwa myśli. Kosinski ze swą ponurą wyobraźnią i brakiem odpowiedzialności wyrządził krzywdę tym wschodnio-europejskim bagnom i ludziom którzy tam żyją. Jeśli nawet kraj, miejscowości i ludzie nie są bardzo realni, jednak przez okrężną sugestię wywołuje się wrażenie, że takie miejsca istnieją. Autor recenzji cytowany na obwolucie, aby dać jeden przykład, musi być jednym z wielu którzy przyjęli fantastyczny świat Kosinskiego za realny. Dużo czytelników zostanie umocnionych w ich i tak głęboko zakorzenionym podejrzeniu że Europę wschodnią zaludniają barbarzyńcy.

Na przykład Marta, z którą na początku chłopiec mieszka, zabrania mu patrzyć się prosto w oczy, ponieważ czarne oczy mogą spowodować poważną chorobę, zarazę lub śmierć.

Olga-Znachorka, kobieta z innej wioski u której chłopiec mieszkał, dysponuje całą złożoną wiedzą leczniczą. Na przykład, kiedy człowieka bolą uszy przemywa je olejkiem kminkowym, po czym wkłada kawałek płótna zwiniętego w trąbkę i namoczonego w gorącym wosku, i zapala płótno które pali się we wnętrzu ucha. Opis ten znajduje się na dwudziestej stronie książki; po której następuje jeszcze sto osiemdziesiąt osiem stron wątpliwych medycznych i innych rewelacji.

Zdaniem żony kowala, najlepsze lekarstwo na ból żołądka uzyskuje się z dwunastu dużych wszy zagniecionych w cieście, do którego dodaje się trochę ludzkiego i końskiego moczu, dużą ilość gnoju, zdechłego pająka i szczyptę odchodów kocich. W wypadku kiedy to lekarstwo nie pomaga robi się inną mieszankę. Do końskich kości zmielonych na mączkę dodaje się filiżankę pluskiew i mrówki polne, po czym jaja kurze i nieco nafty.

Tego typu domowych przepisów i recept jest wiele w „Malowanym Ptaku", co więcej mamy się nimi przejmować, traktować je jako wstrząsający dokument obyczajowy a nie jako „wypisy" ze średniowiecznych tekstów medycznych czy też wyciągów ze studiów socjologicznych przez skrzętnie gromadzących okropności studentów socjologii.

Fantazja Kosinskiego rozmija się nawet z pozorami prawdy i uważny czytelnik może łatwo stwierdzić, że narrator nie był

naocznym świadkiem wielu z opisywanych przez siebie wypadków. Na przykład, czytamy o rybie, z której wyjęto pęcherz, ogromny jak balon, na którym później płynął siedmioletni chłopiec wrzucony do rzeki. Gdzie we wschodniej Europie znaleźć można rybę z pęcherzem tego rozmiaru? A także jak mógł chłopiec utrzymać się i płynąć na okrągłym i śliskim przedmiocie? Lub też w innym miejscu chłopiec ukrywa się przed atakami złego psa w krzakach i syczy, a pies ucieka w przekonaniu że ma do czynienia z wężem. Psy zazwyczaj odróżniają węże od małych chłopców nietyle dzięki dźwiękom jakie wydają, co przy pomocy węchu.

Inne dziwne zjawisko biologiczne nastąpiło w opuszczonym bunkrze, który chłopiec znalazł w lesie. Był on pełen szczurów które rozmnażały się coraz więcej zjadając się wzajemnie. Zainteresowanych czytelników, którzy chcieliby dowiedzieć się szczegółów jak dorosły człowiek wtrącony przez siedmioletniego chłopca do bunkra po paru minutach zamienia się w doszczętnie obgryziony szkielet odsyła się do książki.

Następujące wydarzenie wykazuje może najlepiej istotę makabrycznej wyobraźni Kosinskiego. Chłopiec który wędruje od jednej wioski do drugiej, z rąk do rąk, na pewnym etapie swej tułaczki mieszka z młynarzem i jego żoną. Młynarz zazdrosny o żonę, którą podejrzewa o zdradę z parobkiem, zaprasza go na kolację, po której atakuje go, przypiera do ściany, i „szybkim ruchem, takim jakim kobiety zwykły wydłubywać zgniłe plamy z obieranych ziemniaków, zanurzył łyżkę w oko chłopaka i przekręcił. Oko wyskoczyło z twarzy jak żółtko z rozbitego jaja i stoczyło się po ręce młynarza na podłogę... Wtedy pokryta krwią łyżka zanurzyła się w drugie oko które wyskoczyło jeszcze szybciej. Przez chwilę oko zatrzymało się na policzku chłopaka jak gdyby niepewne co robić, po czym spadło z koszuli na podłogę".

Wypadek ten, jak i wiele podobnych opisanych, nie wywołał żadnego zdziwienia wśród mieszkańców, nie mówiąc już o jakiejkolwiek formie oburzenia czy protestu moralnego. Statystycznie rzecz biorąc, kraj o takim nasileniu zbrodni jest równie prawdopodobny jak wyżej wzmiankowana kolonia szczurów w bunkrze zjadających się i rozmnażających się przez wzajemne pożeranie.

Wszystkie opisane wypadki nie łączą się z sobą w żadną logiczną całość, są one połączone tylko osobą chłopca, który je napotyka. Nie jest on jednak wyłącznie biernym świadkiem wydarzeń. Lubuje się bowiem w podglądaniu przez dziurki od klucza, szpary w podłodze i zza krzaków. Nie robią one jednak na nim specjalnego wrażenia. Ma on fotograficzną pamięć gdy chodzi o szczegóły najbardziej wymyślnych okrucieństw i w drobiazgowym opisie gwałtów i zboczeń seksualnych. Najwymyślniejsze opisy sodomii w tej książce są podane przez autora w podobny sposób jak mające przecież zupełnie inną wagę historyczną opisy transportu do komór gazowych czy opisy gwałtu całej wsi przez oddział Kałmuków. Opisów okrucieństw i okropności jest w literaturze dużo, w szczególności ostatnia wojna wydała ich spory

zbiór. Co wydaje się najbardziej odrażające w książce Kosinskiego to jest jego bezwzględne, zgoła nieludzkie, podejście do tych spraw. Porównajmy to podejście autora z poniższym cytatem wziętym z głęboko uczulonego na dolę ludzką Tadeusza Borowskiego:

> „Para ludzi padła na ziemię, spleciona w rozpaczliwym uścisku. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębem chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni aż przyduszona butem rzęzi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Inni niosą dziewczynkę bez nogi: trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepcze żałośnie: „Panowie, to boli, boli..."

Zamiłowanie Kosinskiego do pornografii i wynaturzonego okrucieństwa nie może dać humanistycznego wydźwięku czasów pogardy. Akcja książki dzieje się podczas ostatniej wojny światowej w okresie kiedy Żydzi i Polacy byli likwidowani w najbardziej bestialski sposób. Gdybyśmy mieli wypadki te sądzić na podstawie tej książki, bestialstwa niemieckie byłyby fraszką w porównaniu z tym co wieśniacy wyrządzali sobie wzajemnie i bez specjalnego związku z toczącą się gdzieś daleko wojną. Można by nawet powiedzieć że indywidualni Niemcy mogli uważać, że są usprawiedliwieni częściowo przez ideologię, która rządziła ich państwem. Paru z niewielu Niemców przedstawionych w tej książce jest nawet postaciami dodatnimi. Jeden z nich ocala życie chłopca, inny, niemiecki oficer, wydaje mu się nawet postacią godną naśladowania. Z takich przesłanek wychodząc można łatwo dojść do wniosku że kraj taki nie zasługuje na lepszy los niż wyswobodzenie przez zwycięską armię sowiecką. Iluż zachodnio-europejskich intelektualistów pokrywa swe wątpliwości na temat słuszności postępowania komunizmu w Europie wschodniej tego rodzaju argumentami!

Niektórzy krytycy usiłowali nadać tej książce głębsze humanitarne wartości, mówiąc o zdolności ludzkiego umysłu do przetrwania wbrew wszystkiemu, o możliwości zachowania godności człowieka, i td. Ale bierna, podglądająca, bezimienna postać osadzona w ponurej bajce nie napawa nas sympatią do rodzaju ludzkiego.

Jeśli chcielibyśmy tę książkę zakatalogować to umieścilibyśmy ją w dziale chorobliwej, ponurej fikcji. Ale ponieważ aspiruje ona do rangi dokumentu historycznego i autobiograficznego, a jednocześnie zawiera tendencyjne i złośliwe inwektywy pod adresem Polski i Polaków, jest obowiązkiem recenzenta wskazać na fakt, że jest to powieść oscylująca między prawdą a fantazją w taki sposób, że należałoby ją określić jako świadome lub nieświadome kłamstwo.

Magdalena CZAJKOWSKA

O Żeromskim we Francji

Francuscy krytycy *Quo Vadis?* zarzucali dziełu Sienkiewicza brak charakteru narodowego (egzotyki polskiej!), ale *Trylogia* i *Krzyżacy,* na wskroś narodowe powieści, nie zostały we Francji ani ocenione ani docenione i *Quo Vadis?* pozostał symbolem literatury polskiej, jej „strachem na wróble". Starania Polski Odrodzonej nie zdołały przełamać oporów.

Przekładano w owych latach *Żywe Kamienie* Berenta, *Na Kresach Lasów* Sieroszewskiego, *Placówkę* Prusa, *Pana Tadeusza* w tłumaczeniu Paul Cazin'a, prozę Norwida — próbowano różnych egzotyzmów. Seria polskich tłumaczeń firmowana przez N.R.F., a subwencjonowana przez polską ambasadę, pozbawiona dzięki temu wydawniczej reklamy, przeszła niepostrzeżenie. Pierwsze tłumaczenia Żeromskiego zbiegły się z ostatnimi pomrukami ofensywy anty-*Quo Vadis?* (1902) i jeszcze po latach pomstowano na „nieznośnego" i „ponurego *(insupportable et morne)* Sienkiewicza. Najpiękniejsze nowele Żeromskiego jak *Do swego Boga, Cokolwiek się zdarzy..., Godzina, Rozdziobią nas Kruki i Wrony, Echa Leśne* w tłumaczeniach W. Gasztowtta, Jana Lorentowicza, Marii Rakowskiej, Paul Cazin'a i in., drukowane w *Bulletin Polonais* i efemerycznych czasopismach francuskich nie zwróciły niczyjej uwagi. Mortkowicz wydał w tłum. francuskim Dunin- Karwickiego *Powieść o Udałym Walgierzu* i *Wisłę* (1923-1924), *Wybór Pism (Pages Choisies)* wydało towarzystwo „Les Amis de la Pologne" (1926), adaptacja *Popiołów* wyszła u Payota w 1930. Oto wszystko co zrobiono we Francji dla pisarza, który naznaczył dwa pokolenia swoją osobowością i swoim stylem. Czy był najlepszym polskim pisarzem swego czasu, czy tylko jednym z najlepszych? Był na pewno najbardziej ważkim i znamiennym zjawiskiem w literaturze polskiej na przełomie wieków. Czy można przekazać Żeromskiego cudzoziemcom w przekładzie choćby bardzo dobrym? Chyba nie. Ta niemożność polega nie tylko na właściwościach jego stylu dla współczesnego czytelnika często nie do zniesienia, ale też na zaszyfrowaniu jego dzieła podobnie jak większości polskiej literatury. Twórczość Żeromskiego wymaga komentarzy. Tołstoj i Dostojewski obyli się bez nich, bo byli innej miary. Sam Żeromski wyznał kiedyś z właściwą mu skromnością, że dążenia narodowo-społeczne psuły wartość artystyczną wszystkich jego dzieł. Ale czy tylko *Quo Vadis?* zniechęciło Francuzów do literatury polskiej? Czy nie znacznie dawniej już znużył ich los kraju wiecznej klęski i mimo bitności trwającego stale pod obcą przemocą? Jego skargi powtarzane od blisko dwu wieków?

Obiegowy frazes o Polsce szlachetnej i nieszczęśliwej pokry-

wał powszechną obojętność Francuzów w stosunku do nas, obojętność i pełną ignorancję tak dziejów jak i geografii Polski. Na wstępie *Ubu-Roi* Jarry'ego czytamy: „Rzecz dzieje się w Polsce to znaczy nigdzie *(... Ça veut dire nulle part")*. Zainteresowanie Zachodu twórczością Polski Ludowej zawdzięczamy nie tylko nowym ważkim talentom pisarskim, ale też zmianie koniunktury, nowością problemów wynikłych w krajach skomunizowanych a związanych z kulturą Zachodu, zależnością Polski od zawsze tajemniczej Rosji.

A jednak, w 40 blisko lat po śmierci Żeromskiego Irena Kwiatkowska Siemieńska podjęła się trudnego zadania wyrąbania we Francji ścieżki nieznanemu pisarzowi. Jej teza doktorska pt. *Stefan Żeromski — la nature dans son expérience et sa pensée (Przyroda w Doświadczeniu i Myśli* Stefana Żeromskiego)* to owoc rozległych badań, ten temat nie był opracowany dotychczas tak systematycznie i wszechstronnie nawet w Polsce.

Najczystszym źródłem natchnienia Żeromskiego, tłem barwnym i leitmotywem, skarbnicą obrazowania była mu przyroda od dzieciństwa do śmierci. Przy tak nierównej pod względem artystycznym twórczości — celował w opisach przyrody. Była mu opiekunką, pocieszycielką, mistrzynią, drogą obcowania z nadprzyrodzoną tajemnicą stworzenia, środkiem poznania Boga.

Pani Siemieńska, wybierając ten właśnie temat podjęła się zanalizowania korony dzieła Żeromskiego. I-sza część to szkic biograficzny pisarza w komunii z przyrodą, jego dar porozumiewania się z nią, nabyty od lat najmłodszych. To porozumienie odnajdujemy w całej jego twórczości, pośród zmagań i trudów, w szczęściu i klęsce aż do rezygnacji późnego wieku, do hołdu złożonego borom ojczystym w *Puszczy Jodłowej*.

Może nieco za dużo miejsca poświęciła tu autorka miłostkom młodzieńczym pisarza, ich szczegółowe opisy, wyjęte z *Dziennika*, nie wyróżniają się oryginalnością.

W II-giej części przedstawia nam pani Siemieńska drogi myśli Żeromskiego na podstawie licznych przykładów z jego dzieł: problem życia i śmierci, zła i dobra, dynamiki przyrody, roli człowieka w dziele tworzenia, wykorzystując przy tym najnowsze metody analityczne pobudek twórczych i wrażliwości wobec świata zewnętrznego Gaston Bachelard'a, oraz znaczenie pamięci, dopełniającej chwilę bieżącą, pojęcie rozwinięte przez Georges Poulet'a.

Ostatnie rozdziały naświetlają stosunek religijny Żeromskiego do wszechświata, stosunek mimo pozorów nie panteistyczny, bo nasycony tęsknotą Boga osobowego i życia pozagrobowego. Brak tu niestety wzmianki o znamiennej ze względów religijnych noweli „Złe Spojrzenie", napisanej po śmierci syna, a także o rozważaniach pt. „Z ostatnich notat" („Elegie", wyd. pośmiertne, 1928) o potędze modlitwy i znaczeniu cierpienia. Analiza bólu i grozy, tak właściwych całemu dziełu Żeromskiego elementów stanowi treść ostatniego rozdziału. Pesymizm autora *Rozdziobią*

* A. G. Nizet, Paris 1964, str. VII plus 256.

nas Kruki i Wrony nie był, zdaniem pani Siemieńskiej, nigdy pesymizmem bierności, a jakby odwrotną stroną jego żywotności, postawą walki i oporu, nie była to nigdy negacja a przeciwnie afirmacja życia pomimo czy raczej na skutek jego tragizmu.

Książkę dopełniają cenne indeksy i bibliografie.

◆

„Pierwszą zasługą pani Siemieńskiej — pisze prof. Jean Fabre w przedmowie — to, że dostarczyła doskonałe narzędzie pracy tym, którzy będą chcieli zapoznać się wreszcie z genialnym ale trudnym dziełem wielkiego powieściopisarza. Ta książka wprowadzi ich od razu w sedno zagadnienia".

Dla tych co będą chcieli zapoznać się z trudną twórczością Żeromskiego, amatorów literatury polskiej lub jej badaczy, narzędzie to będzie cenne, ale czy doskonałe? Autorka pragnąc wykorzystać ogrom przezwyciężonego materiału a także rozległą znajomość dzieła Żeromskiego przeładowała swój wykład cytatami na jego poparcie lub udowodnienie. W tym skłębieniu przykładowych tekstów samego Żeromskiego, dopełnionych cytatami z dzieł filozoficznych, fragmentów poetyckich, rozważań historycznych gubi się myśl przewodnia a czytelnik uchwyciwszy jej wątek traci go niebawem i odnajduje z trudem.

Jean Fabre wyraża się też z wielkim uznaniem o wartości tłumaczeń przytoczonych w tekście. Wartość ich jednak jest bardzo nierówna. Obok dłuższych ustępów, jak np. opis połowu krewetek — str. 92 (z *Nawrócenia Judasza)*, albo hołd złożony Francji — str. 95 (ze *Wspomnień)*, a także dłuższy ustęp z *Wiatru od Morza* (str. 144-146) i z *Puszczy Jodłowej* (str. 171) — spora część przytoczonych fragmentów wyszła nieudolnie. Oddać barokowy język Żeromskiego, rytm i napięcie jego stylu, wymaga to kongenialnej umiejętności władania językiem francuskim. Czesław Miłosz, tłumacz doświadczony, w przedmowie do zbiorowej pracy kilkudziesięciu poetów francuskich, wyjątkowo udanego osiągnięcia traduktorskiego* wyjaśnia właściwości polszczyzny dla tłumacza nieraz nieprzezwyciężalne: wielkie bogactwo słów oddających doznania zmysłowe, dźwięki, barwy, światło, obfitość nazw zwierząt i roślin, świadczące o bliskim zżyciu się z przyrodą, przy jednoczesnej nieudolności w oddaniu pojęć abstrakcyjnych. O ile przez zrozumiałą sumienność tłumacz poświęca piękno na rzecz wierności, zdradza tłumaczonego autora, bo cudzoziemiec nie dopatrzy się poezji ani kunsztu metafory w dziwolągach dosłownego przekładu. „Głód zagłębia we mnie szpony" *(Dziennik,* t. III, str. 90) — „La faim enfonce en moi ses griffes" — str. 65 — tak nie powie najgłodniejszy Francuz!

O polach drogich Sandomierszczyzny pisze Żeromski: „... wieczorem, spracowane... tulące się w ramiona tumanów mglistych" *(Dziennik,* III, 155) — „... le soir, recrus de fatigue... s'abandon-

* *Anthologie de la Poésie Polonaise*, Ed. du Seuil, 1965.

nent aux bras des brouillards" (str. 69). Te „ramiona tumanów" budzą w języku francuskim niezamierzone skojarzenia. I jeszcze z *Dziejów Grzechu:* „... jak stęsknione płuca wciągają radosne powietrze wiosennego poranka" (t. I, str. 33) — „... comme le poumon nostalgique aspire l'air joyeux..." (str. 112) — Bywa *poumon d'acier* w szpitalach, ale nie ma *poumon nostalgique!*

Podobnie tytuły dzieł Żeromskiego tracą w tłumaczeniu dosłownym na język pozbawiony przypadków z obowiązującym uciążliwym rodzajnikiem całą swą magiczną zwartość. *Rozdziobią nas Kruki i Wrony...* to *Les Corbeaux et les Corneilles nous dévoreront!..*

Uroda Życia — La Beauté de la Vie, Dzieje Grzechu — L'Histoire d'un Péché — i wiele innych tytułów wymagałyby wolnego przekładu w duchu języka francuskiego.

Obrazując patriotyzm Żeromskiego, jego ludzką solidarność z człowiekiem poniżonym, współczucie z każdą krzywdą, tak ludzi jak i zwierząt, wpada autorka chwilami w polskie cierpiętnictwo, w uprzykrzone klisze Polski ukrzyżowanej, umęczonej, nieszczęsnej, przypomina stopięćdziesiąt lat niewoli i niedoli. Ten problem wymagałby, jak mi się zdaje, innego naświetlenia. W Polsce pod trzema zaborami człowiek przemyślny umiał zawsze się urządzić i przeżyć swoje lata wygodnie albo i zasobnie, o tym świadczą powieści współczesne a zwłaszcza *Dziennik* samego Żeromskiego (opisy dworów szlacheckich, które poznał jako nauczyciel domowy). Cierpieli „za naród" nieliczni, jak zawsze, jak wszędzie i tylko nieliczni podejmowali walkę z niewolą i ludzką krzywdą.

„W razie ataku na beztroskliwość, lekkomyślność, próżniactwo" — pisał Brzozowski w pierwszych latach naszego wieku — „wywoływano wnet krwawe i żałobne mary, widmo Reytana strzegło progu każdej polskiej spiżarni i każdej narodowej alkowy..." Oszczędźmy cudzoziemcom tych widm i tego retuszowanego obrazu Polski!

W pracy przeznaczonej dla czytelnika francuskiego lepiej unikać nadmiaru nazwisk i nazw polskich, ograniczając się do nieodzownych. Francuzi nie umieją tych nazw ani odczytać, ani wymówić. Autorka przytacza ich mnóstwo m.in. wszystkie wioski w których Żeromski przebywał jako kilkoletnie dziecko (Strawczyn, Masłów, Ciekoty...) a też pagórki lasy i rzeki z którymi miał coś wspólnego to zbyteczny balast. Pani Siemieńska zdradza ponadto właściwą nam zachłanność na sławnych ludzi. Wymieniając wielkiego filozofa francuskiego Henri Bergsona dorzuca *en passant:* „rodził się — przypominamy — z ojca Polaka".

Wspominając etykę Nietzschego dodaje: „... w żyłach jego — jak wiadomo — krążyła bujna krew polska" *(le tumultueux sang polonais).* Już lepiej pozostać w rodzinie europejskiej uboższymi krewnymi, a nie powoływać się na wątpliwe lub zamierzchłe koligacje!

W rozdziale X pt. *Le Divin et le Monde* (Boskość i Świat) autorka rozważa zjawisko sakralizacji świata zewnętrznego, będącej jakoby szczególną cechą umysłowości słowiańskiej. Wywód swój podpiera tekstami Żeromskiego (z *Godziny* i *Puszczy Jodłowej)* i sięga nawet do Wykładów o Literaturze Słowiańskiej Mickiewicza. „U Słowian" — twierdził poeta — „instynkt boski, geniusz, Duch jest chyba bardziej rozwinięty aniżeli w jakimkolwiek innym ludzie, stąd ta sympatia dla wszystkiego co jest religijne, głębokie, wzniosłe... Każdy prawdziwy chłop słowiański jest spirytualistą..."

Wielki poeta przed z górą stu laty pozwolił sobie na podobne dowolności i mesjanistyczną egzaltację, ale tego rodzaju wypowiedzi nie mogą służyć jako materiał dowodowy dla tezy pani Siemieńskiej, czytelnika zaś francuskiego raczej ubawią ale nie przekonają o powszechnym spirytualiźmie chłopów słowiańskich.

◆

Narzędzie pracy, które p. Kwiatkowska-Siemieńska przeznaczyła dla Francuzów, będzie może bardziej służyło Polakom we Francji, nauczycielom języka polskiego i lektorom, przypominając im wielkiego i usuniętego dziś w cień pisarza.

Maria CZAPSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

POMIAN-POŻERSKA (Alicja). *Najlonowe skrzydła.* Poezje. Ilustrowane drzeworytami Stefana Mrożewskiego. Wstęp L. Dudarew-Ossetyńskiego. Str. 233 i 7 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965, staraniem Komitetu grupy Polaków przy Instytucie Międzynarodowym w Oakland, Cal. U.S.A.).

JENNE (Józef B.) *O ideowy profil emigracji.* Str. 75 i 3 nlb. (Nakładem autora, Londyn, 1966).

CROCE (Elena). *Wspomnienia rodzinne.* Str. 84. Przekład z włoskiego Teresy Jeleńskiej. (Wyd. „Libella", Paryż, 1966).

CIOŁKOSZ (Adam). *Kilka słów wyjaśnienia* w sprawie scalenia Obozu Niepodległościowego. Str. 23. Nakł. Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, Londyn, 1966).

Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland published outside Poland since Septembre 1-st, 1939. Compiled by the late Janina ZABIELSKA (1962) continued and supplemented by Maria L. DANILEWICZ and Halina CHOYNACKA. Vol. III: 1958-1963 and Supplements to 1939-1957 (Nr 1—4120). Str. 696. (Powielacz, The Polish Library, 9, Princes Gate, S.W.7, London, 1966).

Sacrum Poloniae Millennium. Rozprawy — Szkice — Materiały historyczne. Tom XI. Str. 803 i 5 nlb. (Rzym, 1965).

KALINOWSKI (Georges). *Initiation à la philosophie morale* à

Humor krajowy

BYWALCY WARSZAWSKICH KAWIARNI OPOWIADAJĄ:

że, podobno Kardynał Wyszyński wszystkie swoje kazania zaczyna od słów: Bracia w Chrystusie i wy, delegowani z Urzędu...

◆

że na konferencji polskich ekonomistów w Warszawie zastanawiano się w jaki sposób podnieść wartość złotówki. Wysuwano różne projekty w końcu jeden z ekonomistów powiedział: według mnie jedynym niezawodnym sposobem będzie wywiercenie czterech dziurek w każdej złotówce i sprzedawanie ich jako guziki po 1 złoty 50 groszy.

◆

że w czasie ostatniego pobytu w Paryżu Zenon Kliszko został przyjęty przez generała de Gaulle'a. Omówiwszy bieżące sprawy obaj mężowie stanu chwalili się osiągnięciami w swoich krajach. W końcu Kliszko powiedział:
— Wie Pan, Panie Prezydencie, że u nas nie ma analfabetów!
— Naprawdę? — zdziwił się de Gaulle. — Bo u nas są — ale nie w rządzie...

◆

że w Polskiej Republice Ludowej Polacy dzielą się na trzy kategorie: bojowi, liniowi i kaleki.
Bojowi to tacy co wszystkiego się boją;
liniowi to ci, co zawsze przestrzegają linii partyjnej;
kaleki zaś dzielą się jeszcze na dwie grupy: ci co mają plecy — nie mają głowy, a ci co mają głowę — nie mają pleców.

◆

że drogę Gomułki — od roku 1956, kiedy to naród widział w nim obrońcę przed imperializmem moskiewskim, do ostatnich czasów, kiedy to stał się pierwszym lokajem Moskwy we wszystkich dziedzinach — najlepiej oddają nazwy, nadawane mu przez szeroką publiczność. W 1956 roku mówiono o nim „Wiesio" około r. 1959 — „Proboszcz". Ostatnio zaś mówi się o nim po prostu „Baran". Podobno nawet stało się to tak powszechne, że należy w miejscach publicznych bardzo uważać, jeżeli mówi się o kimś

— baran, bo moczarowa policja wie dobrze komu przylepiono ten epitet i zaraz wtrąca się do rozmów w sposób często groźny dla uczestników.

◆

że wkład Dwudziestolecia Polski Ludowej do tysiącletniej historii Polski ilustruje poniższy millenijny wierszyk:

„Od Piasta Kołodzieja
Do k.... i złodzieja"

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pyt.: — Jaka jest różnica pomiędzy opium a polską myślą ekonomiczną?
Odp.: — Nie ma żadnej różnicy — jedno i drugie jest produktem niedojrzałych makówek.

WESTCHNIENIE POLAKA

Trzymają nas krótko, ale dlaczego tak długo...

PYTANIA DO RADIA ERYWAŃ

— Czy to prawda, że kardynał Wyszyński trzecią część Polski oddał Niemcom?
— Prawda, tylko nie trzecią część, ale połowę. I nie kardynał Wyszyński, ale prokurator Wyszynski. I nie oddał, ale zabrał. I nie Niemcom, ale Związkowi Radzieckiemu...

ANEGDOTY PRZYSZŁOŚCIOWE

Zima. Rok 1975. Obóz koncentracyjny pod Pekinem. Przed barakiem w podartych fufajkach stoją Breżniew i Gomułka; trzęsąc się z zimna spoglądają tęsknie na Zachód. W pewnej chwili Breżniew powiedział:
— Wiecie towarzyszu Wiesławie, wydaje mi się teraz, że myśmy jednak przecenili niebezpieczeństwo zachodnio-niemieckie...

◆

Rok 1985. W niebie znaleźli się razem prez. Johnson, Kosygin i Gomułka. Ponieważ wszyscy bardzo dobrze się sprawowali pewnego dnia pozwolono im spojrzeć na ziemię — na ich kraje.
Pierwszy Johnson spojrzał na New York. Miasto było ciemne, ani jednego światła, nie widać nic. — O Boże, westchnął prezydent — nie ma wątpliwości w Stanach Zjednoczonych zwyciężył komunizm.
Drugi z kolei Kosygin spojrzał na Moskwę — miasto jarzyło się od świateł i różnokolorowych neonów. — Tak, tak, powiedział Kosygin — przegraliśmy, jasne jest, że w Związku Sowieckim przywrócono kapitalizm. —
Ostatni był Gomułka. Zapragnął zobaczyć Częstochowę. Spojrzał i przetarł oczy: miasto jakieś ogromne, oświetlone, przed klasztorem nieprzejrzane tłumy, to właśnie Cyrankiewicza obierano królem Korony Polskiej...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Sidcup, 14 maja 1966.

Szanowny Panie Redaktorze!

Polska kultura była przeważnie odbiciem kultury zachodniej, zaczynając od najwcześniejszych czasów, a kończąc na teraźniejszych. Źródła gotyku, baroku, literatury renesansowej, malarstwa nowoczesnego, a w końcu najwspanialszej, włącznie z „Wieszczami" literatury romantycznej tkwią na Zachodzie choć przystosowane były do naszych potrzeb i warunków. Postronna osoba, np. Azjata, studiujący te zjawiska kulturalne sięgnie do źródeł zachodnich, bo tam te prądy kulturalne powstały.

Powyższe stwierdzenie jest wprowadzeniem do odpowiedzi „Londyńczykowi" na jego artykuł „Wielki Świat i Prowincja".

Pomimo znanych pisarzy piszących na łamach „Kultury", pismo to ma swe korzenie na Zachodzie i przez prasę zachodnią będzie uznawane zawsze za pismo prowincjonalne, choć egzotyczne.

Czy „Wielki Świat" ma rację, trudno dociec.

O jakości pisma decydują jego czytelnicy obojętnie czy są oni Polakami, Anglikami czy też Norwegami i czy reprezentują kilka tysięcy czy milionów. Dzieła Hamsuna Knuta pisane początkowo w języku używanym przez kilka milionów ludzi stały się klasykami światowymi. Nie wątpię, że jeśli „Kultura" wydrukuje artykuł pierwszej klasy stanie się on znany na całym świecie.

Dla czytelnika wychowanego na polskiej pożywce kulturalnej „Kultura" będzie miała większą wartość aniżeli najlepsze pisma obce i odwrotnie, czytelnik angielski będzie sobie bardziej cenił pisma angielskie od „wysokopoziomowej" „Kultury".

Ja, choć mógłbym czytać łatwo pisma angielskie, czytuję „Kulturę" dlatego, że informuje mnie o świecie po polsku i pod kątem spraw polskich.

Wątpię czy Anglicy czytaliby „Kulturę" wydawaną nawet po angielsku. „Kultura" wydawana w innym języku aniżeli polski, musiałaby zbankrutować i cała redakcja, włącznie z pieskiem, musiałaby iść sprzedawać lody.

Pozwólmy obcym ocenić czy „Kultura" jest pierwszą czy trzecią klasą — prowincją czy metropolią. Nie chwalmy się sami. „Prowincja" będzie zawsze prowincją a „Wielki Świat" wielkim światem. Natomiast trąbienie pochwalne „Londyńczyka" na cześć własnego pisma ma swoją przykrą wymowę, szczególnie po bezceremonialnym zdegradowaniu Reymonta.

Kwestia „rangi" Żeromskiego i Reymonta to kwestia wyłącznie upodobań czytelnika. Nazwanie „Chłopów" beznadziejnymi świadczy o lekkomyślności. Nie dziwmy się jeśli obcy zaliczą „Kulturę" do niższej „rangi".

Czyta się tylko listy pochwalne do redakcji. Proszę przyjąć, z głębokim szacunkiem dla Pana i Pańskiego pisma, tych kilka cierpkich zdań.

A. BIELIŃSKI

◆

Londyn, 10 czerwca 1966 r.

W. Szanowny Panie Redaktorze,

Pisarze na Zachodzie mają wielki przywilej dla swej pracy pisarskiej — przywilej „wolności słowa" który dla nich jest bezcenny, bo marna byłaby bez niego ich twórczość. Czy jednak słuszne jest korzystanie przez pisarza z tego przywileju bez żadnych względów i bez żadnej miary słów w opisywaniu pewnych sytuacji, czy postaci i opinii o nich?

Stawiam to pytanie, bo często zbyt wielką odczuwa się dysproporcję między ostrością napisanych słów i ich tonem, a samym tematem wypowiedzi jej autora. Odpowiadałem kilkakrotnie przeciw temu nadużyciu „wolności słowa" po przeczytaniu listów p. W. Zbyszewskiego w „Wiadomościach" londyńskich, a w tym liście do Pana oponuję przeciw temu nadużyciu w „Kulturze" ostatniej, z czerwca (Nr 6/224).

Trudno bowiem przemilczeć powtórzoną przez p. Zbyszewskiego opinię o ministrze Becku, jaką o nim miał mu dać śp. Stanisław Mackiewicz, w rozmowie a którą p. Zbyszewski przytacza w swoim żałobnym po jego śmierci artykule, że „Beck to była w ogóle potworna figura". Nie żyje Mackiewicz, który miał tę, co najmniej dziwną, opinię o Becku wypowiedzieć i dawno zmarło się Beckowi na wygnaniu, więc primo — „de mortuis.." i td., a secundo — czy ten sam Beck żywy zasłużył na nią swoją działalnością, czy służbą, na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych Polski, by go można uważać za „figurę potworną"? Z jakiej przyczyny? Chyba osobistej śp. Mackiewicza jedynie, bo jakież „potworne" dzieła popełnił Beck w swej polityce? Ostro, często bardzo ostro, krytykują politykę Becka, ale w żadnej rzeczowej krytyce jego osoby nie spotyka się tej „potwornej" oceny. Czy i p. Zbyszewski godzi się na taką ocenę ministra Becka?

Panie Redaktorze! Czy nie istnieje jakiś „Kodeks wolności słowa", który by zobowiązywał pisarzy do namysłu przed „potwornymi figurami" stylu lub pisaniem „potwornych" słów opinii, gdy one przynoszą komukolwiek krzywdę i to krzywdę niezasłużoną!

Z poważaniem,

E. J. CZERNIAWSKI

◆

Londyn, czerwiec 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z tezami p. J. Kowalewskiego w kwietniowym numerze „Kultury" br. polemizowałem i odrzuciłem je stanowczo w liście do Redakcji, zignorowanym jak zresztą i inne poprzednie. Przeczytawszy na świeżo list Kazimierza Górskiego w czerwcowym numerze „Kultury" ubolewam:

1) nad agresywnym i osobistym tonem autora, obniżającym jedynie ciężar gatunkowy jego sprostowań tez Kowalewskiego;

2) fałszywym przytaczaniem na łamach „Kultury" klasyków polskich. Jeśli cytuje się wyjątek w cudzysłowie, nie wolno odstąpić ani na jotę od oryginału. Dyndalski przemówił zgoła inaczej do Paukina aniżeli autor do zgromionego Kowalewskiego:

Kto by się tam i łakomił
Na waszmości nędzne życie!

Porachunki osobiste można załatwiać bez zakłócenia spokoju Fredrze.

Z poważaniem,

Fryderyk GOLDSCHLAG

◆

Toronto, dnia 11 czerwca 1966.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Mówiąc o studiach slawistycznych i polonistycznych w Stanach i Kanadzie, pragnę poinformować czytelników „Kultury", że uniwersytet Torontoń-

ski od wielu już lat ma wydział slawistyczny, przy którym w ostatnich latach zorganizowano studia języka i literatury polskiej.

Polonistyka jest na poziomie prowadzącym do magisterium i doktoratu, z tym że na razie przy doktoracie z polskiego obowiązuje rosyjski, jako przedmiot pomocniczy. To samo dotyczy doktoratu rosyjskiego, gdzie językiem uzupełniającym jest wtedy polski.

Literatura polska w obecnym programie przewiduje dwa kursy: jeden, poświęcony polskim romantykom, a drugi, to proza polska dwudziestego wieku doprowadzona do czasów ostatnich. Oba kursy prowadzone są przez profesora Danutę Irenę Bieńkowską. Włożyła ona wiele wysiłku i troski, by kursy te spopularyzować wśród Polonii, ożywić i nadać im naukowy charakter. Stale wzbogacająca się biblioteka polska przy Wydziale Slawistycznym wróży nadzieje, że przy uniwersytecie Torontońskim rozwinie się w przyszłości naukowy i prężny ośrodek kultury i nauki polskiej.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Wacław IWANIUK

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W. A. Zbyszewski pisząc w czerwcowym numerze „Kultury" o moim zmarłym bracie Stanisławie Mackiewiczu, i zaznaczając że robi to z myślą „dania przyszłym historykom konterfektu..." etc., w ten sposób napisał o moim ojcu, Antonim: „O ile mi wiadomo był kolejarzem: dochrapał się wysokich godności w kolejnictwie... bodajże z tytułem „prewaschaditielstwa"... etc. — A gdybym ja napisał o ojcu W. A. Zbyszewskiego ni stąd ni zowąd, że: „o ile mi wiadomo był furmanem, i woził Żydów z Białej Cerkwi do Kijowa"...

Naturalnie nie ma krzty obraźliwego że ktoś mógł być urzędnikiem kolejowym. Ale też nie ma krzty obraźliwego w zawodzie furmana Przeciwnie, za okupacji komunistycznej sam byłem furmanem wozu ciężarowego, i uważam ten rodzaj pracy za lepszy niż, przykładowo: pisanie wstępnych artykułów do „Słowa Powszechnego", (organu jak się mówi: „zbliżonego do kancelarii towarzysza Rapackiego").

Nie o żadną drażliwość więc chodzi. Tylko po co ogłaszać rzeczy nieprawdziwe? Zwłaszcza, jeżeli się chce coś dać „przyszłym historykom". Mój ojciec nigdy nie był urzędnikiem kolejowym, i nigdy nie był urzędnikiem w ogóle. — Nie wyobrażam sobie, żebym pisząc np. nekrolog o śp. W. A. Zbyszewskim, i zamierzając wspomnieć coś o jego ojcu, o którym nic nie wiem, nie zadał sobie trudu zapytania co najmniej jego brata, Karola. Kosztowałoby to cenę znaczka pocztowego. Jak dla przyczynku historycznego, nie dużo.

Natomiast maniery wspominkarskie W. A. Zbyszewskiego odznaczają się właśnie stylem, który bym nazwał: Nonszalancją z premedytacji. W jego artykule pt. „Stanisław Mackiewicz", roi się od faktów, dat, nazwisk i nazw nieprawdziwych, bądź przekręconych. Jest to typowy styl, pielęgnowany ongiś szczególnie przez złotą młodzież Sankt-Petersburga, która w umyślnym lekceważeniu ścisłości, dostrzegała swoiste *finesse de l'esprit*, 50 lat temu.

Łączę wyrazy szacunku,

JÓZEF MACKIEWICZ

◆

Nowy Jork, 31 maja 1966.

Szanowny Panie Redaktorze!

List p. Janusza Kowalewskiego („Kultura Nr 4/222, 1966, str. 156) ma tę dobrą stronę, że przypomina iż istniały w międzywojennej Polsce siły destrukcyjne, skoro np. występowały zjawiska, znajdujące swój najbardziej ohydny wyraz w zamordowaniu prezydenta państwa. Wyprowadzanie jednak z tych ujemnych zjawisk wniosku, że przeciw grożącej nam rzekomo dyktaturze jednej maści odtrutką była dyktatura innej maści, nasuwa refleksję, że kuracja polegająca na leczeniu jednego zła drugim ma nader wątpliwą wartość, zwłaszcza, że wbrew zdaniu autora listu wolno mieć wątpliwości, czy to drugie było przynajmniej mniejszym złem. A zamachy na głowę państwa nie stanowiły, jak wiadomo, specjalności polskiej, były rzeczą starą jak świat i pojawiały się w innych państwach nieporównanie częściej niż w Polsce, bynajmniej nie prowadząc w sposób nieunikniony do przewrotów politycznych.

Jeżeli zaś czyta się obecnie dużo o Brześciu, to pisano o nim w imię prawdy, czy czynili to Pragier czy Witos czy inni, którzy go przeszli. Tylko typowo polska emocjonalność w połączeniu z brakiem treningu w obiektywnym myśleniu może prowadzić do tego by w rzeczowych relacjach dopatrywać się jakiegoś wzbudzania „orwellowskiej nienawiści" do rządzącego w czasach Brześcia obozu politycznego (tak jakby nie istniała różnica między nienawiścią a obiektywną krytyką) i to nienawiści tak zaślepionej, że aż pozwalającej rzekomo na zapomnienie o okropnościach drugiej wojny światowej.

Autor omawianego listu przypisuje sobie monopol dojścia do sedna rzeczy; w rzeczywistości jednak o odkryciu przezeń Ameryki o tyle trudno mówić, iż przypisywanie wypadkom majowym roli czynnika ratującego kraj przewija się, w równych wersjach, w licznych próbach apologii tych wypadków, np. w postaci wcale rozpowszechnionego twierdzenia, jakoby ostatni rząd przedmajowy prowadził Polskę do katastrofy, twierdzenia, zręcznie unikającego dostrzegania możliwości związku między *następnymi* rządami a katastrofalnością.

Natomiast zgoła oryginalną jest teza, że alternatywą wypadków majowych byłoby jakieś przedwojenne polskie wydanie Oświęcimia i Majdanka. Daleki jestem od niedostrzegania niebezpieczeństwa wystąpień w rodzaju wystąpienia Doboszyńskiego, którego autor listu słusznie określa jako szaleńca. Wystąpienie to, przy całej swej szaleńczości, było zresztą w dużej mierze reakcją na swoiste cechy reżymu pomajowego. Doboszyński zeznawał w sądzie, że „zimno mu się zrobiło" gdy po przeczytaniu „strzępów meldunków" uprzytomnił sobie, w jakich rękach Polska się znajduje. I trzeba przyznać, że w doznaniu tego wrażenia nie był odosobniony, gdyż podzielało je wielu ludzi, całkowicie jego akcję potępiających. A na potępienie, mimo swej osobistej ideowości, niewątpliwie zasługiwał, niemniej niż np. sprawcy pobicia posła Liebermana. Na to jednak, by dojść do wniosku, że gdyby nie maj, byłby się w Polsce przyjął rodzaj rodzimego hitleryzmu, trzeba być organicznie niezdolnym do patrzenia inaczej niż przez szkła takiej lub innej dyktatury; niezdolności tej nie przeczy dostrzeganie w ówczesnej Polsce także „ultrademokracji", skoro się tę rzekomą ultrademokrację widzi, zgodnie ze swym ogólnym stylem, w narastających wpływach sfer wojskowych. Trzeba nader specyficznej mentalności, aby dla cywilizowanego i wrogiego wszelkiemu niewolnictwu społeczeństwa, które dało dość dowodów, że odrzuca wszelkie rodzaje dyktatury, nie widzieć w ramach dwudziestolecia innej alternatywy jak tylko alternatywę dyktatur różnej maści. Prawdziwa Polska nie

jest ani czerwona (zwłaszcza w dzisiaj przyjętym sensie tego słowa) ani biała — z takim lub innym odcieniem tej białości — tylko właśnie biało-czerwoną, jak jej sztandar.

Jan MORELOWSKI

◆

Cooma (Australia), 1 czerwca 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule „ABC Polityki 'Kultury'" Mieroszewski napisał: „Ani Czechosłowacja ani Węgry nie zechcą wiązać się z Polską, która ma zatarg z Niemcami. Niemiecka Republika Federalna musiałaby oficjalnie uznać granice na Odrze i Nysie i wyzbyć się wszelkich pretensji rewizjonistycznych by idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej przeobrazić się mogła w realny projekt".

Czyżby Mieroszewski — ewolucjonista i pragmatyk — naprawdę przypuszczał, że takie „oficjalne uznanie" granic byłoby czymś więcej niż jeszcze jednym niemieckim „świstkiem papieru"? Czy Mieroszewski — realista i geopolityk — wierzy, że „wyzbycie się wszelkich pretensji rewizjonistycznych" przez Niemcy jest możliwe? Jeżeli nie przyjąć starotestamentowej zasady o odpowiedzialności do czwartego pokolenia, to naród niemiecki ma takie same prawo do określenia tych ziem jako (delikatnie mówiąc) „zabranych" jak my do nazywania ich „odzyskanymi". Nie sypmy sobie w oczy jałtańsko-sowieckim piaskiem. Jeżeli kiedyś znów wrócimy do Lwowa i Wilna — to będą ziemie odzyskane.

Jeszcze jedno: ponieważ w wyżej podanej cytacie Mieroszewski pisze o czasach obecnych — więc należałoby przypuszczać, że przyznaje on Czechosłowacji, Węgrom i Polsce możność prowadzenia niezależnej polityki zagranicznej. Jest to opinia co najmniej osobliwa.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam NASIELSKI

◆

Londyn, 12 czerwca 1966.

Drogi Panie Redaktorze,

W swoim wspomnieniu o Stanisławie Mackiewiczu w Nrze 6/224 „Kultury" czyni mnie Wacław Zbyszewski „wodzem straszliwej mafii Naprawy w Wilnie", z którego to powodu miał się nasłuchać o mnie różnych — nie wymienionych w artykule — rzeczy.

Że się w owym czasie nasłuchał — w to najzupełniej wierzę. Ale na pewno nie z powodu mego rzekomego dowództwa w „Naprawie", bowiem do „Związku Naprawy Rzeczpospolitej", ani do jego poprzedników („Zet", „Straż Kresowa", „Rady Ludowe") nigdy nie należałem, a więc nie tylko funkcji wileńskiego wodza, ale nawet najniższej w nim szarży nie pełniłem.

Z wielu członkami „Naprawy" łączyły mnie osobiste przyjacielskie stosunki, byli to bowiem ludzie aktywni i ideowi, demokraci w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Ale ich program polityczny w stosunku do ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego był sprzeczny z programem grupy wileńskich demokratów (tzw. Krajowców), do której w ciągu swej działalności w Wilnie należałem.

Przyczyny walki, którą w ciągu lat bez mała dziesięciu toczyliśmy ze Stanisławem Mackiewiczem, oraz okoliczności pojednania w latach II. wielkiej wojny, były również inne, niż o tym napomyka Zbyszewski. Mam nadzieję, że — o ile te sprawy miały jakiś wpływ na życie publiczne Wilna — wyjaśnię to wszystko we wspomnieniu o Stanisławie Mackiewiczu na tle ówczesnego Wilna, które, po zebraniu niezbędnego materiału, zamierzam napisać.

Załączam wyrazy szacunku i pozdrowienia,

Kazimierz OKULICZ

◆

Londyn, dnia 25 maja 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swym artykule na temat książki Adama Schaffa pt. *Marksizm a jednostka ludzka* p. Zb. A. Jordan wypowiedział pogląd, że książka ta ma „duże znaczenie dla rozwoju wydarzeń w kraju i być może w całym bloku sowieckim" oraz że pobudzi ona partię „do bardziej nowoczesnej orientacji i sposobów myślenia".

Nie przeczę temu poglądowi, pragnę jednak zwrócić uwagę na to, że sens tej książki można rozważać z innej, odwrotnej strony: mianowicie jako próbę znalezienia takiego szerszego kompromisu między oficjalną doktryną marksizmu a poglądami młodego Marksa, który byłby na dalszą metę do przyjęcia dla partii komunistycznych w „bloku sowieckim" i poza nim i który ułatwiłby obronę ortodoksyjnej doktryny przed rewizjonizmem i krytyką.

Rozwinięcie i uzasadnienie takiej interpretacji książki Schaffa nie jest możliwe w ramach listu do Redaktora — toteż mogę tu zaledwie wskazać na jej możliwość i ogólną jej podstawę.

Pisma młodego Marksa zostały opublikowane dopiero w latach międzywojennych (1927 i 1932). Treść ich była tak odrębna w stosunku zarówno do późniejszych dzieł Marksa jak i do całości doktryny marksistowskiej iż od chwili ogłoszenia ich czyniono próby pogodzenia ich z oficjalną doktryną, próbowano też (na Zachodzie) złączyć je z późniejszymi dziełami Marksa w ściślej zharmonizowaną logiczną całość. Próby te dały bardzo różne rezultaty zależnie od różnej oceny roli pism młodego Marksa w całokształcie jego twórczości. Zarysowały się tu, z gruba biorąc, trzy różne stanowiska. Ortodoksi usiłowali nadać pismom młodego Marksa interpretację zgodną z dotychczasową doktryną oficjalną, odrzucając przy tym i potępiając jako „idealizm" te jego wypowiedzi, które trudno było w ten sposób zoperować. Autorzy niezależni przeważnie poszukiwali pogodzenia obu części twórczości Marksa przy założeniu ich zasadniczej równorzędności. Trzecia możliwość: przyjęcia poglądów młodego Marksa za podstawę dla rewizji i scalenia całej jego twórczości w jeden system — nie znalazła dotąd śmiałych i konsekwentnych zwolenników. Dzięki temu, że w odróżnieniu od późniejszych dzieł Marksa dotyczących głównie struktury społecznej i stosunków gospodarczych pisma wcześniejsze miały charakter filozoficzny, można znaleźć w nich podstawę do ogólnej rewizji czy reinterpretacji całości jego twórczości. Pewne próby w tym kierunku były już czynione.

Wobec wszystkich tych prób i rosnącej krytyki świadomi niebezpieczeństwa ortodoksi dążą do wzmocnienia swego stanowiska, poszukując bardziej niż dotąd przekonywujących form związania młodego Marksa z dotychczasową doktryną. Gotowi na pewne ustępstwa, są niemniej zdecydowani zre-

dukować je do minimum lub sprowadzić do zmiany języka na łatwiejszy do przyjęcia dla ogółu.

Schaff w swej książce daje właśnie bardzo wygodną formułę tego rodzaju kompromisu z urządzeniem zwrotnym: z jednej strony eksponuje rolę jednostki w systemie pojęć marksizmu, lecz jednocześnie z drugiej strony bardzo usilnie afirmuje ortodoksyjną, materialistyczno-społeczną koncepcję indywidualnej jednostki ludzkiej jako ogółu zbiegających się w niej stosunków społecznych.

Czy partia pójdzie na ten kompromis — trudno powiedzieć. W tej chwili nie widać nawet chęci zmiany języka. Na dalszą metę trudno wykluczyć zmianę. Trudno byłoby też zaprzeczyć, że mogłaby ona przynieść jakieś korzyści społeczeństwu. Z drugiej strony można wątpić, czy ten w istocie bardzo niedaleko idący kompromis mógłby powstrzymać rozwijającą się dalej krytykę doktryny. Może nawet na odwrót: mógłby ją pobudzić? Być może ta właśnie obawa tłumaczy negatywny stosunek obecnego kierownictwa PZPS do książki Schaffa.

Łączę uprzejme wyrazy,

Jan OSTASZEWSKI

P.S. Przed kilku laty w kraju nastąpiła zmiana terminologii w tłumaczeniu niektórych niemieckich terminów używanych przez Marksa w jego wcześniejszych pismach filozoficznych. Marksowski termin *Entfremdung*, tłumaczony dawniej jako *alienacja* (zgodnie z terminologią przeważającą na Zachodzie) zaczęto tłumaczyć jako *wyobcowanie*. W artykule swym p. Jordan idzie za tą nową modą. Dążenie do spolszczenia tego terminu jest zrozumiałe, w tym przypadku jednak rezultat nie wydaje się trafny ani z punktu widzenia znaczenia słów *obcowanie* i *wyobcowanie*, ani z punktu widzenia systemu pojęć Marksa. *Wyobcować* znaczy tylko wyłączyć z obcowania społecznego. *Entfremdung* zaś to — wedle Marksa — taka sytuacja człowieka, która czyni go obcym samemu sobie przez odebranie mu jego ludzkiej duchowej istoty, która czyni mu obcym jego własne ciało i całą przyrodę, poddając człowieka panowaniu obcych mu sił i praw. Jak łatwo zauważyć — pojęcie to nie jest oparte na materialistycznej koncepcji jednostki. Nie chodzi w nim też o wyłączenie jednostki ze społeczeństwa. Oczywiście *Entfremdung* łączy się ze spaczeniem stosunków społecznych i ze zmianą ich treści, ale nie oznacza izolacji jednostek, ani zaniku obcowania społecznego.

◆

Londyn, 3 czerwca 1966.

Drogi Panie Redaktorze,

Kilka lat temu, na skutek listu otrzymanego z „Kultury" (o ile pamiętam, nie był podpisany przez Pana), skomunikowałem się z p. J. Kowalikiem, który wówczas zbierał materiały do dziejów czasopiśmiennictwa emigracyjnego. Poza tym wysłałem mu nr „Poradnika Kulturalno-Oświatowego", w którym zamieściłem obszerną biografię wychodzącego w Palestynie „Junaka". Niezadługo odezwał się p. Kowalik, przysyłając mi list z uprzejmym podziękowaniem za otrzymany materiał oraz uwagą, że „Junak" należy do nielicznych pism, które doczekały się biografii.

Niestety p. Kowalik ograniczył się do tych uprzejmości i z dostarczonych mu przeze mnie informacji nie tylko nie skorzystał, lecz nawet bezceremonialnie wydziedziczył mnie z mego dorobku. W pracy bowiem swej o czasopiśmiennictwie emigracyjnym, zamieszczonej w 2-gim tomie „Literatury Polskiej na Obczyźnie", jako redaktora „Junaka" wymienia L. Orłowskiego. Jest to bardzo dalekie od prawdy, zwłaszcza gdy chodzi o podniesioną przez

p. Kowalika z uznaniem „Treść ideologiczną i literacką" pisma, jego szatę zewnętrzną oraz że było „areną literacką i szkołą dziennikarską dla młodzieży".

Byłem jednym założycieli „Junaka" a po przejściu redaktora T. Sypniewskiego do kairskiej „Parady", redagowałem pismo ponad dwa lata, tj. do maja 1945 r., kiedy w związku z mym wyjazdem do Włoch przekazałem redakcję drowi W. Kwiatkowskiemu.

L. Orłowski przyszedł na gotowe, już pod sam koniec ukazywania się pisma i nie wiem czy wydał więcej niż 3-4 numery.

Z poważaniem,

Tadeusz ROKICKI

◆

Genève, 11 mai 1966.

Monsieur:—

J'ai lu avec un vif intérêt, dans le dernier numéro de „Kultura", les réflexions de Londyńczyk sur „Wielki Świat i Prowincja". Je partage entièrement ses vues sur la confusion qui, dans un trop grand nombre d'esprits, règne entre ces deux pôles ou concepts. De deux hommes, de deux périodiques, le plus „provincial" peut être celui-là même qui, dédaignant l'autre, le taxe de „provincialisme".

Toutefois une chose m'a surpris et peiné sous sa plume. Il oppose les *Chłopi* de Reymont, qu'il qualifie de „beznadziejni" aux *Popioły* et au *Przedwiośnie* de Żeromski, qu'il juge „wspaniały". Certes je ne disconviens pas de la splendeur de ces deux romans de Żeromski, surtout du premier. Mais traiter les *Chłopi* de „beznadziejny", quel parti pris, quelle injustice dans ce jugement sans appel!

Ce qui m'intéresse surtout, c'est la motivation profondre de ce verdict. D'abord j'aime à croire qu'ici Londyńczyk a versé dans ce petit travers qu'à tort ou à raison certains de mes compatriotes croient avoir observé comme étant un trait assez fréquent chez les vôtres : un certain goût du superlatif passionnel. Peut-être Londyńczyk admettra-t-il que ce superlatif absolu dépasse quelque peu sa pensée véritable.

Cette comparaison un peu boiteuse entre Żeromski et Reymont, je l'ai en quelque sorte „vécue" dans les années 1924-27, au moment où tant de Polonais regrettaient que le lauréat Nobel n'ait pas été Żeromski plutôt que Reymont. Jeune alors, et ne connaissant pas bien les mouvements et les ressorts de la société polonaise d'alors, ébloui de surcroît par la fraîcheur et la beauté des *Paysans*, j'ai été franchement surpris, et un peu chagriné de lire, dans des lettres de Polonais que j'estimais très haut, certaines réserves sur l'auteur des *Chłopi*. Par exemple, dans une lettre du 3 juin 1927, datée de Bruxelles, le prof. W. Lednicki m'écrivait : „... Je ne suis qu'un très faible „Reymontiste" et j'avoue en toute franchise — ne m'en voulliez pas — que cet auteur is not in my line". Et l'année précédente le regretté professeur Stefan Komornicki, curateur du Musée Czartoryski, m'écrivait de Cracovie le 26 mars 1926 : „... Je crois te voir dans l'erreur quant à mon sentiment à l'égard des *Paysans* de Reymont. Ils ne m'ennuient pas! Je suis seulement d'avis qu'on peut mieux savourer cette œuvre dans une bonne traduction. C'est peut-être une injustice (elle m'est permise puisque je ne suis pas du métier). Mais d'après mon avis, Reymont en travaillant longtemps aux *Paysans* a maniéré sa langue polonaise à ce point que cette manière est devenue fatigante pour un lecteur polonais qui connaît toutes ses œuvres. Naturellement, si l'on commence par les *Paysans* on trouve cette langue magnifique dans son individualité. Dans le *Ostatni Sejm* elle cesse de plaire et dans *Insurekcja* elle fatigue".

Dans l'ensemble on peut sans doute affirmer que Reymont a été plus apprécié dans les pays européens — et même au Japon, en traduction japonaise — que dans son propre pays. A ce moment de l'histoire le préjugés de classe étaient assez répandus dans une Pologne encore partiellement féodale. Reymont était issu d'une famille villageoise des plus modeste et faisait figure d'autodidacte dans une société intellectuellement et politiquement dirigée par la noblesse rurale dès longtemps cultivée et assez récemment urbanisée. C'était un „self-made man" qui, comme tant d'écrivains américains, avait exercé toutes sortes d'humbles métiers : employé de chemin de fer, acteur itinérant, etc. avant de devenir journaliste et écrivain professionnel.

Je ne sais si Reymont avait des idées politiques arrêtées, mais les Polonais de droite le considéraient comme un Polonais de gauche. De là une certaine méfiance qui se reflétait jusque dans les appréciations sur la valeur de l'écrivain. Au demeurant il est bien certain que les *Chłopi* représentent un sommet, laissant bien loin derrière *Ziemia Obiecana* et la Trilogie historique.

A mon avis, au lieu de comparer Reymont à Żeromski — difficilement comparables à bien des égards — il serait plus équitable et plus profitable de le comparer aux autres romanciers de la terre dans les différents pays européens. Je pense à Björnstjerne Björnson et à Selma Lagerlöf, à Balzac, George Sand et Zola, à Berthold Auerbach et Peter Rosegger, à Thomas Hardy, et surtout peut-être à l'écrivain roumain Livio Rebreanu, dont l'*Ion* (1921) (que j'ai lu en traduction polonaise) est un très beau et puissant roman.

Et alors la supériorité de Reymont éclate. Quelle idée aussi simple que géniale, d'avoir taillé les quatre saisons d'une année agricole dans le calendrier éternellement renouvelé de la vie d'un village polonais de la seconde moitié du XIX^{e} siècle! d'avoir fait de ce village, à la fois réel et imaginaire, le héros véritable de son roman! Avec quel naturel et quel art, dans chacun de ses chapitres, Reymont glisse insensiblement de l'une à l'autre de ses trois évocations: évocation de la nature (ciel, champs, blés et forêts); évocation du grouillement de la vie villageoise; évocation enfin des personnages individuels, les Boryna, les Jagna, les Jagustynka, etc., sur lesquels il concentre l'attention du lecteur. Et quel sentiment de sereine majesté se dégage de l'ensemble de l'œuvre!

Ces qualités toutes „classiques" (par rapport au romantisme profond, douloureux, parfois effréné de Żeromski) sont peut-être ce qui a secrètement influencé les nombreux ardents admirateurs français des *Paysans*. Je ne citerai ici que deux romanciers „régionalistes" français contemporains de Reymont, Lucien Gachon et Emile Guillaumin. Comme maints autres ils ont cherché eux-mêmes à rendre de leur mieux la „réalité paysanne" dans leur œuvre, et ils n'ont cessé de proclamer Reymont leur maître incontestable à tous.

De grâce, réconcilions définitivement Reymont et Żeromski, ces deux grands romanciers polonais aux talents divergents et inégaux. Frères ils étaient dans la vie, frères ils sont dans la mort. En veut-on une preuve? Reymont m'écrivit la lettre qui devait être sa dernière le jour même de la mort de Żeromski (21 novembre 1925). Il m'exprimait sa douleur de la disparition de celui qu'il admirait, avec lequel il était *ami*, et qu'il savait devoir bientôt suivre dans la tombe. Cette lettre m'atteignit dans ma lointaine Californie quelques jours après que le *San Francisco Chronicle* du 6 décembre 1925 m'eut appris la mort de Reymont, survenue la veille.

Franck L. SCHOELL

◆

Londyn, 17 czerwca 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze

W majowym numerze „Kultury" umieszczony został list p. Z. S. Siemaszko podający jego wersję usiłowań zgładzenia dra Józefa Retingera, który jako wysłannik Premiera i Rządu Polskiego w Londynie został zrzucony na spadochronie do kraju w kwietniu 1944 roku. P. Siemaszko omawia również sposób w jaki został rzekomo traktowany dr Retinger przez władze Polski podziemnej. Przytacza on te dwa opisy, by udowodnić że dr Retinger działał na szkodę interesów Państwa Polskiego.

Będąc przez lat dwanaście, aż do chwili jego śmierci, najbliższym współpracownikiem i sekretarzem dra Retingera, i będąc w wyniku tego obeznany z tym rozdziałem historii, chciałbym sprostować kilka faktów cytowanych przez p. Siemaszko, a co zatem idzie skomentować kilka z jego wniosków.

Dr Retinger nie tylko nigdy się nie skarżył na sposób w jaki był przyjęty i traktowany przez władze podziemne, lecz odwrotnie, wyrażał się o tym z najwyższym uznaniem, satysfakcją i wdzięcznością. W czasie całego jego pobytu w kraju był otaczany pełnym szacunkiem troskliwą opieką Władz Podziemia i A.K. i doznawał jak najdalej idącej pomocy. Żyjący dziś na emigracji członkowie rządu podziemnego pp. Białas, Stypułkowski, Zaremba i Korboński, z którymi łączyła go do śmierci obopólna przyjaźń i szacunek, mogą to potwierdzić.

Na poparcie swojej tezy p. Siemaszko cytuje następujący incydent: „Znany jest fakt odstawienia Salamandra (ówczesny pseudonim Retingera) w początku czerwca 1944 r. do innego lądowiska, niż to z którego miał go zabrać samolot z powrotem do Włoch. Ta „omyłka" spowodowała uziemienie Salamandra w kraju do końca lipca 1944 roku. Wreszcie odleciał on do Włoch w nocy z 25 na 26 lipca 1944 roku. Również zdarzył się inny wypadek. Żołnierze A.K. przewozili Salamandra bryczką z jednej miejscowości do drugiej. Bryczka wywróciła się i pasażer wpadł do wody, a było to wczesną wiosną. Któż potrafi teraz stwierdzić, czy był to rzeczywisty przypadek, czy próba pozbycia się niepożądanego gościa, czy też jedynie „utrudnianie". Otóż fakty były inne. Dr Retinger został odwieziony na właściwe lotnisko, ale w wyniku zamieszania które nastąpiło w bezksiężycową noc na konspiracyjnym lotnisku, nie zdołał dobiec do samolotu, który wylądował po przeciwnej stronie lotniska i który nie natrafiwszy na pasażerów, wystartował z powrotem w myśl rozkazów, które nie pozwalały mu czekać dłużej niż kilka minut. W drodze powrotnej do plebanii, skąd wyjechał, położonej o kilkanaście kilometrów stangret, by uniknąć mostu który mógł być przez Niemców strzeżony, obrał objazd, by przejechać rzekę w bród. W nocy bryczka się wywróciła i Retinger wpadł do zimnej wody.

Dr Retinger wyleciał do Anglii, w kilka miesięcy później, ale tym razem kompletnie sparaliżowany, wraz z Tomaszem Arciszewskim i odnalezionymi przez A.K. częściami pierwszego nieuszkodzonego modelu V I. W czasie jego choroby w kraju, która go kompletnie obezwładniła, troska jaką go otaczało A.K. i władze podziemia pozostała w jego pamięci połączona z najwyższym uznaniem.

Wspomina p. Siemaszko o tajemnicy jaka otaczała misję i zrzut Retingera do Polski, o czym nie wiedział ani Sztab ani też Oddział Specjalny Sztabu, który nad tymi sprawami nadzorował. W późniejszych latach często o tym dr Retinger wspominał. Było to konieczne, by uniknąć możliwości nieświadomych, lub nawet, o czym przykro pomyśleć, świadomych niedyskrecji. Stało się nawet gorzej niż można było przypuszczać. Fakty te opisuje p. Siemaszko i pragnę tu stwierdzić, że pokrywają się one w zupełności z tym co o tym wiem i od świadków słyszałem.

Należy zwrócić uwagę na to, że uśmiercanie pewnych ludzi bez wyroku sądu było rzadkością w stosunkach polskich i nawet w konspiracji w czasie drugiej wojny światowej. Inicjatorzy tego rozkazu musieli więc uważać dra Retingera za wybitnego szkodnika skoro zdecydowali się na tego rodzaju krok. Można mieć taką lub inną opinię o słuszności ich decyzji, ale nie ulega wątpliwości, że działali oni z pobudek patriotycznych i niepodległościowych".

Jakąkolwiek by można mieć opinię o polityce dra Retingera i Rządu Polskiego w Londynie, którego był on wysłannikiem, fakt faktem jest że p. Siemaszko cytuje akt płk. Demela, jako akt patriotyczny, przykład ofiarnej służby ojczyźnie i dowód na to, że dr Retinger był „wybitnym szkodnikiem".

Zaliczam się do tych, Panie Redaktorze, którzy uważają że najwyższa racja stanu i dobro narodu wymagają przede wszystkim radykalnego usunięcia tego rodzaju kryminalnych praktyk jakie opisuje p. Siemaszko.

Ze smutkiem stwierdzam że jeśli znalazłem się z tymi ludźmi po tej samej stronie barykady w czasie wojny było to tylko i wyłącznie kwestią przypadku. Nawet nieporozumieniem.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Jan POMIAN

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury". Wacław IWANIUK,
100 Raglan Ave., Apt. 1009, Toronto 10, Ont.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e Trimestre 1966.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. **S. L. Lemanski,** 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172 ; **T. Konopacki, 11839** Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 **Ch. M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr. Union, N.Y. 07083; **Polish Amer, Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago III. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing Co,** Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; **R.J. Sas-Babczynski,** 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; **Jan Wojcik,** 131, Gold Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXXIX

Seria « Archiwum Rewolucji »

BORYS LEWIĆKYJ

POLITYKA NARDOWOŚCIOWA W ZSSR

w okresie Chruszczowa

Przekład z niemieckiego Mieczysława Zarzyckiego

POSŁOWIE WSEWOŁODA HOŁUBNYCZEGO

Str. 312. Cena 16,50 F. (dol. 3,50; 24/6)

◆

TOM CXXX

Seria « Archiwum Rewolucji »

MIHAJLO MIHAJLOV

TEMATY ROSYJSKIE

Przekład z serbo-chorwackiego

CZEGO CHCEMY I DLACZEGO MILCZYMY — LATO MOSKIEWSKIE 1964 — DOSTOJEWSKI DZIŚ — *LITERATURA ROSYJSKA:* NA ROZDROŻU — KILKA SKOJARZEŃ HISTORYCZNYCH NA CZASIE — WNIOSKI Z PEWNEJ POLEMIKI — MARTWY DOM SOŁŻENICYNA I DOSTOJEWSKIEGO — ZNACZENIE POWIEŚCI „CISZA" — JEWGIENIJ ZAMIATIN — CHAGALL LITERATURY — SYNTEZA ZARATUSTRY I OSTAPA BENDERA.

Str. 224. Cena 15 F. (dol. 3,25; 22/6)

◆

TOM CXXXI

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164. Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

Cena 7,50 F

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIII^e)